

· C · H · A · R · L · I · E ·
FLETCHER

PARADOKS



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

• C • H • A • R • L • I • E •
FLETCHER

PARADOKS

Ilustracje: PAWEŁ ZARĘBA

Przełożyli: PIOTR I WIKTOR PIEŃKOWSCY

TRYLOGIA NADZORU

TOM I - NADZÓR

TOM II - PARADOKS

TOM III - THE REMNANT

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Copyright © 2015 by Man Sunday Ltd
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2018

Tytuł oryginału
The Paradox

Wydanie I
ISBN 978-83-7964-355-4

Projekt i adiustacja autorska wydania

Eryk Górski

Robert Łakuta

Ilustracja na okładce

Siergiej Szikin

Ilustracje

black gear Paweł Zaręba

Typografia na podstawie projektu

Dark Crayon

Projekt okładki

black gear Paweł Zaręba,

„Grafficon” Konrad Kućmiński

Tłumaczenie

Piotr i Wiktor Pieńkowscy

Redakcja

Joanna Mika-Orządała

Korekta

Agnieszka Pawlikowska

Wydawnictwo

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

*Domenice,
na zawsze najcudowniejszemu paradoksowi*

„Ogień rządzi wszystkim”

Heraklit z Efezu, fragment 64

Ogień żyje śmiercią powietrza, powietrze żyje śmiercią ognia; woda żyje śmiercią ziemi, a ziemia – śmiercią wody”. Tak mówi Heraklit z Efezu, starożytny filozof hołdujący zmianom i płomieniom, które kochają wszyscy alchemicy. Wierzył on, że to właśnie wieczny ogień – zarówno niewinne iskrzenie, jak i destruktywny pożar – jest kluczem do cyklicznego procesu transmutacji. Ta zaś zamienia ze sobą żywioły, przez co, jak twierdzi Diogenes Laertios, „świat naprzemiennie rodzi się i ponownie obraca w popiół w regularnych, nigdy niekończących się cyklach i zdany jest na łaskę losu”. Strzegąc fragmentu pierwotnej Pożogi, Wolne Bractwo Nadzoru Londynu nie chciało oddać tak potencjalnie destrukcyjnej siły w ręce kapryśnego losu i dlatego, wkładając w to mnóstwo wysiłku, jego słudzy sprytnie zamknęli ją w bezpiecznym, kontrolowanym przez siebie miejscu. Doprawdy, ze wszystkich magicznych obowiązków Nadzoru związanych z utrzymaniem równowagi między naturalnym a nadnaturalnym światem ochrona Pożogi jest powinnością fundamentalną, jest filarem, na którym opiera się cała idea balansu... Są też tacy, którzy wierzą, że Pożoga w ogóle nie pochodzi z tego świata i że uciekła do nas z innego wymiaru (ten zaś nieubłagane ściga ją teraz, by pochwycić i zabrać z powrotem do siebie – stąd jej zmienność) – wymiaru pogrążonego przez tę ucieczkę w ciemności i spragnionego światła, lecz z tego, co mi wiadomo, są to tylko domniemania niepoparte liczącymi się dowodami.

*Wyjątek z Wielkiej i tajemnej historii świata autorstwa rabina
doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al
Shem z Londynu)*



PROLOG

Podwójne zagrożenie: epizod pierwszy

Issachar Templebane patrzył na swoją martwą twarz bardziej z rozczarowaniem niż smutkiem. Malował się na niej wyraz zaskoczenia nagłym zaprzepaszczeniem wszystkich przebiegłych planów, które kiedyś tak łatwo rodziły się w całkowicie martwym teraz mózgu, ukrytym wewnątrz gnijącej czaszki. Zastygły na pomarszczonej skórze grymas zadawał kłam słowom tych, którzy twierdzili, że śmierć przez utonięcie jest spokojna i bezbolesna. Inna sprawa, że mógł on być równie dobrze wynikiem obrzydzenia wywołanego smakiem toksycznej mieszanki wód Tamizy ze ściekami, które wniknęły w płuca wraz z ostatnim haustem powietrza.

– Cóż... – zaczął i sięgnął sprawną ręką w stronę trupa. Zamierzał podnieść jego lepką powiekę, ale ta w efekcie oderwała się od ciała, odkrywając suche, pozbawione życia oko. – Cóż, bracie, jesteś głupcem, poddając się tak wcześnie. Będę musiał kontynuować bez ciebie.

Gumowate oko wpatrywało się przez ramię Issachara w jakiś punkt na suficie. Mężczyzna pochylił się nad martwą twarzą brata – swojego jedynie teoretycznie identycznego bliźniaka. Zrobił to tak niezdarnie, że skrzywił się bólu, gdy jego złamana

ręka zawieszona w temblaku niebezpiecznie się przekręciła.

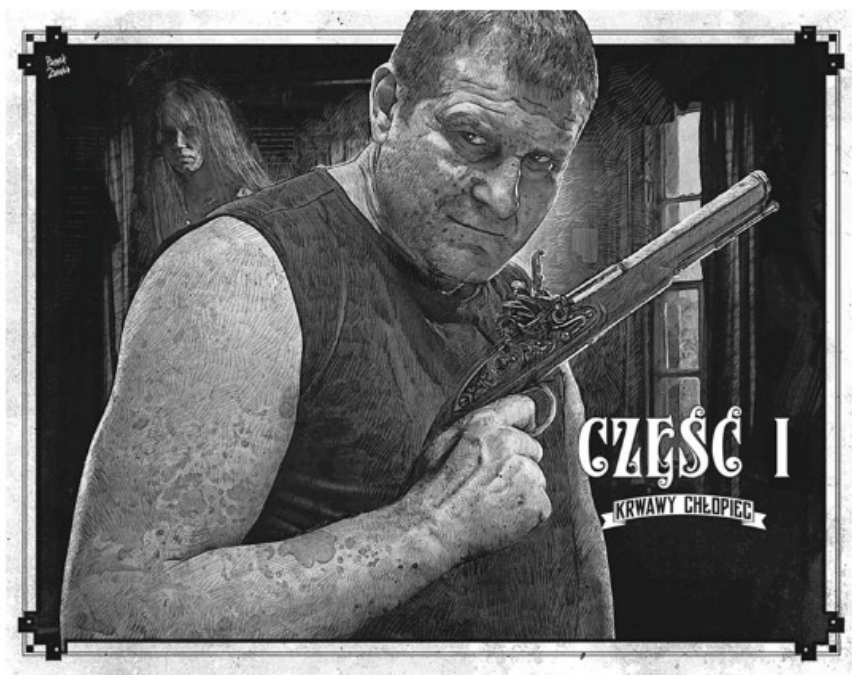
– Myślałem, że patrząc na twoją martwą twarz, stracę resztki odwagi i godności, ale muszę przyznać, że czuję tylko determinację. Widzieć cię w takim stanie to dla mnie smutna i przygnębiająca rzecz, lecz jednocześnie każe mi przyrzec samemu sobie, że nigdy nie skończę jak ty; nigdy nie zostanę znaleziony przez innych z taką zaskoczoną, rozczarowaną miną. Muszę przyznać, bracie, że jak na tak ponadprzeciętnie inteligentnego i doświadczonego człowieka, wyglądasz na żałośnie zaskoczonego.

Strzepnął powiekę z palca i zacisnął zęby.

– Ale to nie wystarczy, absolutnie nie wystarczy. Jestem złamany twoją śmiercią. Czuję się, jakby... – Issacharowi nieoczekiwanie zabrakło słów. Wbił wzrok w sufit i zamrugał szybko kilka razy. Nabrał powietrza głęboko w płuca, po czym zrobił długi, uspokajający wydech, jednocześnie masując swoją złamaną rękę. – Czuję się, jakby ktoś mnie okradł – dokończył.

Tembr jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że rumieniec malujący się na jego kościach policzkowych wyraża nie żal, a gniew.

– Cóż, bracie, rozwiązanie partnerstwa nie oznacza końca przedsięwzięcia. Kontynuuję samotnie, dopóki ich nie zniszczę. Nasz szlachetny Nadzór jest biegły w walce ze wszystkim, co magiczne i tajemne, zobaczymy jednak, jak obroni się przed prawdziwym atakiem. Myślą, że nas zatrzymali, ale się mylą. Jedynie utwierdzili mnie w moim przekonaniu. Nasz przyszły dobrobyt zależy wyłącznie od ich całkowitej eradykacji – od korzeni po gałęzie. Wykopię ich pędy, spalę spichrze, wysypię sól na ich polach. Raz zniszczeni, znikną na zawsze. A nim szczeną, pożałują, że podnieśli rękę na ród Templebane'ów.



Robert
Zuraw

CZĘŚĆ I

KRWAWY CHŁOPIEC



ROZDZIAŁ I

Pierwszy krok

Sara Falk pewnym krokiem przeszła przez lustro. Za sobą zostawiła znajomą piwnicę w bezpiecznym domu i ludzi, których znała całe życie – przyjaciół, którzy poświęciliby swoje życie, aby jej bronić; tak samo jak ona poświęciłaby się dla nich.

Dlatego właśnie odejście było tak trudne. Mimo wszystko się na nie zdecydowała. Poza tym nie została całkiem sama, nie straciła również instynktu samozachowawczego i uzbroiła się po zęby. Trzymała w dłoni jasną świecę, a na ramieniu siedział jej Kruk. Tuż przed przejściem jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze: miała na sobie czarną kurtkę jeździecką, ciasno opinającą jej szczupłe ciało, a spod jedwabnej spódnicy wystawały wysokie, mocne buty z cholewą. Na dłoniach czerniły się skórzane rękawiczki, na palcach miała dwa złote pierścienie. Jedyną różnicą w swoim wyglądzie, jaką zauważyła – oczywiście poza bronią, która stanowiła dla niej nowość – był fakt, że przyzwyczała się już do noszenia biżuterii na lewej ręce. Jej ostatnie zmagania skończyły się między innymi utratą ręki razem z pierścieniami, co niemalże doprowadziło do jej śmierci. Na szczęście jakimś cudem kończyzna została zwrócona i z powrotem przymocowana. Na twarzy Sary wyraźnie malowało się zmęczenie, a przedwcześnie posiwiałe włosy jak zawsze

splecione były w gruby biały warkocz przerzucony przez prawy obojczyk. Oczy Sary miały szarozielony odcień zimowego morza i ku jej uciesze spoglądały na nią pewnie i ze zdeterminowaniem, mimo zmęczenia i łomotania serca pod ciasno zapiętą kurtką.

– Dobrze – szepnęła, tak by usłyszał to tylko Kruk. – Chodźmy więc. – I przeszła pewnie przez lustro, którego tafla stawiała mniejszy opór niż bańka mydlana przebijana igłą.

Nagle przystanęła. Uniosła świeczkę, która wydawała się świecić jaśniej niż zwykle, i popatrzyła na korytarz tworzony przez niekończącą się liczbę zwierciadeł. Ciągnął się gdzieś daleko i kończył tam, gdzie nie sięgało światło świecy. Obróciła się na pięcie, lecz zamiast tyłu lustra, z którego dopiero co wyszła, ujrzała identyczny ciąg swoich odbić. Spoglądając w dół, zobaczyła odbicie sufitu rozchodzące się w podobny sposób. Nieskończone rzędy zwierciadeł biegły w każdym kierunku.

– A więc labirynt – powiedziała.

Kruk zaklekotał dziobem przy jej uchu.

– Tak, wiem. Jeżeli chcemy kiedykolwiek wrócić, musimy zaznaczyć nasz punkt startu. Na przykład tutaj możemy...

Kruk nagle sfrunął na ziemię i otrząsnął się, po czym wrócił na jej ramię. W miejscu, w którym stał przed chwilą, znajdował się imponujący rozbryzg ptasiej kupy.

– Powinno wystarczyć – stwierdziła Sara. – Może nie do końca gustowne, ale praktyczne.

ROZDZIAŁ II

Krwawy chłopiec

Amos Templebane (niemy od urodzenia, adoptowany przez rodzinę Templebane'ów) miał krew na rękach. To znaczy miał ją w sensie metaforycznym, bo od czasu morderstwa minęły tygodnie, ale i tak nie czuł się winny. Człowiek, którego zabił, poderżnęłoby Amosowi gardło, gdyby chłopiec wcześniej nie dzielił go jego własną patelnią, a potem nie wrzucił do kanału. Od tamtego czasu Amos zwiedził całe mnóstwo angielskich wsi

i rozmyślając podczas tych podróży, doszedł do wniosku, że już nigdy, przenigdy nie odbierze nikomu życia. Niestety, niezależnie od tego, jak bardzo usprawiedliwiony był jego czyn i na jak wielki szacunek zasługuje owo szlachetne postanowienie, faktem jest, że Amos zabił człowieka.

Zimna, wyrachowana drapieżność promieniująca z umysłu siwowłosej kobiety, którą dopiero co uwolnił z Węgorzowej Budki, a która teraz szła przed nim przez częściowo podtopioną łąkę, była czymś zupełnie innym; czymś równie niepokojącym jak odkrycie, że potrafiła tak samo czytać w myślach innych ludzi jak on. Dopóki nie przemówiła w jego umyśle, gdy przechadzał się nocą koło małego ceglanego budynku, i nie namówiła, by ją uwolnił, był przekonany, że jego umiejętność jest unikalna.

„Gdzie idziesz?” – pomyślał.

Odpowiedział mu piskliwy głos, ochryply od długiego niemówienia.

– Do przytułku. Do sypialni opiekuna.

Przytułek. Słowa te przypominały mu jego własne dzieciństwo spędzone w podobnej instytucji w Londynie. Nie były to przyjemne lata.

„Co chcesz zrobić?”

– Brakuje mi czegoś. Należy do mnie.

Nie przypominał sobie, żeby cokolwiek w przytułku należało kiedyś do niego. Jedyne, co pamiętał, to strach, dyskomfort i fakt, że był mniejszy niż rówieśnicy.

„Czego?”

– Zemsty – odparła. – Tak, zacznijmy od zemsty.

„Po co ci przemoc?”

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Jej nieustępliwą twarz rozświetlił srebrzysty blask księżyca.

– Ponieważ muszę, Krwawy Chłopcze. Ponieważ muszę.

„Czemu mnie tak nazwała? Nie jestem chłopcem, a już tym bardziej krwawym”.

– Wyglądasz na młodego. I masz nie więcej niż osiemnaście lat, a już czuć od ciebie krew. To było pierwsze, co w tobie zauważyłam. Jeszcze zanim cię zobaczyłam, mój nos cię poczuł.

„Już nie odbiorę życia”.

Parsknęła i odwróciła się.

– Twoja wola nie ma tu nic do rzeczy, Krwawy Chłopcze. Przeznaczenie ma inne plany.

Żałował, że dał jej nóż.

Podążając za nią do jednego z baraków w przytułku, widział, jak jej umysł zalewa się krwią. Chciała zatrzymać się przy beczce z deszczówką i sięgnąć ręką w jej atramentową głębię, by wydobyć z dna owalny kawałek szkła, który wcześniej tam ukryła, może lustro. Następnym krokiem miało być wejście tylnymi drzwiami do mieszkania opiekuna i przemknięcie przez kuchnię, po czym wejście na górę lewą stroną schodów, by nie skrzypiały. Później zamierzała powoli i po cichu otworzyć drzwi sypialni i bezszelestnie zbliżyć się do wielkiego, podwójnego łóżka. W nim – taką miała nadzieję – zastałaby wciąż śpiących M’Gregorów, czyli opiekuna i jego żonę.

A potem...

„Czemu chcesz go zabić?”

– Przestań zaglądać mi w myśli – stwierdziła twardo, nie przerywając wyobrażenia sobie zemsty.

„A czemu jest winna ona?”

– Jest gorsza od niego – wyjaśniła. – Pomożesz mi.

W jej zdecydowaniu, nieprzejednaniu było coś nie do końca ludzkiego. Jakaś dzikość, skupienie, bezmyślność. Jakby wyobrażała sobie tę zemstę tak długo, że stała się częścią jej samej, a nie tylko zwykłym planem.

„Zaczekaj” – pomyślał.

– Czekałam wystarczająco długo – odparła. – Dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie.

Przemknęła przez żywopłot na mały plac na tyłach przytułku.

„Co to za miejsce?”

– Mówiłam ci. Dolina łez. Dom pracy w Andover. Moje więzienie.

Dokładnie tak, jak widział to w jej wyobrażeniu, zanurzyła ramię aż po sam bark, mocząc przy tym włosy, i wyjęła z beczki małe lustro. Wytarła rękę i schowała je do kieszeni.

„Po co ci to?”

Powoli zdawał sobie sprawę, że jest szalona.

– Cierpliwości, zobaczysz – odpowiedziała, po czym odwróciła się ku drzwiom.

Sprawnie i zręcznie obluzowała zamek cienkim ostrzem noża, co kazało Amosowi sądzić, że już kiedyś to robiła. Po chwili usłyszał kliknięcie i drzwi się otworzyły, ukazując ciemne wnętrze.

„Czekaj”.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

„Nie musisz tego robić. Możesz po prostu odejść. Do świtu możesz być daleko stąd”.

– Nie masz pojęcia, co muszę zrobić – odparła. – I ty mi w tym pomożesz.

Chwycił ją za lewą rękę.

Spojrzała na nóż w swojej prawej dłoni, a potem na jego palce oplecione wokół nadgarstka.

– Próba zatrzymania mnie byłaby raczej głupim pomysłem – szepnęła. – I na pewno nie w twoim interesie.

„Mój interes nie ma tu nic do rzeczy. Nie zgodzę się na zabicie niewinnych ludzi”.

Myśl ta wymknęła mu się spod kontroli, zanim zdążył ją zamaskować. I zanim zdołał zareagować, miał nóż na gardle. Spojrzał w skupione oczy nieznajomej. Intensywność, z jaką mu się przyglądała, była równie agresywna jak atak nożem. Czuł się, jakby go pożerała. Wypatrywała zmian jego mimiki czujnie jak zwierzę, uczyła się zapachu, odkrywała mocne i słabe punkty...

Nagle opuściła nóż, lecz nadal wpatrywała się w niego ostrym wzrokiem. Krótkim ruchem głowy wskazała na schody.

– Gwałci małych chłopców, których tu podrzucono. Głównie chłopców. Im mniejsi, tym lepiej. Czasem dziewczynki. Ona wie i nic nie mówi. Wszystko trzyma w tajemnicy i zabiera pieniądze, które parafia przeznacza na jedzenie i leki. Ludzie umierają tu z głodu, podczas gdy ta tłusta dziwka śpi koło skrzyni pełnej złota. Mało tego, okrada pechowych pacjentów, którzy mają przy sobie przedmioty przedstawiające jakąkolwiek wartość. Chusty,

buty, cokolwiek... zabiera je i sprzedaje. Moje rzeczy też zabrała.

Wymieniając zbrodnie M'Gregorów, nie mrugnęła ani razu. On, cały czas w nią wpatrzony, próbował nie zerwać kontaktu wzrokowego.

– Robi to, bo rządzi nim odrażający popęd, nad którym nie ma ani siły, ani chęci panować. Ona udaje, że niczego nie widzi, bo kocha pieniądze. Jest jeszcze gorsza: o wszystkim wie i jest kobietą. Kobieta powinna być matką. Nawet bezdzietna, powinna spełniać rolę matki wobec biednych sierot...

Mrugnęła. I trzęsła się z gniewu. Mógł go wręcz poczuć – był jak gorące wibracje rozchodzące się w powietrzu pomiędzy nimi.

– Matka powinna chronić – ciągnęła. – Matka powinna walczyć. Matka powinna karać tych, którzy czynią krzywdę.

„Ale mordować ich we własnych łóżkach? To szaleństwo”.

Uśmiechnęła się do niego, pokazując zęby, lecz bez chociażby śladu wesołości.

– Tak, wiem. To szaleństwo. Postradałam zmysły już dawno temu. Dopilnowali tego.

„Więc...”

– Więc nic. Mogli mnie zamknąć i okraść z moich rzeczy, których brak spowodował, że oszalałam ze smutku, ale nie mogli kontrolować tego, co zrobiłam z moim szaleństwem. Nie mogli mnie powstrzymać przed zamianą go w broń. A teraz poznają jej zabójczą moc. I za wszystko zapłacą.

„Nie zabijaj ich”.

Z jakiegoś powodu, którego nie był w stanie pojąć, czuł, że ważne jest, by nie zabijała ludzi śpiących na górze. Może dlatego, że choć porównywała się do broni, w rzeczywistości jej ofiary zginą od ostrza, które wcześniej jej podarował. A może dlatego, że nie do końca pogodził się z tym, czego sam się dopuścił – z ciężarem popełnionej przez siebie zbrodni, której wspomnienie odepchnął od siebie i które wróciło do niego w tej właśnie chwili.

Stanowczo pokręcił głową.

„Nie zabijaj ich”.

– Nie przebaczam.

„Nie zabijaj ich”.

– Muszą zostać ukarani. Powiedziałam ci dlaczego...

„Powiedziałas. Ale kłamałaś”.

Znieruchomiała. Tylko na ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, by wyciągnął zza pasa inny nóż i wymierzył go w kobietę. Ta – ledwie na kilka sekund – uniosła wargę w grymasie wściekłości, a zaraz potem na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

„Nie gwałci chłopców. Ani dziewczynek. Prawda?”

Nie odezwała się słowem.

„Ale ona kradnie. Tu nie kłamiesz”.

Minimalnie poruszyła głową. Być może było to przytaknięcie.

„Powiedziałas prawdę o niej. Ale o nim kłamałaś”.

Po raz kolejną kiwnęła głową.

„Spojrzałaś w mój umysł. Myślałaś, że widzisz moje wspomnienia. Myślałaś, że znasz moją przeszłość. Chciałaś mnie przekonać, że jest potworem z mojego dzieciństwa. Chciałaś zrobić ze mnie współnika morderstwa, okłamując mnie”.

– Tak – odparła. – To głupie z mojej strony. Tyle czasu się nie odzywałam, tak długo byłam samotna, że...

Odłożyła nóż i przetarła ręką twarz, jakby próbując porządnie się rozbudzić.

– Spędziłam tyle lat bez słowa, po prostu siedząc i słuchając urywków ludzkich myśli, że w końcu zapomniałam o istnieniu innych obdarowanych czy przeklętych tym samym darem. I o tym, że mogą z taką samą łatwością czytać moje myśli, jak ja ich. Co za głupota.

Zabrzmiało to dziwnie podobnie do przeprosin. Otrząsnęła się i zwróciła ku schodom.

„Nie zabijaj ich”.

– To nie takie łatwe – odparła, spoglądając w sufit i cicho wzdychając. – Zło nie może obyć się bez kary.

Jak na swój wiek, Amos wiedział dużo na temat zła. I strachu. Wychowany jako sierota w londyńskim zakładzie opieki, wyróżniający się wśród rówieśników ciemnym kolorem skóry, był idealnym celem dla dręczycieli. Dobrze wiedział, jak to jest przeżyć dzień, chowając się przed biciem i wyszydzaniem, i to tylko po to, by zdać sobie sprawę, że noc jest jeszcze gorsza, gdyż

pod jej osłoną wszystkie zniewagi i okrucieństwa uchodzą na sucho. Kiedy został adoptowany przez braci Templebane'ów i przeniesiony do ich kancelarii adwokackiej przy Bishopsgate, jego los w zasadzie tylko się pogorszył. Beznamiętne, zinstytucjonalizowane okrucieństwo panujące w biurze wydawało się czymś naturalnym, ale w jego sytuacji – nowego i zarazem najmłodszego chłopaka w grupie adoptowanych sierot, które na siłę tworzą udawaną rodzinę – było czymś innym, czymś spersonalizowanym i dojmującym. Wszyscy zachęceni byli do rywalizacji w atmosferze pełnej zawiści i nielojalności. Był najmłodszy, ale wcześniejsze doświadczenia pozwoliły mu stać się mistrzem przetrwania. W jakimś sensie był tak często i regularnie bity, że potem sam doskonale wiedział, gdzie uderzać innych, żeby bolało.

„Nie zabijaj tych ludzi. Ukarz ich, sprawiając, że spędzą resztę życia w niewoli strachu”.

Parsknęła.

– Sugerujesz, żebym poszła do sądu? Myślisz, że nie dogadają się między sobą, że sędzia uwierzy jakiejś szalonej kobiecie i wsadzi ich do więzienia?

„Nie”.

– Cóż więc – odparła, ponownie odwracając się ku schodom. U jej pasa w świetle księżycy wpadającego do domu wciąż połyskiwał jego nóż.

„Myślę, że możesz ich uwięzić w ich własnych umysłach. Zabij ich, a skrócisz ich cierpienie. Zamknij każde we własnej czaszce, a będą cierpieli tak samo jak ty”.

– A niby jak mam to zrobić? – sarknęła.

Wciąż jej powiedział. Powiedział jej, a ona się uśmiechała.

– Mam jeszcze lepszy pomysł – stwierdziła. – Jestem w stanie zrobić coś jeszcze bardziej niepojętego. Coś, co uznają za niemożliwe i oszaleją jeszcze bardziej niż ja...

„Co?”

– Też to zobaczysz. Chodź.

ROZDZIAŁ III

Nowy początek

Kuchnia znajdowała się w samym sercu Kryjówki mieszczącej się przy Wellclose Square. Jedną z jej ścian prawie w całości zajmował wielki Pancerny Piec Patentowy. W centrum tej ciężkiej, żeliwnej konstrukcji przypominającej mosiężne monstrum znajdowało się nieustannie rozżarzone palenisko. Pomimo późnej pory wszystkie lampy gazowe w pomieszczeniu pozostawały wygaszone i jedyne źródło światła stanowiły właśnie owo palenisko oraz pojedyncza świeca stojąca na środku wielkiego sosnowego stołu. Jego lakierowany blat odbijał zaniepokojone twarze trzech zgromadzonych wokół niego osób.

Chwilę wcześniej Lucy Harker i Charlie Pyefinch, świeżo zrekrutowani członkowie Nadzoru, zostali dyskretnie odprowadzeni na górę, do łóżek. Mieli tam odpocząć po podróży, ale też zregenerować siły po ostatnich wydarzeniach. Nie to jednak zdecydowało o ich nieobecności w kuchni – po prostu dopiero co dołączyli do Ostatniej Ręki i nie wolno im było wziąć udziału w tym tajnym spotkaniu.

Kowal siedział za stołem z palcami oplecionymi wokół wysokiego kufła bogato przyprawionej gorącej czekolady. Bez słowa wpatrywał się w Kucharkę i Hodge'a. Pod jego gniewnie ściągniętymi brwiami połyskiwały lodowate stalowe oczy. Był wściekły i wydawało się, że lada chwila eksploduje.

Z kolei Kucharka wyglądała raczej na głęboko zatroskaną. Zazwyczaj nosiła swój charakterystyczny czepiec, teraz jednak miała na głowie tylko zwykłą chustę zawiązaną z tyłu, by włosy nie opadały jej na twarz. To, w połączeniu ze starą blizną na policzku, powodowało, że bliżej było jej do pirata aniżeli kogoś praktykującego sztukę kulinarną. Mimo wcześniejszych starań kosmyk włosów uciekł jej spod chusty, co zmuszało ją do ciągłego zdmuchiwania go z twarzy, gdy opatrywała trzeciego członka zespołu.

Hodge nie wyglądał ani na wściekłego, ani na zatroskanego. Był za to okropnie poraniony. Jego twarz pokrywały czerwone

wykwity i pęcherze, z których większość zapewne zmieni się w trwałe blizny. Wszystko dlatego, że rzucił się, by własnym ciałem osłonić przyjaciela. Choć w ostatniej chwili zdążył odsunąć na bok lufę rewolweru, dzięki czemu kula nie trafiła go w skroń, eksplodujący proch i tak poparzył mu twarz, i co gorsza, oślepił go.

Wraz z pozostałymi siedział teraz przy stole, podczas gdy Kucharka delikatnie obmywała jego rany chustką nasączoną wywarem własnej roboty. Jed, jego pies, siedział mu na kolanach i cierpliwie znosił głaskanie po grzbiecie. Zwykle mały terier nie wytrzymał tego dłużej niż kilka sekund, wołał raczej drapanie za uchem lub – zwłaszcza po długim dniu pracy – po klatce piersiowej i brzuchu, najlepiej podczas wylegiwania się przed kominkiem. Ale w tym konkretnym przypadku pies wiedział, że jego przyjaciel i obrońca ma poważne kłopoty, dlatego pozwalał mu na to dziwactwo: czuł, że znajomy dotyk psiej sierści pomaga człowiekowi odzyskać spokój. Hodge zdawał sobie sprawę, że Jed także odniósł rany w boju, i starał się głaskać go tak, aby nie rozmazać maści leczniczej. Wcześniej, po tym, jak nalegał, aby psem zająć się w pierwszej kolejności, Kucharka nałożyła ją z najwyższą starannością.

– Nie ruszaj się – powiedziała teraz ostrzegawczym tonem, powoli odchylając Hodge’owi powiekę.

Spojrzała na zakrwawione bielmo i z dezaprobatą pokręciła głową. A Kowal odpowiedział jej tym samym.

– Długo będziecie się tak wygłupiać? – spytał teriernik. – Może i jestem ślepy, ale Jed widzi całą tę waszą śmieszna pantomimę.

I mówił prawdę. Jego dar pozwalał mu wnikać w umysły zwierząt, więc choć oczy miał – dosłownie – wypalone, dzięki Jedowi widział wszystko, jakby sam na to patrzył.

Kucharka ponownie spojrzała na jego twarz, postanawiając sprawdzić także drugie oko.

– Masz rację, dość wygłupów – oznajmiła. – Tamto ślepie masz załatwione na amen, ale to... Sama nie wiem.

– Ale ja wiem – odparł Hodge. – Za cholerę nic nim nie widzę.

– Może nie teraz, ale uszkodzenie jest znacznie mniejsze. Przy

odrobinie szczęścia może się zregenerować.

– A wyglądam ci na kogoś z odrobiną szczęścia?

– Wyglądać wyglądasz – mruknął Kowal. – Na kogoś, kto ledwie uniknął rozłupania głowy przez pocisk. Albo na kogoś, kto został oślepiony, ale komu wzrok wcale nie jest potrzebny, bo potrafi patrzeć oczami zwierząt. Albo na kogoś, kto ma przed sobą sporo pracy i przyjaciół, którzy go nie opuszczą w potrzebie. Ale co z tego, skoro BRZMISZ jak gość, który potrafi się nad sobą tylko użalać.

Kucharka spojrzała na niego ostro.

– No co? Nie mamy czasu na takie rzeczy – stwierdził oschle Kowal. – Z tego, co mi wiadomo, tylko trzy rzeczy działają na naszą korzyść. I o ile dobrze pamiętam, wszystkie one stanowią fundament Wolnego Bractwa.

Wskazał na świecę pośrodku stołu, stojącą w centrum wieńca wykonanego z gałązek pięciu różnych drzew.

– Po pierwsze – zaczął, wyciągając rękę i prostując palec wskazujący – mamy Pożogę, której posiadanie zarówno daje nam siłę, jak i wiąże się z odpowiedzialnością. Po drugie, mamy Gwarancję – dodał, prostując również palec środkowy. – A to coś o wiele więcej niż brutalna przemoc. To ona ratuje nam życie, bo gdyby nie Prawo Żelaza, które wiąże Sluagh i im podobnych, już dawno zostalibyśmy pokonani. Nasze ostrza nie miałyby żadnej mocy i mielibyśmy spore kłopoty podczas bezpośrednich starć z wrogami.

– Tak, nie mielibyśmy żadnych szans – wtrącił Hodge. – Ale to nie wszystkie nasze atuty. A Sluagh nie są naszym jedynym wrogiem.

– Ale jedynym tak licznym i zorganizowanym – zaprotestował Kowal. – I nie mamy niczego innego, co dawałoby taki efekt jak żelazne ostrza. Bez nich i bez ochronnych właściwości płynących pod nami wód gruntowych te stwory zamieniłyby Londyn w swój teren łowiecki.

– Wspominałam już, że moim zdaniem nieco przesadzasz ze Sluagh? – zapytała Kucharka.

– Wspominałaś – przyznał powściągliwie Kowal. – Lecz ile razy

byś tego nie powiedziała, nie zmieni to faktu, że się mylisz. Znam ich dłużej niż ty. Widziałem, skąd czerpią swoją wstrętą siłę. Widziałem...

– Powiedziałaś: „trzy” – przerwał mu Hodge stanowczym głosem, jakby chciał zgasić lont, nim płomień dotrze do beczki z prochem.

– Co? – zapytał zdezorientowany Kowal.

– Powiedziałaś, że są trzy rzeczy działające na naszą korzyść. Chciałbym się dowiedzieć, jaka jest trzecia. W naszej obecnej sytuacji miło byłoby usłyszeć jakąś dobrą nowinę – stwierdził Hodge.

Przestał drapać psa za uchem, Jed jednak zaraz trącił go nosem, by wznowił pieścizotę.

– Śmiało, mów... – Kucharka najwyraźniej domyśliła się intencji teriernika i postanowiła odpuścić. – Co jeszcze mamy po swojej stronie?

– Jakimś cudem cały czas mamy kompletną Rękę. Choć w sumie tylko teoretycznie, bo przecież dwóch członków wciąż jeszcze nie zostało sprawdzonych, a jeden z nich jest do tego...

– No, jaki? – spytała prowokacyjnie Kucharka.

– Przyznasz, że Lucy Harker to jedna wielka niewiadoma – wyjaśnił Kowal. – To jasne jak słońce. A nasi wrogowie, choć chwilowo zostali obezwładnieni, wcale się nie poddali. Cokolwiek stało się na Tamizie, nie oznacza końca, raczej początek długiej i niebezpiecznej walki. I właśnie dlatego nie możemy sobie pozwolić na uzalanie się nad sobą.

– Ma rację – stwierdził Hodge.

– Może i tak – podsumowała Kucharka. – No, teraz się nie ruszaj. Zrobię ci okład na oczy i zabandażuję głowę. A potem obowiązkowo odpoczniesz. I nawet nie próbuj się kłócić.

– Wiem, wiem, nawet przez myśl mi to nie przeszło – odparł teriernik. – Sam zresztą mam ochotę wziąć przykład z Jeda i odsapnąć gdzieś przy kominku.

– Twój pies to mądre zwierzę – stwierdziła Kucharka.

Kowal podniósł kufel z gorącą czekoladą, upił niewielki łyk i się skrzywił.

- Co ty tam masz? – zainteresował się Hodge.
- Chili i brandy – odparł mężczyzna. – I trochę melasy.
Znów przechylił naczynie, tym razem na nieco dłużej.
- Coś nie tak? – zapytała Kucharka ostrzegawczym tonem. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś odważył się kwestionować jej kwalifikacje zawodowe.
- Nie, nie, wszystko w porządku – odpowiedział ostrożnie Kowal. – Tylko smakuje trochę... zaskakująco. Czuję się, jakby trzęsło mną od środka.
- Myślałam, że po dzisiejszych wydarzeniach przyda ci się trochę orzeźwienia – wyjaśniła. – Dzięki temu łatwiej będzie ci zapomnieć o tej paskudnej wilgoci bijącej od rzeki.
- Cóż, z pewnością jest to... uderzające połączenie – odparł, biorąc kolejny łyk. – I nawet się chyba przyzwyczajam, bo coraz bardziej mi to smakuje.
- To dobrze – stwierdziła kobieta z triumfalną miną. – Cieszę się, że doceniasz moje pomysły.
Odwróciła się i zdjęła garnek z kuchenki.
- Dobrze – mruknęła, nakładając chochlą zieloną, porowatą substancję na skrawek muślinu. – Niech to teraz trochę ostygnie, a potem dokończymy opatrywania oparzeń.
Hodge zmarszczył nos.
- Cuchnie, jakbyś wyjęła to z sadzawki.
- Świetlik łąkowy, malwa, kora wierzbowa, czosnek, trochę moich chińskich ziół i takie tam dodatki – wymieniła Kucharka jednym tchem.
- Właśnie te „dodatki” martwią mnie najbardziej. Widziałem twoją skrzynię. Nikt normalny nie chciałby wiedzieć, czym są te zasuszone rzeczy...
- W takim razie masz szczęście, że nie jesteś normalny.
- Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęłaś całą skrzynię tych zagranicznych obrzydliwości – burknął.
- Zagranicznych, praktycznych i efektywnych obrzydliwości – poprawiła go. – Chińczycy wiedzą więcej o medycynie niż większość tutejszych nadętych cyrulików. Nie mogą się z nimi równać nawet te mądrale z Towarzystwa Królewskiego. –

Wzruszyła ramionami. – Zabrałam to piratom, którzy popełnili błąd, atakując nas w ujściu Yalu Jiang. Miałam przeczucie, że się przyda, i się nie myliłam... Zauważyliście, że wszyscy rzeczni piraci zawsze są bardzo zdrowi.

– Doprawdy? – zdziwił się Kowal.

– Bez dwóch zdań – stwierdziła i wymownie spojrzała na sufit, gdzie wisiał poobijany, ząbkowany kordelas, tuż obok równie poobijanego durszlaka. – Po tym, jak pokonaliśmy tych śmiałych ludzi, jeszcze zanim wszystko spaliliśmy, miałam okazję zbadać ich ciała. Byli silni i zdrowi jak tury.

– No dobrze, ale w jaki sposób nauczyłaś się używać tych rzeczy?

– Instynkt, mój drogi – odparła beztrzesko. – To jak gotowanie. Tylko dureń albo jeden z tych samozwańczych męskich „kucharzy” potrzebowałby przepisu. Prawdziwy kucharz po prostu wie, jak dopasować składniki, by stworzyć odpowiednie kombinacje.

– Więc przez wszystkie te lata leczyłaś nas, losowo dobierając jakieś śmierdzące strzępki kory i zasuszone części zwierząt? – zapytał Hodge, odsuwając się od źródła ostrej woni. Miseczek z miksturą stygła ledwie metr od niego. – I to kierując się wyłącznie swoimi domysłami?

– Domysłami, ale i latami treningu, gdyż pewna młoda piratka udzieliła mi wielu cennych lekcji – odparła. – Kiedy już przestała próbować zabić nas we śnie, okazała się przemiłą osobą i się z nią zaprzyjaźniłam. Znała się bardzo dobrze na ziołach, a ja w zamian za tę wiedzę uczyłam ją angielskiego. Ostatecznie zmieniła statek w Makao i już więcej się nie widziałyśmy, a szkoda.

Nieświadomie przejechała ręką po małej, pokrytej lakierem skrzynce spoczywającej na stole.

– Chciałabym, żeby teraz tu była.

– To fascynujące, słuchać tych twoich krótkich, ulotnych historii i uświadamiać sobie, że jednak masz serce – stwierdził Kowal. – Ale nie czas na romantyczne wspomnienia.

– Nie mają w sobie nic romantycznego – sprostowała Kucharka.

– Ta dziewczyna była jedną z nas. Miała szybkość i wzrok Sharpa. Gdyby tu teraz była, mielibyśmy w naszych szeregach kolejnego członka Nadzoru.

Kowal odchrząknął. Z zaciekawieniem obserwował, jak kobieta delikatnie umieszcza nasączony roztworem muślin w jednym z oczodołów Hodge'a, upewnia się, że dokładnie przylega do powieki, po czym unieruchamia go, owijając głowę czystym bandażem.

– Masz plan? – zapytał Hodge. – Zawsze masz plan.

Kowal skinął głową, ale zaraz przypomniał sobie o ślepcie przyjaciela.

– Mam – powiedział na głos. – Chłopiec, Pyenfinch, zna miasto, a my znamy jego rodzinę. Przyda się. I możemy go szybko wyszkolić. Do chłopca nie ma więc zastrzeżeń.

– A do dziewczyny? – zapytała Kucharka.

– No właśnie – dodał Hodge, nastawiając uszu.

– A do dziewczyny... No cóż, jest niewiadomą, która jak dotąd działała przeciw nam.

– Zadośćuczyniła... – wtrąciła Kucharka.

– Sprowadzono ją tutaj, bo udawała Francuzkę, do tego niemą, która uciekła z więzienia. Sara Falk dała jej schronienie, za które odpłaciła, kręcąc się w nocy po domu i próbując nas okraść. Pewnie zresztą dawno temu to sobie zaplanowała. W chwili, kiedy odkryliśmy jej podłe zamiary, uciekła przez lustro. To właśnie wtedy, jak pamiętacie, próbująca ją ratować Sara utraciła swoją dłoń wraz z pierścieniami, dzięki którym kontrolowała swój dar...

Kucharka spróbowała mu przerwać, być może chcąc powiedzieć, że o wszystkim dobrze wie, ale Kowal nie zamierzał poprzestawać na tej krótkiej wyliczance.

– Bez pierścieni Sara marniała i ledwie to przeżyła. Chcąc ją ratować, Sharp ruszył śladem złodziejki i także przepadł bez wieści. W efekcie zatem, choć panna Harker nadal kryje w sobie wiele tajemnic, jedno wiemy o niej na pewno: niezależnie, czy tego chciała, czy nie, jak dotąd jedynie nas osłabiała. I...

– I zadośćuczyniła, zwracając rękę Sary – dokończyła Kucharka.

– I NIBY zadośćuczyniła, zwracając rękę Sary – poprawił ją Kowal.

– Nie ufasz jej – stwierdził Hodge.

– Wezmę ją do Banialuki. Uważam, że nie powinna spać w Kryjówce, dopóki nie jest... wytrenowana.

– A zrobisz to? – zapytała Kucharka.

– Tak. Wytrenuję ją, a potem... przetestuję.

– Potem? – zdziwił się Hodge.

– Kiedy podejmiemy walkę z naszymi wrogami, uprzedzając ich atak. W ten sposób dowiemy się, kim są i czego chcą. Dowiemy się też, co ich ze sobą łączy. A później...

– A później ich zniszczymy – dodała Kucharka, wiążąc końcówki bandaża. – To jest twój plan?

– A masz lepszy?

– Nie – przyznała. – Ale jeżeli katastrofa czegokolwiek nas nauczyła, to tego, że lepiej idzie nam obrona niżeli atak. Jesteśmy strażnikami, nie żołnierzami.

– W porządku, stara przyjaciółko, pewnie źle to ująłem – odparł.

– Użyję medycznej metafory. Wyobraź sobie młody, zdrowy organizm, któremu grozi śmierć na skutek gwałtownego przyrostu komórek rakowych. Trzeba reagować, i to szybko. Nie popieram skrajnych rozwiązań, ale planuję zdecydowane działania polegające na precyzyjnym wycięciu potencjalnie zabójczego guza.

Kucharka spojrzała w stronę korytarza, ku ukrytym drzwiom, za którymi znajdowała się serwantka z Murano. Ta sama, która pochłonęła Sharpa i Sarę Falk.

– Lecz nasze najlepsze ostrza zagubiły się w lustrach – westchnęła.

Mężczyzna podążył za jej wzrokiem.

– Jestem Kowalem – powiedział. – Nie byłbym dobry w swoim fachu, gdybym nie potrafił wykuć nowych.

– A dziewczyna? – spytała znowu. – Co z nią...?

– Ona nie jest jedyną opcją – odparł. – Mam przeczucie, że coś się zmienia.

ROZDZIAŁ IV

Podwójne zagrożenie: epizod drugi

Dalej na zachodzie, w starym domostwie w Chandos Place, Francis Blackdyke, czyli wicehrabia Mountfellon, właśnie balansował na granicy kłótni ze swoim gościem i zarazem współpiskowcem, sędziwym Francuzem o przezwisku Obywatel. Wciąż był wzburzony faktem, że pokrzyżowano mu plany i że niewiele brakowało, a utonąłby w wodach Blackwall Reach podczas próby likwidacji wścibskiego Nadzoru. Obywatel z kolei był irytująco niewzruszony dotychczasowymi niepowodzeniami i najwyraźniej bardziej przejmował się śmiercią Zielonego Człowieka, na którym eksperymentował w dźwiękoszczelnej piwnicy. Jak wielu odmieńców Zielony Człowiek był skrajnie uczulony na żelazo, Obywatel natomiast poddawał go długiemu i bolesnemu procesowi, podczas którego – pokonując opory natury moralnej – regularnie aplikował mu krew zmieszaną z roztworem witriolu żelaznego, czyli po prostu siarczaniu żelaza.

Niestety, entuzjazm Francuza wynikający ze stałego zwiększania stężenia roztworu ostatecznie okazał się większy od wytrzymałości Zielonego Człowieka. Choć początkowo jego organizm wykazywał niewielkie, lecz obiecujące uodpornienie na zabójczą dlań substancję, po tygodniach przyjmowania coraz większych dawek dał za wygraną i serce po prostu eksplodowało.

Obywatel właśnie to potwierdził dzięki sekcji zwłok – stojąc nad trupem w swoim skórzanym fartuchu, z zakrwawionymi po łokcie rękawami, i rozmawiając ze szlachcicem, z którego gościnności korzystał.

– Powiedziałem tylko, że choć wygrali rundę, z pewnością my wygralibyśmy całą bitwę – powiedział Mountfellon. – A co za tym idzie, zyskalibyśmy także trofea, które się z tym wiążą.

Przyniósł karafkę brandy i dwa kieliszki. Nalał trunek do

obydwu, jeden z nich podał Francuzowi, a swój opróżnił w dwóch szybkich łykach. Z udawaną obojętnością spojrział na wypatroszone zwłoki Zielonego Człowieka leżące na stole między nimi.

– Dla was, Brytyjczyków, wszystko jest grą – powiedział Obywatel, sięgając po ręcznik. – Dziecinną obsesją.

– Dziecinną? – powtórzył pytająco Mountfellow.

Francuz machnął ręką, jakby nie miał na myśli żadnej obelgi.

– Mówię to jako ktoś, kto niegdyś żył w podobnej ułudzie, milordzie. Gdy byłem młodszy, u szczytu swoich możliwości, popełniałem głupstwo za głupstwem i myliłem wigor z doświadczeniem. Cieszyłem się z posiadania silnych wrogów, wszak walcząc z nimi, mogłem udawadniać swoją wartość. Wasze brytyjskie wychowanie każe wam myśleć tak samo. Podobnie jak nasze *ancien régime*, stare rządy, pod których jarzmem byłem edukowany. O ironio, choć wyplenilem u siebie takie podejście, nie zmienia to faktu, że zostałem przez nie uformowany. Przez coś, przeciw czemu później wszyscy z sukcesem się zbuntowaliśmy...

– A mimo to we Francji znowu mamy króla, więc cały ten sukces wygląda najwyżej na połowiczny – powiedział kwaśno Mountfellow.

Obywatel spojrział na swojego gospodarza z nieudawanym zaskoczeniem.

– Musisz być dzisiaj w bardzo złym nastroju, milordzie, skoro tak jednoznacznie mnie oceniasz.

Mountfellow machnął ręką, podświadomie naśladowując wcześniejszy gest Obywatela, i sięgnął po karafkę.

– Niewiele brakowało, a zostałbym podziurawiony jak sito, w dodatku zaraz potem nieomal utonąłem. Ale proszę, kontynuuj...

Obywatel utkwiał wzrok w swoim gospodarzu, wstrzymując oddech. Jego pergaminowo biała twarz zastygła w nieoczywistym grymasie, zaraz potem jednak męczyzna wypuścił z sykiem powietrze, jak gdyby zaniechał przeskakiwania przez stół i rzucenia się na Mountfellona. Powoli

sięgnął po kieliszek i upił z niego mały łyk brandy.

– Chciałem tylko powiedzieć – zaczął – że w młodości lubiłem sprawdzać swoją siłę, podejmując walkę z potężnymi wrogami. Było to aroganckie i wynikało z fałszywego poczucia odwagi. TERAZ myślę, że wolę wrogów, którzy są słabi. Nie mam czasu ani siły, aby prowadzić jakieś zacięte batalie. Wolę skupić się wyłącznie na niszczeniu i eksterminacji. Wrogowie nie są moimi przeciwnikami, lecz zwykłymi przeszkodami. Poza tym dzisiaj wiem, co wynika z moich doświadczeń, że jedyną liczącą się rzeczą jest władza. Odwaga, testowanie swoich możliwości czy walka o niezależność to miraż, który znika w jasnym, oczyszczającym świetle władzy absolutnej.

– A więc uważasz, że najpierw trzeba osłabić Nadzór? – spytał Mountfellow, marszcząc brwi.

– Oni już są osłabieni – stwierdził Obywatel, lekceważąco wzruszając ramionami. – Wywożąc artefakty z Kryjówki nad rzeką, okazali desperację. I niezależnie od tego, jak bardzo poturbowali twoich najemników, znowu ich rozmiękczyliśmy. A teraz możemy ich wytępić raz na zawsze.

Mountfellow ostrożnie odstawił kieliszek na stół.

– Drogi Obywatelu, nie mam zamiaru ich niszczyć, dopóki nie wejdziemy w posiadanie artefaktów lub zawartości tej przeklętej Czerwonej Biblioteki. Nie przyzwolę na destrukcję tak bezcennego magazynu wiedzy – odparł. – Rozmawialiśmy już o tym.

– Ależ oczywiście – mruknął Francuz. – Myślisz, że nie pamiętam tych wszystkich dyskusji? Czyżbyś zaczął we mnie wątpić?

– Jest w tobie jakaś dziwna żądza krwi – odparł Mountfellow. – To bodaj jedyna rzecz, co do której mam wątpliwości, jeśli mam być szczery.

– Niezbyt to uprzejme, milordzie. Może warto byłoby najpierw zapytać, czy rozmówca oczekuje szczerości – stwierdził kąśliwie Obywatel i uśmiechnął się sztucznie. – Ale tak, masz rację. I nie wstydzę się tego. W rozlewie krwi jest coś dogłębnie oczyszczającego. Ta moc... Zresztą sam o tym wiesz, zważywszy

na twoje eksperymentalne praktyki.

– Jest różnica między uzasadnionymi i pozbawionymi emocji badaniami na temat upuszczania krwi a faktycznym apetytem na nią.

– Czyżbyśmy mieli się pokłócić, milordzie? – spytał Francuz, nieznacznie unosząc kąciki ust.

– Skądże znowu – odparł Mountfellow. – Rozmawiamy jak równy z równym. Nie chcę, aby twoja skłonność do rzezi pozbawiła nas skarbów, które zapewnią nam celniejszy i skuteczniejszy atak.

– A zaledwie chwilę wcześniej narzekałeś, że nieomal cię zabili!

– Chwilowa słabość w obliczu zagrożenia nie oznacza, że utraciłem trzeźwość myślenia – skontrował Mountfellow. – Jestem naukowcem, fizykiem. Nic tego nie zmieni. Posiędę ich wiedzę i artefakty, a wtedy możesz przelewać tyle krwi, ile tylko chcesz.

Wypił kolejny kieliszek brandy i wskazał na otwartą klatkę piersiową. Płaty zielonkawej, profesjonalnie pociętej i odchylonej jak strony książki skóry odsłaniały wnętrze.

– A teraz, Obywatelu, kiedy już z powrotem się zaprzyjaźniliśmy, z wielką chęcią usłyszałbym od ciebie, jak dokładnie wybuchło jego serce.

ROZDZIAŁ V

Następny krok

Po przekroczeniu tafli lustra Sara Falk postanowiła dalej działać z rozmysłem. Po tym, jak oznaczyła ich położenie jako punkt orientacyjny, zamknęła oczy i znieruchomiała, próbując oczyścić swój umysł i poczuć atmosferę tego miejsca. Prawda była taka, że nie miała żadnego szczegółowego planu. Jedyne, co wiedziała, to że musi znaleźć pana Sharpa, który udał się tutaj, by odszukać jej dłoń. To na niej znajdował się pierścień zawierający jej kamień serca, którego brak powodował u niej rosnące osłabienie. Był to heroiczny, ale i zgubny gest, posunięcie wynikające z desperacji,

gdyż szanse na powodzenie tej misji graniczyły z cudem. Ostatecznie dłoń wróciła do niej w inny sposób, ale teraz honor zobowiązywał ją, by podążyć za panem Sharpem poprzez labirynt luster i wyprowadzić go z tej matni. A właściwie nie. Prawda była taka, że to nie honor zmuszał ją do tego, ale coś o wiele ważniejszego. Od lat łączyło ich uczucie, które rozwijało się, w miarę jak dorastali. Więź, która podczas ich izolacji okrzepła i przetrwała wszelkie przeciwności – na podobieństwo żaru okrytego popiołem, który będzie palił się dłużej i goręcej niż eksplozja płomieni zużywająca całą energię w krótkim, dzikim pokazie. Wiedziała, że jej wyprawa jest podobnie donkiszotowska jak ta jego, lecz nie zdołało jej to powstrzymać.

W sumie miała nawet mniejsze szanse na sukces, gdyż pan Sharp wziął ze sobą Kłębki z Coburga, urządzenie znane jako „droga do domu”, które przy odrobinie szczęścia pomogłoby mu w nawigacji przez labirynt. Poza rozbryzganą na ziemi SYGNATURĄ Kruka Sara nie miała do dyspozycji niczego takiego. Mimo to zdesperowana podjęła się tej wyprawy, nie dając sobie czasu na jakiegokolwiek plany.

– Nic nie czuję – powiedziała. – Myślałam, że może... wychwycę jego obecność. Tak mi się wydawało.

Kruk ponownie zaklekotał. Sara spojrzała na niego, unosząc brew.

– Pamiętam wiele gier – odparła. – Którą masz na myśli?

Kruk nie odpowiedział. Zamiast tego z gracją sfrunął na podłogę i wskazał dziobem jej buty.

– Aha – mruknęła po chwili namysłu. – Ta gra.

Sara była Wejrzeńcem. Przez większość czasu nosiła rękawiczki, ponieważ gdy tylko dotykała jakichś murów czy ścian, natychmiast wydobywała z nich przeszłość, a spoglądając w nią, odczuwała ją tak mocno, jakby sama brała udział w ukazywanych wydarzeniach. Najmocniejsze ślady w kamieniu pozostawiały oczywiście najbardziej traumatyczne epizody, więc poddawać się Wejrzeniu mogli wyłącznie ludzie o mocnych nerwach. Wielu posiadaczy tej umiejętności, zanim nauczyło się ją kontrolować, myślało, że oszalało. Na szczęście Sarę szkolono

już od najmłodszych lat i do perfekcji opanowała tę sztukę – dlatego stała się ona dla niej darem, a nie przekleństwem. A jedną z metod, dzięki której nauczyła się kontrolować wglądanie w przeszłość, była gra zwana ojciec Wirgiliusz. Grała w nią z Kowalem, kiedy ledwo sięgała mu do biodra, a potem, kiedy podrosła, z Hodge’em. Zasady były proste: zdejmowała buty i zamykała oczy, a przyjaciel chwycił ją za rękę i wyprowadzał na Wellclose Square, w sam środek tłumu, po czym w nim zniknął. Sara, po tym, jak policzyła do stu, ruszyła jego tropem. Na początku zazwyczaj się gubiła, do tego bolały ją stopy, więc Kowal zawracał i sam ją znajdował. Ale za którymś razem powiedział jej: „Trzymaj oczy zamknięte i zaufaj nogom”.

Pierwszy raz, kiedy tego spróbowała, była w szoku. Próbowała później wyjaśnić Kucharce, jak to jest, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. To było trochę jak pomieszanie zmysłów, kiedy jedno uczucie można opisać tylko innym, zupełnie z nim niepowiązanym. Coś jak słyszenie kolorami czy zapachami. Przypominało to odczytywanie nut pod stopami i płynięcie wraz z muzyką, która ciągnęła się niczym wstęga, a raczej niczym nić wpleciona w tkaninę stworzoną przez wszystkich innych ludzi na ulicy. Hodge stwierdził kiedyś, że to musi być coś podobnego do stanu, w którym jego Jed wyławia konkretny trop z mieszaniny smrodów miasta.

Sara „widziała” trop pana Sharpa, jakby był zarazem kolorem, zapachem i dźwiękiem, mieszanką wszystkiego, co kojarzyła z domem; był jak łagodna, przetrzymana nuta na wiolonczeli, do której mogła się przedrzeć przez konkurujące ze sobą utwory symfoniczne. Czasem, w bardziej zatłoczonych częściach Londynu, właśnie tak można było się poczuć – jakby rywalizujące ze sobą orkiestry grały różne symfonie w tym samym czasie, próbując się nawzajem zagłuszyć. Wraz z upływem lat Sara nauczyła się wyłapywać najważniejszą nutę, wykształciła ten rodzaj skupienia, który pozwalał jej nawet z otwartymi oczami znaleźć właściwy trop.

Stała się tak dobra w ojcu Wirgiliuszu, że potrafiła nie tylko błyskawicznie zlokalizować Kowala czy Hodge’a, ale nawet

określić, dokąd zmierzają, i korzystając ze skrótu, docierała na to miejsce przed nimi. Trikiem, który jej na to pozwalał, był fakt, że obydwoj lubili kończyć wędrówkę w cukierni lub piekarni, by nagrodzić młodą dziewczynę za jej starania, a po kilku takich treningach wiedziała, które lokale preferują.

Tropienie za pomocą bosych stóp było czymś innym niż odczuwanie przeszłości przez dłonie. Sara często zastanawiała się, czy ma to coś wspólnego z grubością skóry na pięcie, lecz ani Kowal, ani Hodge nie potrafili rozwiązać jej wątpliwości.

– Zawsze tak było – mówił wtedy Kowal. – Większość Wejrzeńców w ogóle nie umie czuć stopami, a ci, którzy potrafią, czują inaczej niż resztą ciała. Tak po prostu jest.

Sara nie grała w tę grę od dawna – właściwie ani razu, odkąd dojrzała. Za każdym razem, gdy Nadzór potrzebował kogoś wytropić, wystarczali Hodge i Jed. Z oczywistych powodów dorosła kobieta wędrująca boso brudnymi ulicami Londynu zwracałaby na siebie większą uwagę niż bosa dziecko.

– No cóż – stwierdziła Sara, spoglądając na Kruka. – Nikt nas teraz nie obserwuje.

Pochyliła się, odłożyła świeczkę na podłogę i zdjęła buty. Potem trzymany w dłoni nóż zatknęła za pas obok drugiego i zamknęła oczy. Kruk przyglądał się, jak napina mięśnie łydek, unosząc i opuszczając pięty. Na koniec poruszała palcami u stóp, niczym pianista tuż przed koncertem rozgrzewający dłonie.

– Chwilę to potrwa – powiedziała. – Cierpliwości.

Kruk zatrzepotał skrzydłami, a potem rozejrzał się wokoło. Sara spróbowała uspokoić oddech i wyciszyć się wewnątrz, tak by skupić się na tym, co wychwyciły jej stopy. Pierwsze, co musiała zrobić, to oprzeć się nagłemu poczuciu niedorzecznej bezsilności. Wcześniej starannie dobrała strój i broń, tak aby czuć się bezpiecznie i być gotową na rozmaite wyzwania. Teraz, gdy zdjęła obuwie i stanęła boso na zimnej szklanej podłodze, wbrew sobie zmieniła się w bezbronne dziecko. W pewnym sensie czuła się kompletnie naga. Próbowwała z tym walczyć, lecz na próżno. Na szczęście szybko sobie przypomniała, że najlepszym sposobem w takiej sytuacji jest pomyślenie o czymś innym.

Skoncentrowała się na niezwykle gładkiej powierzchni pod stopami, to zaś pozwoliło jej dostrzec, co tę gładkość pokrywa – kolorowy dźwięk, coś niemożliwego i... znajomego. Zanim jeszcze zdała sobie z tego sprawę, wiedziała, co robić.

– Ach... – westchnęła.

Mimowolny uśmiech uniósł kąciki jej ust.

– To będzie łatwiejsze, niż myślałam.

Kruk, jak zazwyczaj skupiony na tym, czym zwykłe kruki się nie interesują, zauważył, że jej oddech zaczął się uspokajać, a puls zwalniać. Zrozumiał, że jego przyjaciółka zaczyna medytować. Usłyszał nawet dziwny dźwięk, który mógłby uchodzić za mruczenie.

Zamykając oczy i odcinając się od świata, Sara poczuła przepełniającą ją radość. Lustra na szczęście nie przypominały ulic East Endu. Były bardziej jak opuszczone korytarze w porzuconej części wielkiego domu, gdzie sporadycznie zapuszczali się zagubieni goście. Nici pod jej stopami były nieliczne i łatwe do rozróżnienia. Trzymając się wcześniejszej analogii, musiała podążać śladem instrumentu, który był częścią zaledwie tercetu, najwyżej kwartetu, nie zaś orkiestry. Co więcej, wyraźnie wyczuwała nutę pana Sharpa.

Otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Mimo że lustrzany korytarz kończył się tam, gdzie docierało światło świeczki, którą trzymała w dłoni, czuła się teraz o wiele pewniej. Wiedziała, dokąd iść, tak jak wiedziała, że cokolwiek znajdzie w labiryncie, znajdzie też pana Sharpa.

– Tędy – powiedziała.

Zrobiła pierwszy krok. A potem następny. I jeszcze jeden. Choć wciąż miała otwarte oczy, wyłączyła w sobie zdolność normalnego postrzegania.

Może to i lepiej, że mimo trzymanej wysoko świeczki, która miała dodawać otuchy, nie widziała, jak za nią nieustępliwie zamyka się ciemność.

ROZDZIAŁ VI

Coś niemożliwego

M'Gregor, zarządca domu pracy dla sierot w Andover, obudził się z czyjąś ręką na ustach i nożem przy gardle. Mimo to w pierwszym odruchu próbował krzyknąć i nawet raz czy dwa razy wierzgnął. Kiedy jednak poczuł na szyi ucisk zimnego, stalowego ostrza, natychmiast znieruchomiał.

Chwilę później błysnęła zapalka, a on ujrzał młodego mężczyznę o ciemnej karnacji, który wpatrywał się w niego uważnie. Upewniwszy się, że M'Gregor nie będzie się już szarpał, napastnik odwrócił głowę i wskazał podbródkiem jakiś niewidoczny cel.

Zarządca był zbyt otępieły brandy wypitą poprzedniego wieczoru, a przy tym zbyt przerażony sposobem, w jaki został obudzony, by zrozumieć intencje nieproszonego gościa.

– On chce, żebyś spojrział na mnie – powiedział jakiś kobiecy głos, szorstki i obcy. – Chce, żebyś wiedział, co się jej stanie, jeśli wezwiesz pomocy.

M'Gregor wciąż wpatrywał się w twarz nad sobą, szukając na niej potwierdzenia. Napastnik przytaknął. Zarządca spojrział więc w bok, na miejsce, gdzie spała jego żona, zazwyczaj uporczywie chrapiąc. Leżała tam, w bezruchu, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, a jakaś oszalała kobieta przyciskała ją do puchowej poduszki.

Rozpoznał ją. Zmora z izolatki, jak nazywał tę zniechęconą, bezużyteczną gębę, którą musiał wyżywić, a która nie potrafiła nawet na siebie zarobić, bo była zbyt słaba na pracę przy łamaniu kości czy rozdrabnianiu kamieni. Teraz siedziała okrakiem na jego żonie, trzymając ostrze noża przy jej tchawicy.

Pani M'Gregor obróciła głowę w bok i spojrzała na męża. Po pulchnym jak u prosiaka policzku spłynęła łza.

Napastnik odjął rękę od ust M'Gregora, a ten zaczerpnął łapczywie powietrza, próbując się uspokoić. Bez rezultatu – serce waliło mu jak młot, a pod sobą, w okolicach ud i pośladków, poczuł ciepłą wilgoć.

– Czego chcesz? – wykrztusił.

Młody mężczyzna z nożem spojrzął na Zmorę.

– Nic ci nie jestem winien – ciągnął M’Gregor.

– Kiedy tu przyszedłam, miałam coś ze sobą.

– To było lata temu...

Amos szturchnął go lekko ostrzem.

– Nie pamiętam – ponowił swój protest M’Gregor. – Kto by pamiętał te wszystkie bachory?

Miało to zabrzmieć hardo, ale przez jego głos przebijała desperacja. Był żałosny. Nie przypominał mężczyzny, ale małego chłopca, który zaraz się rozplacze.

– Miałam książkę – odparła Zmora. – Miałam też łańcuszek. Wisiorek na łańcuszku. I miałam pierścionek.

Pani M’Gregor nie odezwała się nawet słowem, ale kiedy Amos na nią spojrzął, dostrzegł w jej oczach błysk poczucia winy. Sięgnął do jej umysłu i poczuł odrazę. Myśli kobiety były jak żywe, grube glisty, które pełzały, ocierając się o siebie i próbując coś ukryć w odmętach świadomości. Nagle dojrzał to, do czego usilnie starała się nie przyznawać nawet przed samą sobą. Zastanawiała się, czy uda się jej uratować ukryty majątek, i próbowała ocenić, czy warto wzywać pomocy, gdyby zaczęto ciąć jej męża. Amos nie widział jeszcze, gdzie kobieta ukryła swoje skarby, obserwował za to jej proces myślowy. Oto dochodziła do wniosku, że bardziej ufa swojej intuicji niż mężczyźnie, którego poślubiła, a który skamlał teraz w kałuży własnego moczu. Postanowiła, że nie zdradzi, gdzie trzyma kosztowności. Rozpatrzyła wszystkie za i przeciw i stwierdziła, że jej mąż będzie musiał trafić na stos kart odrzuconych.

„Trzyma skradzione rzeczy w małej szkatułce pod podłogą, pod lewą przednią nogą bieliźniarki”.

Zmora przytaknęła.

– Słyszałam – powiedziała, patrząc na przygwożdżoną do łóżka kobietę. – Jeżeli powiesz, gdzie schowałeś to, co ukradłeś, oszczędzę twojego męża. Jeżeli nie, poderżniemy mu gardło od ucha do ucha. Co wybierasz? Męża czy swoje skarby?

– Tu nie ma żadnych skarbów! – pisnął M’Gregor. – Nie tutaj!

Zmora spojrzała kobiecie w oczy.

– Boże, błagam! – jęczał mężczyzna. – Może zaszła pomyłka w księgowości, może istnieje jakaś mała nadwyżka na naszym koncie bankowym, która powinna być na koncie przytułku, ale nie mogę wam tego teraz dać. Jutro, jeżeli nas oszczędzicie, wybiorę całe złoto, zrobię przelew...

– Nie chcę żadnego przelewu ani złota. Chcę tego, co moje. Nie jestem złodziejem, jak wy. Jestem zemstą.

Odwróciła głowę ku kobiecie. Jej wzrok stwardniał.

– Miłość czy pieniądze? – spytała. – Co wybierasz?

– Niczego tu nie ma – odparła M’Gregor. – Gdyby było, powiedziałabym, żeby ocalić życie mojego męża, prawda?

Na krótką chwilę zapadła cisza.

– A więc nie wybierasz miłości. – Zmora wzruszyła ramionami.

– Mówi prawdę! – wyszlochał M’Gregor. – Nie widzisz?

– Nie – odparła Zmora. – Kłamie.

Skinęła w stronę Amosa.

– Znajdź to. Ja przypilnuję, żeby była cicho. On jest zbyt tchórzliwy, żeby cokolwiek zrobić, ale ona, gdybym tylko odsunęła ostrze od jej gardła, od razu wezwałaby pomocy. Prawda, moja świnko?

Pani M’Gregor próbowała zaprzeczyć, ale jej uwagę odwrócił Amos, który podszedł do bielizniarki i zaczął ją przesuwac. Po chwili rozległ się cichy stukot poluzowanej kleпки.

– Ale jak... – zaczęła pani M’Gregor. Wyglądała bardziej na oburzoną niż przestraszoną.

– Wejrzałam w twój fałszywy umysł, świnko – odparła Zmora.

Amos odsunął pokrywke i wyjął z dna małą żelazną szkatułkę. Była zamknięta na kłódkę.

– Ty dziwko – parsknął M’Gregor, z niedowierzaniem wpatrując się w żonę. – Pozwoliłabyś poderznać mi gardło dla tego czegoś?

Odwróciła wzrok.

– Gdzie jest klucz? – zapytała kobieta.

Pani M’Gregor zacisnęła usta.

– Nie rozumiesz, prawda? – zaśmiała się Zmora. – Potrafimy czytać w twoich myślach. Już nigdy nie przestaniesz być obserwowana. Już nigdy nie będziesz bezpieczna. NIGDY!

Pani M'Gregor wzdrygnęła się. Mimo to wciąż tliła się w niej iskra buntu. Po tym, jak na jaw wyszła jej nielojalność wobec męża, postanowiła trwać przy swoim.

– Wcale nie umiesz czytać w myślach.

– Oczywiście, że nie umiem – odparła Zmora. – Gdybym to potrafiła, góra byłaby dołem, a rzeczywistość iluzją. Do tego mrok zamieszkiwałyby coś straszego i prawdziwego, a nie jakieś śmieszne bajkowe strachy, a ty... ty nawiedzana byłabyś do końca swoich dni przez coś gorszego niż widmo zemsty... No i wiedziałabym, gdzie ukryłaś klucz.

– Ale nie wiesz – stwierdziła z satysfakcją pani M'Gregor.

– Oczywiście, że nie wiem. To niemożliwe.

Mówiąc to, gwałtownie opuściła nóż.

Pani M'Gregor aż pisnęła ze strachu. Ostrze wbiło się tuż obok jej głowy. Zmora obróciła nóż i wyszarpnęła go z poduszki, rozcinając materiał i wzbijając w powietrze chmurę gęsiego pierza. Sięgnęła do środka, znalazła wszytą kieszeń i ją także rozpruła. Potem wyjęła z niej mały żelazny klucz i podała go Amosowi.

Oczy pani M'Gregor rozwarły się szeroko. Jeśli wcześniej dało się dostrzec w nich determinację, teraz biło z nich tylko otępienie.

– O tak – powiedziała Zmora z ponurym uśmiechem. – Upiory, bestie z wielkimi oczami, przeklęte maskary, które ożywają nocą... Wszyscy jesteśmy prawdziwi... I nic cię przed nami nie uratuje!

Oczy kobiety uciekły w głąb czaszki, ukazując białka przypominające dwa księżycy w pełni.

– Odpłynęła – powiedziała Zmora z rozczarowaniem i przeniosła wzrok na M'Gregora. – Myślałam, że jest twardsza, zważywszy na to, że chciała cię poświęcić dla głupich kosztowności.

Amos podał jej otwartą szkatułkę. Wzięła ją i wysypała zawartość na łóżko. Trzy złote funty, trochę srebra i miedzi, jakaś tania biżuteria, sześć obrączek z wątpliwej jakości metalu oraz kilka pozłaczanych łańcuszków. Nie był to królewski skarb.

M'Gregor zakrztusił się na ten widok.

– Ty dziwko! – charknął do omdlałej żony. – Ty pieprzona suko!

– Skąd ta reakcja, opiekunie M'Gregor? – zdziwiła się Zmora. – Powinieneś nam podziękować. Mało kto wie, jak bardzo cenią go najbliżsi.

Potem kobieta zatoneła w szpargałach, szukając w nich czegoś.

– Nie ma – stwierdziła surowym głosem.

Otwartą dłońią uderzyła panią M'Gregor w twarz, dwa razy. Oczy kobiety wróciły na miejsce, a jej spojrzenie nabrało wyrazistości. Zmora potrząsnęła jednym z łańcuszków tuż przed jej nosem.

– Gdzie wisiorek?

Kobieta otworzyła usta, lecz nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Amos wychwycił myśl.

„To był tylko kawałek szkła, żaden tam szmaragd. Sprawdziła to u jubilera w Sailsbury. Dał jej pieniądze za złoto, w którym był osadzony. Już go nie ma”.

Zmora uderzyła kobietę ponownie, tym razem w furii.

„Przestań. To nie był prawdziwy klejnot...”

– Ale był MÓJ! – krzyknęła, biorąc zamach nożem.

Amos chwycił jej nadgarstek, przekręcił i złapał nóż, gdy ten wypadł z jej drżących palców.

„Mieliśmy umowę. Bez zabijania”.

– Nie wiedziałam, że stracili wszystko, co mi ukradli!

„Ukradła tylko wisiorek. Książkę i pierścień zabrał mężczyzna, który cię tu zostawił”.

– Tego nie wychwyciłam – stwierdziła na głos.

„A ja tak”.

– Co to za mężczyzna?

„Wysoki. Niebieski płaszcz. Wspaniały powóz. To wszystko, co pamięta”.

Spojrzała na niego, oceniając, czy mówi prawdę. Jej przyspieszony oddech wrócił do normy.

– Widziałaś to?

Przytaknęła.

– Możesz wejrzeć w jej umysł głębiej niż ja... Dobrze, w takim

razie musimy ruszać.

Jak gdyby nigdy nic wstała i zabrawszy świecznik ze stolika nocnego i lustro z hebanową rękojeścią z kredensu, przeszła przez mniejsze z dwojga drzwi sypialni – te drugie, którymi tutaj nie weszli. Amos ruszył za nią, nie odwracając spojrzenia od dwojga oszołomionych małżonków i wciąż mierząc do nich z broni.

Kiedy Zmora zapaliła świeczkę, Amos wychwycił w umyśle M'Gregora przeblysk zaskoczenia.

„To ślepa droga!”

Odwrócił się i z przerażeniem odkrył, że to prawda. Zanim jednak zdołał się wycofać, towarzyszka pociągnęła go za próg, ponuro się uśmiechając. Tym sposobem znaleźli się w długim, wąskim pomieszczeniu z ukośnym dachem. Kobieta umieściła lusterko na wąskiej półce, po czym wyjęła także to, które wcześniej zabrała z beczki, i ustawiła je prostopadle do pierwszego. Pochyliła głowę i spojrzała na nieskończoność odbić.

Amos słyszał zarówno myśli M'Gregora, jak i szuranie, kiedy mężczyzna wstał z łóżka.

„Stąd nie ma wyjścia! To pułapka”.

– Zaraz wychodzimy. Pomyśl, kiedy tu zajrzą, nas już tu nie będzie. I ta sytuacja doprowadzi ich do szaleństwa.

„Ten gość trzyma pod łóżkiem parę pistoletów skałkowych. Właśnie ładuje jeden z nich!”

– Pistolety skałkowe?

Miał wrażenie, że jego towarzyszka jest niepokojąco obojętna na rozwój wydarzeń.

„Tak. Coś jak garłacze”.

Pani M'Gregor obserwowała, jak jej mąż szarpie się ze starą, wielkokalibrową bronią, którą wyjął spod materaca.

– Pośpiesz się, głupku! – popędzała go.

Zamachnął się na odlew.

Ciężka metalowa lufa trafiła prosto w jej czaszkę. Spadając z łóżka, kobieta usiłowała złapać się czegoś – bezskutecznie. Zanim uderzenie o ścianę spowodowało zerwanie kręgów szyjnych, była praktycznie nieprzytomna.

Stojąc pośrodku strychu, usłyszeli łomot i przytłumione słowo „dziwka” – jedyne epitafium, na jakie zdobył się M’Gregor.

„Uderzył ją”.

– Miałeś rację, to było lepsze niż zabijanie ich. Posiadanie sumienia bywa... zaślepiające. Podaj mi rękę.

„Zastrzeli nas! Pozabija nas jak myszy w beczce!”

– Ręka. I chodź ze mną.

Słysząc było, jak M’Gregor wściekle mamrocze coś pod nosem i napiera na drzwi.

Amos spojrzał na wariatkę.

„Iść z tobą? Ale jak? Utknęliśmy tu”.

– Mam nadzieję, że wciąż pamiętam, jak się to robi – odparła.

„Jak się robi – co?”

– Chwyć mnie za nadgarstek – poleciła. – Wchodzimy do luster.

Coś zazgrzytało i rozległo się podwójne kliknięcie.

Amos chwycił dłoń kobiety, gdy ta dotknęła powierzchni lustra.

Nic się nie stało.

– O! – zdziwiła się.

„Co?”

– Ojejku.

„Co: ojejku?”

Spojrzała na niego. Malujący się na jej twarzy wyraz dziecięcego niezrozumienia powodował, że wyglądała na znacznie młodszą, a zarazem bardziej szaloną niż do tej pory.

– Myślałam, że wejdziemy do luster.

„Do luster?”

Kompletnie oszalała.

– Ale to chyba nie działa.

Rozległ się huk. To M’Gregor właśnie wyważył drzwi kopnięciem i stanął w progu. Jego zwałista postać niewyraźnie rysowała się na tle pomieszczenia zalanego księżycową poświatą.

– Już nie żyjecie, dranie – powiedział stanowczo. – Nie wiem, czym jesteście ani jakie znacie sztuczki, ale do licha, nie ma to żadnego znaczenia! Jesteście martwi jak wczorajsza pieprzona baranina i tyle...

Amos zasłonił sobą Zmorę. Nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Spojrzał w oszalałe oczy M'Gregora i widział w nich tylko śmierć.

Huk wystrzału w zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Jedna z szyb okiennych w kształcie rombu rozbiła się w drobny mak i Amosa dobiegł ostry dźwięk odłamków uderzających o bruk.

Całe to zdarzenie było na tyle głośne, żeby obudzić zastępcę opiekuna mieszkającego w stróżówce. Z pewnością właśnie sięgał po latarnię i szukał ulubionej pałki.

Tymczasem na strychu krew wolno spływała po framudze, a wraz z nią na podłogę osuwały się kawałki czegoś większego. Wokół stóp M'Gregora, który o dziwo, wciąż stał w progu, z każdą chwilą rosła kałuża szkarłatu.

Zmora patrzyła z niedowierzaniem na Amosa.

„Jak to zrobiłeś?”

„Co zrobiłem?”

„To. Spojrzałeś mu w oczy i... coś zrobiłeś”.

„Nie chciałem, żeby nas zastrzelił”.

„I sprawiłeś, że skierował lufę w swoją stronę”.

„Ja tylko...”

Obydwoje byli zbyt ogłuszeni, żeby cokolwiek usłyszeć, więc komunikowali się myślami.

Amos pochylił się i zwymiotował. Zmora spojrzała na mężczyznę wciąż stojącego w progu – na jego sztywne nogi, na tułów, na rozłupaną głowę i fragmenty mózgu walające się dookoła. Po kilku sekundach trup zwiotczał i runął na podłogę.

„Nigdy nie widziałam czegoś podobnego”.

„Nie wiedziałem, że tak potrafię”.

„Nie wiedziałam, że ktokolwiek tak potrafi”.

Podniosła go do pionu. Spojrzała na zakrwawioną framugę i podłogę.

– A więc to ja miałam rację. Powinieneś mi zaufać, w końcu jesteś Krwawym Chłopcem. Chodź. Musimy iść. I to zaraz.

Amos chciał zamknąć oczy, zapaść się w sobie i spać. Wtedy nie musiałyby myśleć ani patrzeć na krew, na całą tę śmierć, której chciał przecież zapobiec. Lecz przede wszystkim chciał krzyczeć. Niestety, był niemy od urodzenia i nie mógł wydawać jakichkolwiek dźwięków. A ponieważ wychowali go

Templebane'owie, w pierwszej kolejności myślał o własnym przetrwaniu. Ruszył więc za Zmorą w ciemność nocy, niosąc w sobie bezdźwięczny wrzask protestu. I wspomnienie horroru, które na zawsze już zostanie uwięzione w klatce jego czaszki.

ROZDZIAŁ VII

Otumaniony sharp

Pan Sharp nie był przyzwyczajony do przegrywania. Nie lubił także uczucia zagubienia, szczególnie w sytuacji, kiedy szedł boso. Ale przede wszystkim nienawidził być ofiarą. Sumienne wykonywanie obowiązków, wyszkolenie i świadomość panowania nad emocjami – wszystko to przez wiele lat dawało mu pewność, że jest najgroźniejszym przeciwnikiem na ciemnych ulicach Londynu, które przemierzał w służbie Nadzoru. Lecz lustrzany labirynt najwyraźniej pozbawił go tego przeświadczenia.

Właśnie tak, pomyślał, to przez lustra. Przyzwyczajony był do mroku, tymczasem w dzungli powtarzających się odbić, w której właśnie błądził, było o wiele za dużo światła. Gdziekolwiek spojrzął, widział coraz mniejsze wersje siebie, powtarzające się aż po kres tuneli, a wszędzie było za dużo światła. Nie ma gdzie się ukryć i odpocząć, pomyślał. A już z pewnością nie ma jak się zorientować w terenie. Wiedział tylko tyle, że od czasu ataku spał co najmniej dwa razy. Ataku, w którym stracił swoją drogę do domu, czyli Kłębki z Coburga, a także obydwie noże i – co najbardziej upokarzające – buty.

Można kogoś pokonać, można odebrać mu broń, ale kradzież butów to wyjątkowo podły czyn. Pozbawienie mężczyzny butów to jak powiedzenie mu: „Jesteś małym, bezwartościowym pionkiem w wielkiej grze życia”.

Ten gość, Dee, jeżeli rzeczywiście tak się nazywał, załatwił go jak jakiegoś niedoświadczonego dzieciaka. Sharp patrzył teraz w dół, na swoje bose stopy człapiące po lustrzanej podłodze. Nie mógł zebrać myśli i walczył z narastającą sennością.

Martwiła go ta ociężałość umysłu. Zawsze chlubił się swoją żołnierską umiejętnością zapadania w pięciominutowe drzemki, po których budził się jak nowo narodzony. Ale odpoczynek wśród luster wyglądał inaczej. Sharp nie miał nawet pojęcia, ile czasu upływało podczas postojów, a co za tym idzie, jak długo był wystawiony na atak. Pamiętał tylko, że kiedy zasnął po raz pierwszy, obudził się jeszcze bardziej zmęczony. Tak, spanie w lustrach zdecydowanie go wycieńczało, nie tylko pozbawiając energii, ale także osłabiając trzeźwość osądu. A najgorsze, że wraz z utratą poczucia czasu tracił także orientację w terenie.

Wszystko przez to przekłęte światło.

Gdy tylko o tym pomyślał, natknął się na czarne zwierciadło. Pojawiło się w tak dogodnym momencie, że jego zmałowany umysł wziął to za znak, wręcz za cud, który choć na chwilę uwolni go od oślepiającego blasku. Sharp zatrzymał się i odwrócił o dziewięćdziesiąt stopni, by z ukojeniem spojrzeć w czarną taflę. W otchłań, pustkę, nicość... Była przeciwieństwem wszechobecnej, osaczającej go jasności. Ogarnęła go niewypowiedziana ulga. Pochylił się do przodu, wsparł rozpostartymi rękoma o lustra po bokach i zbliżył twarz do tafli, wpatrzył się w nią; pił z niej zachłannie, jak człowiek, który napotkał na pustyni studnię z czystą, zimną wodą.

Czerń przed jego oczami była nie tylko uspokajająca i orzeźwiająca – ona wręcz odurzała. Im dłużej w nią patrzył, tym bardziej rozumiał, jak spięty był do tej pory. Poczuł, że mięśnie jego ramion i pleców rozluźniają się. Zachwiał się lekko, lecz w porę złapał równowagę.

Ponownie znieruchomiał, wciąż spoglądając w czerń. To wpatrywanie się w otchłań, która teraz wypełniała całe jego pole widzenia, zdawało się go ożywiać bardziej niż jakakolwiek z wcześniejszych drzemek.

Za chwilę, kiedy odzyska siły, ruszy dalej. Z pewnością tak będzie. Ale nic go przecież nie nagli.

W końcu dopiero co się tu znalazłem, przekonywał sam siebie. Zasługuję na odpoczynek. Kiedy nabiorę sił, łatwiej wykonam swoją misję. Muszę tylko dać sobie trochę czasu.

Tak, zaraz z pewnością przestanie wpatrywać się w czarne lustro – był o tym przekonany. Ale spoglądanie w bezkształtną pustkę okazało się takie... przyjemne. Wreszcie nie musiał niczego robić. I nikogo tym nie krzywdził. Nikogo. Absolutnie... Jego świadomość na krótko przygasła, a kiedy znów powróciła, zaczął się zastanawiać, kogo właściwie miałyby krzywdzić... a potem, wraz z kolejną falą, usiłował zrozumieć, co miał na myśli, rozważając tę kwestię... aż ostatecznie odpłynął i zapomniał o wszystkim.

ROZDZIAŁ VIII

Na golemowej Wyspie Psów

Kiedy wróciwszy do Kryjówki, Lucy Harker w końcu udała się na spoczynek, spała się jej o wiele lepiej niż za pierwszym razem. Częściowo dlatego, że była wyczerpana podróżą i przygodami, które przeżyła, dopełniając swoją zemstę, ale nie tylko. Innym, ważniejszym powodem był fakt, że tuż przed położeniem się do łóżka wypita gorące mleko, do którego Kucharka na wszelki wypadek dodała aż potrójną dawkę środka nasennego.

Lucy spała więc głęboko, ale o niczym nie śniła.

Znajdując się w tym błogim stanie, oczywiście nie mogła być świadoma, że do pokoju właśnie wkroczyła barczysta postać odziana w płaszcz z wysokim kołnierzem. Twarz przybysza skrywał cień rzucany przez trójgraniasty, mocno znoszony kapelusz. Lucy nie wyczuła, że ktoś opatulił ją kołdrą i ostrożnie owinął kocem ani że właśnie znalazła się w kokonie, który ją doskonale ogrzewał i jednocześnie unieruchamiał. Mężczyzna wziął ją na ręce i zniósł po schodach, nie wydając przy tym ani jednego dźwięku. Wyszedłszy na dwór, skierował swoje kroki w stronę wozu, który czekał na niego na tyłach domu. Nocne, zimne powietrze powinno obudzić Lucy, ale tak się nie stało. Nic nie poczuła nawet wtedy, gdy mężczyzna delikatnie ułożył ją na kocach zaścielających podłogę między siedzeniami, a potem wspiął się na siedzisko woźnicy, na którym siedział już Kowal.

- Wyspa Psów - rzekł nieznajomy i delikatnie smagnął lejcami końskie grzbiety. Łagodne kołysanie powozu jeszcze bardziej pogłębiło sen Lucy, a nawet sprawiło, że zaczęła śnić. Gdy mijali Ratcliffe Highway, właśnie wyobrażała sobie, że żyje gdzieś za morzem, we Francji, i jak to ze snami bywa, część opierała się na tym, co już przeżyła, a część na tym, co mogłaby przeżyć.

Obudziła się godzinę później i natychmiast zdała sobie sprawę, że znajduje się w miejscu innym niż to, w którym położyła się spać. Ale nie było to dla niej tak niepokojące, jak mogłoby się zdawać. Przywykła już do takich sytuacji. Ostatnio kontrolowała swoje życie, lecz wcześniej zdarzały się jej znaczne luki w pamięci i nauczyła się z nimi żyć. W chwilach skupienia i samotności analizowała swoje poszarpane wspomnienia, próbując odkryć, które z nich należały do rzeczywistości, a które były jedynie snem. Tego ranka doszła do wniosku, że większość wydarzyła się naprawdę. Zamknęła oczy. Doświadczenie nauczyło ją, że najlepiej odczytuje się przeszłość, kiedy pozostaje się w półśnie. Zbyt mocne rozbudzenie zazwyczaj skutkowało rozproszeniem tych przedziwnych światełek pamięci, które znikwały niczym mgła rozwiana przez światło poranka.

Zobaczyła dom w Paryżu z niebieskimi drzwiami i otwartymi na oścież okiennicami, a także długi, ciemny korytarz, w którym po raz ostatni widziała swoją matkę, kiedy mężczyźni w granatowych mundurach wlekli ją w głąb budynku. Ten korytarz pochłonął nie tylko matkę, najbliższą osobę Lucy, ale także kawał jej życia, ponieważ następnym wspomnieniem była dopiero farma i pola, gdzie już jako nieco starsza dziewczynka nosiła w pełnym słońcu ciężkie wiadra wody ze studni.

Farma należała do Antoine'a i Sylvie, którzy kazali wołać na siebie wujek i ciocia, choć Lucy zawsze wiedziała, że nimi nie są - i to nie tylko dlatego, że tak właśnie powiedział Dagobert, ich pracownik. Po prostu fizycznie różnili się od matki, mieli ostrzejsze rysy twarzy i ciemniejszą karnację. Ale w ogólnym rozrachunku nie miało to większego znaczenia, bo byli po prostu mili i z biegiem lat, które pędziły niczym wiatr dmący nad otaczającymi dom polami jęczmienia, przywiązała się do nich

i pokochała jak rodzonych krewnych.

To właśnie Sylvie dała jej złoty pierścionek matki, ten ze szklanym jednorozcem o ułamanym rogu. Nawlekła go wcześniej na skórzany rzemyk i założyła Lucy na szyję, przestrzegając, by trzymała tę cenną pamiątkę pod ubraniem. Z dała od chciwych spojrzeń obcych ludzi. Ten kawałek morskiego szkła osadzonego w złotej obrączce towarzyszył dziewczynie przez wiele lat i prawdę mówiąc, nie rozumiała, jakim cudem udało się jej go zatrzymać – poza tym, że zawsze trzymała go w kieszeni, uspokajająco blisko dłoni.

Lucy przypomniała sobie, jak bardzo kochała wieś – i było to wspomnienie, które nieoczekiwanie powróciło, wypełniając lukę istniejącą od wielu lat. Poczowała radość. Znów pamiętała, jak bardzo cieszyły ją zmiany krajobrazu wraz z upływem miesięcy, jak różniły się poszczególne pory roku, jak przyroda spała pod pokrywą śniegu, a potem budziła się wiosną. To w lasach za farmą odkryła, że umie robić rzeczy, których nie potrafią inni ludzie. Wtedy myślała, że jej bezgłośnie i niezwykle szybkie ruchy są wynikiem wieku. Wierzyła, że jest jak ciernik, który widzi polującą żabę ukrytą w paprociach, wielką i grubą, siedzącą na brzegu strumienia płynącego obok młyna. Nieraz obserwowała, jak maluteńkie rybki błyskawicznie uciekały przed zagrożeniem, o wiele szybciej niż grube pstrągi potokowe. Dlatego uznała, że mniejsze zawsze znaczy szybsze.

Dopiero reakcja Antoine'a dała jej do zrozumienia, że potrafi coś niezwykłego. Weszła wtedy do stajni, by pokazać wujkowi królika, którego złapała w grządkach pietruszki. Z początku nie uwierzył jej, gdy powiedziała, że po prostu zobaczyła go i schwyciła. Wypuściła go więc, wybiegła na zewnątrz, a po chwili przyniosła kuropatwę spod żywopłotu rosnącego na obrzeżach pola koło młynówki. Tym razem Antoine zabrał ją do Sylvie i kazał wyjaśnić, co zrobiła. Po kilku przesłuchaniach wszystko, co była w stanie powiedzieć, to że jednocześnie poruszała się bardzo wolno i bardzo szybko. Dorośli wymienili spojrzenia, po czym wujek zaśmiał się i zmierzwił jej włosy, mówiąc, że byłaby bardzo pomocna na jego polowaniach. Mimo to nigdy nie zabrał

jej ze sobą, zawsze szedł sam ze swoją starą strzelbą objającą się o plecy. Ze zdolności bycia „wolną-lecz-szybka” Lucy korzystała więc tylko do chwytania żab i motyli. Te drugie łapała wyłącznie po to, by pokazać je Sylvie i wypuścić ku niebu. Tak, ku niebu, które w jej wspomnieniach zawsze było niebieskie i bezchmurne.

Pamiętała też, że była wtedy wystarczająco duża, by dosiąść konia, który ciągnął pług. I że prowadziła go do pracy i z powrotem.

A potem następowała kolejna wyrwa w pamięci, po której zdawał się nieustannie padać deszcz. Podczas tej zimnej jesieni Antoine odszedł, a pełnej smutku Sylvie urósł brzuch. Zanim dziecko wyszło z łona, tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy zapowiadało się na śnieg, Lucy dosiadła wysłużonego konia i pojechała do pobliskiego miasteczka po doktora.

To właśnie wtedy – gdy zsiadła z końskiego grzbietu i dotknęła dłonią świeżo otynkowanej ściany domu, w którym mieszkał lekarz – po raz pierwszy wejrzała. Przeszłość uderzyła w nią z całą mocą i zobaczyła trzech mężczyzn w podartym aksamicie i jedwabiu, z rękoma związanymi za plecami, postawionych pod murem i rozstrzelanych przy aplauzie tłumu stojącego za plutonem egzekucyjnym. Siła tej wizji zwała ją z nóg, a lekarz zastał ją w progu, trzęsącą się, jakby miała padaczkę. Ledwie zdołała mu powiedzieć, że ciotka Sylvie popadła w depresję, a przy tym jest w zaawansowanej ciąży. Potem doktor podstawił jej pod nos coś, co ją uspiło, po czym nie pamiętała już niczego więcej na temat farmy. Wszystkie szczęśliwe wspomnienia w tym miejscu dobiegały końca, ustępowały miejsca szarym chwilom spędzonym w szkole klasztornej dla ubogich dzieci; w miejscu tak przesiąkniętym nieszczęściem i tragedią, że bała się rozpamiętywania czegokolwiek z tego czasu.

W tym okresie po raz pierwszy zaczęła owijać ręce szmatami, by chronić się przed przeszłością. Zakonnice rozwijały i zabierały te dziwne opatrunki, ale ona zawsze znajdowała nowe. Potrafiła nawet porwać swoje ubranie. W końcu dały jej spokój, ale było to jedno z jej nielicznych zwycięstw. W szkole nie miała zupełnie niczego. Skonfiskowano jej rzeczy osobiste, także pierścionek

z jednorozcem, a kiedy zapytała matki przełożonej, gdzie go schowała, dowiedziała się, że dla bezpieczeństwa podopiecznych przedmioty trzymane są w zamkniętej szufladzie ciężkiego dębowego biurka w zakonnym biurze. Podobno dlatego, aby któregoś dnia mogły zaświadczyć o tożsamości dzieci. Mówiąc to, matka przełożona dziwnie się uśmiechała, co tylko rozzłościło Lucy i sprawiło, że jeszcze bardziej się upierała, aby zobaczyć swój depozyt. Ale niczego tym nie wskórała, jedynie dostała pasy za rzekomą bezczelność.

Siostry w ogóle nie miały cierpliwości do Lucy. Może dlatego, że także bały się matki przełożonej i robiły wszystko, żeby uniknąć kłopotów, a może dlatego, że kiedy dziewczyna zdradziła im, co ujrzała w przeszłości klasztoru, przeraziły się i oskarżyły ją o kłamstwo, podejrzewały też, że została opętana przez demona, który ukazywał jej rzeczy nieistniejące. Zresztą nie miało to znaczenia, ponieważ jak zawsze w takich sytuacjach „lekarstwem” lub środkiem perswazji była giętka wierzbowa witka. Następnie wymuszono na Lucy, aby podziękowała i pomodliła się o błogosławieństwo dla siostry, która trzymała różgę.

To w zakonie odkryła kolejne aspekty bycia wolną-lecz-szybką. I tym razem nie chodziło wcale o kolorowe motyle wypuszczane potem w błękitne niebo czy o puszyste króliki wyławiane spośród kępek pietruszki. W szkole znajdowała się kuchnia, a ciąгла pustka w żołądku kazała jej zapuszczać się tam w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. I tak Lucy została tym, kim była od zawsze, a właściwie tym, kim myślała, że jest, zanim Sara Falk powiedziała jej o Wejrzeńcach. Została złodziejem.

Pierwsza kradzież, której dokonała w zakonie, dotyczyła zeschniętej piętki bułki francuskiej i trzech pomidorów. Za drugim razem jej łupem stał się matczyiny pierścionek z morskim szkłem i wierzbowa witka, która wisiała w rogu biura matki przełożonej. Ostatnim, co ukradła, były klucze do bramy szkoły zakonnej.

Przypomniała sobie, jak o północy otworzyła metalowe wrota i wymknęła się na oświetloną księżycowym blaskiem drogę ku

wolności, zostawiając w holu budynku złamaną na pół różgę. Pamiętała też srebrzystą drogę do młyna biegnącą wokoło stawu. I wspomnienie wzburzonego lustra wody po wrzuceniu doń ciężkiego pęku kluczy, którymi oczywiście wcześniej zamknęła od zewnątrz wrota klasztoru.

Na tym kończyły się jej wspomnienia, choć przed oczami przepływały jeszcze jakieś ledwie rozpoznawalne, zamglone obrazy, które co rusz rozdzielała pustka. Lucy ponownie uniosła powieki, podekscytowana faktem, że aż tyle sobie przypomniała. I zaraz potem posmutniała, czując rozdarcie spowodowane stratą, którą sobie nieoczekiwanie uświadomiła.

Leżała na boku, z twarzą w połowie zanurzoną w miękkiej, puchowej poduszce. Jednym okiem dojrzała przeciwległą ścianę i zyskała pewność, że znajduje się w pokoju innym niż ten, w którym kładła się spać. Zamiast znajomej tapety ujrzała pobieloną powierzchnię z migoczącymi odbłaskami światła, co sugerowało, że na zewnątrz pomieszczenia jest morze lub rzeka. Uważnie wsłuchiwała się w odgłosy. Przez głowę przemknęła jej absurdalna myśl, zapewne wywołana wcześniejszym snem, że oto na powrót znalazła się we Francji. Na pewno nie była w mieście, co oznaczało, że przecież może być wszędzie...

Nagle usłyszała, jak za jej plecami skrzydło okna uderza o framugę, a na karku poczuła lekki podmuch wiatru. Niemal równocześnie rozległ się plusk wody. Brakowało odgłosu fal, co dowodziło, że to nie morze, ale rzeka lub jezioro. Zaraz potem ktoś przeszedł przez pokój gdzieś poniżej, najpewniej na parterze. Odwróciła się na plecy i spojrzała na sufit. Dostrzegła tam kolejne błyski światła i pająka, który powoli przemierzał gładką powierzchnię. Zaciśnęła dłonie, sprawdzając, czy wciąż ma na nich skórzane rękawice, które dostała poprzedniego wieczoru.

W pokoju panowały spartańskie warunki, ale było tu też czysto i schludnie. Lucy ze zdziwieniem dostrzegła, że wciąż okryta jest kocem w cytrynowym kolorze, tym samym, którym okrywała się poprzedniej nocy. Podniosła się i usiadła na krawędzi łóżka, dwa razy węższego niż to, w którym zasnęła. I natychmiast

znieruchomiła.

Okno wychodziło na szerokie zakole rzeki. Z jej prądem płynęły trzy barki, a na przeciwległym brzegu rozciągała się bagnista połać ziemi. Nie to jednak przykuło jej uwagę, ale golem siedzący pod ścianą.

Poznała go. Wciąż miał na sobie ten sam staroświecki strój woźnicy, a na starannie uformowanej glinianej twarzy, nad wydatnymi kośćmi policzkowymi, nadal zionęły puste oczodoły, które teraz zdawały się wycelowane prosto w Lucy. Na wąskich ustach olbrzyma zastygł niejednoznaczny grymas. Ostatni raz widziała go, gdy próbowała uciec z Kryjówki. Nawet nie drgnął, gdy odbiła się od jego torsu i wpadła z powrotem do pokoju. Poczowała się wtedy, jakby uderzyła w ceglana ścianę. Biorąc pod uwagę, że cegły zrobione są z gliny, bynajmniej nie było to złym porównaniem.

Przez chwilę wahała się, jak zacząć rozmowę, a potem po prostu uniosła rękę w powitalnym geście.

– Cześć – bąknęła. – Gdzie jestem?

Golem przekrzywił głowę, jakby się zastanawiał, skąd to pytanie. Potem nieoczekiwanie wykonał szeroki ruch ręką. Sens tego gestu był jasny.

– Wiem, że jestem tutaj – odparła. – Ale gdzie jest to tutaj? I dlaczego tu się znalazłam?

Naszła ją myśl, że coś było nie tak. I nie chodziło o to, że obudziła się w innym domu. Była otumaniona głębokim snem i wciąż miała problemy z koncentracją, dlatego nie potrafiła określić przyczyny niepokoju, ale czuła, że coś nie gra. Jednocześnie wiedziała, że nie dzieje się nic naprawdę złego.

– Jestem więźniem? – zapytała ostrożnie.

Golem zaprzeczył ruchem głowy.

– I nic mi nie grozi?

Golem znów zaprzeczył i poklepał się po klatce piersiowej. A więc nie tylko potwierdził jej słowa, ale wręcz zapewnił, że jej bezpieczeństwo gwarantuje jego czujna obecność.

– Więc mogę wstać? – Chciała zobaczyć Charliego Pyefincha i dowiedzieć się, co się dzieje.

Golem przytaknął, lecz gdy zapytała, czy Charlie też tu jest, zdecydowanie pokręcił głową.

– Znajdę go – oznajmiła i zeskoczyła na chłodną podłogę.

Ruszyła w kierunku drzwi, a gdy znalazła się tuż przed nimi, poczuła na ramieniu ciężar ogromnej dłoni.

Obróciła się do potężnej glinianej postaci.

– Myślałam, że nie jestem więźniem... – zaczęła, lecz zaraz zamilkła.

Golem trzymał coś w drugiej dłoni.

Buty.

Spojrzał znacząco na jej stopy.

– No tak – bąknęła.

Odsunął się i wskazał na ubrania przewieszane przez poręcz łóżka, a potem na okno, i manifestacyjnie się wzdrygnął.

– Zimno – powiedziała. – Rozumiem. Mówisz, żebym się ubrała, bo jest zimno.

Golem przytaknął.

– Racja – odparła. – Dobry pomysł, ale nie rozbiorę się przy...

Zanim dokończyła, wyminął ją i przekroczył próg, pochylając głowę. Przez chwilę miała wrażenie, że kiedy wychodził, kąciki jego ust lekko się uniosły.

– E... dziękuję – powiedziała. – Postaram się szybko uwinąć.

Golem zamknął za sobą drzwi, a ona natychmiast zrzuciła z siebie koszulę nocną i zaczęła zakładać przygotowany strój. Dopiero kiedy wiązała drugi but, uświadomiła sobie, co było przyczyną jej wcześniejszego niepokoju.

Puściła sznurówkę i gwałtownie się wyprostowała.

– Mój wisiołek! – wyrzuciła z siebie i zaraz dodała: – Merde! – W chwilach jak ta instynktownie przerzucała się na wiejski francuski dialekt.

Poklepała się po kieszeniach, zajrzała pod łóżko, zerwała pościel z materaca i potrząsnęła nią kilka razy. Niczego nie znalazła.

Usiadła na krawędzi łóżka. Serce waliło jej jak młot.

Była Wejrzeńcem. Miała tę umiejętność od zawsze, choć dopiero spokojne wyjaśnienia Sary Falk pozwoliły jej zrozumieć,

że dotykanie kamieni i przeżywanie zapisanych w nich zdarzeń nie jest wcale przekleństwem, ale darem wymagającym oszlifowania. Rękawiczki, które nosiła, by chronić się przed przypadkowym wglądaniem, należały właśnie do Sary. Ale poza tą nową wiedzą dysponowała także starą, własną – było to przecucie, że jej bezpieczeństwo w jakiś przedziwny sposób nierozzerwalnie wiąże się z kawałkiem morskiego szkła osadzonego w pierścionku, który przed laty dostała od swojej matki. Sara nazywała go kamieniem serca. Twierdziła, że każdy Wejrzeniec ma coś podobnego i że to artefakt, który takim jak one pozwala zachować poczytalność. Lucy uwierzyła jej. Zresztą właśnie dlatego zaryzykowała wszystko i wróciła do Londynu, aby oddać Sarze jej kamień serca. A teraz sama straciła własny i czuła narastającą panikę. Ten z pozoru zwykły kawałek szkła w kolorze jej oczu był przecież nie tylko pamiątką po matce, ale także czymś o wiele ważniejszym.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, ale nie zastała za nimi golema. Przed nią ciągnął się wąski, świeżo zamieciony korytarz, na którego końcu dostrzegła schody. Pobiegła w ich kierunku, stukając podszewkami o gołe deski, chwyciła za słupek poręczy, odepchnęła się od niego i nie zwalniając... runęła w dół.

Tak naprawdę powodem nie był pośpiech, lecz niezawiązany but. Prawą stopą przydeptała sznurówkę lewego buta, a pęd i grawitacja dokonały reszty.

Nie zdążyła ani krzyknąć, ani czegoś chwycić, ani nawet przyjąć pozycji, która zamortyzowałaby upadek, ale...

...miała bardzo szybkiego golema, który już czekał na nią u podnóża schodów. Widząc, co się stało, Emmet błyskawicznie zerwał się z miejsca i zanim jego odepchnięty zydeł trzasnął o ścianę, złapał dziewczynę w taki sposób, że jej twarz zatrzymała się zaledwie trzy cale przed kamienną podłogą.

– Dzień dobry – powiedział właściciel stóp, które pojawiły się w polu widzenia Lucy.

Podniosła głowę.

To był Kowal.

Pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem trzymał jej kamień

serca.

– Zapewne szukasz tego.

Emmet podniósł ją i postawił z powrotem na wciąż jeszcze drżących nogach.

Nie mogąc złapać tchu i niepewna swojego głosu, przytaknęła bez słowa.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Był to najbardziej zagracony i przestarzały warsztat, jaki widziała, choć stały w nim także takie urządzenia jak tokarka czy wiertarka stojakowa, a więc sprzęt względnie nowoczesny. Na środku pomieszczenia znajdował się stary piec hutniczy, w którego wnętrzu jarzył się rozpalony do czerwoności żużel.

Sięgnęła po pierścionek.

– O nie, nie oddaję ci zguby – powiedział Kowal. – Daję ci lekcję – dodał i nie spuszczać wzroku z Lucy, beztrąsko rzucił za siebie trzymany w dłoni przedmiot.

Prosto do pieca.

Kamień serca zawirował w powietrzu, a potem uderzył o kamienną krawędź paleniska.

Lucy nie zdążyła zaprotestować czy choćby krzyknąć. W istocie nie miała nawet czasu, by pomyśleć o konsekwencjach tego, co się dzieje. Widziała tylko, jak drogi jej sercu pierścionek z mieniącym się w słońcu morskim szkłem, dzięki któremu przez tyle lat czuła się bezpieczna i nietykalna, wylądował dokładnie w środku paleniska, na rozżarzonych węglach.

I wtedy to się stało. Poczowała się tak, jakby otrzymała silny cios, i lekko się zachwiała. Świat wokół niej zawirował, po czym błyskawicznie wrócił do pierwotnego stanu. Popatrzyła w dół, na swoją dłoń, i zorientowała się, że coś w niej trzyma.

To był jej kamień serca.

Od razu domyśliła się, co zaszło, i szukając wzrokiem pęcherzy rosnących gwałtownie na skórze dłoni, a także spodziewając się piekącego bólu, odruchowo upuściła pierścionek. Kowal złapał go w locie. Wszystko było nie tak. Wcześniej mężczyzna stał między nią a ogniem, teraz ona stała między nim a ogniem. Nie pamiętała, by się poruszyła. Bijący od pieca żar, który do tej pory

ignorowała, zmusił ją do zrobienia kroku w tył.

Kowal wyciągnął dłoń, na której spoczywała błyskotka Lucy.

– Nawet nie zdążył się rozgrzać. A ty byłaś za szybka, by poparzyły cię płomienie.

– Nic nie zrobiłam... – zaczęła. – To znaczy nie wiedziałam, że coś robię. Nie chciałam...

– Chciałaś – powiedział. – Po prostu poruszyłaś się tak szybko, że nie nadążyłaś za tym myślami. Założę się, że już wcześniej odkryłaś, że możesz to robić, kiedy tylko zechcesz. Choć pewnie nie zdawałaś sobie sprawy, potrafisz być jeszcze szybsza, kiedy tego naprawdę potrzebujesz. Popracujemy nad świadomym kontrolowaniem tej zdolności, panno Harker. Co jeszcze umiesz?

Sięgnęła po pierścionek, ale cofnęła rękę.

– Co jeszcze umiesz? – powtórzył powoli.

– Mogę dostać kamień?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tak, oczywiście – odparł. – Ale jeszcze nie teraz.

Poczuła, że jej szczęka bezwiednie się zaciska, a dłonie formują w pięści. Gdyby nie była tak zamroczona tym, co się stało, z chęcią podyskutowałaby z tym całym Kowalem. Wtedy przyszło jej na myśl, że jeżeli będzie wystarczająco szybka, wcale nie musi rozmawiać.

Jej ręka ruszyła z prędkością bicia, ale dłoń pochwyciła tylko powietrze.

Kowal wciąż się do niej uśmiechał. I był to wyjątkowo denerwujący uśmiech, taki, jaki mają dorośli, kiedy uczą czegoś swoje dzieci.

– Lekcja pierwsza – powiedział mężczyzna. – Tak, potrafisz być szybka, ale nigdy nie zakładaj, że jesteś lepsza niż twój przeciwnik, dopóki się o tym nie przekonasz. Zbytняя pewność siebie może sprowadzić na ciebie kłopoty. A nawet gorzej: może spowodować, że skrzywdzisz innych.

Ledwie powstrzymała się od riposty. Odchrząknęła i zmusiła się do zmiany nastawienia.

– Czy mogę odzyskać mój kamień serca? – spytała łagodnie. – Proszę.

– Dostaniesz go, kiedy go osadzę w czymś porządnym. Nie wolno ryzykować utraty takiego skarbu.

Nie odezwała się.

– Właśnie tym się zajmuję – dodał. – Jestem Kowalem. Wytwarzam różne rzeczy. Przydatne rzeczy. Pierścienie, broń, biżuterię, narzędzia. Także członków Nadzoru.

– Tworzysz ludzi? – zapytała.

– Jeżeli mam odpowiedni materiał, tak – odparł. – Jesteś stworzona z odpowiedniego materiału?

Wszystko, czego teraz pragnęła, to zamknąć w dłoni swój kamień serca. Chciała znów czuć się bezpieczna – pośrodku tej obcej, zagraconej izby wypełnionej stertami dziwnych narzędzi i niezwykłymi machinami, które w równym stopniu ją ciekawiły, co niepokoiły. Chciała schować w dłoni znajomy kształt, który zawsze w takich sytuacjach miał na nią kojący wpływ. Zamknęła oczy i próbowała zdusić w sobie rozpacz.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Poczuła łzy napływające do oczu. Usłyszała skrzypienie wiklinowego stołka i syk ognia, który wciąż grzał ją w plecy. Usłyszała też ptaki śpiewające gdzieś za oknami warsztatu. I niski, dudniący chichot.

Uniosła powieki, by zobaczyć szczerze uśmiechniętą twarz Kowala.

– To była dobra odpowiedź, panno Harker. Lucy.

Wręczył jej kamień serca.

– Przechowaj go dla mnie do czasu, aż zaprojektuję coś bezpiecznego. Co wolisz? Naszyjnik, który będziesz mogła nosić na tej swojej pięknej szyi, czy porządny pierścień? Wiem, Sara Falk zdecydowała się na to drugie, ale zawsze zastanawiałem się, czy to mądry wybór. W końcu pierścień od razu widać, a poza tym jest podatny na uszkodzenia, bo podczas walki łatwo nim o coś zahaczyć. Kamień na łańcuszku spełnia taką samą funkcję, a ma tę przewagę, że można go szybko schować pod ubraniem i nikt nawet nie będzie wiedział, że tam jest. Trudno go wtedy uszkodzić, a jeszcze trudniej ukraść.

Wzruszyła ramionami.

– Zrobisz, jak zechcesz – dodał Kowal. – Miej jednak na względzie, że służba w Nadzorze często wiąże się z bezpośrednimi starciami, a te niezbyt dobrze wróżą bizuterii noszonej na wierzchu.

– Uważasz, że powinnam wybrać naszyjnik?

– To twój wybór – odparł. – Ale tak. Jest bezpieczniejszy i praktyczniejszy.

– A Sara Falk? Przecież ma pierścień.

– Sara Falk to zupełnie inna historia – stwierdził. – Choć może jesteś tak samo nieustępliwa jak ona...

– Nie – odparła. – Naszyjnik faktycznie ma więcej sensu. Jest praktyczniejszy, jak powiedziałaś, i można go ukryć przed innymi. No i zawsze będę miała wolne dłonie. Problem w tym, że nie mam łańcuszka.

– Łańcuszki też robię – odrzekł Kowal. – Tym się nie musisz martwić.

ROZDZIAŁ IX

White Tower

Pomimo zastrzeżeń Kucharki Hodge nie zamierzał zrezygnować z jak najszybszego powrotu do Tower. Charlie, którego wysłano tam razem z nim, na początku myślał, że Kucharka chciała, aby miał oko na rannego teriernika, ale wkrótce stało się jasne, że – ślepy czy nie – Hodge bez niczyjej opieki znakomicie radzi sobie tak z obowiązkami szczurołapa, jak i z poruszaniem się po swojej skromnej kwaterze.

Charlie zrozumiał to, kiedy Hodge zdecydował, aby nie korzystać z podziemnego przejścia prowadzącego do Kryjówki, a zamiast tego iść pieszo zatłoczonymi ulicami Londynu.

– Jeśli chcesz zrozumieć, czym jest Tower, powinieneś umieć dotrzeć do niej jak inni – wyjaśnił. – A jeśli chcesz rozpocząć nową pracę, musisz najpierw poznać wszystkie oficjalne ścieżki, zanim zaczniesz chodzić na skróty.

Charlie wciąż nie był pewien, jaka jest natura tej „nowej pracy”,

ale nie spytał o szczegóły. Posłusznie podążał ulicami za mężczyzną, zdumiony, jak sprawnie ten się porusza, korzystając ze wzroku Jeda. Bez wątpienia ta niezwykła forma współpracy między człowiekiem a psem miała długą historię i teraz doskonale się sprawdzała. Gdyby nie rany na twarzy oraz chusta zasłaniająca mu oczy, postronni ludzie nawet by nie pomyśleli, że teriernik jest ślepy.

Kiedy przeszli przez wąski most i dotarli do głównej bramy, Hodge zatrzymał się i odwrócił w stronę Charliego. Wskazał kciukiem za plecy – na ocienioną ścianę z wielkim kamiennym herbem umieszczonym nad wejściem. Opuszczona krata blokowała dalszą drogę, a wąskie szczeliny strzeleckie w murach sprawiły, że Charlie poczuł się nieswojo. Uświadomił sobie, że w dawnych czasach stojący tam łucznicy mieli jak na widelcu każdego, kto znalazł się po tej stronie mostu. Zapewne nie bez powodu uczyniono go tak wąskim. To była strefa rzezi.

– Zauważyłeś coś? – zapytał Hodge.

– No cóż, nie jest to zbyt gościnne miejsce – odparł Charlie.

– Mam taką nadzieję. Zaprojektowano je tak, by trzymać niechcianych gości na dystans.

– Muszę przyznać, że to akurat wyszło twórcom – przyznał Charlie.

– No dobrze, ale nie o to mi chodziło – odparł Hodge. – Spójrz jeszcze raz. Zastanów się, jak wejść do środka.

Charlie omiótł wzrokiem fasadę, szukając w kamiennej ścianie sekretnego przejścia. Jed zaszczekał i zamerdał ogonem, a gdy już zwrócił na siebie uwagę, spojrzał w stronę bramy, poruszając łebkiem, jak gdyby chciał wskazać coś Charlieemu.

– Nie pomagaj mu – rzekł Hodge. – Chłopak sam musi się nauczyć zauważać takie rzeczy.

Jed zaszczekał.

– To co innego. On ma jeszcze dobre, młode oczy. Ja swoje zniszczyłem, prawda?

Hodge odwrócił głowę w stronę Charliego.

– W porządku – powiedział. – Kowal twierdzi, że jesteś bystry. Poczekaj tu. Policz do trzydziestu, a potem ruszaj. Spotkamy się

po drugiej stronie muru.

Teriernik ruszył w stronę przejścia. Jed obserwował go, wciąż machając ogonem, a później wsparł się przednimi łapami o udo Charliego, polizał go w dłoń i pobiegł za swoim panem. Gdy obydwaj dotarli do bramy, po drugiej stronie masywnej, dębowej kraty pojawił się smukły mężczyzna. Skinął głową i machnął ręką do kogoś, kto znajdował się w niewidocznej części strażnicy. Chwilę później kratownica zaczęła wędrować w górę, a gdy znalazła się mniej więcej cztery stopy nad ziemią i gdy Hodge wraz z Jedem błyskawicznie pod nią przemknęli, ponownie zaczęła opadać, aż wreszcie z głośnym stukotem uderzyła o bruk.

Charlie bezsilnie spoglądał na wielki, masywny mur przed sobą. Nie miał bladego pojęcia, jak go sforsować. Zimny podmuch wiatru sprawił, że poczuł na dłoni chłód od liźnięcia Jeda. Uniósł rękę.

Pies polizał tylko okolice palca serdecznego, na którym nosił pierścień. Spojrzał na grawerowany znak, a potem na królewski herb nad bramą i uśmiechnął się, dostrzegając wcześniej przeoczone podobieństwo.

Podszedł do kraty, świadomy, że dwie pary oczu obserwują każdy jego ruch.

– Zmywaj się stąd – powiedział strażnik, który znów pojawił się jakby znikąd. – Nie chcemy tu ludzi twojego pokroju.

Charlie przełknął ślinę, mając nadzieję, że jego rozumowanie jest prawidłowe.

– Właśnie, że chcecie – odparł, po czym pokazał pierścień. – Tak mi się wydaje.

Gwardzista zmrużył oczy i znieruchomiał. Trwał tak na tyle długo, że Charlie zaczął powątpiewać w swój pomysł. A potem mężczyzna nagle odwrócił się do tyłu i znów do kogoś machnął.

Drewniana krata ponownie się uniosła i Charlie przemknął pod nią, kiedy tylko stało się to możliwe. Jed zaszczekał radośnie, widząc, że są już po tej samej stronie muru, a Hodge podszedł do strażnika.

– Gwardzisto Marriot – zwrócił się do niego – to jest Charlie Pyefinch. Od teraz będzie mi pomagał. Przynajmniej dopóki nie

poprawi mi się wzrok.

Mężczyzna przytaknął, a jego twarz złagodniała.

– Mały teriernik, co? – powiedział i puścił oczko. – Witaj na pokładzie, młodzieńcze. – Nie czekając na odpowiedź, obrócił się i odmaszerował w kierunku swojej wartowni, gdzie mógł się ogrzać.

Charlie musiał truchtać, żeby nadążyć za Hodge'em i jego psem. Cała trójka właśnie przemierzała kolejny, wewnętrzny most, kierując się do następnej bramy.

– Dobra robota – pochwalił teriernik. – Zauważyłeś tarczę, prawda?

– I lwa oraz jednoroźca – odparł Charlie.

– Jak te na twoim pierścieniu... Broniliśmy tego kawałka ziemi, zanim jeszcze zbudowano tu Tower, więc nie pozwól, by ktokolwiek ci wmówił, że nie jesteś u siebie. Jeżeli służysz w Nadzorze, nie ma miejsca bardziej naszego niż to.

– Czy strażnicy wiedzą w ogóle o Nadzorze? – zapytał Charlie.

– Nie – odparł Hodge. – Gdyby wiedzieli, Nadzór nie byłby tajemnicą. Wierz mi, gwardziści plotkują gorzej niż szwaczki. Wiedzą jedynie, że pierścień jest czymś w rodzaju *laissez-passer*, specjalnej przepustki, coś jak *carte blanche*, która pozwala wejść, gdzie tylko chcesz.

Uśmiechnął się do Charliego, mijając kolejną bramę, pilnowaną przez zaledwie jednego strażnika. Ubrany w czarno-czerwony mundur i futrzaną czapkę siedział nieregularnie na ławce, grzejąc się w wąskim snopie światła słonecznego. Wymienił uprzejmości z teriernikiem i wyraził współczucie z powodu jego ran twarzy, ale zrobił to w tak specyficzny, kpiarski sposób, że Charlie domyślił się, iż żołnierze w Tower są przyzwyczajeni do stanu, w jakim Hodge powraca ze swoich wypraw za mur.

Teriernik szybkim krokiem przemierzył zadbane, soczystozielony trawnik w cieniu White Tower, zmierzając w stronę imponująco wysokiej wieży w samym sercu pierścienia fortyfikacji. Następnie wskazał Charliemu drogę do swojej oficjalnej kwatery, połączonej wąskim korytarzem z warsztatami i zbrojownią we wschodniej części kompleksu zamkowego.

Słoneczne pokoje były zaskakująco czyste. Podłogę tworzyły szerokie deski, a ściany pokryto drewnianymi panelami pomalowanymi na wyblakły zielony kolor. Wokół panował niemal idealny porządek, łóżko było złożone, a wyposażenie wskazywało, że gospodarz mieszka tu samotnie – jeden kubek, jeden talerz, jeden stół z taboretami i jedno krzesło naprzeciwko ognia. Wnętrze było więc schludne, lecz jednocześnie surowe, urządzone w kawalerskim stylu. Jedynym ozdobnym akcentem było duże, pozszywane z łąt posłanie leżące przed kominkiem w salonie – to właśnie tam położył się Jed, gdy Hodge poszedł do innego pokoju, by się przebrać. Kiedy wrócił, Charlie ze zdziwieniem stwierdził, że ma na sobie znacznie brudniejszy strój niż ten, w którym przyszedł. Mężczyzna rzucił w stronę Charliego parę starych marynarskich spodni z nankinu.

– Załóż je na swoje ubranie – polecił. – Powinny być wystarczająco duże, żebyś mógł używać ich jako ogrodniczek. Ochronią cię przed błotem.

– Błotem?

– Chodź za mną i się ucz – powiedział Hodge. – Teraz jesteś jednym z nas, jednym z członków Ostatniej Ręki. Musisz zrozumieć parę spraw.

To rzekłszy, wziął ze stołu lampę migoczącą spokojnym światłem i ruszył w kierunku drzwi.

Pięć minut później Charlie gramolił się na kolanach, przemierzając za Hodge’em niskie i wąskie krypty pod White Tower. Dotarli tu, wędrując krętymi schodami i klaustrofobicznymi korytarzami, aż w pewnym momencie zdawało się, że zeszli na samo dno świata.

– Czujesz to? – spytał Hodge, a jego głos brzmiał dziwnie radośnie. – Świeży szczurzy mocz. Jeśli nie złapiemy jakiegoś wielkiego skurczybyka, to jestem Chińczykiem.

– Szczury? – zdziwił się Charlie. – Polujemy na szczury?

Jego pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

– Ale... – zaczął ponownie – czy Nadzorowi nie grozi przypadkiem wielkie niebezpieczeństwo?

– Zagrożenie i brak wojowników nie oznacza, że powinniśmy

zaniedbać codzienne obowiązki – odparł teriernik. – Szczury same się nie zabijają.

Nie miało to dla Charliego żadnego sensu – przecież Nadzorowi groziło ponoć wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie powinniśmy obserwować Templebane’ów i tego całego Mountfellona? – zagadnął. – Z tego, co mówiłeś...

– Kucharka została na miejscu i broni Kryjówki – przerwał mu Hodge. – Kowal jest z Lucy Harker na Wyspie Psów i po ostatnim razie na pewno przez jakiś czas nie spuści z niej oka, więc zostaliśmy tylko ty i ja. A ty jeszcze niczego nie potrafisz. No, prawie niczego.

– Potrafię wystarczająco dużo, żeby obserwować i raportować – powiedział Charlie. – Mógłbym przyjrzeć się Templebane’om, a ty Mountfellonowi...

– A kto zabije szczury? – zapytał Hodge.

– Jakim cudem jest to tak samo ważne, jak pilnowanie naszych wrogów? – zdziwił się Charlie.

Hodge zatrzymał się, spoglądając w ciemność poza zasięgiem światła lampy. Dzięki Jedowi widział miejsca oddalone o pięćdziesiąt stóp i zaglądał w ciasne odnogi labiryntu, w których podłogę oddzielały od sufitu ledwie trzy stopy wolnej przestrzeni.

– Nie zostałem teriernikiem i szczurołapem z przypadku, Charlie – oznajmił nagle. – Nadzór zawsze był określany jako organizacja wszechstronna. Nie mieliśmy przy tym styczności z hierarchiami, urzędniczym rygorem i podobnymi bzdurami, ale odkąd istniejemy, dwie funkcje zawsze uchodziły za fundamentalne: kowalstwo i tresura terierów.

Wskazał kciukiem do góry.

– Wbrew temu, co mogłeś słyszeć, wieża jest tu po to, by chronić kruki, a nie na odwrót. Ktoś obciął im skrzydła, więc nie mogą się bronić, a ich jaja to szczurzy przysmak. Zresztą niektóre z tych bestii, zwłaszcza te, które dostają się tu przez Bramę Zdrajcy, są wystarczająco duże, by z łatwością zabić każdego ptaka. Czasem dorównują wielkością Jedowi...

Pies zatrzymał się i zeszywniał. Z ciemności dobiegł ich

ostrzegawczy pisk.

– I właśnie dlatego polujemy na szczury. Na razie wystarczy ci wiedzieć, że żyjące tu kruki trzymają ciemność z dala od nas, a my zobowiązaliśmy się chronić to miasto właśnie przed ciemnością, która jest naszym największym wrogiem. To dlatego tak ważne jest zabijanie w pierwszej kolejności wrogów na miejscu. Wrogowie za murami będą musieli poczekać, ponieważ...

Przerwał.

– Ponieważ co? – zapytał Charlie.

– Ponieważ mam takie przeczucie... – odparł Hodge. – I jeżeli mam być szczery, to przygniata mnie ono bardziej niż tony kamieni nad nami.

– Przeczucie?

– Tak, przeczucie – odparł Hodge, krzywiąc się.

– To jakaś twoja sztuczka? – zapytał Charlie. – Jeden z tych twoich darów?

– Darów? Co masz na myśli?

– No wiesz. Wizja. Specjalna moc.

– A wyglądam ci na kogoś z jakimś darem? – parsknęła Hodge, odwracając ku niemu zakryte opaską oczy. – Nabijasz się ze mnie?

– Nie, nie... – zaprzeczył szybko młodzieniec. – Przepraszam... Nie chciałem...

– Wyluzuj, Charlie. – Hodge się uśmiechnął. – Żartowałem. Nie, nie mam wizji. I szczerze mówiąc, nigdy nie poznałem nikogo, kto by je miał, ani nikogo, kto by kogoś takiego znał. Wiara w jasnowidzów to zabobony. Tak myślę.

– Co?! – zaprotestował Charlie. – A golemy? Albo Sluagh?

– Nie ufasz starszym i mądrzejszym od siebie? – zapytał Hodge.

– Moja mama mówi, że zabobony są prawdą częściej, niż się nam, ludziom, wydaje – oznajmił Charlie.

– Cóż, twoja matka to najwyraźniej mądra kobieta – odparł Hodge. – Tak czy owak, nie mam wizji. Po prostu czuję to w kościach. Jak nadchodzącą burzę. „Przechucie” to może za mocne słowo, ale nie o to chodzi. Poza tym uważam, że byłoby dobrze, gdyby ktoś jeszcze poza mną umiał sobie poradzić

z takim wrogiem.

– W Tower? – zapytał Pyefinch.

Hodge przytaknął.

– Zazwyczaj, gdy było nas wystarczająco wielu, szczurołap miał praktykanta. Swego czasu byłem jednym z nich...

Charlie rozejrzał się po zawilgoconej krypcie. Niemal czuł na ramionach ciężar ziemi i głazów nad sobą. Podobnie jak czuł nacisk otaczającej ich zewsząd ciemności. Skrzywił się.

– Nie chcę nikogo obrazić, ale wydaje mi się, że to nie mnie szukasz. Ja wolę raczej otwarte przestrzenie, wolę być w ruchu, bez ograniczeń...

– Nikt nie lubi ciasnych pomieszczeń – stwierdził Hodge, jak gdyby czytając w myślach Charliego. – Poza tym tu nie chodzi o to, kogo ja szukam, kolego. Praca wybiera nas sama.

Pyefinch po raz kolejny miał zaprotestować, kiedy nagle Jed, znajdujący się gdzieś przed nimi, dosłownie oszalał. Obydwaj zeszywnieli, wsłuchując się w przenikliwe crescendo zajadłego szczekania, które po czymś krótkim, przeraźliwym pisku zamieniło się w spazmatyczny warkot. Po chwili zapadła cisza.

– Dobry pies – powiedział Hodge. – Co za potwór...

Jed wybiegł z mroku. W zębach trzymał martwego czarnego szczura – prawie tak długiego jak on sam. Dumnie pomachał ogonem i upuścił truchło tuż przy butach Hodge'a. Teriernik zagwizdał z podziwem.

– No, no... To największa bestia, jaką widziałem od lat – stwierdził. – Powiedziałbym, że to dla ciebie dobry znak. Coś mi mówi, że przyniesiesz naszej inicjatywie wiele szczęścia.

Charlie spojrział na zdobycz Jeda – na ciemne skołtunione futro i na różowy ogon przypominający krótki bicz, który dziwnym trafem ułożył się w znak zapytania. Zastanawiał się, czy Hodge gwizdże w ciemności i radośnie opowiada o szczęściu dlatego, że wierzy w to, co mówi, czy może raczej chce ukryć fakt, że tak naprawdę boi się czegoś znacznie groźniejszego od szczura, czyhającego na nich w przyszłości jak katowski miecz.

ROZDZIAŁ X

Puste krzesło

Issachar postanowił, że Zebulon Templebane także będzie uczestniczył we własnej stypie. Niezwykłe śniadanie miało się odbyć w biurze kancelarii adwokackiej, której nazwę, pochodzącą od nazwiska braci, wyryto na blacie długiego, skrzypiącego stołu ustawionego w centrum ogromnego gabinetu. To właśnie na nim ułożono otwartą trumnę. U jej wezgłowia zapalono wielką gromnicę z pszczelego wosku. Na zamkniętych powiekach Zebulona spoczywały dwie złote monety, a szczękę podtrzymywała czysta biała chusta zawiązana na czubku głowy. Trumna była czarna i wypolerowana na wysoki połysk – zgromadzeni wokół adoptowani synowie mogli dostrzec w odbiciu zarówno siebie, jak i liczne świece porozstawiane w pokoju. Migotliwy blask oświetlał także potrawy stojące na białym obrusie. Wyglądało to tak, jakby trumna była jakimś makabrycznym rogiem obfitości.

Młodzi Templebane'owie nigdy nie widzieli takich ilości jedzenia i picia, właściwych raczej dla dworskiej uczty niż stypy. Na stole znajdowały się półmiski z mięsivem, kokilki z łososiem i owocami morza, sosjerki wypełnione sosem imbirowym, galaretki z winem, tartaletki, ciasto cytrynowe, krem karmelowy, puszyste placki, sałatka z homara, gołąbki, gotowane ozorki, najrozmaitsze owoce, jajka na twardo, gorące bułki, babeczki, tosty... Były tam też parujące dzbany kakao, a nawet dwie trzylitrowe butle szampana. Stały po przeciwnych stronach trumny niczym wieże strażnicze.

Wszelkie inne meble, które zazwyczaj zajmowały to pomieszczenie, zostały na czas śniadania przesunięte pod ściany – z wyjątkiem jednego, złowieszczego pustego krzesła, na którym miał zwyczaj siadać Zebulon. Issachar usadowił się na drugim końcu stołu, tak aby je widzieć. Do piersi przyciskał złamaną rękę, unieruchomioną na czarnym jedwabnym temblaku. Z każdą chwilą bolało go bardziej, lecz przezornie wziął wcześniej sporą dawkę laudanum, by nie zdradzić choćby najmniejszej oznaki

słabości. Teraz cierpliwie czekał, aż medykament zacznie działać.

Powoli przebiegł wzrokiem po swojej przybranej rodzinie, w milczeniu licząc głowy, jakby sprawdzał obecność personelu hotelowego. Chłopcy nosili imiona zapożyczone od nazw parafii w miastach, z których zostali zabrani, a więc cokolwiek dziwaczne. Najdalej znajdował się krzepki Sherehog ze swoją niedawno złamaną szczęką. Podobnie jak w przypadku ręki Issachara uraz stanowił świeżą „pamiątkę” po spotkaniu z Nadzorem. Najbliżej szczytu stołu zajął miejsce unikający wzroku ojca Coram, jego niegdysiejszy ulubieniec. Między nimi siedzieli Vintry, Jewry, Westcheap, Aldersgate i Backchurch, a po drugiej stronie trumny – Pountney i często z nim mylony Poultry, Outwich, Bothaw oraz Abchurch. Jedynymi nieobecnymi byli ci, którzy utonęli w rzece, oraz zaginiony w tajemniczych okolicznościach niemy Amos, najmłodszy członek tej dziwnej rodziny.

Wszyscy chłopcy w oczywisty sposób czuli euforię z powodu nadchodzącej uczty, ale zarazem starali się nie okazywać emocji, na wypadek gdyby była to jakaś sztuczka. W końcu przyszli na stypę, a nie na przyjęcie weselne.

Issachar uniósł wypełniony po brzegi kieliszek szampana i zaczął powoli pić. On i jego brat robili tak zawsze – do ostatniej chwili utrzymywali wszystkich w niepewności, zmuszając ich do rywalizacji. Uważali, że to najlepszy sposób, aby kontrolować młode umysły, a jednocześnie szkolić je w zakresie dziwnie pojętej wstrzemięźliwości i posłuszeństwa. Wewnętrzne rozdarcie, które wyzierało z twarzy chłopców, a zwłaszcza niepewne spojrzenia to na potrawy, to znów na trumnę, bawiły go bardziej, niż to sobie wcześniej wyobrażał. Ale nie po to przygotował całe to ekstrawaganckie przedstawienie, żeby ich torturować. Miał o wiele większe plany. Czuł, że życie jego brata powinno zostać uczczone w jakiś nietypowy i godny zapamiętania sposób. Odstawił kieliszek, wytarł usta serwetą i przemówił:

- Jak myślicie, dlaczego się tu zebraliśmy?
- Uczta pogrzebowa – wycedził Sherehog.

Jego złamana szczęka została starannie usztywniona przez nastawiacza kości, ale w taki sposób, że musiano mu usunąć jeden ząb, żeby chłopak mógł cokolwiek pić i jeść. Oczywiście, w tym ostatnim przypadku mógł wciągać przez słomkę tylko mocno rozrzedzone papki, więc najczęściej wybierał to pierwsze i pewnie dlatego chodził nieustannie pijany

– Stypa – dodał Westcheap.

– Mamy oddać honor poległym – stwierdzili Outwich i Poultry jednocześnie.

Templebane pokręcił głową. Wskazał na wolne krzesło na drugim końcu stołu.

– Jesteśmy tu, aby wypełnić puste miejsce – powiedział. – Śmierć nie tylko zabiera. Śmierć także daje. I w tym przypadku podarowała nam wolne stanowisko.

Chłopcy wymienili spojrzenia, a ich oczy w jednej chwili zabłyśły. Issachar i Zebulon dobrze ich wytrenowali. Ich podopieczni potrafili zwietrzyć nadchodzącą okazję – nawet kiedy nie wiedzieli, czego dokładnie dotyczy.

Zamaszystym gestem Issachar wskazał potrawy rozłożone wokół trumny.

– Wykwintne dania, szlachetne trunki... Wszystko to jest niczym w porównaniu z luksusem, w którym będzie dane pławić się temu, kto zasiądzie na tym krześle. Jedyne, co musicie zrobić, to je zdobyć...

Zebrani znów spojrzeli po sobie. I wtedy Sherehog, który przedkładał fizyczną konfrontację nad dezorientujące dlań intrygi i sztuczki, poderwał się z miejsca. Kiedy tylko to zrobił, co najmniej połowa zgromadzenia poszła w jego ślady, ruszając na oślep ku krzesłu.

– SIADAĆ!

Głos Issachara zabrzmiał jak grom, po czym zapadła niemal zupełna cisza. Kłótnia dobiegła końca, zanim na dobre się zaczęła. Chłopcy ponownie zajęli miejsca, a w pokoju słychać było tylko szuranie taboretów i nerwowe pokasywanie.

Issachar powiódł surowym wzrokiem po wszystkich synach, sprawiając, że każdy z nich poczuł się skarcony i napiętnowany.

– By zasiąść na tym krześle, musicie na to zasłużyć – rzekł niebezpiecznie spokojnym tonem.

Ktoś podniósł rękę. Issachar spojrział na niego. Należał on do chłopców, którzy wcześniej nawet nie ruszyli się z miejsca.

– Coram? O co chodzi?

– W jaki sposób, ojczu?

Issachar usiadł z powrotem, a jego usta wykrzywiły się tak, jakby właśnie zjadł coś wyjątkowo niesmacznego. Spojrział na trumnę, po czym jego wzrok powędrował w stronę gromnicy i zatrzymał się na płomieniu migoczącym na jej szczycie.

– Coramie, Coramie... – westchnął Issachar.

Reszta synów wymieniła spojrzenia. Wszyscy dobrze wiedzieli, że za chwilę ich brat zostanie ukarany, i zarazem skrycie cieszyli się, że nie będzie to żaden z nich. Abchurch zdążył nawet nerwowo zachichotać, zanim Westcheap przygwoździł mu stopę do podłogi swoją ciężką piętą.

– Coramie – powtórzył Templebane – spośród wszystkich tu obecnych ty zasługujesz na to krzesło najmniej.

Sherehog kopnął Corama pod stołem, trafiając go czubkiem buta w goleń, ten jednak to zignorował. Był zbyt skupiony na obserwowaniu mimiki Issachara. Zasadniczo istniały dwa powody, dla których ojciec mógł być teraz na niego zły. Pierwszy oznaczał konsekwencje, które dało się przeżyć, ale drugi – zdrada – skończyłyby się tym, że któregoś chłodnego poranka znaleziono by go na brzegu Tamizy z twarzą w wodzie. A ponieważ był pewien, że Issachar nie zna jego tajemnicy i nie wie, że przybrany syn zgodził się zostać oczami i uszami Mountfellona, zdał sobie sprawę, że będzie musiał się zmierzyć z pierwszym z owych powodów.

Nie bez powodu przed klęską w Blackwall Reach był jednym z najbardziej faworyzowanych synów. Zawsze rozumiał, że czasem – bardzo rzadko, ale jednak – można było zaimponować ojcom także pokazem silnej woli, a nie tylko ślepym posłuszeństwem. I to właśnie dlatego, mimo że nie za bardzo pojmował, do czego to wszystko zmierza, postanowił wybrać tę właśnie drogę, wiedząc dobrze, że choćby najmniejsze

mrugnięcie powiekami będzie w tej sytuacji równoznaczne z oblaniem egzaminu.

– Ponieważ wróciłem – powiedział stanowczo i powoli.

Issachar niespiesznie przeniósł na niego wzrok.

– Ponieważ wróciłeś ŻYWY – uzupełnił.

– A Ojciec Nocny nie.

Każdy przebywający w pokoju chłopak dostrzegł, że mięśnie szczęk Corama na moment drgnęły.

– A mój brat nie – potwierdził Issachar.

Po tych słowach cisza stężała niczym woda zamarzająca w stawie. Ale tylko na kilka sekund, bo nagle Coram wstał, a głośne szurnięcie taboretu sprawiło, że Issachar aż uniósł brew. Poza tą dwójką wszyscy pozostali trwali w absolutnym bezruchu.

– Gdybym to ja znajdował się na tamtej łodzi zamiast nieodżałowanego Bassetshawa, który tak naprawdę był zwyczajnym głupcem, albo zamiast biednego Garlickhythe'a, który potrafił być wyjątkowo okrutny, ale odwagą nigdy już nie grzeszył, Ojciec Nocny być może wróciłby nietknięty – oznajmił.

– Ale on pozostawił mnie z Mountfellonem. To była jego decyzja, nie moja. Gdybym to ja z nim popłynął, uratowałbym go bez względu na cenę. A jeśli tak by się nie stało, nie wróciłbym.

Wokół stołu rozległ się cichy świst oddechów.

– Mówisz źle o zmarłych i pragniesz mi się tym przypodobać? – spytał Issachar.

Coram nawet nie drgnął. Wiedział, że nie wolno mu okazać słabości.

– Mówię prawdę i dobrze o tym wiesz. To ich powinieneś winić, nie mnie. Tak byłoby sprawiedliwie. Rozumiem twoją żalobę, ojczy, ale oskarżając mnie, nie tylko popełniasz błąd, lecz także działasz na szkodę Domu Templebane'ów, niszcząc lojalnego i zaradnego służącego. A jak wiem, na dobrym imieniu kancelarii zależy ci najbardziej.

– Doprawdy?

– Tak – odparł Coram. – Jeżeli jednak się mylę i faktycznie nie masz ze mnie żadnego pożytku, wystarczy jedno słowo, a odejdę

stąd i nigdy już nie wróce.

Issachar wpatrywał się w chłopca przez dłuższą chwilę. Wreszcie przechylił głowę.

– Usiądź – rozkazał.

Coram zajął miejsce. Dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo jest spięty, gdyż jego noga natychmiast zaczęła bezwiednie dygotać. Na szczęście nie widział tego żaden ze zgromadzonych.

– Jedna rzecz – podjął Issachar. – Nie potrzeba mi twojego współczucia, nie możesz bowiem pojąć, co tak naprawdę przeżywam.

Coram opuścił głowę, a kiedy znów ją podniósł, zdawało mu się, że przez twarz Issachara przemknął ledwie widoczny uśmiech wyrażający aprobatę.

Ojciec spojrział na pozostałych.

– A zatem... – zaczął oficjalnym tonem – oto sposób, który pozwoli zająć krzesło mojego brata i stać się moim zastępcą...

Wszyscy gorliwie pochyliли się do przodu, jakby nie chcieli uronić ani jednego słowa.

– Warunkiem jest przedłożenie planu całkowitego zlikwidowania Nadzoru i zniszczenia głównej siedziby organizacji przy Wellclose Square. Jeżeli Dom Templebane'ów ma się rozwijać, w Londynie nikt nie może nam przeszkadzać. Zwłaszcza oni. Nasi potężni sojusznicy na razie trzymają się w cieniu. Dzięki ich pomocy zdołamy osiągnąć dalekosiężne cele. Nadzór usiłuje nam tę współpracę uniemożliwić pod pretekstem łamania jakichś przestarzałych sekretnych praw, których egzekwowanie przypisują wyłącznie sobie. Ci rzekomi obrońcy sprawiedliwości są tak naprawdę zwykłymi intrygantami o śmiesznym, archaicznym rodowodzie, jak i banalną przeszkodą w skutecznym handlu i niczym więcej. A handel to postęp, chłopcy, ludzkość zaś potrzebuje postępu. Dlatego wszelkie przeszkody na drodze naszego wielkiego przedsięwzięcia muszą zostać raz na zawsze usunięte. Chcę mieć zatem plan, ale taki, w którym wszystko będzie wyglądało na wypadek. Nasz wróg jest przebiegły i wyjątkowo zaradny, więc musimy się

zabezpieczyć na wszelkie możliwe sposoby. Ale plan ma się powieść. Nadzór ma być pod stałą obserwacją, żądam składania raportów dwa razy dziennie, kiedy się budzę i kiedy idę spać. Ten, kto najlepiej poradzi sobie z tym zadaniem...

Przerwał i wymownie wskazał puste krzesło. Uniósł kieliszek.

– Wznieśmy toast, chłopcy. Za pamięć mojego brata. I za zniszczenie Nadzoru.

ZA BOAZERIĄ ŚWIATA

*Jak w wielkiej skrzyni na różne szpargały
W której złożono pudełka, szkatułki
Tak świat ten może być pełen cały
Innych, mniejszych, jednych skrytych w drugich*

Margaret Cavendish
księżna Newcastle upon Tyne (1623–1653)

...przypuszcza się, że w środku znanego świata znajdują się także inne, odległe od naszej rzeczywistości ledwie o szerokość papieru, a mimo to dla nas nieosiągalne. Co jest pewne, to że świat nasz przeplata sieć korytarzy łączących ze sobą określone miejsca. Wejściami i wyjściami są podwójne lustra – pozwalają one w ułamku sekundy przenieść się skrótem do celu i oszczędzić sobie w ten sposób setek mil nużącej wędrówki.

Dla osób mających umiejętność obsługiwania portali – jak dla myszy znikającej za boazerią – możliwe jest błyskawiczne wejście w te korytarze przez powierzchnię pierwszego zwierciadła, a także poruszanie się w odczuwalnej za nią przestrzeni. Dla śmiertelnika ten lustrzany świat nie jest jednak żadnym dobrodziejstwem, a raczej nowym, nieznanym terytorium (być może wciśniętym pomiędzy niedostępne nam wymiary), zarówno cudownym ze względu na sposobność szybkiego przemieszczania się, jak i niebezpiecznym... W szczególności groźne są Czarne Lustra, o których charakterze nie wiadomo mi nic poza tym, że budzą przerażenie w każdym, kto kiedykolwiek przemierzał ten dziwny labirynt.

W świecie tym żyją zjawy nazywane lustrzakami lub też zabolcami, jak się je potocznie nazywa. Osobiście uważam, że słowo „zjawia” nie tyle nawiązuje do podobieństwa do ludzi, ile

raczej odnosi się do bezcielesności bytu owych istot. To dzięki tej cesze potrafią one za pomocą zwierciadeł sprawnie przemieszczać się z miejsca na miejsce. Ponadto w sytuacji zagrożenia lub podczas ataku – co jest nawiązaniem do ich potocznej nazwy – bez większego wysiłku mogą wykonać ogromny, żabi skok.

Istnieje opinia, która głosi, że lustrzane labirynty jest to miejsce, gdzie nadnaturalni zbrodniarze mogą bezpiecznie ukryć się przed prawem. Zważywszy na to, można domniemywać, iż wymiar ten stanowi idealną kryjówkę dla uciekinierów, którzy nieustannie krzywdzą lub skrzywdzili świat zewnętrzny i są ścigani przez tych, na których spoczywa obowiązek dbania o ład i porządek.

Wyjątek z Wielkiej i tajemnej historii świata autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)

ROZDZIAŁ XI

Danina krwi

Sara wciąż szła przez labirynt luster. Ze ślepym uporem kroczyła przed siebie, popadając w stan bliski transowi, aż wreszcie zdała sobie sprawę, że kompletnie straciła poczucie czasu. Co gorsza, nie była pewna nie tylko godziny, ale nawet pory dnia. Wrażenie to było bardziej osobliwe niż wszystko, co dotychczas przeżyła. Do tego im głębiej zanurzała się w plątaninę lustrzanych korytarzy, tym bardziej traciła poczucie rzeczywistości i tym luźniej czuła się powiązana ze światem zewnętrznym. Tak, zdecydowanie czas przestał się dla niej liczyć, a ona z każdym kolejnym krokiem nieubłaganie oddalała się od prawdziwego życia. Czuła się, jakby dryfowała we mgle, i to w sposób, który przyprawiał ją o mdłości. Nagle zrozumiała, że nie tylko nie rozpoznaje pór dnia, ale nawet nie wie, czy przebywa w lustrach parę minut, godzin, dni, czy tygodni. Myśl ta zawirowała jej w głowie, wywołując dodatkowe oszołomienie.

Kruk siedział na ramieniu Sary przez cały ten czas, pocieszając ją swoją bliskością. W tej chwili trzymał głowę schowaną pod skrzydłem, jakby spał.

– Jak długo już idziemy? – zapytała.

Ptak uniósł łebek, potrząsnął nim, rozejrzał się wokół i znowu nakrył go skrzydłem.

– Ty też? – powiedziała. – Nie jestem w stanie stwierdzić, czy minęła godzina, dzień, czy tydzień. Ale nie czuję się zmęczona.

Kruk nie miał nic do dodania.

Podrapała się tuż nad miejscem, w którym odcięto jej dłoń.

– Ale swędzi mnie nadgarstek. Jest coraz gorzej.

Uniosła brzeg skórzanej rękawicy, odsłaniając wąską, srebrzystą obręcz oplatającą jej rękę.

Kruk otworzył oko i kłapnął dziobem.

– Nie wiem – odparła Sara. – Po prostu o tym nie myślałam.

Zdrową ręką ujęła doczepioną dłoń i ją przekreśliła.

Kruk ponownie kłapał dziobem.

– Nie przesadzam – powiedziała. – Chcę tylko, żeby...

Kończyna rozeszła się w miejscu srebrnego złącza, odsłaniając dwa zwierciadlane owale po obu stronach cięcia. Choć kikut wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zgubiła dłoń w lustrach, jego widok zawsze wprawiał ją w zakłopotanie. Podobnie jak myśl o odczepianiu i doczepianiu dłoni. Spojrzała na zaciśniętą pięść. Otworzyła ją, rozprostowując palce i powoli nimi poruszając.

– No proszę, nawet nie wiedziałam, że tak potrafię. – Na powrót doczepiła dłoń do kikuta. – To ciekawe – zwróciła się do swego towarzysza – ale ręka wciąż swędzi...

Ponownie zdjęła dłoń i z uwagą przyjrzała się lustrzanej powierzchni.

Gdyby tego nie zrobiła, nie zauważyłaby pionowych korytarzy nad głową, które prowadziły gdzieś ku niewidzialnemu niebu. Powtarzały się raz za razem w kolejnych, identycznych odbiciach, tworząc coś w rodzaju serii kominów odpowietrzających. W pewnym momencie w jednym z nich pojawił się jakiś wielki cień zasłaniający nieomal cały otwór. Lewitował na samym szczycie, najwyraźniej gotowy do ataku.

Nagle dziwna sylwetka rozmyła się, a Sara uświadomiła sobie, że upiór mknie w dół. Odskoczyła odruchowo, wpinając dłoń z powrotem w nadgarstek i dobywając zza pasa najdłuższego ze swych ostrzy. Kruk, zaalarmowany gwałtownym ruchem, niezdarnie wzbił się w powietrze.

Istota miękko wylądowała naprzeciwko Sary, unosząc czarny obsydianowy nóż. Kamienna klinga wyglądała na bardzo ostrą, a jej ciemna barwa przedziwnie kontrastowała z trupią bladością uzbrojonego w tę broń człowieka.

Cera mężczyzny idealnie pasowała za to do jego niezwykłego ubioru, który zatracił wszelkie kolory, jakby przez całe lata był wystawiony na działanie promieni słonecznych – choć Sara domyślała się, że winę ponosiły spragnione światła lustra. Niezwykłość stroju brała się też z jego archaiczności. Składał się z długiej kamizelki modnej półtora wieku temu, w czasach restauracji Stuartów, a także krótkich spodni z nogawkami

zawiązanymi pod kolanem. Łydki mężczyzna miał gołe, podobnie jak stopy, na jego głowie zaś tkwiła stara, potargana peruka, której szare loki okalały pociągłą, bladą twarz kawalera.

Właśnie, twarz. Szerokie półkola worków pod głęboko osadzonymi oczami, obwisłe policzki, pomarszczony podbródek z podwójnym fałdem skóry pod nim – można było odnieść wrażenie, że całe to upiorne oblicze spływa z czaszki niczym roztopiony воск. Jedynie spojrzenie upiora, przewiercające Sarę na wylot, miało w sobie jakąkolwiek wyrazistość.

– Lustrzak – powiedziała cicho.

Kruk zakrakał zgodnie i wzbił się ponad głowę Sary, a potem zawisł w powietrzu, odstrasza ją machając skrzydłami.

Określanie upiora tym mianem nie było jakimś celowym, przemyślanym działaniem, ale zwykłym odruchem. Tak samo machinalnie powiedziałyby „krowa”, gdyby takowa wyskoczyła na nią podczas spaceru po farmie. Ale nazwanie rzeczy po imieniu miało pewną moc. A nazwanie czegoś, o czym mogło się jedynie przeczytać, spowodowało, że o dziwo, poczuła się znacznie bezpieczniejsza. Bo jeśli ktoś natknął się na lustrzaka i potem o tym napisał, to przecież tym samym dowiódł, że można takie spotkanie przeżyć.

– Pani – powiedział upiór z błyskiem w oku, po czym wykonał gest przypominający dworski ukłon. Uczynił to raczej przez wzgląd na dobre maniery niż z chęci okazania szacunku.

Sara nieznacznie opuściła nóż. Nie miałyby nic przeciwko, jeśli rozmowa pozwoliłaby jej uniknąć walki. Lustrzak był roslym mężczyzną i na lekko ugiętych kolanach sprawiał wrażenie niemal olbrzyma. Poza tym zdecydowanie pewniej się czuła, walcząc słowem niż ostrzem.

– Czego chcesz? – zapytała. – Nie szukam kłopotów. Chcę tylko spokojnie iść dalej.

– Więc możesz iść – odrzekł lustrzak i uśmiechnął się szeroko.

Wolałaby, żeby tego nie robił, gdyż tym samym odsłonił dwa szeregi czarnych jak smoła zębów. Przez moment myślała, że są po prostu zepsute, ale szybko zorientowała się, że jest w błędzie. W jakimś sensie zdawały się mieć taką samą strukturę jak lśniący

kamienny nóż, który upiór wciąż trzymał w dłoni.

– Dziękuję – odparła.

Powinna poczuć ulgę, ale wołała nie zapeszać. Zamiast tego szacowała, jak najzgrabniej wyminąć lustrzaka. Ciekawe, czy – oczywiście przy założeniu, że przepuści ją bez walki – zdoła kontynuować wędrówkę bez paraliżującego strachu, że upiór podąży za nią i obserwuje. Samo przemierzanie labiryntu luster było już wystarczająco nieprzyjemne, żeby dodawać do tego jeszcze bycie śledzonym przez kogoś takiego. Zrozumiała, że to opustoszałe, wręcz sterylne miejsce w istocie jest bardzo groźne.

– O, o, o – zatrzymał ją lustrzak, kiedy tylko ruszyła do przodu. – Musisz zapłacić.

– Zapłacić? – spytała Sara, zatrzymując się i ściskając nóż w dłoni. – Czym?

– Krwią – odparł. – Nie opłaciwszy tego myta, nikt nie wkroczy na nasz teren.

Kruk kłapnął dziobem w proteście.

No cóż, westchnęła Sara w myślach, więc jednak nie obejdzie się bez walki. Żałowała, że nie ma z nią pana Sharpa.

– Uczciwie cię ostrzegam – powiedziała, unosząc upierścienioną dłoń w rękawicy. – Mocą Prawa i Obyczaju, daj nam przejść. Jesteśmy Nadzorem.

Istota wyglądała na niewzruszoną.

– Możesz sobie być Nadzorem, moja pani, lecz skąd to „jesteśmy”? Dostrzec mogę tylko jedną ciebie, za tobą twojego ptaka, a w długim łańcuchu luster, w całej ich nieskończoności, nikogo więcej... Zapłacić.

– Tak się tylko mówi – wyjaśniła. – To tradycyjne powiedzenie używane przez noszących ten pierścień. Oznacza, że skrzywdzenie jednego z nas to skrzywdzenie wszystkich i jeżeli się na to poważysz, doświadczysz ich zemsty.

– No proszę, proszę – odparł. – Bardzo zgrabna formuła, lecz MOJE tradycyjne powiedzenie jest nie gorsze i oznacza, że musisz uiścić opłatę, zapewniając džentelmenowi z luster odrobinę orzeźwiającego napoju. – Sięgnął do szerokiej kieszeni kamizelki i wyjął z niej wysłużony cynowy kubek. – Lub, w prostszych

słowach, albowiem pojmuję, że niewykształcona kobieta może wymagać jaśniejszego objaśnienia, upuść swojej krwi albo daj mnie to zrobić, moja piękna, gdyż bez tego dalej nie pójdziesz.

Postawił kubek przed sobą i kopnął go w jej stronę, sugestywnie machając nożem.

– Chcesz upuścić mi krwi? – zapytała.

– Życie w lustrach rozrzedza płyny witalnościowe – odparł. – Pozbawia energii, odbiera zdolność widzenia barw. Ale tak to już jest. Dlatego gdy przechodzisz przez naszą krainę, musisz zapłacić.

– Ale to półpintowy kubek – zaprotestowała Sara. – Wiesz, ile to krwi?

Kiedy była dzieckiem, dziadek upuszczał jej krew, by złagodzić gorączkę. Ulał zaledwie kieliszek, a czuła się osłabiona i obolała przez kilka następnych dni. Pół pinty krwi, szczególnie w jej obecnym stanie, nie wróżyło dobrze. Wątpiła, by mogła oddać choć połowę tego.

– Napełnij go dwukrotnie i możesz przejść... – Lustrzak wzruszył ramionami, znów odsłaniając czarne zęby w paskudnym uśmiechu.

– Dwukrotnie? Powiedziałeś napój, a nie napoje.

– Owszem, ale to już przeszłość. – Znowu wzruszył ramionami.

– Kiedy ty najwyraźniej wciąż nie możesz powiedzieć o sobie „jesteśmy”, ja mogę – dodał, wskazując głową na coś za jej plecami.

Kruk zakrakał ostrzegawczo. Sara odwróciła się i ujrzała drugiego upiora migoczącego w zwierciadlanej ścianie dwa lustra wstecz.

Nowy lustrzak trzymał w rękach długi łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę. Bez wątpienia żył znacznie dłużej pośród luster niż ten pierwszy. Miał na sobie skórzany kaftan, ciasne getry i saczek, wszystko tak wybielone, że wyglądał jak jednolita biała smuga. Tylko oczy miał tak samo czarne jak wyszczerzone w niepokojącym uśmiechu zęby i obsydianowy grot strzały wycelowanej prosto w serce Sary.

– Kubek dla mnie, kubek dla niego, wypłać się i ruszaj w drogę –

powiedział pierwszy lustrzak.

– Nie mogę – odparła.

– Nie możesz NIE MÓC, moja droga, jeżeli bowiem nie będziesz w stanie zapłacić dobrowolnie, pobierzemy myto sami – wyjaśnił. – Próbuję to załatwić jak džentelmen, ale nie mamy całego dnia. Jeżeli pojawi się kolejny z moich kompanów, wymagać będziemy trzech kubków, a wtedy zrobi się bardzo brudno.

– Bardzo brudno? – powtórzyła pytająco Sara, umyślnie grając na czas.

Od momentu pojawienia się łuczника rozważała natychmiastową ucieczkę z luster, ale nie wiedziała, czy uda jej się to zrobić wystarczająco szybko, by uniknąć strzały. Poza tym nawet jeśli opuściłaby labirynt bez szwanku, nie miała pewności, czy lustrzaki nie podążyłyby za nią.

Upiory przede wszystkim żyły w lustrach, lecz czasem potrafiły także na krótko przenosić się do realnego świata. O ile nie przebywały poza swoją krainą zbyt długo, czas nie czynił im większej szkody. Przynajmniej tak napisano w księgach. Inna sprawa, że patrząc na nich, na pozbawioną życia powłokę i czarne zęby, Sara nie miała wątpliwości, że nawet jeśli to prawda, to jednak COŚ tę szkodę im czyni.

Poczula szturchnięcie w plecy. To łucznik o bosych stopach podszedł i dźgnął ją końcówką strzały.

– Brudno znaczy krew na lustrach – wyjaśnił głębokim, zniszczonym głosem, który brzmiał, jakby każde słowo przeciągnięto po żwirze. – My nie lubimy krwi na lustrach. Zakrwawione lustro to potworna rzecz, mój kwiatuszku. Zakrwawione po tej stronie... Dlaczego miałoby być tyle bólu...

– I niekoniecznie tylko PO TEJ – dodał jego kompan, a potem zaśmiał się tubalnie. – Zakrwawione lustro staje się szerniałym lustrem, a co jest po drugiej stronie Czarnego Lustra...? – Pokręcił głową, wprawiając w ruch swoje szare loki. – Nie wiesz?

– Prawdziwe strachy, ale lepiej o nich nie mówić – odpowiedział łucznik i również zachichotał. – Na wypadek gdyby miały uszy i oczy...

Odwróciła się, by uważniej mu się przyjrzeć. Był mniej więcej jej wzrostu i z pewnością bardziej bojaźliwy od kawalera, bo na jej gwałtowny ruch zrobił szybki krok w tył i wycelował strzałę w jej oko.

– Czarne Lustra nas obserwują – wyrzucił z siebie. – To niedobrze. Nie chcemy, żeby powstawały nowe – dodał i jeszcze mocniej naciągnął cięciwę łuku. – A teraz nie ruszaj się. Wtedy bez trudu trafię i nie będziesz zbyt krwawiła. Postaraj się, mój króliczku.

Sara Falk wciąż wpatrywała się w niego, próbując oczyścić umysł. To, co zaraz się stanie, nie będzie miało nic wspólnego z myśleniem. Będzie polegało na poruszaniu się z bardzo, bardzo dużą prędkością.

– Dobrze – odparła, biorąc głęboki oddech. – Zrobię dokładnie tak, jak mówisz...

I zrobiła. Nie ruszyła się nawet o centymetr. Utrzymała z nim kontakt wzrokowy, wpatrując się ponad promieniem strzały w jego jedyne otwarte oko. Najwyraźniej nie zamierzał ustąpić, co jej pasowało, ponieważ będąc skupionym na tym przedziwnym pojedynku, nie zarejestrował rozmytego szybkością ruchu jej ręki.

Sara pochwyciła strzałę, zanim zdążył ją wypuścić, i zerwała z napiętej cięciwy. Kiedy łuczniczka rozprostowała palce, z całych sił cisnęła strzałą w przeciwnym kierunku.

Cięciwa pomknęła w stronę brzucha, rozdzierając lotki, a zaraz potem boleśnie uderzyła Sarę w bok pięści. Dokładnie w tym samym czasie tył strzały przebił oko łuczniczki i zatonął w jego mózgu z charakterystycznym mlaśnięciem.

Sara usłyszała za sobą ryk gniewu i bardziej wyczuła, niż zobaczyła nacierającego na nią upiora. Błyskawicznie uchyliła się w bok, dźgając strzałą w przestrzeń nad barkiem i mając nadzieję, że trafi napastnika. Nic takiego jednak się nie stało, bowiem grot napotkał kamienne ostrze i ześlizgnął się po nim, zaledwie drasnąwszy lustrzaka. Ten zaskomlał z bólu, a potem padł na łuczniczka. Obaj runęli na podłogę.

Sara mogła teraz zdecydować, czy zostać i spróbować go dobić,

czy też uciekać, zyskując na czasie. Ale tak naprawdę wybór był tylko jeden. Przełożyła ostrze do prawej ręki i skoczyła naprzód.

Lustrzak dostrzegł jej ruch, obrócił się na bok, po czym zamigotał i... zniknął.

- Cholera - sapnęła Sara w locie, uświadamiając sobie, że przeciwnik właśnie wszedł w najbliższe lustro.

Nie mogąc wyhamować, przeskoczyła nad martwym łucznikiem, po czym szybko rozejrzała się dokoła. Jeżeli napastnik uciekł przez jedno ze zwierciadeł, w każdej chwili mógł z łatwością powrócić przez inne.

Kątem oka wyłapała nieznacznym ruch i instynktownie rzuciła w tę stronę nożem. Odwracając się, zobaczyła wirujące ostrze pędzące prosto w upiora, który jednak zdążył zamigotać i przeniknąć przez kolejne lustro. Nóż odbił się od gładkiej tafli i upadł z brzękiem.

Kierując się logiką, Sara założyła, że tym razem lustrzak spróbuje pojawić się gdzieś za nią, po drugiej stronie tunelu, rzuciła się więc przed siebie, by odzyskać broń, jednocześnie wyjmując zza cholewy drugi nóż. Zanim pokonała połowę drogi, przekonała się, jak bardzo się myliła. Upiór wyskoczył nagle z lustra tuż przed nią, stając w lekkim rozkroku, gotowy do walki. Na szczęście patrzył tam, gdzie była przed chwilą - ich spojrzenia się spotkały, dopiero gdy przebiegła koło niego.

Lustrzak zamachnął się i wykonał cięcie, ale zrobił to zbyt zamasyście i zbyt wolno, żeby trafić. Znów szybko wskoczył w lustro i pojawił się o kilka kroków dalej, między wciąż biegnącą Sarą a leżącym na podłodze nożem.

Kolejny cios z pewnością by ją dosięgnął, gdyby nie odchyliła się i nie prześlizgnęła pod obsydianowym ostrzem, które ze świstem przemknęło tuż nad jej twarzą, tak że poczuła podmuch powietrza. W końcu dotarła do rzuconego wcześniej noża, chwyciła go i wykonawszy przewrót w przód, stanęła pewnie na nogach.

Upiór wszedł w kolejne lustro. Najwyraźniej nie miał problemu z przenikaniem przez nie, a co gorsza - także z określaniem, gdzie się pojawi.

Sara znieruchomiła i zaczęła nasłuchiwać. Kruk machnął skrzydłami i wylądował na jej ramieniu, po czym obrócił się w miejscu, by obserwować jej tyły.

– Dobry pomysł – powiedziała, ciężko oddychając. Spróbowała się uspokoić i spowolnić rozszalałe tętno. – Dziękuję.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Byli sami, oczywiście nie licząc martwego łuczника, który leżał w kałuży krwi jakieś sto stóp od Sary.

Nagle lustrzak znów pojawił się w korytarzu, ale już w pewnej odległości.

Zanim zdążyła cisnąć nożem, ponownie zamigotał i zniknął.

Sara ze zdziwieniem spostrzegła, że za każdym razem, kiedy upiór przekracza taflę jakiegoś zwierciadła, czuje przedziwne mrowienie na podeszwach stóp. O, tak jak teraz. I znów. Lustrzak w tym czasie ponownie pojawił się w korytarzu i zaraz zniknął. O dziwo, za każdym razem uśmiechał się coraz szerzej, ukazując swoje poczerniałe, obsydianowe zęby, jakby cieszyła go ta śmiertelna zabawa w kotka i myszkę.

– To tylko kwestia czasu – powiedział podczas kolejnej krótkiej bytności na korytarzu.

Sara czuła się coraz bardziej zdezorientowana. Szukając sposobu na wyjście z opresji, zastanawiała się, dlaczego lustrzak jej nie atakuje i woli trzymać się na dystans. Kiedy odkryła powód, aż ją zamurowało. Jak zawsze to nie zawziętość czy szybkość, ale myślenie dało jej przewagę. Upiór chciał ją maksymalnie osłabić, zmęczyć, wywołać zawroty głowy. Lecz wykorzystując tę strategię, nie przewidział, że Sara poczuje vibracje poprzedzające jego ruchy.

Wiedziała, co robić.

Stała twarzą do jednej ze ścian, zamknęła oczy i skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. Pewnie ścisnęła noże. W momencie, w którym po raz kolejny poczuła vibracje, gwałtownie wyrzuciła ramiona na boki, a ostrza pofrunęły w obie strony korytarza. Otworzyła oczy i spojrzała w głąb pustej przestrzeni po lewej. Jednocześnie po prawej stronie rozległo się głucho uderzenie. Szybko odwróciła głowę w tę stronę.

Kruk zakrakał z aprobatą i wzbił się w powietrze.

– Niech cię szlag – zaklął lustrzak, spoglądając na nóż wbity po rękojeść w jego udo.

Pulsujący strumień krwi jasno wskazywał, że przebiła mu tętnicę. Upiór wyciągnął rękę w stronę najbliższej ściany, lecz zanim jej dotknął, nogi załamały się pod nim i ciężko opadł na podłogę.

Sara dobyła swojego ostatniego, trzeciego noża. Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie, pani, nie musisz – powiedział cicho, kręcąc głową. – Ze mną już koniec. Zachowaj ostrze.

Przeniósł wzrok na kałużę krwi, która wciąż pod nim rosła. Była ciemnoczerwona, prawie czarna, znacznie gęstsza niż krew ludzka.

Chwycił rękojeść noża i wyjął ostrze z nogi. Z nieokreśloną fascynacją wpatrywał się w czerwoną plamę wyrosłą nagle na wyblakłym materiale spodni. Znowu pokręcił głową.

– Nie powinno tak być, ale wina leży po mojej stronie. Nie myślałem, że tak piękna róża może kryć w sobie tak bezlitośnie ostre ciernie. Lecz zbliż się, opuszcza mnie bowiem ma siła, a jest coś, co muszę ci powiedzieć...

Sara podeszła powoli. Zachowała bezpieczny dystans, świadoma, że wciąż jest uzbrojony.

– Cóż – westchnął z rozczarowaniem. – Powiniennem był cię zabić od razu.

Sara przytaknęła.

– Powinieneś – dodała dla jasności.

– Zawsze miałem słabość do urodziwych kobiet – powiedział. – Takaś piękna się wydawała... – uśmiechnął się, a ona znów wzdrygnęła się na widok jego czarnych zębów – a takaś sroga okazała. Ja zaś boleśnie żem upadł, by nigdy się już nie podnieść... i tak dalej, i tak dalej... Obawiam się, że zabiłaś także moją zdolność do epigramatyki... – Z trudem wykonał subtelną gest dłonią. Wciąż wpatrywał się w Sarę, jakby starał się odgadnąć jej emocje, a jego niepozabawione figlarności spojrzenie przygasało. – Wziąłem cię za damę.

Wypuścił z dłoni nóż, który upadł w sam środek lepkiej kałuży. Sara bez emocji przyglądała się, jak upiór kaszle czarną śliną na swoją kamizelkę. Ściągnął perukę, odkrywając białą czaszkę pokrytą rozrzedzoną szczeciną, i przetarł rękawem spocone czoło oraz oczy.

– Zrobiłaś z nas parę głupców – dokończył. – I pomyśleć, że biedny Ned Łucznik nawet nie lubił kobiet...

Sara spojrzała na niego z góry i palcem wskazującym stuknęła kilka razy w pierścień na drugiej dłoni.

– Tak jak powiedziałam, jesteście Nadzorem. Przygotowano nas na wszystkie ewentualności i świetnie wyszkolono. Kiedy musimy, bez wahania podejmujemy walkę.

Spojrzała na kałużę krwi pomiędzy jego nogami. Ze zdziwieniem odkryła dwie rzeczy, które zrazu wydały się jej złudzeniem. Po pierwsze, ciemna ciecz po jednej ze stron dotarła już do innego lustra, ale choć znajdowało się niżej, nie spłynęła na nie, a po drugie, upiór zdawał się zanurzać w owej cieczy.

– Nie doszłoby do tak bezsensownego aktu przemocy, gdybyś posłuchała moich słów – ciągnął.

– Nie doszłoby – potwierdziła. – Ale gdybym spełniła twoje żądanie, byłabym teraz martwa albo umierająca.

– Ale ja chciałem jedynie odrobinę krwi – westchnął. – Przecież należy mi się moje myto...

– Masz wystarczająco dużo swojej własnej – odparła. – Spójrz tylko.

– Potrafisz być twarda – zarechotał.

– Dziękuję – odpowiedziała i ruszyła z powrotem w głąb korytarza, by odzyskać swoją broń.

Oczywiście przezornie obserwowała go kątem oka i widziała, jak kaszlał i drgał. A kiedy pochyliła się po ostatni nóż, nagle szarpnęła się i... zniknął.

Choć nie, nie zniknął. Była niemal pewna, że przez krótką chwilę widziała coś czarnego, co uniosło się nad nim, szczelnie przykryło, a potem porwało w głąb podłogi. Było to coś nieokreślonego, pozbawionego kształtu i konsystencji. Jakby nagle jakiś zbyt wielki i niestabilny byt pojawił się na moment

w zbyt ciasnej przestrzeni i nie umiając utrzymać swojej cielesności w jednym wymiarze, migotał raz „tu”, a raz „tam”, gdziekolwiek było owo „tam”. W pierwszym odruchu Sara posądziła się o przywidzenia spowodowane wyczerpaniem organizmu, ale po chwili zrozumiała, że to jednak nie iluzja, bo już na samo wspomnienie kształtu dostała straszliwych mdłości; jak gdyby ów obcy był zostawił po sobie mentalny fetor i tym samym skaził labirynt.

Wszystko, co zostało po upiorze, to czarne lustro ze spoczywającym na nim obsydianowym sztyletem.

Gdy się obróciła, by spojrzeć na miejsce, gdzie wcześniej leżał łucznik, odkryła, że on także zniknął. Na podłodze znajdował się tylko jego łuk i kilka strzał, które wysunęły się z kołczanu, gdy upadał na ziemię. Lustro, na którym leżał i – co ważniejsze – na którym krwawił, także było czarne, jak zęby lustrzaków, obsydianowy sztylet czy kamienne grotty.

Sara uklękła, by pozbiierać strzały. Instykt podpowiadał jej, że podczas tej czynności nie powinna patrzeć bezpośrednio na nie, tak jak nigdy nie patrzy się prosto w słońce. Kiedy skończyła, spojrzała na pęk trzymany w dłoniach i na leżący obok łuk, a potem... odłożyła wszystko z powrotem na podłogę.

Teoretycznie posiadanie dodatkowej broni było dobrym pomysłem, ale wiedziała, że nieznamość jej obsługi może przynieść więcej szkody niż pożytku. Poza tym nic tak nie osłabia jak fałszywe poczucie bezpieczeństwa spowodowane nadmiarem arsenału.

Wróciła do miejsca, w którym zniknął kawaler. Srebrzyste lustro, które niegdyś się tu znajdowało, zostało zastąpione przez inne, smolście czarne. Jego widok skojarzył się Sarze z wyrwą po usuniętym siekaczu ziejącą w szpalerze idealnie białych zębów. Sztylet upiora wciąż leżał na smolistej, połyskliwej powierzchni, ale stąpił się kolorystycznie ze zwierciadłem i ledwie go było widać. Coś powstrzymało Sarę przed sięgnięciem po niego, więc wróciła po łuk i jednym jego końcem przesunęła obsydianowe ostrze poza krawędź czarnego lustra. Chwytając broń, poczuła lodowy chłód przenikający nawet przez rękawiczkę i już miała ją

upuścić, gdy nagle nieprzyjemne wrażenie minęło. Sara uznała, że tylko jej się wydawało. Sztylet był zaskakująco ciężki, lecz zarazem wydawał się całkiem poręczny. Bez namysłu wsunęła go za pas. Nigdy nie miała w rękach niczego podobnego – nie licząc starożytnego, kamiennego noża, który Kowal przechowywał w swoim warsztacie – i po prostu nie potrafiła zeń zrezygnować. Z czymś takim przynajmniej sobie poradzę, stwierdziła w myślach, kładąc łuk obok strzał.

Postanowiła spojrzeć w czarne lustro. Nigdy nie była lękliwa, więc i tym razem postanowiła nie ulegać emocjom. Pochylając się nad zwierciadłem, zobaczyła tylko swoje odbicie, ale zaraz dojrzała coś jeszcze, gdzieś na drugim planie. Uznała, że to złudzenie, gdyż czerń była absolutnie perfekcyjna. Mimo to znów poczuła silne mdłości. Szybko odwróciła wzrok, odpychając od siebie to niepokojące uczucie, że z drugiej strony smolistej tafli patrzy na nią coś cuchnącego i skażonego.

Postanowiła iść dalej. Wzięła rozbieg i zgrabnie ją przeskoczyła. Poczua ulgę, gdy bezpiecznie wylądowała po drugiej stronie, choć na wszelki wypadek szybko spojrzała za siebie, aby się upewnić, że lustro nie wyciąga po nią swoich mrocznych macek.

Kruk wzbił się w powietrze, a potem – usiadłszy na środku odmienionego zwierciadła – zapatrzył w odkrytą nagle nicość. Jego aksamitne pióra i lśniące źrenice idealnie korespondowały z czernią pod nim. Zastygł w bezruchu, ale nie trwało to długo, już po chwili bowiem gwałtownie wydalil z siebie zadziwiająco dużą ilość odchodów, które rozbryzgnęły się niemal po całej powierzchni lustra.

Sara uśmiechnęła się szeroko.

– Niezwykły z ciebie ptak – powiedziała z odrobiną sentymentu w głosie.

Kruk wylądował na jej ramieniu i głośno kłapnął dziobem.

– Dziękuję – zachichotała, ruszając w głąb korytarza. – Usłyszeć to od ciebie to prawdziwy komplement.

Naraz uświadomiła sobie, że coś się wokół niej zmieniło. Musiała przejść jeszcze parę kroków, aby zrozumieć, że kompletnie nie wyczuwa rezonującego pod stopami tropu

Sharpa.

Prawdę mówiąc, nie czuła niczego.

Jak gdyby nikt nigdy wcześniej nie przeszedł tym korytarzem.

Albo czarne lustro wymazało wszelkie ślady jakichkolwiek przechodzących tędy istot, albo przeoczyła miejsce, w którym Sharp gdzieś skręcił. Pełna złych przeczuc, postanowiła cofnąć się do punktu wyjścia i potwierdzić to, czego się obawiała najbardziej. Szlak wędrówki był silnie wyczuwalny do pierwszego czarnego lustra, które jednak całkowicie wymazywało dalsze ślady.

Straciła trop, dopuszczając się przemocy. Albo to, albo – co gorsza – gdzieś tam Sharp wszedł w inne czarne lustro.

Wszystko przepadło. Zgubiła trop, zgubiła pana Sharpa, zgubiła nawet samą siebie. To koniec.

ROZDZIAŁ XII

Zmora za dnia

Jeszcze gdy wracali z Andover, Amos zmył krew w strumyku płynącym przez podmokłą łąkę, ale i tak przez następne dni czuł, jakby wciąż miał ją na dłoniach. Nadal pozwalał wariatce, by mu towarzyszyła, choć miał nieodparte wrażenie, że powinien był ją zostawić dawno temu.

Problem polegał na tym, że wiedziała o nim rzeczy, które wolałby zachować dla siebie. Poza tym potrafiła czytać w jego myślach. Tak jak on w jej. Po raz pierwszy w życiu fakt bycia niemową nie miał żadnego znaczenia, a szybka i swobodna wymiana poglądów dostarczała mu nieopisanej radości. Oto nie musiał niczego pisać czy odgrywać głupich scenek. Najbardziej jednak trzymała go przy niej świadomość, że może z nią rozmawiać także o „tych” sprawach. Mimo że czuł irytację, kiedy triumfowała po spełnieniu się jej mrocznych przepowiedni na jego temat, a także choć denerwował się za każdym razem, gdy nazywała go Krwawym Chłopcem, chciał poznać wszystkie sekrety, jakie mogła mu wyjawiać.

Wiedział, że wkrótce ją opuści, że musi to zrobić, ponieważ była w niej złość, która prędzej czy później zemści się na niej i jej towarzyszach, jeśli takowych znajdzie, ale zanim się rozdzielią, chciał się od niej dowiedzieć tyle, ile tylko będzie mógł. To dlatego podczas wędrówki często prowadzili długie rozmowy. Zazwyczaj była to niema wymiana słów wypowiedzianych wzajemnie w umysłach, ale bywało też, że kobieta mówiła, przez co mijani ludzie z pewnością brali ją za niespełna rozumu.

To między innymi z tego powodu Amos wrócił do zwyczaju omijania co ruchliwszych traktów i gdy tylko było to możliwe, skręcał w stronę lasów i wzgórz, podążając ścieżkami starych poganiaczy bydła.

Na tych odludnych szlakach często musiał ją podtrzymywać, ponieważ bardzo szybko się męczyła. Ale nie narzekał, bo wiedział, że gdyby jej stan się pogorszył, musiałby ją dźwigać na plecach. Owszem, w takiej sytuacji mógłby zostawić ją gdzieś na poboczu, lecz to oznaczałoby dla niej pewną śmierć, a on miałby na swoich rękach również jej krew. A tego nie chciał. Dlatego bez słowa sprzeciwu kontynuował podróż, starając się być miłym i uczynnym towarzyszem. Tym samym w swoim mniemaniu udowadniał jej, że wcale nie jest żadnym Krwawym Chłopcem.

I tak zmierzali ramię w ramię ku morzu. Przy okazji wyszło na jaw, że żadne z nich nie ma pojęcia, w którą stronę iść, i ostatecznie Amos stwierdził, że jeśli będą podążać wzdłuż rzek płynących na południe, w końcu dotrą do celu.

Inną przyczyną, dla której oboje trzymali się z dala od ludzi, była obawa, że odkryto ich udział w zbrodni, której dopuścili się w Andover, choć w rzeczywistości nie mieli podstaw, by tak sądzić. Odkrycie martwego małżeństwa – żony ze śladami przemocy domowej i skręconym karkiem oraz męża z samobójczą raną postrzałową – przekonało lokalnych stróżów prawa, że po burzliwych latach u boku jędzy i piekielnicy M'Gregor po prostu pękł: pobił małżonkę, a potem, targany wyrzutami sumienia, celowo lub przypadkiem odebrał sobie życie. Paskudna sprawa, to fakt, ale tak już w życiu bywa.

Co ważniejsze, zniknięcie Zmory z izolatki w ogóle nie zostało

połączone z zaistniałą sytuacją. Opiekunowie uznali, że musiała wykorzystać zamieszanie wywołane śmiercią M'Gregorów i po prostu zbiec. W innych okolicznościach takie zachowanie wywołałoby co najmniej konsternację, gdyż zazwyczaj chłodna postawa kobiety, typowa dla większości mieszkańców Andover, nie zapowiadała takiego obrotu spraw. Wszyscy spodziewali się raczej, że z dnia na dzień Zmora będzie coraz bardziej gasła, aż wreszcie w milczeniu dokona swego nędznego żywota – ale tak się nie stało: jakimś cudem wydostała się z Węgorzowej Budki i odeszła. Personel przyjął to do wiadomości z zadziwiającą obojętnością. Co więcej, ponieważ Zmora nie miała rodziny i nikt o nią nie wypytywał, a opiekunowie nie bardzo chcieli ujawniać, że przez lata nękali ją, zamykając na całe noce w wilgotnej, zimnej norze, wkrótce oficjalnie uznano ją za zmarłą i o niej zapomniano.

Tym sposobem jedynym, co tak naprawdę prześladowało Amosa i jego towarzyszkę, było wspomnienie zakrwawionej futryny i skrawków mózgu walających się po podłodze oraz przeczucie, że wspólnie popełnili jakiś fatalny i nieodwracalny błąd, który doprowadził do tragedii; błąd, którego Amos wciąż nie mógł określić żadnymi sensownymi słowami.

Choć wędrówka była mozolna, nie doświadczyli podczas niej większych niewygód. Kiedy wychodzili, Zmora zabrała z szafy najlepszy płaszcz przeciwdeszczowy pani M'Gregor, a on miał ze sobą kilka koców i sztormiak, z którym podróżował już wcześniej. Wzięli też zawartość skrzynki, w której znajdowały się skradzione kosztowności. Nie były to żadne królewskie skarby, lecz w zupełności wystarczały, aby zaspokoić skromne potrzeby i w mijanych osadach kupić jedzenie oraz mleko.

Nocą znajdowali suche miejsce w lesie i Amos rozpałał ogień. Zawsze wtedy zagadywał Zmorę o różne sprawy, ale zmęczenie po całodniowej wędrówce zazwyczaj pozwalało obojgu jedynie na krótką rozmowę, najczęściej podczas odgrzewania jakiejś potrawy i posiłku. Wkrótce potem zapadali w błogi sen. A później nadchodził świt, który zawsze budził ich wyziębionych i odrętwiałych przy wypalonym ognisku, przez co nie mieli

ochoty na wspominki.

Było coś dziwnego w upodobaniu, z jakim Zmora nazywała go Krwawym Chłopcem, co w takim samym stopniu go irytowało, jak i fascynowało. Kobieta naprawdę była pod wrażeniem tego, co zrobił M'Gregorowi, i wciąż ekscytowała się tym tak samo jak za pierwszym razem. Była także głęboko rozczarowana swoją porażką podczas próby ucieczki przez lustra. Podobno niegdyś wykonanie tej sztuczki było dla niej tak samo proste jak przejście przez zwykłe drzwi. Chwilami traktował jej opowieści jak urojenia, ale szybko zwracał jej honor. Jej niezwykle wyznania zawsze były związane z tą jedną rzeczą, która przyprawiała go o lęk – krwią.

„Jestem szalona od dawna” – przyznała pewnej nocy, gdy pod sklepieniem z gałęzi starego dębu mieszał grochową owsiankę w jednej z wyszczerbionych metalowych misek, wdychając aromat płonących szczap bukowych. „Dawno temu bardzo mnie skrzywdzono. Byłam ścigana i łapana, a mój prześladowca po zadaniu mi wielkiego cierpienia umieścił mnie w przytułku w Andover. Byłam się wtedy w fizycznej i mentalnej ruinie i wszyscy myśleli, że umrę w ciągu miesiąca. Z pewnością tego by sobie życzyli moi opiekunowie – żebym umarła śmiercią naturalną, nie powodując żadnych komplikacji natury prawnej czy moralnej. Potem zabrali mi to, co było dla mnie najbardziej wartościowe, co ceniłam i kochałam nad życie. Zabrali mi... moje dzieci. Nie wiesz tego, ale matczyzna miłość ciasno oplata serca pociech. Kochałam ich obydwu tak samo mocno, choć niektórzy mogliby pomyśleć, że miałam powód, by jednego darzyć mniejszym uczuciem, gdyż przyszedł na świat niechciany, z ziarna, którego nie wybrałam, zasianego bez mojej zgody. Ale macierzyństwo tak nie działa. Moja miłość zapuściła korzenie głęboko i na zawsze związała mnie z moimi synami, jeszcze w chwili, kiedy znajdowali się w moim łonie, ukryci przed złym światem, karmieni moim ciałem i krwią.

I odebrano mi ich, a raczej to mnie zabrano od nich.

Co się z nimi stało, nie wiem. To było dawno temu i nie mam pojęcia, jak mogłabym to sprawdzić. Ale wciąż czuję się tak, jakby

rozdzielono nas przed chwilą. Ta rana nigdy się nie zagoi, dziś jest tak samo bolesna jak przed laty. Czasem, żeby nie zasnąć na służbie, wartownik wkłada do buta ostry kamień. Mój ból jest jak ten kamień, który nie pozwala mi całkowicie zapomnieć. Całe lata spędziłam we mgle i tylko dwie rzeczy pozwalały mi wtedy przetrwać to szaleństwo. Pierwszą z nich była determinacja, że kiedyś dokonam zemsty, drugą zaś przekonanie, że uda mi się zachować choć część mego daru. Daru, który został mi odebrany prawie tak samo jak moje dzieci. Na szczęście zachowałam jeden jego aspekt. Chodzi o »łącze krwi«. To właśnie ono przyprowadziło mnie do ciebie, niezależnie od tego, czy w to wierzysz, czy nie”.

W jej oczach pojawił się błysk, gdy mówiła o darze i „łączu krwi”. Amos poprosił o dalsze wyjaśnienia, jednak kobieta odwróciła się od ognia, zawinęła w koc i zapadła w głęboki sen, zatrzymując swój sekret dla siebie.

Następnego poranka, jak gdyby nigdy nic, opowiedziała mu tę historię jeszcze raz, jakby nie zdając sobie sprawy, że zrobiła to minionej nocy. Wspinali się wówczas po łagodnym zboczu, ogrzewani ciepłymi promieniami słońca i owiewani podmuchami wiatru wiejącego od strony trawiastych pastwisk. Nagle, kiedy stanęli na szczycie wzgórza, Amos uświadomił sobie ze zdziwieniem, że właśnie dotarli na wybrzeże. Przed nimi, poniżej, fale raz za razem omywały piaszczysty brzeg.

Widok morza najwyraźniej podniósł Zmorę na duchu, lecz nie pospieszyła ku niemu z radością. Zamiast tego usiadła na ziemi i zapatrzyła się w wodny bezkres. Słoneczne refleksy tańczyły na pomarszczonej powierzchni i tylko czasem przygaszały w cieniu chmur sunących po niebie niczym wielkie lewiatany.

„W mojej głowie mogłam podróżować, gdzie tylko chciałam – odezwała się nagle w umyśle Amosa – ale nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego. To wspaniałe, móc wędrować przed siebie, polegając wyłącznie na własnych nogach i mierząc się z codziennym bólem mięśni i stawów, aby wreszcie dotrzeć na miejsce i zobaczyć coś tak niezwykłego i oszałamiająco pięknego. Tak, teraz pamiętam, że dawno temu, kiedy byłam młoda i wolna,

świat potrafił zachwycać mnie właśnie w tak cudowny sposób! Jakże brakowało mi tego uczucia...”

Nagle Amos usłyszał śmiech młodej kobiety. Zwalczając skurcz strachu, rozejrzał się dziko dookoła, by znaleźć osobę, która podeszła ich tak nieoczekiwanie, ale nie zauważył nikogo obcego. Wciąż byli tu sami. Popatrzył na Zmorę i zrozumiał. To ona tak się śmiała, ze szklistym wzrokiem utkwionym w dal i ze łzami spływającymi po policzkach.

Odwrócił głowę, nie chcąc zakłócać tej ważnej dla niej chwili. Wsłuchał się w cichy szum wiatru. Daleko na horyzoncie właśnie mijały się dwie łodzie. Na jednej z nich bielilo się płótno rozciągniętego żagla, nad drugą zaś unosiła się cienka smuga dymu. W końcu Zmora ponownie wypełniła ciszę w jego głowie.

„Wiesz, że mogłam podróżować poza ciałem? Samą mocą umysłu. Gdy byłam mała, myślałam, że to sen na jawie lub po prostu moja bujna wyobraźnia. Bałam się nawet, że to początki szaleństwa, nie mając pojęcia, że w późniejszym życiu poznam, czym ono jest naprawdę. Zostałam znaleziona przez kogoś, kto wiedział wszystko o tego typu rzeczach. Powiedziano mi wtedy, że dzieje się tak za sprawą pewnego rodzaju krwi, nadnaturalnej krwi, która płynie w żyłach niektórych ludzi i obdarza ich zdolnościami. Podobno kiedyś tacy odmieńcy byli o wiele powszechniejsi niż obecnie... Moja zdolność podróżowania poza ciałem została wówczas poddana treningowi. To był wspaniały i podniecający okres, ponieważ zdałam sobie sprawę, że to, co widzę, jest prawdziwe. Więcej nawet: że mogę swój dar kontrolować, decydując, gdzie chcę się znaleźć. Świat stanął przede mną otworem. Oczywiście nie podróżowałam cały czas, bo było to nazbyt wyczerpujące, ale nocami, gdy wiedziałam, że przede mną długie godziny w łóżku, nic mnie nie mogło powstrzymać. Ludzie, zdarzenia i rzeczy – wszystko to było dla mnie tak pouczające jak książki, które nieustannie podsuwał mi ojciec”.

Zamilkła i Amos pomyślał, że skończyła, tymczasem poprosiła o wodę. Gdy ugasiła pragnienie, kontynuowała.

„Te statki w oddali nawigują dzięki kompasom i gwiazdom. Ich

kapitanowie, by dostać się z jednego portu do drugiego, używają różnego rodzaju wykresów i urządzeń, na przykład sekstansów. Kiedy podróżujesz poza ciałem, także musisz pomyśleć o nawigacji. W przeciwnym razie nie możesz kontrolować kierunku swojej wędrówki, choć w każdej chwili możesz wrócić do siebie. O powrót nie trzeba się martwić. Ponieważ jaźń traktuje umysł jak dom i woli go od dziczy na zewnątrz, w chwili zagubienia nic świadomości zawsze ściągnie cię do miejsca startu. Jednak podczas podróży musisz nawigować, orientować się w terenie, tworzyć drogowskazy, wyznaczać swego rodzaju kamienie milowe. Mogą to być zdarzenia, ludzie lub miejsca, czasem wszystko naraz. Rozumiesz?”

Nie rozumiał, nie do końca, ale przytaknął, nie chcąc jej przerywać.

– Ha! – krzyknęła, a Amosowi przeszło przez myśl, że wyczuła jego nieszczerłość. – Prawda jest taka, że kiedy odebrano mnie moim dzieciom, a potem pozbawiono wszystkich pamiątek, moje punkty nawigacyjne zniknęły. Tak jakbym zgubiła mapę świata, tracąc zdolność do podróżowania. Kolejna rzecz, którą mi odebrano. Tak przynajmniej myślałam do pewnego mroźnego dnia, kiedy M’Gregorowie łaskawie zgodzili się, by rozpalic ogień w naszym pokoju, i tym samym nie dopuścili, byśmy zamarzyły, psując przytułkowi reputację. Spadłam wtedy z krzesła, potrącona przez opiekuna niosącego koszyk z węglem, i rozciąłam sobie głowę. Nie wiem, czy powodem było uderzenie o podłogę, czy może widok własnej krwi, ale nagle coś we mnie pękło i zdałam sobie sprawę, że widzę w umyśle ostatni zachowany szlak – głęboko ukryty i od dawna nieużywany. Umożliwił mi on dwie rzeczy, Krwawy Chłopcze. Po pierwsze, przypomniał, jak się podróżuje poza ciałem, a po drugie, z czasem dał mi ciebie.

Przeniósł na nią wzrok. Ich spojrzenia się spotkały. Skinęła kilka razy z dziką radością.

„Wiedziałeś o tym, prawda? O tym, że cię wezwałam?”

Niemo zaprzeczył. Nie tylko tego nie wiedział, ale także nie wierzył jej. Był to kolejny wymysł Zmory. Jak ten, że można się

przemieszczać poza światem, w lustrach.

„Znasz mój szlak? Ten, który mi się ostał?”

„Nie”.

„Nie wierzysz mi, prawda?”

„Wierzę, że ty w to wierzysz”.

Lekko zmrużyła oczy.

„Raz przydarzyła mi się krwawa rzecz. Zła rzecz. W słońcu, na polu. Krew była częścią drogi, częścią odcisniętą w moim umyśle. Krew, prześladowca i miejsce. To tam cię znalazłam”.

Z niewiadomego powodu nagle zaschło mu w gardle. Pociągnął spory łyk z cynowej flaszki, którą dzielili. Woda smakowała jak skwaśniałe wino. A może tak smakował jego własny strach, rosnący w nim w odpowiedzi na to, w co tak bardzo pragnęła, by uwierzył.

„Boisz się”.

„Nie”.

„Czujesz się, jakbyś stał na skraju wielkiej szczeliny zasłoniętej kurtyną. Myślisz, że dopóki nie zobaczysz otchłani, będziesz wolny od emocji, które może w tobie wywołać. I boisz się, że kiedy już się to stanie, otchłań odbierze ci wolę i zmusi do skoku w jej głąbie”.

„Nie czuję nic podobnego” – skłamał.

„Zapytaj więc samego siebie, gdzie jest to miejsce”.

Nie mógł. Nie chciał. Dlaczego – przekonywał sam siebie – miałyby uznać, że jego wędrówka nie była przypadkowa, że do Węgorzowej Budki i rzezi w sypialni M’Gregorów doprowadziło go przeznaczenie. Miał jednak dojmującą pewność, że miejscem, o którym mówiła Zmora, był kanał, w którym roztrzaskał głowę druciarza jego własną patelnią. Nie chciał o tym rozmawiać ani pozwalać, aby grzebała mu we wspomnieniach. A może druciarz był jednym z tych prześladowców, którzy ją kiedyś skrzywdzili? Próbował sobie przypomnieć, ile lat miał mężczyzna, by porównać wiek jego oraz Zmory i potwierdzić swoje domysły. Niestety, człowiek ten był jednym z tych, którzy starzeją się wyjątkowo łagodnie, i równie dobrze mógł mieć lat czterdzieści, jak i sześćdziesiąt. Poza tym to było zbyt oczywiste i zarazem

zbyt straszne, aby mogło być prawdziwe...

„Wierzę ci. Nie musisz niczego udowadniać”.

Nie chciał wracać do śmierci druciarza. Nie chciał pamiętać niczego z tego okresu.

Uśmiechnęła się, a on zrozumiał, że mimo to nie odpuści.

„Bowland's Gibbet”.

Znał tę nazwę, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Na pewno nie miało to nic wspólnego z kanałem. Chodziło o...

Ujęła jego dłoń. Było to tak zaskakujące, że jej na to pozwolił.

Znalazła małą bliznę na jego palcu – starą pamiątkę po spotkaniu z Mountfellonem.

– Bowland's Gibbet – powiedziała na głos. – Brama do rezydencji Gallstaine. Podczas burzy zamknął cię w swojej karecie. Ciekawił go twój ból. To było to miejsce. To była krew. To był prześladowca. Widziałam cię na moim szlaku i widziałam, jak krwawisz. Dlatego zostałam przy tobie. Pokazałam ci trzech Sluagh, którzy zamierzali cię porwać, gdy siedziałeś w powozie Mountfellona, a kiedy przed nimi uciekałeś, przypominałam ci, że boją się żelaza i wody. A potem spotkałam cię w kanale i zawołałam poprzez dzielące nas mile. Tak sprowadziłam cię do Węgorzowej Budki. Sprowadziłam cię tutaj.

Cofnął rękę i spojrzał na bliznę.

„Ale dlaczego?”

Wstała, wyprężyła się, a potem znienacka ruszyła w dół zbocza, w kierunku wybrzeża.

„Ponieważ możesz pomóc”.

Zerwał się na nogi, zarzucił plecak na ramię i pobiegł za nią. W głowie miał taki chaos, że ledwie sformułował pytanie.

„W czym?”

Nie zatrzymała się ani nie odwróciła. Wręcz przeciwnie, zdawała się przyspieszać z każdym krokiem. Jej odpowiedź nadeszła jak triumfalny okrzyk.

„Mountfellon musi umrzeć!”

ROZDZIAŁ XIII

Zabawa z ogniem

Edukacją Charliego i Lucy szybko zaczęła rządzić rutyna. Charlie codziennie patrolował wraz z Hodge’em najciemniejsze zakamarki Tower, prowadząc niekończącą się wojnę ze szcurami, Lucy natomiast spędzała czas z Kowalem. Początkowo nie rozumiała, dlaczego miast jakichś poważnych wyzwań powierza się jej pomniejsze prace w warsztacie – dlaczego ma układać drewno, porządkować szpargały w szafach i szufladach, odkładać na miejsce narzędzia, które właśnie były w użyciu. Dopiero z czasem zdała sobie sprawę, że pracując z Kowalem ramię w ramię, nieustannie słyszy od niego historie o Nadzorze i o tajemnicach niezwykłego, nadnaturalnego świata, który właśnie otwierał przed nią swe podwoje. Podejrzewała, że działanie to było celowe. Jej opiekun najwyraźniej uznawał, iż w ten sposób łatwiej będzie przyjmowała wiedzę niż podczas nudnych, wielogodzinnych wykładów – i zapewne miał rację. Gdy wspomniała o tym Charlie’emu, ten stwierdził, że podczas wspólnych polowań z Hodge’em teriarnik także opowiada mu dziesiątki historyjek i anegdot. Przyznał również, że nie był na tyle spostrzegawczy, aby to zauważyć.

– Masz głowę na karku, panno Harker – zaśmiał się. – Lepszą niż ja.

Lucy była wystarczająco bystra, by wiedzieć, że to nieprawda. Charlie po prostu dorastał w innym środowisku, które pozwalało mu na zupełnie odmienne podejście do wielu spraw. W przeciwieństwie do niego od wielu lat była zdana wyłącznie na siebie. Oczywiście, zazdrościła przyjacielowi rodziny, ale jednocześnie ceniła swoją wolność i niezależność. Nigdy przecież nie musiała martwić się o najbliższych ani liczyć się z ich zdaniem. Rzecz jasna skutkiem takiego podejścia do życia była przesadna nieufność, lecz Lucy nigdy nie widziała w niej niczego złego. Nawet teraz, kiedy to właśnie z jej powodu zaczęła podejrzewać, że podczas tych niewinnych codziennych pogaduszek krok po kroku wyciągane są z niej wspomnienia, by

poznać jej najskrytsze sekrety i w pełni nad nią zapanować. To wystarczyło, żeby znowu podniosła gardę.

Kowal wciąż stanowił dla niej zagadkę. Był szorstki, a zarazem wystarczająco miły, aby go polubić. Czasem nawet potrafił ją zaskoczyć i rozśmieszyć. Ale miał też w sobie jakiś dziwny mrok, który nigdy nie pozwalał jej czuć się przy nim swobodnie. Tak samo było kiedyś, dawno temu, w obecności byka, którego hodowali na farmie Sylvie i Antoine. Gdzieś z tyłu głowy zawsze pamiętała, że ta z pozoru miła i łagodna istota w każdej chwili może zamienić się w rozjuszoną bestię.

Rozmawiała o tym z Charliem, z którym spotykała się popołudniami na lekcjach u Hodge'a i Kucharki. A właśnie, zajęcia te także nie były typowymi wykładami. Szczerze mówiąc, w ogóle nie były wykładami. Najczęściej przybierały formę poleceń. Na przykład: „Idź do sklepu Goodbehere's, kup to i to, potem idź do Eschalaza's w Wapping i przynieś trochę fig – aha, i przy okazji upewnij się, czy w pobliżu nie dzieje się nic nadzwyczajnego, co mogłoby nas zainteresować”. Albo: „Idź do piekarni Josiah Blam i przynieś torciki za dwa pensy, ale wędruj tylko ulicą Cable Street i postaraj się, żeby nikt cię nie zauważył. Idź choćby i dachami, ale nie skacz ze zbyt dużej wysokości”. Albo: „Idź do portu West India Docks i przekazaj kapitanowi moje pozdrowienia, a potem zapytaj, kiedy przyplynie kolejny statek z Chin – i policz, ile razy zauważysz po drodze Hodge'a”. W ten sposób miasto szybko stało się dla nich placem zabaw, a jednocześnie salą lekcyjną, a co najważniejsze, bez trudu poznali i zapamiętali układ ulic oraz wszelkiego rodzaju skrótów wiodące przez piwnice i dachy.

Pewnego wieczoru, po jednej z takich właśnie lekcji, zasiedli do kolacji, a na stole wkrótce pojawiło się pachnące, wspaniale zarumienione ciasto. Choć wcześniej Lucy i Charlie przynieśli ze sobą jakieś wypieki, to z góry wiedzieli, że nie będzie im dane ich zjeść. Kucharka uważała, że potrawy przyrządzone w mieście powstały z gorszej jakości produktów, dlatego takie zakupy najczęściej trafiały od razu do miski Jeda, który oczywiście wcale nie wzbraniał się przed taką rozrzutnością. Napchana do syta,

czując błogość, Lucy uśmiechnęła się do własnych myśli. Uświadomiła sobie, że jest jej dobrze z tymi wszystkimi obcymi ludźmi, że polubiła Kucharkę, a jeszcze bardziej Charliego, że mogłaby tu spędzić resztę życia – lecz wtedy właśnie wrodzona nieufność ponownie dała o sobie znać. Lubienie innych było u Lucy stanem przedziwnym i niepewnym. W jednej chwili kogoś uwielbiała i otwierała się przed nim całkowicie, a w drugiej traktowała jak śmiertelnego wroga, który tylko czyha na jej potknięcie.

Wróciwszy z Emmetem na Wyspę Psów, Lucy od razu udała się do kuźni. Czekając, aż w czarnym poobijanym czajniku zagotuje się woda, rozważała, na ile powinna uważać, aby nie stać się zbyt łatwym celem. Przy tym beznamiętnie wodziła wzrokiem po narzędziach i urządzeniach zagrających pomieszczenie, pamiętając, że proszono ją, aby niczego tu nie dotykała bez pozwolenia. Ale Lucy nigdy nie potrafiła utemperować swojej ciekawości. Nie mając nic innego do roboty, w końcu sięgnęła po przedmiot, który, jak jej kiedyś powiedziano, był najstarszy w całym warsztacie. Leżał na półce, tuż nad mosiężną tokarką, i był tak nieprawdopodobnie czarny, że aż wydawał się pożerać światło.

Ostrożnie podniosła nóż, zaskoczona jego wagą, która bardziej pasowała do przedmiotu z ołowiu aniżeli z kamienia. I mimo że miała na dłoniach swoje cienkie skórzane rękawiczki, poczuła w palcach mrowienie bijące od broni, jakby ukryto w niej moc, która pragnęła wydostać się na zewnątrz.

– A... – bąknął Kowal, który właśnie wszedł do kuźni.

Nie była to przygana ani polecenie, żeby przestała oglądać nóż i odłożyła go na miejsce. Nic z tych rzeczy. Po prostu zwykle: „A...”.

Spojrzała na niego.

– Jest bardzo ciężki – stwierdziła.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo – odparł. Uśmiechał się, lecz po jego oczach poznała, że myślami jest gdzieś daleko. – Czasem wydaje mi się, że to najcięższa rzecz na świecie.

Otrząsnął się z zamyślenia i nieco spochmurniał.

– Byłoby dobrze, gdybyś zapamiętała, aby nie dotykać tego akurat przedmiotu bez rękawiczek – oznajmił. – Nie dość, że wykonano go z obsydianu, kamienia, który nie jest przyjemny do wglądania, to jeszcze ukryta w nim moc może trwale skrzywdzić każdego Wejrzeńca, który nieświadomie zechce z nią obcować.

Zrozumiała, ale Kowal nie zakończył swojej lekcji.

– Badaj go, ile chcesz, byle w rękawiczkach. A gdy kiedykolwiek zobaczysz podobną broń, natychmiast opuść miejsce, w którym ją znalazłaś, przyjdź do mnie i bezzwłocznie mnie o tym poinformuj. Nawet jeżeli oznaczałoby to przerwanie jakiejś ważnej czynności.

Spojrzała na nóż, ostatni raz próbując odgadnąć, dlaczego – jak się zdawało – czarny kamień pożera światło, po czym ostrożnie odłożyła go na miejsce.

– Uwważaj na palce – powiedział Kowal.

Błyskawicznie cofnęła dłoń. Zrobiła to w ostatniej chwili, bo nóż właśnie gwałtownie się obrócił, jak igła kompasu reagująca na magnes.

Kowal wskazał na węgle żarzące się w środku pieca.

– A właśnie. Kiedy jesteś wystarczająco blisko, ostrze zawsze wskaże Pożogę – wyjaśnił.

– Myślałam, że znajduje się tylko w Kryjówce – zdziwiła się. – Chodzi mi o tę świecę, której nie można ugasić. Tę stojącą na środku dębowego stołu w kuchni.

– To pierwotny płomień – powiedział. – Ale jest obecny we wszystkim, co rozpala. W szczapach drewna w piecu Kucharki, a także w węglu w tej kuźni. I we mnie.

Podniósł zwykłą świecę ze stołu i rzucił ją w stronę Lucy. Zanim ta ją złapała, pstryknął palcami, a knot natychmiast się zapalił.

– Widzę, że zaczęliście bez nas – powiedział Hodge w progu. Wszedł do środka. Przy jego nodze kroczył Jed, radośnie merdając ogonem, a za nim Charlie.

– Co zaczęliśmy? – zapytała Lucy.

– Nauczają nas, jak tworzyć światło – wyjaśnił chłopak z uśmiechem. – W moim przypadku wydaje się to nawet dobrym pomysłem, bo przecież połowę dnia spędzam w ciemnościach.

– Kontrolowanie Pożogi jest zawsze dobrym pomysłem – stwierdził Kowal. – Podejdźcie do mnie.

Wyjął parę bransoletek. Każda wykonana była z pięciu splecionych razem gałązek i przypominała miniaturową wersję wieńca otaczającego świecę w Kryjówce. Kowal założył jedną z nich na nadgarstek Lucy, drugą zaś podał Charliemu.

– Dobrze – powiedział. – Zaczynajmy.

Lucy przyglądała się, jak Kowal wyciąga wziętą od niej świecę w kierunku Charliego.

– Powoli zamknij dłoń wokół ognia – rozkazał. – No dalej, zrób to. I nie trzęs się tak, zdusisz płomień.

Charlie wahał się jeszcze chwilę, aż wreszcie uległ namowom Kowala.

– Auć – powiedział, patrząc z wyrzutem na Hodge’a. – Myślałem, że bransoletki są ochroną.

– Nie palisz się, prawda? – rzekł teriernik.

– Nie – odparł Charlie. – Ale ręka mnie boli. I to bardzo.

– To ogień, który w ciebie wszedł. Nie zrobiłby tego, gdybyś nie miał dobrej krwi – wyjaśnił Kowal. – Wszyscy członkowie Nadzoru muszą sprostać tej próbie. To przydatne.

– A przy okazji pozwala sprawdzić, czy jesteś zrobiony z tego, co trzeba – dodał Hodge.

– Zapal świeczkę, Charlie – polecił Kowal. – Czas na pannę Harker.

Lucy zdjęła rękawiczkę, lecz dostrzegłszy pot na twarzy Charliego, nie śpieszyła się, by pójść w jego ślady.

Charlie ruszył w kierunku pieca, lecz na jego ramię opadła ciężka dłoń Kowala.

– A ty dokąd? – zapytał mężczyzna. – Pożoga jest w tobie. Po prostu ją wypuść.

– Jak?

– Poczuj ją – wyjaśnił Hodge. – Pomyśl o niej, rozpal ją w sobie.

– Po prostu to zrób – dodał Kowal. – Nie ma na to żadnej recepty, naprawdę, choć niektórzy lubią pstrykać palcami lub obracać dłońmi. Aha, jeszcze jedno. Możesz zacząć kichać.

Jak się okazało, Charliemu bardzo dobrze szło kichanie, ale już

znacznie gorzej rozpalanie ognia – i to pomimo początkowego entuzjazmu. W przeciwieństwie do niego Lucy od razu potrafiła zapalić świeczkę raz na dwie, trzy próby. Ku rozczarowaniu chłopaka zrobiła to jeszcze dwadzieścia razy, zanim jemu udało się to raz.

– W porządku – powiedział Kowal, gdy starania chłopca nie przynosiły rezultatu. – Pomyśl o ogniu, jakby zawsze tu był. W tobie. Bo tu chodzi o ciebie. To teraz twój ogień, nie ma nic wspólnego ze świecą. Ona jest tylko narzędziem służącym do jego przechowywania.

Po wypróbowaniu jeszcze kilku sposobów okazało się, że w przypadku Charliego najlepiej sprawdza się gra. On i Lucy usiedli w przeciwległych kątach kuźni z sześcioma świecami każde i rozpoczęli rywalizację. Zasady były proste: za zapalenie wszystkich świec naraz – jeden punkt, a ten, kto zbierze najwięcej punktów, wygrywa. Ograniczeniem był czas smażenia kiełbasek, które przynieśli Hodge i Charlie, a które stanowiły zarazem nagrodę w tym dziwnym konkursie. Przegrzanemu pozostawał tylko czerstwy chleb ze śniadania.

Na początku Lucy mocno wyprzedzała swojego rywala, ale gdy w izbie rozległo się skwierczenie i gdy wypełnił ją zapach smażonej wieprzowiny, Charlie zaczął nadrabiać straty i zanim jedzenie było gotowe, stał się tak samo szybki jak ona.

– Pod koniec szliście łeb w łeb – oznajmił Kowal. – Ale zwycięzca może być tylko jeden.

Charlie z kwaśną miną przyglądał się, jak gospodarz rozdziela jedzenie na trzy talerze. Na czwartym znajdowała się jedynie piętka czerstwego chleba i to właśnie jemu miała przypaść w udziale.

– Jesteśmy Nadzorem – powiedział Hodge. – Nie dostajemy nagród za drugie miejsca.

– Ale... – zaczął Charlie.

– Daj spokój – rzuciła Lucy, połknąwszy pierwszy kęs. – Właśnie nauczyliśmy się tworzyć ogień, a ty biadolisz o parę kiełbasek?

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wiedziała, że za chwilę będzie musiała podzielić się z nim

kolacją, ale cieszyła się, że dla odmiany to ona coś wygrała. Niewinne droczenie się jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Uniosła kielbaskę do ust i... zorientowała się, że tuż pod nosem ma płomień. Upuściła jedzenie na podłogę. Jed bez wahania postanowił wykorzystać okazję i jednym kłapnięciem pochłonął nieoczekiwaną zdobycz, a na twarzy Charliego wykwitł szeroki uśmiech.

– Widzę, że możemy podpalać nie tylko świece – powiedział. – Myślę, że możemy się pobawić naszą nową umiejętnością na różne sposoby...

– Paniczu Pyefinch, proszę się opanować! – skarcił go Kowal, choć tak naprawdę ledwie udawało mu się ukryć rozbawienie. – W ciemnościach kryje się wystarczająco dużo zła, nie ma potrzeby walczyć ze sobą nawzajem.

ROZDZIAŁ XIV

Jabłko Abchurcha

Coram Templebane był absolutnie zdeterminowany, aby odmienić swój los i wbrew wszelkim przeciwnościom zdobyć stanowisko zastępcy Ojca Dziennego. Miał wyraźny obraz tego, z kim przyjdzie mu się mierzyć. I mimo że wszyscy jego przyszywani bracia byli na swój sposób zaradni i bezwzględni, obawiał się jedynie Pountneya i Abchurcha. Obydwu cechował wyjątkowo przenikliwy umysł, a ich kompletny brak skrupułów sugerował, że bez mrugnięcia okiem wykończąliby każdego konkurenta przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Oczywiście pozostali bracia także byli niebezpieczni. Górowali nad nim siłą fizyczną i skłonnością do okrucieństwa, ale nie byli przebieglejsi. Dość powiedzieć, że po stypie Coram natychmiast przystąpił do działania i po tym, jak niezauważenie odwiedził tłoczarza pigułek w aptece nieopodal Bleeding Hart Lane, jeden z jego głównych konkurentów, Pountney właśnie, zapadł na krępującą, uporczywą i wyniszczającą chorobę, którą lokalny lekarz nazwał „galopującą czarną posoką”, a którą inni bracia

określili sugestywnym mianem „zasranie się na śmierć”. Przykre objawy wystąpiły wkrótce po bezprecedensowym obżarstwie, którego Pountney dopuścił się podczas uczty ku pamięci Zebulona, dlatego złożono je na karb Pountneyowego łakomstwa. Coram wiedział, że Issachar już dawno temu wytypował trzech synów, którzy jego zdaniem byli faworytami w wyścigu o tytuł zastępcy, i że spodziewa się bezwzględnej walki pomiędzy nimi. Dlatego właśnie przebiegły chłopak nie otruł także Abchurcha. Pozbycie się drugiego rywala w ten sam sposób mogłoby rzucić na niego cień podejrzenia, a Coram nie był pewny, jak Issachar zareagowałby na wieść, że pod jego dachem mieszka truciciel. Pozbywanie się kogokolwiek tą metodą stanowiło ten szczególny rodzaj eliminacji, którego ludzie – nawet ci bezwzględni – bali się jak ognia. Wiedząc, że musi uważać na każdy kęs, Issachar mógłby w takiej sytuacji poczuć się zagrożony i próbować usunąć źródło swego niepokoju.

Ale to wszystko luźne dywagacje. Obecnie Coram siedział na ławce naprzeciw rafinerii cukru przy Wellclose Square. Obserwował Kryjówkę już od świtu, wcześniej zamieniwszy się według ustalonego grafiku z braćmi, z których dwóch przyglądało się teraz tylnemu wejściu i ukrytej rzecznej bramie. Zasadniczo było to przyjemne miejsce do czatowania, głównie ze względu na karmelową woń cukru gotującego się w wielkich kadziach, która rozchodziła się po okolicy. Jednakże dla Corama zapach ten nie był przyjemny i wprost nie mógł się doczekać zmiany warty. Zanim oddano go do sierocińca przy Coram's Fields, od której to nazwy wywodziło się jego imię, był świadkiem eksplozji pieca w piekarni. Tak, to właśnie przez ten wypadek został sierotą, ponieważ obydwójce jego rodzice pracowali wtedy w tym przeklętym miejscu. Nie pamiętał zbyt wielu szczegółów poza dzwonami, które jak oszalałe były w parafii, ogniem ryczącym na tle nocnego nieba i – kiedy wynoszony z pożaru spoglądał przez ramię sąsiada – lawą stopionego cukru wylewającą się na ulicę niczym magma. W pożarze zginęło dwanaście osób, a osiem budynków, w tym kościół, doszczętnie spłonęło lub zostało tak uszkodzonych, że

trzeba było je wyburzyć. Coram został oddany do sierocińca, jeszcze zanim płonące jezioro cukru ostygło na tyle, by ratownicy – kilofami i łomami – odsłoniли ciała jego rodziców i ich współpracowników. Od tego czasu, choć jego bracia nazywali to dziwactwem, nienawidził jabłek w polewie czekoladowej ani zapachu palonego cukru.

Kiedy o tym rozmyślał, nie wiedzieć skąd nadszedł Abchurch z alarmującą wiadomością.

– Biedny Pountney, nic tylko tryska krwią.

Coram udał zainteresowanie, robiąc bratu miejsce na ławce.

– Nie wiem, jak on to psezyje – stwierdził Abchurch, decydując się nie przysiąść. – Bez dwóch zdań, to najpodlejsa sracka, jakom widział.

Zmrużył oczy i spojrzał w kierunku długiego brukowanego zbocza wiodącego do Kryjówki, szperając po omacku w brązowej papierowej torbie, którą ze sobą przyniósł. Abchurch najczęściej spoglądał w dal, ponieważ w wyniku nieleczzonego w dzieciństwie zez miał kłopoty z szybką zmianą perspektywy. To, razem z jego seplenieniem, częściowo udawanym, powodowało, że mniej wnikliwi ludzie mieli go za głupka.

– Biedny Pountney, co? – powtórzył. – Nie wiem, jak mógł tak zreć. Zobac, resta z nas jest zdrowa... Moze renety?

Zaszeleścił torebką i wyjął z niej lśniące jabłko, które zaoferował Coramowi. Mimo – lub być może dlatego – że towarzyszył tej ofercie najbardziej niewinny i czarujący uśmiech, na jaki tylko się mógł zdobyć zezowaty młody mężczyzna ze zbyt małym podbródkiem, Coram odmówił.

– Jakoś nie mam ochoty – powiedział. – Zjedz sam.

Abchurch spojrzał na dorodny owoc, Coram zaś przyglądał mu się spode łba, zaciekawiony, czy brat go ugryzie, czy nie. Wtem zza rogu wyłonił się wózek z mlekiem ciągnięty przez zmęczonego konia. Wielkie drewniane koło gwałtownie uderzyło o występ w granitowej kostce, na który to odgłos Abchurch aż podskoczył, wypuszczając renetę z dłoni.

– Noz cholera! – zawołał.

Jabłko odbiło się od chodnika i wpadło na drogę. Podskakując

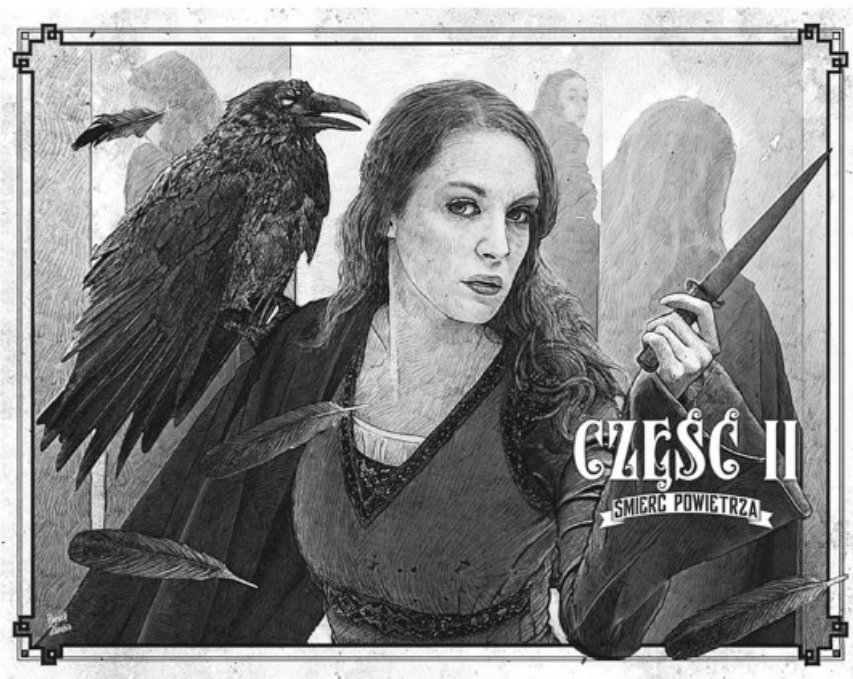
na bruku, zaczęło toczyć się w dół ulicy, nabierając coraz większej prędkości, aż wreszcie dotarło do skrzyżowania, uderzyło o krawężnik i przeskakując nad płytami chodnikowym, zniknęło gdzieś za zakrętem.

– Noz cholera! – powtórzył Abchurch. – Co za marnotrawstwo...

Coram wstał, ukrywając rozbawienie. Być może był to tylko wypadek, a być może nie. To jednak bez znaczenia. Jabłko Abchurcha właśnie poddało mu pewien genialny pomysł.

– Nie martw się, kolego. Tak naprawdę nic się nigdy nie marnuje – powiedział, klepiąc zezowatego rywala po ramieniu. – Nic, jeżeli spojrzysz na to z innej perspektywy.

Pozwolił, by na jego twarzy uśmiech wykwitł dopiero wtedy, gdy znalazł się za rogiem – niewidzialny i bezpieczny. Znów będzie grać poważnego, gdy dotrze do domu, ponieważ okazywanie przed Issacharem jakichkolwiek pozytywnych emocji zakrawało na szaleństwo. Ale rozpieściła go radość, bowiem miał już plan. Plan, który nie tylko zdyskredytuje jego rywali, ale także raz na zawsze położy kres Nadzorowi. Plan, dzięki któremu nawet sam Nadzór nie domyśli się, kto lub co doprowadziło do jego klęski. Uzna ją za pechowy zbieg okoliczności.



CZĘŚĆ II
SMIERC POWIETRZA

O SAMOTNYCH AGENTACH

Nie tylko Wolne Bractwa strzegą granicy pomiędzy tym, co naturalne, i tym, co nadnaturalne. Są także tacy, którzy nie korzystają z dobrodziejstw wspólnej pracy i którzy na rzecz równowagi i ochrony wolą działać niezależnie. Ich powody są zwykle takie same jak w przypadku agentów z londyńskiego Nadzoru, amerykańskiego Zwierzchnictwa czy francuskiego Paladyna, lecz zarazem w równym stopniu do działania motywuje ich chęć wzbogacenia się. Ci nielicjonowani łowcy głów znani są jako poszukiwacze bądź venatorzy (z łacińskiego „łowca”) albo, w przypadku kobiet, venatrix.

W istocie venatrix przypominają wiejskie widźmichy, tyle tylko, że lubią podróżować. To silne, niezależne kobiety, w których żyłach płynie naturalna i nadnaturalna krew. Zazwyczaj wiodą samowystarczalne życie na marginesie klasycznych, patriarchalnych społeczności, używając swoich darów do uzdrawiania lub jasnowidzenia oraz oferując pomoc, wsparcie i ochronę w zamian za jedzenie, usługi lub pieniądze. W odróżnieniu od czarownic venatrix działają poza granicami jednej społeczności, a to z powodu swojego wędrownego trybu życia. Poza tym złowrogi siły sprowadzające nieszczęście na daną miejscowość często po jakimś czasie przemieszczają się do sąsiedniej osady, poza zasięg obrończyni, o ile takowa w ogóle się tam znajdowała. Venatrix udają się wówczas w pościg za sprawcami i robią wszystko, co w ich mocy, by przywrócić sytuację do pierwotnego stanu. Z oczywistych powodów łowczynie nie lubią ograniczeń Wolnego Bractwa, a szczególnie bezpłatnego świadczenia usług, który to wymóg odebrałyby im ich niezależność. Co pośrednio z tego wynika, częściej operują

w odludnych, wiejskich obszarach i prawie nigdy nie widuje się ich w bardziej zaludnionych strefach, takich jak Londyn.

*Wyjątek z Wielkiej i tajemnej historii świata
autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka
(znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)*



ROZDZIAŁ XV

Zamiana

Dziewczyna stojąca na skraju Upper Rathbone Place dobrze wiedziała, że jest tyle sposobów, żeby porwać dziecko, ile samych dzieci, lecz tylko jeden, by zrobić to w sposób zupełnie niezauważalny. Skryła się w cieniu alejki, wpatrzona w wysoki budynek naprzeciwko.

Wiedziała, które okna należą do której sypialni, a także że służba nocuje wyżej, na poddaszu. Wiedziała również, że bezpośrednio pod sypialniami znajduje się pokój dziecięcy i że opiekunki w nim nie ma, gdyż ona i ojciec malca schodzili się każdej czwartkowej nocy na swoim *rendez-vous*. A dzisiaj był czwartek.

Niewielkie zawiniątko w ramionach kobiety poruszyło się, a ze środka dobiegło ciche kwilenie. Cmoknęła kilka razy i zakołysała się, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z wysokich okien w ozdobnych futrynach.

Pan domu był lekarzem, natomiast opiekunka – młodą, czynną Irlandką ze Skibbereen. Miała wąską talię, wydatny biust i, co najważniejsze, niebezpieczny błysk w oku. Przyczajonej w mroku dziewczynie podobało się zwłaszcza to ostatnie, bo sama ów

błysk zaszczepiła. Potrafiła nie tylko porywać dzieci, ale także wymuszać na ludziach różne rzeczy w taki sposób, by ci o tym nie pamiętali. Po prostu robili, co chciała, a potem zapominali, że kiedykolwiek ją widzieli, nie mając pojęcia, że byli obiektem jej manipulacji. Robiła to po wielokroć, we wszystkich wcieleniach swojego niezmiernie długiego żywota. Była złodziejką dzieci, podmieńcem, ale także pierwszej wody intrygantką.

Wiedziała, że wieczorami lekarz miał w zwyczaju podawać swojej żonie miksturę własnej roboty, której zadaniem było uspokojenie jej zszarganych nerwów. Działo się tak od czasu bardzo trudnego i niebezpiecznego porodu, w wyniku którego na świat przyszedł chłopiec – obiekt zainteresowania złodziejki. Niewykluczone zresztą, że mężczyzna stosował ten zabieg także wcześniej, gdyż pani doktorowa tak naprawdę od zawsze miała niestabilną i nadwrażliwą psychikę. Gdyby nie była spadkobierczynią fortuny, prawdopodobnie nigdy nie wzięłaby z nią ślubu. Dodatkową komplikacją były też sprawy łóżkowe. Wysiłki związane z prokreacją wywoływały tak wiele łez i wzajemnych oskarżeń, że w konsekwencji, by zaspokoić swoje potrzeby, doktor postanowił spróbować szczęścia u boku kogoś innego – panny ze Skibbereen właśnie.

W efekcie w czwartkowe wieczory mężczyzna zwiększał porcje laudanum w swojej mieszance, by wywołać u żony nieco głębszy sen. Dzięki temu była ona nieświadoma przez większość nocy i nie słyszała skrzypienia łoża w sypialni obok, gdzie jej mąż gościł opiekunkę, ani płaczącego ze strachu dziecka pozostawionego samotnie piętro niżej.

Lekarz i jego kochanka również nigdy nie słyszeli dziecka – byli zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na takie drobnostki. I właśnie tę sytuację postanowiła wykorzystać złodziejka.

Światło w sypialni pani doktorowej przygasło i dziewczyna ruszyła przed siebie. Przemknęła jak duch po wytartym bruku i ze zdumiewającą łatwością wspięła po ścianie przybudówki aż na jej szczyt. Potem zwinnie przebiegła po pochyłym dachu pokrytym dachówkami, zeskoczyła na wilgotną ziemię, pokonała ogrodową pergolę i tak znalazła się na tyłach budynku. Tutaj

sięgnęła do najbliższego parapetu i wybierając kolejne punkty podparcia, zaczęła płynnie wspinać się po fasadzie. W mniej niż minutę dotarła aż na trzecie piętro, do uchylonego okna, przez które dostała się do pokoju dziecięcego.

Niemowlę w łóżku łkało żałośnie, niewystarczająco zmęczone, by zasnąć. Dziewczyna pochyliła się nad nim i położyła dłoń na jego policzku. Mimo ciemności dostrzegła błysk w oczach dziecka. Kwilenie przycichło, a później zupełnie ustało. Maluch był wyraźnie zaintrygowany.

Żłodzięka wyjęła chłopca z łóżeczka i w świetle księżyca z bliska przyjrzała się jego twarzy. Nawet jak na swój wiek, miał wyraziste rysy, podkreślone przez gęste brwi, nad którymi czerniły się loczki. Po lewej stronie czerwonych jak róża ust wyrastał pojedynczy pieprzyk.

Dziewczyna położyła dziecko na podłodze i pochyliła się nad łóżeczkiem, wyciągając coś z tobołka na piersi i chowając to pod pościelą. Potem podniosła niemowlę z dywanu i w dwóch skokach dotarła do okna. Chwilę później już jej w pokoju nie było. Zniknęła i tylko ktoś o bardzo dobrym słuchu usłyszałby dźwięk świadczący o jej bliskiej obecności – szelest odzienia szorującego o ścianę, gdy schodziła z powrotem na ziemię.

W pokoju przez jakiś czas panował absolutny spokój. Aż wreszcie dało się słyszeć czyjś kaszel, a dziecko – identyczne jak to należące do doktorostwa, z czarnymi lokami, czerwonymi jak róża ustami i pieprzykiem w ich kąciku – zaczęło głośno płakać.

W tym samym czasie w sypialni piętro wyżej rozebrany do naga lekarz położył się na opiekunce. Jego twarz utonęła w welonie puszystych rudych włosów. Głęboko wciągnął powietrze, pozwalając, by otumaniały go swym zapachem. Poczłł mocny, słony smak morza, a zarazem słodki aromat rozgrzanego na słońcu kolcolistu, którego woń pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

To właśnie wspomnienia, które wracały do niego w takich chwilach, przyciągały go do niej najbardziej. I choć bez wątpienia wiedział, że postępuje niegodnie, nie potrafił się oprzeć. Ich związek był zarazem piękny i zły. I uzależniający. Pod palcami wyczuł idealnie gładką skórę w okolicach talii. Zatrzymał dłoń,

nie wiedząc, czy ruszyć ku górze, w stronę piersi, czy może zsunąć się w dół, by znaleźć kuszące, zakazane ciepło czekające między jej nogami.

Gdy tak się nad tym zastanawiał, dziewczyna nieoczekiwanie zeszywniała i podniosła głowę z poduszki, nadstawiając uszu.

– Słyszałeś to?

Zamarł półprzytomny, zawieszony między poczuciem winy a frustracją.

– Co?

Spojrzał na nią z bliska. Łagodny zarys szczęki, wąska szyja osadzona na delikatnych ramionach, jasne oczy.

– Już nic – odparła po chwili i odwróciła się do niego. – Zdawało mi się.

Jej uśmiech nie mógł być bardziej kojący. W momentach takich jak ten była dla niego wszystkim. Nie mógł oderwać wzroku od tych jej magnetycznych oczu, chciał się w nich zanurzyć, całkowicie zgubić; chciał być w środku niej, ukryty przed światem i bezpieczny, głęboko, jak najgłębiej, żeby już nic nie mogło...

Jej chłodna ręka zatrzymała jego dłoń wędrującą ku dołowi.

– Nie teraz, kochanie. Na dziś wystarczy...

Był tak zaskoczony, że odruchowo aż zmarszczył czoło.

– Ale ja...

Sięgnęła drugą dłonią do jego twarzy i przebiegła nią po zmarszczkach.

– Wiem... Ale czy nie jesteś czasem śpiący? – spytała, a w jej łagodnym głosie można było usłyszeć irlandzki akcent rodem z hrabstwa Cork. – Na pewno jesteś... Więc się połóż i zaśnij... Cała ta sprośna zabawa, której ode mnie oczekujesz, czekać będzie na ciebie w snach. A kiedy się obudzisz, nie odróżnisz fantazji od rzeczywistości i będziesz przekonany, że naprawdę to zrobiliśmy. W ten sposób wszyscy zyskamy...

Uśmiechnął się, gdy poczuł ciepło jej dłoni, która zaczęła zmierzać ku jego nabrzmiątemu kroczu. Zamknął oczy, czując błogą rozkosz. A potem nagle zanurzył twarz w poduszce nad jej ramieniem i zaczął chrapać.

Opiekunka zręcznie wyslizgnęła się spod kochanka. Spojrzała na jego profil, na krótkie siwe włosy i gęste bokobrody. Odwróciła mu głowę na bok, by się nie udusił. Ostatni raz spojrzała mu prosto w twarz.

– Zabawne. Duży, silny mężczyzna, a śpi jak niemowlak... I tak nic by z tego nie było, mój drogi.

Poklepała go po plecach, ale nie było w tym geście pogardy czy nienawiści. Bardziej przypominał swego rodzaju przyjacielskie pożegnanie.

A potem opiekunka wstała z łóżka, ubrała się i ruszyła w stronę drzwi.



Weszła do pokoju dziecięcego i zbliżyła się do łóżeczka. Odchyliła pościel. Na środku pościeli leżało niemowlę. Jedną jego rączką unieruchomioną była pod plecami, a druga leżała swobodnie obok tułowia. Chłopczyk uśmiechał się przez sen.

Opiekunka pochyliła się i oswobodziła uwięzioną rękę, a następnie lekko przekręciła dłoń wnętrzem do góry, jakby spodziewała się coś znaleźć na odkrytym w ten sposób nadgarstku.

Dziecko otworzyło oczy i spojrzało na nią zaspanym wzrokiem. Jego buzia zaczęła wykrzywiać się w grymasie nieszczęścia i wyglądało na to, że malec zaraz zacznie płakać.

Opiekunka otwartą dłonią mocno uderzyła niemowlę w policzek.

– Jeden dźwięk, ty mały potworze, a sprawię ci naszyjnik z kamieni i cisnę cię do czarnych wód Fleet Ditch. Utoniesz jak reszta tych świństw, które tam wrzucają.

Z oczu dziecka zaczęły płynąć łzy. Wzięło głęboki oddech, przygotowując się do rozpaczliwego krzyku.

Kobieta ponownie je spoliczkowała.

– Tylko piśnij. Nie żartuję, zrobię to. Klnę się na Kamienną Panią z Drombeg. I nie będzie to mój pierwszy raz.

Niemowlę wpatrzyło się w nią szeroko otwartymi oczami. Jego wargi niemo drżały, a małe rączki to zaciskały się, to otwierały,

szukając punktu zaczepienia. Opiekunka chwyciła chłopca i włożyła do torby podróżnej.

– Ani mru-mru – powtórzyła, naprędce związując sobie włosy.

Potem podniosła torbę i po cichu wyszła z pokoju.

Bez pośpiechu wędrowała ciemnymi ulicami. W jednej dłoni trzymała torbę z dzieckiem, machając nią beztrzesko, a w drugiej obracała między palcem a kciukiem coś, co przypominało niewielki kamyk.

Ileokroć dochodziła do jakiegoś skrzyżowania, przystawała i zamykała oczy, nie przestając jednak bawić się kamykiem, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy.

Zazwyczaj nie zatrzymywała się na długo, z wyjątkiem dwóch sytuacji, kiedy zza rogu wyłonili się jacyś mężczyźni i pytali ją, czy przypadkiem się nie zgubiła. Wiedziała, że ze względu na porę oraz wygląd „wybawców” tego rodzaju oferta pomocy niesie ze sobą więcej kłopotów niż korzyści. Dlatego nie odezwała się ani razu. Zamiast tego odpowiadała stanowczym spojrzeniem, które zdawało się odstraszać mężczyzn. Gdy oddalali się pospiesznie, wracała do swojej wędrowki przez miasto.

Jeszcze raz skupiła się na celu, unosząc głowę, jakby węszyła. Wiedziała, że znajdzie podmieńca w melinie przy Endell Street, ale gdzie to było? Cofnęła się o kilka kroków i powoli odwróciła. Jej twarz pozbawiona była wyrazu, a dłoń wciąż obracała kamyk. Dziewczyna zakołysała się hipnotycznie, jak gdyby praktykowała różdżkarstwo.

Już wiedziała. Melina mieściła się w wąskim budynku na rozwidleniu dwóch alejek, które biegnęły po obu jego stronach i nikły w ciemnościach. Niegdyś pomalowany na biało, teraz był szary i pokryty dziesiątkami wilgotnych zacieków. Mimo solidnej budowy osiadł na podmokłym terenie i niebezpiecznie przechylił się, przypominając pojedynczy, zepsuty i krzywy ząb wychylony w stronę czarnej paszczy miasta.

Kiedy dotarła na miejsce, odnalazła pokruszone schody wiodące w dół, do ciasnego, ponurego przedsionka piwnicy. Przeskoczyła przez dwóch nieprzytomnych pijaków leżących pod

drzwiami i weszła do środka.

W melinie najczęściej przesiadywali złodzieje, jednak o tej porze świeciła już pustkami. Jedynymi gośćmi była para śpiących bandziorów rozwalonych na blacie oraz dziewczyna siedząca w kącie, która kołysała niemowlę.

- To twoje dziecko? - zapytała opiekunka.

- Tak - odparła tamta, nie podnosząc wzroku.

- Piękny chłopak. Ile ma?

- Jest malutki.

- To ciekawe - uśmiechnęła się opiekunka. - Z ciebie też z pewnością żaden matuzalem.

Złodziejka wciążyła kołysała dziecko.

- A więc ile masz lat? - zapytała opiekunka, przyglądając się jej z uwagą. - Cóż, masz nie więcej niż czternaście, może piętnaście wiosen, a jednak jesteś wysoka, jak na swój wiek.

- Mam wystarczająco dużo lat - odparła wyzywająco dziewczyna.

- Z pewnością, kochanie - potwierdziła opiekunka, nie ukrywając swojego irlandzkiego akcentu. - A gdy dziecko dojrzeje, ile będziesz miała? Trzydzieści z hakiem? A ono wyrośnie na postawnego, krzepkiego mężczyznę z mniej więcej szesnastką na karku, nie myślę się?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Ich spojrzenia po raz pierwszy się spotkały. Opiekunka wygrała ten pojedynek.

- Jestem Caitlin Sean ná Gaolaire i pochodzę ze Skibbereen. Moja rodzina mówi na mnie Cait, ale to teraz nieważne. Mam przy sobie dwie rzeczy, o których nie wiesz: brzytwę, dokładnie tu, w rękawie, i kogoś z TWOJEJ rodziny w torbie.

Dziewczyna spojrzała gdzieś poza Cait, jakby szukając drogi ucieczki.

- A teraz możesz mówić, co tylko chcesz - zaczęła opiekunka - ale okłam mnie jeszcze raz, a użyję tej brzytwy. Po takim zabiegu będziesz mogła wszystkim w kółko opowiadać, że nie umiesz trzymać języka za zębami.

Umilkła na moment, zastanawiając się nad treścią swoich słów.

– A nie, przepraszam, musiałybyś im to napisać, prawda? – mruknęła. – Ale to niczego nie zmienia. Żart i tak jest śmieszny.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytała złodziejka.

– Długa historia – odparła Caitlin Sean ná Gaolaire. – Oddaj mi dziecko.

Dziewczyna mocniej chwyciła zawiniątko.

– Myślisz, że wciąż masz szansę. Zastanawiasz się nad następnym ruchem. Ale problem w tym, że to koniec gry. To była pułapka. Wpadłaś w nią.

– Kim jesteś?

– Prawem i Obyczajem.

– Jesteś z Nadzoru? – zapytała złodziejka, zerkając na drzwi.

Caitlin uniosła głowę i zaśmiała się. Jeden z pijaków się obudził i spojrzał na nią spode łba.

– Śpij dalej – powiedziała Cait, krzyżując z nim spojrzenia. Zamknął oczy i z powrotem położył policzek na blacie stołu, w niewielkiej kałuży ginu. – Nie jestem pionkiem. Pracuję sama. Fiaga!

– Nie wiem, co to znaczy...

– Jestem łowcą. Śledziłam cię całą drogę.

Złodziejka z każdą chwilą robiła się coraz bardziej blada.

– *Venatrix...*

Caitlin wzruszyła ramionami.

– To jedno i to samo – powiedziała. – Podążałam twoim śladem aż ze Skibbreen – dodała.

Dziewczyna głośno przełknęła ślinę, jakby walczyła z odruchem wymiotnym.

– Ze Skibbreen?

– Tak, z pewnością pamiętasz to miejsce. Znajduje się pomiędzy Ballydehoy i Kamieniami z Drombeg. Najpiękniejsze w całym hrabstwie Cork. Zielony skrawek nieba, jak to mówią. Musisz pamiętać. To przecież tam ledwie dwie wiosny temu ukradłaś tamtejszemu rządcy jego dziecko.

Dziewczyna spojrzała na nią z rozwartymi ustami.

– Rude włosy, choć nie tak ciemne jak moje, śliczne zielone oczy, cera skropiona piegami i znamię w kształcie wysp Heir na

wewnętrznej stronie nadgarstka lewej ręki, niewielkie i blade, za to bardzo charakterystyczne. Gdzie jest?

– Nie wiem... o czym mówisz... – zaczęła złodziejka, lecz jej wzrok przykuł błysk stali, którą z pozoru niechcący odkryła Caitlin.

Końcówkę kościanej rękojeści wieńczył charakterystyczny kształt kotwicy.

– Mam twoją rodzinę, podmieńcu. Możesz odejść, ale jeżeli to zrobisz, utopię tego bachora we Fleet Ditch. Obiecałam mu to, dlatego w torbie razem z nim trzymam dwa kamienie. Cokolwiek zrobisz, musisz zostawić tu skradzione dziecko. A ja muszę odnieść je na miejsce, zanim ktoś zauważy, że go nie ma.

– Ale ja... – bąknęła dziewczyna. – Nic nie rozumiem... Sprawiałam, że tamten lekarz się w tobie zakochał. Zrobiłam to, żeby uspił żonę i był... zajęty tobą. Jak ty...

Caitlin Sean ná Gaolaire pokręciła głową z irytacją.

– Nie jestem tu po to, żeby dawać ci wykłady, podmieńcu. Poluję. Dbam o zadośćuczynienie. Czasami, jeżeli czuję, że tak trzeba, karzę. Ale żebyśmy miały to z głowy, bo już późna noc, a ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, wyjaśnię ci coś. Otóż w każdej grze najlepsze, co możesz zrobić, to sprawić, aby przeciwnik popełniał błędy za ciebie. A najłatwiejszym sposobem, żeby to osiągnąć, jest przekonanie go, że nad wszystkim panuje. Pewność siebie jest jak miecz obosieczny i jeżeli mu na to pozwolisz, zetnie i ciebie.

Wyciągnęła rękę po dziecko.

– Nie jestem pewna, czy nas nie pozabijasz – przełknęła ślinę dziewczyna.

– Cóż, nie jestem dzikusiem ani potworem – odparła Caitlin. – Ale wszystko zależy od tego, czy zaprowadzisz mnie do prawdziwego dziecka ze Skibbereen.

– Nie mogę – powiedziała złodziejka.

– Nieprawda – zaprzeczyła Caitlin. – Tylko ci się wydaje, że nie możesz. Nie zastanawiaś się nad tym wystarczająco długo. Noc w Sly House pomoże ci zmienić zdanie. A jeżeli nie, porozmawiamy o tym jeszcze raz, inaczej. Odłóż dziecko na stół.

Dziewczyna wciąż się wahała, czy ulec żądaniu.

– Daj spokój. Staram się być miła, ale jeżeli nie zaczniesz mnie słuchać, odetnę ci głowę i tak to się skończy. Myślisz, że dasz mi radę? Błąd, kochanie. Jestem dziesięć razy szybsza od ciebie. Moja profesja tego wymaga. Rozumiesz?

Złodziejka przytaknęła. Położyła zawiniątko z dzieckiem na stole, wprost pomiędzy brudnymi talerzami i szklanicami z niedopitym trunkiem.

Caitlin Sean na Gaolaire nie kłamała – była szybka. W jej dłoni błysnęło srebro i rozległ się cichy chrzęst. Złodziejka wydała z siebie krótki pisk, a potem bezwiednie usiadła, czekając na fontanny krwi, które – jak się spodziewała – niechybnie popłyną z jej nadgarstków.

– Przestań – powiedziała Caitlin. – Nawet cię nie musnęłam. To tylko kajdanki, widzisz?

Dziewczyna uniosła dłonie, przekonując się, że żadnych ran nie ma. Zanim je opuściła, Cait założyła żelazną obręcz na drugi jej nadgarstek.

– Pali – syknęła złodziejka.

– Więc się pośpiesz – powiedziała Cait. – Weź brata w torbie i wracajmy oddać prawdziwe dziecko biednemu lekarzowi i jego żonie, a potem razem ruszymy do Sly House. Muszę poprosić Nadzór o przysługę i chciałabym – jak to zwykle bywa z tym, co nieprzyjemne – mieć to już za sobą.

ROZDZIAŁ XVI

Pan Sharp

Nie wiedział, jak długo mała zakonnica stała obok niego, ponieważ najwyraźniej nie słyszał jej uprzejmego chrząknięcia ani za pierwszym, ani nawet za czwartym razem.

Zauważył ją, dopiero gdy niepewnie wyciągnęła do niego rękę i pociągnęła go za rękaw.

I nawet wtedy nie zareagował ze swoim zwyczajowym, powszechnie znanym refleksem. Stał, jak stał, wciąż pochylony

nad lustrem, mając jego czarną taflę ledwie kilka centymetrów przed nosem, i czekał nie wiedzieć na co.

Wreszcie mrugnął i odwrócił wzrok, zaskoczony nie tyle niewytłumaczalną obecnością zakonnicy, ile zwielokrotnionym widokiem siebie samego – mężczyzny z podkrążonymi oczami i sporym zarostem, półprzytomnego, jakby dopiero co przebudził się z głębokiego snu.

– *Vous ne pouvez pas rester dans les miroirs!* – syknęła natarczywie dziewczyna, zakrywając sobie usta dłonią. – *Vous allez mourir!*

Przeniósł wzrok na zakonnicę. Była rozmiarów dziecka, drobna i wątła niczym ptak, na przykład strzyżyk, zupełnie jakby ktoś przez lata ją zaniedbywał. Nosiła mocno podniszczony szarobiały habit, a jej skóra była nienaturalnie blada i niemal półprzezroczysta, jak pergamin. Oczy kobiety zasłaniał obszerny kaptur, można było zresztą odnieść wrażenie, że zasłania ją całą. Była bosa, a jej wychudłe stopy i golenie również nadawały jej ptasi wygląd.

– *Vous ne pouvez pas rester ici!* – powtórzyła. – *Vous allez mourir!*

Sharp dorastał razem z Sarą Falk i obydwójce mieli tych samych nauczycieli. Rozumiał francuski i posługiwał nim całkiem znośnie, ale nie spodziewał się, że będzie potrzebował tej umiejętności podczas podróży przez lustra.

Zakonnica ponownie pociągnęła za jego rękaw.

– *Les ténèbres viendront pour vous!*

– Przepraszam – powiedział po francusku. – Nie... nie mogę...

Słowa zdawały się pojawiać w jego głowie z opóźnieniem.

– Jeżeli zostaniesz – powtórzyła – przyjdzie po ciebie ciemność.

Pociągnęła go po raz kolejny, tym razem jeszcze mocniej, ale on wciąż nie reagował. Jego dłonie zdawały się przyklejone do czarnego lustra. Czuł ból w mięśniach rąk i nóg, stopy mu ciążyły, jakby były z żelaza, a po plecach raz po raz przebiegały ciarki. Zrozumiał, że musiał tkwić w tej pozycji od bardzo długiej chwili. Spiął się w sobie i odepchnął od smolistej powierzchni, walcząc z siłą, która chciała go tam zatrzymać. Przetarł oczy

i odchrząknął.

– Szukam kogoś – wyjąkał, próbując znaleźć odpowiednie francuskie słowa. – Mówisz po angielsku?

– Nie – odparła. – Zgubiłeś się.

– Szukam młodej... kobiety. Lucy. Ma dłoń. Dodatkową dłoń. To znaczy nie swoją. Ukradła ją komuś.

Był świadomy, że brzmi dziwacznie, a do tego jeszcze ledwo się wysławia. W dodatku czuł się taki zmęczony.

– Dłoń odziana jest w rękawiczkę. I ma na palcach pierścienie. Ona... oni... moja przyjaciółka jej potrzebuje. Sara. Dlatego muszę ją znaleźć. Nie moją przyjaciółkę. Dziewczynkę z Francji, która ukradła dłoń.

Nie, nie brzmiał dziwacznie. Brzmiał jak szaleniec.

Mała zakonnica zerknęła za jego plecy, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś tam się nie chowa, a potem energicznie pokręciła głową, rozglądając się naokoło, co jeszcze bardziej upodobiło ją do ptaka.

– Chyba przyszedłem za późno. Już jesteś po stronie ciemności.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie, nie jestem. Tak naprawdę to przysięgałem z nią walczyć.

– Zacisnął pięść i pokazał jej swój pierścień. – Jestem z londyńskiego Nadzoru.

Przypomniawszy sobie, kim jest, poczuł przyływ siły.

Pierścień nie zrobił żadnego wrażenia na małej zakonnicy. Domyślił się tego, bo jej oczy wciąż skrywał kaptur. Wyciągnęła drugą dłoń i wskazała na czarne lustro.

– Być może i jesteś zaprzysiężony, *monsieur*, lecz wpatrywałeś się w to lustro godzinami.

– Nonsens – odparł. – To była chwila...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie jesteś dostrojony do luster i straciłeś poczucie czasu. Myślisz, że jesteś tu od paru minut albo godzin, tak? Równie dobrze możesz tu być od paru dni, tygodni, a nawet miesięcy.

– Nie – sprzeciwił się stanowczo.

– Tak – uparcie oznajmiła zakonnica. – Iluzja zastąpiła rzeczywistość. Wkrótce cały się w niej zatracisz.

Czuł głód, ale jednocześnie ledwie powstrzymywał się od wymiotów. Bolała go głowa, przez co musiał nieustannie zbierać myśli, które natychmiast rozpierzchały się we wszystkie strony. Wiedział, że są rzeczy, które powinien zrobić, i jest pytanie, które powinien był zadać dobrą chwilę temu.

– Kim jesteś?

– Nikim – odparła. – Kiedyś, gdy byłam kimś, faktycznie miałam imię. Ale teraz jestem po prostu sobą. Musisz opuścić lustra.

– Nie mogę – odparł.

Ból głowy stawał się coraz potężniejszy – jakby upojenie czernią lustra powodowało kolosalnego kaca. Ponownie wyciągnął rękę przed siebie.

– Szukam dłoni z takim pierścieniem. W rękawiczce. Kobiecej dłoni.

Pochyliła głowę do przodu i na chwilę znieruchomiła. Następnie wróciła do poprzedniej pozycji.

– Widziałam coś takiego – przyznała.

– Możesz mnie tam zaprowadzić? – zapytał, a słowa wypłynęły z jego ust, zanim zdołał je przemyśleć.

– Mogę, ale tylko do miejsca, gdzie widziałam to ostatni raz – odparła, wzruszając ramionami. – Gdybym powiedziała ci, że mogę więcej, skłamałabym.

Sharp miał wrodzoną zdolność wykrywania kłamstw. Mógł także zajrzeć głęboko w czyjeś oczy i przeświecić umysł w taki sposób, że cokolwiek się tam kryło, wpływało na wierzch. Ton głosu zakonnicy sugerował, że mówi prawdę. Ale wszystko to było tak nieprawdopodobne, tak dogodne, tak w samą porę, że ta część jego jaźni, która nigdy nie ufała nikomu i niczemu, nawet własnemu osądowi, z krzykiem protestowała właśnie przed łatwowiernością.

– Mogę zobaczyć twoją twarz, siostrze? – zapytał.

– Masz na myśli moje oczy? Chcesz przeczytać mój umysł, panie Nadzór, żeby sprawdzić, czy nie kłamię? – Wyciągnęła prosty krucyfiks wiszący na rzemieniu oplatającym jej szyję. – Przysięgam na ten krzyż. Czy to nie wystarczy?

– Bez urazy, siostrze, ale spotkałem tyle samo bogobojnych ludzi,

ilu grzeszników ukrywających się za swoimi religijnymi symbolami w kształcie krzyża, gwiazdy czy czegokolwiek innego.

– Uśmiechnął się.

Poczuł się sobą.

– Zapewniam cię, że gdybyś spojrział w moje prawdziwe oczy, dostrzegłbyś tylko, że są niebieskie, czyste i niewinne, ale także nieco smutne na skutek zdrady, której ofiarą padłam – powiedziała, wciąż trzymając opuszczoną głowę. – Poza tym nie znalazłbyś w nich niczego, co mogłoby cię zaniepokoić.

– Więc proszę uprzejmie, bądź tak miła i pozwól mi w nie spojrzeć. Nie mam na myśli niczego złego.

Przyklękła na jedno kolano, zniżając twarz do jej poziomu.

Odwróciła głowę.

– Ja też nie mam na myśli niczego złego – powiedziała. – Ale nie możesz w nie spojrzeć. Zgubiłam je.

– Zgubiłaś? – zdziwił się, sięgając łagodnie do jej barku i zamierzając odwrócić ją ku sobie.

Cofnęła się, jakby przewidziała jego intencję.

– Zgubiłam, przepadły dawno temu – wyjaśniła. – Nie jestem już kobietą, którą byłam kiedyś. Ale nie stałam się kłamcą. Jestem tym, czym widzisz. Paskudztwem. Proszę, wybac mi.

Podniosła głowę. Była stara. Błada, pomarszczona skóra, spod której przebijały żyły i ścięgna, luźno opinała kościste oblicze. Spoglądające na niego oczy nie były ani niebieskie, ani czyste czy smutne. Były czarne. Czarne i połyskliwe jak zęby, które odsłoniła, odejmując dłoń od ust.

– Jesteś lustrzakiem – powiedział po angielsku i odruchowo sięgnął za pazuchę. Zaciśnął dłoń na rękojeści ostatniego noża.

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma znaczenia, jak mnie nazwiesz. Jestem tym, czym jestem. Ważniejsze, że wiążą się z tym moje potrzeby i zwyczaje.

Zagłębiła dłoń w fałdach swoich szat i po chwili w jej dłoni błysnęło coś metalicznego. Sharp odruchowo odskoczył w tył, dobywając broni.

Zakonnica wciąż świdrowała go swymi czarnymi oczami, wyraźnie rozdarta między zrozumieniem a wyrzutem. Kucnęła

i postawiła metalowy przedmiot na lustrzanej podłodze, po czym cofnęła się o dwa kroki.

Był to cynowy kubeczek – poobijany i częściowo zaśniedziały, nie większy niż kieliszek na jajko.

Sharp w jednej chwili przypomniał sobie o wszystkich rzeczach, które słyszał o lustrzakach, i rozejrzał się ostrożnie, szukając innych upiorów.

Skinęła głową na kubek.

– Nie potrzebuję wiele, panie. Wystarczy odrobina i będę wielce uradowana. Pomyśl, że w zamian zabiorę cię do miejsca, gdzie ostatni raz widziałam dłoń z pierścieniem.

Sharp patrzył na nią. Choć wciąż miał mętlik w głowie, udawało mu się zachować resztki rozsądku.

– Mierz dwa razy, tnij raz – powiedział po angielsku.

– Słucham? – bąknęła zakonnica, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

– To przysłowie, które kiedyś usłyszałem od przyjaciela – wyjaśnił po francusku. – Oznacza: podejmij decyzję, a potem przemyśl ją jeszcze raz, by się upewnić, że jest dobra.

– Pośród lusterek żyje wielu takich jak ja – rzekła. – Żaden z nich nie poprosi o tak mało. Wielu nie poprosi w ogóle. Po prostu biorą krew i tyle.

– Niech tylko spróbują – zagroził, obracając nóż w dłoni.

Spartaczył to. Jego kciuk wykonał za wolny obrót i nie przejął na czas rękojeści. Ostrze upadło z brzękiem i chwilę kręciło się na ozdobnym jelcu u stóp zakonnicy.

Nie mógł uwierzyć, że upuścił nóż. Nigdy wcześniej nie doznał takiego upokorzenia. Jak to w ogóle możliwe?

Zakonnica pochyliła się i podniosła broń. Obróciła ją w dłoni, oglądając z zainteresowaniem ze wszystkich stron.

– Ładny – powiedziała i spojrzała na niego z uśmiechem.

Już rozumiał. To te lustra. Osłabiły go. Mimo to wciąż jakoś sobie radził.

Nie miał wątpliwości, że mógłby w każdej chwili pokonać lustrzaka – z nożem czy bez niego. Wyobraził sobie, z jaką łatwością połamałyby czarne kości, i jednocześnie na samą tę myśl

poczuł nieprzyjemny dreszcz.

Kobieta obróciła nóż rękojeścią w jego stronę i wyciągnęła rękę.

– Twoja decyzja. Nie zmuszę cię. Jestem paskudztwem z konieczności, nie z wyboru. Pamiętam, jak to było być kimś takim jak ty.

Wziął od niej swoją broń, świadomy, że zrobił to zbyt pośpiesznie. Był taki niezdarny – choć przecież właśnie stał nad nią z ostrzem skierowanym w stronę jej gardła. Cofnął się, uśmiechnął przepraszająco, po czym schował broń z powrotem za pasek.

Zakonnica schyliła się i zabrała kubek. Nawet w jej drobnych dłoniach wydawał się żałośnie mały.

– Cokolwiek planujesz – zaczęła – przede wszystkim wyjdź z luster. Zabijają cię.

Schowała naczynie z powrotem do kieszeni ukrytej gdzieś pod szatami i odwróciła się, by odejść.

Patrzył, jak się oddala, a wraz z nią miriady jej malejących lustrzanych odbić, a potem jak gwałtownie niczym ptak stroszący pióra zatrzymuje się i skręca w prawo, znikając mu z pola widzenia.

Poczuł dziwne ukłucie w mostku.

– Czekaj! – zawołał po angielsku, po czym się poprawił: – *Attendez, s'il vous plaît!*

Dobył noża i puścił się za nią biegiem. Pomyślał, że tak naprawdę kubek wcale nie był taki duży. I że w sumie nie ma lepszego planu. Więcej nawet, nie ma żadnego planu. Więc co mu szkodziło?

ROZDZIAŁ XVII

Nocny gość

Pukanie do drzwi po północy nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

Jak zazwyczaj o tej porze mieszkańcy Kryjówki od dawna już byli pogrążeni we śnie. Kucharka drzemała w łóżku pod ciepłą,

puchową pierzyną, Charlie pochrapywał pod okapem na swoim materacu wypchanym końskim włosiem, a Emmet spał nieruchomy jak posąg w pokoju wyłożonym boazerią, mieszczącym się tuż przy bocznych drzwiach do piwnicy.

Pukanie było natarczywe i głośne, więc wszystkich od razu zbudziło. Zanim Charlie zdążył zbiec ze schodów, a Kucharka wygrzebała się z łóżka, próbując zawiązać szlafrok i szukając przy kominku swojej siekiery, Emmet był już u drzwi. Nie odważył się jednak ich otworzyć, dopóki nie dotarła do niego pozostała dwójka.

– No dalej – powiedziała Kucharka. – Sprawdźmy, kogo tam licho niesie.

Charlie ze zdziwieniem spojrział na siekiere, którą trzymała w dłoni.

– O co chodzi? – spytała go, kiedy Emmet przekręcał klucz i przesuwiał rygiel.

– O nic.

Podążyła za jego wzrokiem.

– Aaa, o to... W naszym zawodzie zawsze trzeba być przygotowanym – wyjaśniła, opuszczając broń i wsuwając ją między fałdy szlafroka. – I nie patrz na mnie takim wzrokiem – dodała. – Już niedługo też będziesz nieustannie chodził z jakąś bronią, żeby w razie czego szybko przejść do ataku. Sam zobaczysz.

Wyszczерzył się radośnie.

Emmet otworzył drzwi.

– Szukam Jacka Sharpa. Albo pani domu – odezwał się ktoś z wyraźnym irlandzkim akcentem. – I przepraszam za najście o tak późnej godzinie.

Charlie zerknął przez potężne ramię Emmeta.

Na najwyższym schodku stała kobieta, a koło niej, trochę niżej, druga, o wiele młodsza. Nadgarstki miała skute kajdankami, a w dłoniach trzymała wielką torbę. Wyglądała przy tym na chorą.

– Pani domu? – zdziwiła się Kucharka, biorąc głęboki wdech i wciągając w nozdrza obce zapachy. – To znaczy kto?

– Sara Falk. Chyba że Jack Sharp mnie okłamał...

– Sary tu nie ma.

Zmierzyły się wzrokiem, a Charlie zrozumiał, że choć diametralnie różniły się pod względem wyglądu zewnętrznego, to pod jednym względem były wręcz identyczne: obydwie jasno i wyraźnie komunikowały swoje myśli, zachowując jednak pozory uprzejmości.

– Więc ty jesteś ta zacna Kucharka. Doprawdy, miło poznać.

– Wystarczy „Kucharka”. I wzajemnie.

Skinęły głowami.

– Podoba mi się twoja siekiera.

– A mnie się nie podoba zapach twojej przyjaciółki – odparowała Kucharka. – Kim jesteś i dlaczego ją tu przyprowadziłaś?

– Nazywam się Caitlin Sean ná Gaolaire, a imię tej tutaj jest nieistotne. W sumie nawet zapomniałam ją o nie zapytać. Ale do rzeczy: jak słusznie podpowiada ci nos, dziewczyna jest podmieńcem. Tak samo jak ten w torbie. Zamieniła go wcześniej z prawdziwym dzieckiem, które dopiero co zwróciłam rodzicom. Dlatego jestem zmęczona i pomyślałam, że miło byłoby znaleźć w Sly House jakiś ką, w którym mogłabym odsapnąć i nabrać sił.

Kucharka w milczeniu przyglądała się tej dziwnej parze. Charlie wiedział, co to oznacza: że zaczyna się denerwować.

– Wiesz o Sly House? A przy tym nie jesteś jedną z nas...

– Oczywiście, że nie – stwierdziła Cait. – No dobrze, to może inaczej: ten gaduła Jack jest mi winny przysługę. I nie ma w tym nic dziwnego. Ja i Jack jesteśmy po prostu starymi przyjaciółmi.

– Wcale nie jesteście starymi przyjaciółmi – powiedziała stanowczo Kucharka. – Znam go od dziecka i nigdy nie słyszałam, żeby się z tobą przyjaźnił.

– Parę lat temu był w Bristolu, moja droga. – Cait uśmiechnęła się. – Gonił wtedy na bałtyckim statku handlowym pewną niegrzeczną parę, która narobiła niezłego bałaganu w Port of London, po czym podniosła kotwicę z zamiarem popełnienia tych samych przestępstw w następnym porcie. To byli Neck i Klabautermann, pamiętasz?

Kucharka zamachnęła się siekierą, ale zaraz znieruchomiła, jakby coś ją olśniło.

– Zaraz, to ty!

– Podzieliliśmy się wtedy zdobyczą – wyjaśniła Cait.

– Jesteś venatrix.

– Owszem.

– Opowiadał, że uratowałeś mu życie – powiedziała Kucharka. – Ale nic nie wspominał, że byłaś... jesteś... taka młoda...

– Cóż, skromny z niego typ. – Cait uśmiechnęła się szeroko. – Poza tym było dokładnie na odwrót. Znalazłam się w trudnej sytuacji i poprosiłam go o pomoc.

Kucharka powoli opuściła siekierę i oparła ją o ścianę.

– Wejdz, ogrzej się. Noc jest zimna – powiedziała. – Przygotuję ci coś do jedzenia.

– Dziękuję, ale najpierw chciałabym zamknąć tę dwójkę w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Zajmą się tym Emmet i Charlie – zapewniła Kucharka. – Jeżeli oczywiście zechcesz im zaufać.

– Co to venatrix? – zapytał Charlie.

Cait spojrzała na niego. Łagodny uśmiech, którym go obdarzyła, sprawił, że poczuł mrowienie w brzuchu.

– Wyglądasz mi, młodzieńcze, na wystarczająco godnego zaufania, ale uważajcie na tych dwoje. Dziewczyna jest zwinna i sprytna, a ten w torbie to prawdziwy jadowny wąż. – Skupiła uwagę na olbrzymie. – Nigdy wcześniej nie widziałam golema. Ładna rzecz...

– Nie jest rzeczą – sprostował Charlie. – To Emmet.

Cait skinęła głową i znów spojrzała na górującego nad nią olbrzyma.

– Zwracam honor, wielkoludzie. Nie chciałam cię obrazić.

Wyciągnęła rękę. Po chwili zastanowienia Emmet uściśnął jej dłoń.

Kucharka westchnęła.

– To coś nowego – powiedziała. – Dobrze, idźcie i zamknijcie ich w tej samej celi. – Odwróciła się do Caitlin. – Ile ma w ten torbie?

– To jeszcze dziecko.

– Ma już zęby?

– Może ze cztery. Ale użyłyby ich, gdyby mógł.

– Więc uważaj, kiedy będziesz otwierał torbę – zwróciła się Kucharka do chłopca. – Albo daj to zrobić Emmetowi.

Golem chwycił złodziejkę za ramię, by zabrać ją do podziemnych cel, Charlie zaś stał chwilę nieruchomo, zastanawiając się, co ma zrobić.

– Naprawdę w środku jest niemowlę? – zapytał.

Cait przytaknęła.

– I w jednej chwili wydułaby ci oczy – dodała. – Więc uważaj.

Kucharka zaprowadziła ją do kuchni i zaproponowała poczęstunek. Wkrótce w pomieszczeniu pojawił się także Charlie. Zastał obydwie kobiety siedzące naprzeciwko siebie. Na talerzu Cait leżał ogromny kawałek ciasta, a obok stał parujący kubek herbaty.

– Jack wspominał, że to najbezpieczniejsze miejsce na świecie – wydusiła Cait, zajadając się ciastem. – Gdybym tu żyła, bałabym się, że umrę z przejedzenia! To ciasto jest naprawdę przepyszne.

Kucharka z dumą zadarła brodę.

– Wychodziły mi lepsze – oznajmiła.

– Wierzę... Lepiej nic więcej już nie piecz, bo nigdy stąd nie wyjdę. Delicje!

Kucharka odkroiła nowy kawałek i podała go na talerzu Charliemu, nieświadomie rekompensując mu w ten sposób wcześniejszą przegraną.

– Nie wyjaśniłaś jeszcze, czym jest venatrix – bąknął chłopak.

– Patrzysz na jedną z nich – wyznała Caitlin.

– Owszem, jesteś myśliwym, jak my – zaczęła Kucharka. – Ale nie należysz do żadnej grupy.

– Coś jak łowca głów? – spytał Charlie.

– W pewnym sensie – stwierdziła Cait. – Ja także ścigam tych złych i jak tylko mogę, służę Prawu i Obyczajowi. Ale wolę pozostać wolnym strzelcem.

– A o co chodzi z tymi podmieńcami? – zapytała Kucharka. – Dlaczego ich tu przyprowadziłaś właśnie teraz?

– Myślałam, że się ucieszysz na widok dwóch żyjących pod

waszym nosem dziwaków, których podałam wam na tacy – stwierdziła Cait, lekko unosząc brwi. – Zakładałam też, że po takiej przysłudze nie będziesz wypytywała mnie o prywatne sprawy.

– W Londynie nic nie jest prywatną sprawą – oznajmiła Kucharka. – Mamy prawo i obowiązek wiedzieć o wszystkim. Jesteśmy Nadzorem.

– W porządku. Chociaż przeoczyliście tych dwoje, prawda? – powiedziała Cait, popijając herbatą ostatni kęs ciasta. Odsunęła się od stołu i przeciągnęła. – Zapytałabym, z jakiego powodu, lecz pewnie byłoby to wpychanie nosa w nie swoje sprawy...

– Co sprowadza cię do Londynu? – nie poddawała się Kucharka. – I skąd w ogóle pochodzisz?

– Ze Skibbereen. To wyjątkowo urokliwe miejsce. A jeśli dasz mi dokładkę, obiecuję, że powiem ci, co mnie tu ściąga.

Kucharka zerknęła na Charliego, odkrawając kolejny kawałek ciasta. Położyła go na talerzu Caitlin.

– Tak naprawdę venatrix to najemnicy – powiedziała. – Rzadko kiedy oferują coś za nic. To, co my wykonujemy z obowiązku, oni robią dla zysku.

Caitlin parsknęła.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać – stwierdziła, starając się zapanować nad rozbawieniem. – Czy wyglądam ci na bogatą kobietę? Owszem, pobieram opłatę za swoje usługi, ale to czyni ze mnie profesjonalistkę, a nie chciwą jędzę.

Pochłonęła kilka kolejnych kęsów ciasta.

– Rządca w Skibbereen miał uroczą córeczkę z pewną miłą, czynną kobietą, która niestety oszpecona była zezem rozbieżnym... ale nie w tym rzecz. Dziewczynka, pierworodna, była dumą i szczęściem rodziny, prawdziwym oczkiem w głowie. A potem nagle została porwana, a raczej podmieniona na inne, identycznie wyglądające dziecko. W każdej innej rodzinie pewnie nikt by się nawet nie zorientował, że ma do czynienia z sobowtórem, ale rządca miał dar i dostrzegł, że coś jest nie tak. Pewnego dnia przyszedł do mnie i powiedział, że ktoś ukradł mu dziecko i że żonie, gdyby się o tym dowiedziała, złamałoby to

serce. Zaoferował porządne wynagrodzenie, prawdziwe złote szterlingi, a ja dałam mu słowo, że znajdę małą. To dlatego przez dwa lata tropiłam rodzinę podmieńców. Bo inną cechą venatrix, Charlie – zwróciła się do chłopaka – jest honor. Kiedy nie ma się za sobą niczego takiego jak Nadzór, możesz liczyć tylko na siebie. I jeżeli twoje słowo nic nie znaczy, cóż ci pozostaje?

Charlie skinął głową i się uśmiechnął. Kucharka pochyliła się i dźgnęła go końcówką drewnianej łyżki.

– Jeżeli aż tak interesują cię jej sprawy – powiedziała – na górze znajdziesz książkę, która być może cię zaciekawi. Dowiesz się z niej wszystkiego o podmieńcach. Niełatwo przyprawić mnie o dreszcze, ale wiesz co, paniczu Pyefinch – podmieńcom dobrze to wychodzi.

– Jaka znowu książka? – zapytał chłopak, mając nadzieję, że Kucharka nie sugeruje mu, iż okazuje zbyt duże zainteresowanie nowym gościem. Lub jeżeli rzeczywiście tak było, to że sam gość tego nie zauważył.

– *Wielka i tajemna historia świata* – odparła gospodyni. – Napisał ją dziadek Sary. Nigdy nie potrafił ograniczyć się do kilku słów, ale kiedy już przebrniesz przez całą tę paplaninę, poznasz wiele cennych informacji. Chodź, pokażę ci.

ROZDZIAŁ XVIII

Krzywda

Sharp kucnął naprzeciwko małej zakonnicy. Wyjmując kubek spomiędzy fałd swojej szaty, uważnie wpatrywała się w niego swoimi czarnymi, lekko przymrużonymi oczami.

Wyciągnął rękę, a kobieta podała mu kubek.

– Czekaj – powiedziała.

Jej dłoń ponownie zniknęła w fałdach i po chwili zakonnica trzymała w niej małe pudełko: szerokie mniej więcej na jeden cal i długie na trzy. Wykonane było z kości słoniowej, a przynajmniej taką miało barwę, kolorystycznie pasowało więc do reszty ubioru lustrzaka. Na wieku czerniły się dwa inicjały, które Sharp

bez trudu odczytał, choć z jego perspektywy były do góry nogami.

– M. de R. – powiedział.

– Marianne de Rohan – wyjaśniła zakonnica. – Imię nic jednak nie znaczy. To po prostu ktoś, do kogo kiedyś należało to pudełko.

Otworzyła wieko. W środku znajdowało się coś, co przypominało niewielki, nieco przybrudzony zwój półprzezroczystego materiału. Spojrzał na nią pytająco.

Wymówiła słowo po francusku, a kiedy zorientowała się, że nie zrozumiał, powtórzyła je. Wzruszył ramionami.

– Nie znam tego słowa.

– To coś należącego do pająka. Jego dom. Służy do łapania much.

– A, pajęczyna – powiedział po angielsku.

Tym razem to lustrzana zjawa wzruszyła ramionami.

– Nie mówię w twoim języku – oznajmiła. – Ale to jest od pająka i pomoże zatrzymać krwawienie.

Położył kubek na ziemi, wyciągnął nóż i przygotował się do nacięcia skóry na nadgarstku.

– Nie tu – powiedziała. – To miejsce nie leczy się zbyt dobrze i szczypie za każdym razem, gdy napinasz mięśnie. – Palcem ostrożnie podciągnęła jego mankiet i wskazała żyłę widoczną mniej więcej w połowie przedramienia. – Tutaj – oznajmiła. – Masz tu znacznie mniej receptorów bólu. Wystarczy płytkie nacięcie. Będzie mniej piec, a po zastosowaniu lekkiego ucisku rana szybko się zagoi.

Skrzyżowali spojrzenia.

– Żyję tu już od bardzo dawna – wyjaśniła. – Przysięgłam sobie trzy rzeczy. Ostatnią z nich było to, że przetrwam dłużej niż moi prześladowcy. I to bez względu na to, czym się stanę.

– I? – zapytał.

– No cóż, moi prześladowcy nie umierają jak normalni ludzie – powiedziała. – Wcześniej nie miałam o tym pojęcia. Może gdybym wiedziała, nie przysięgłabym. Najgorsze, że pewnie istnieją o wiele lepsze sposoby na zemstę, ale w tamtym czasie

myślałam, że to wystarczy. Byłam bardzo młoda. Cóż, słowo się rzekło, więc...

Sposób, w jaki na niego spojrzała, kompletnie go zaskoczył, i odruchowo odwrócił wzrok, ale zanim to uczynił, zdążył jeszcze dostrzec w jej starej, pomarszczonej twarzy młodzieńczą dumę.

– Jeden kubek – upewnił się.

– Czyli tyle, ile możesz – odparła.

Wciąż klęcząc, przeciął skórę, chwycił nóż w zęby i wolną dłonią zaczął uciskać niewielką ranę. Nigdy wcześniej nie mdlał na widok krwi, teraz jednak nieoczekiwanie poczuł lekkie zawroty głowy. Karmazynowe krople powoli skapywały do kubeczka stojącego na podłodze i wydawało się, że naczynie nigdy nie wypełni się po brzegi.

W końcu upór, a może chęć bycia uznanym za człowieka honorowego sprawiły, że dopiął swego.

– Wystarczy – powiedziała gwałtownie, gdy zaczął formować się menisk. – Nie zakrwaw luster.

Wyjęła z pudełka spory kawałek pajęczyny i przyłożyła do cięcia na przedramieniu, po czym lekko ucisnęła opatrunek.

– Po prostu czekaj – poleciła. – Jeszcze chwila i rana się zasklepi. Masz jakąś chustkę?

Przytaknął, czując się zawstydzony jej bliskością.

– A jakie były dwie pozostałe przysięgi? – zapytał.

– Jedna odnosiła się do mojego habitu – odparła. – Druga to sprawa osobista.

Sposób, w jaki powiedziała „osobista”, sprawił, że więcej nie naciskał.

– A teraz mocno owiąż ranę swoją chustą – dodała, odsuwając się od niego.

Zrobił, jak zasugerowała, starając się nie patrzeć, jak wypija jego krew, chcąc nie chcąc, ujrzał to jednak w odbiciu. Zakonnica musnęła językiem brzeg kubka, smakując napój. Sprawilo jej to wyraźną przyjemność, bo na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. Następnie ponownie uniosła kubek do ust i przechyliwszy go, wypila zawartość jednym haustem.

Zamknęła oczy, czekając, aż krew rozplynie się po jej wątlm

ciele. Znów się uśmiechnęła, tym razem szerzej, prężąc się, jakby przechodziły ją dreszcze. Instynktownie odwrócił wzrok, czując dyskomfort spowodowany tym, że oto podgląda kogoś w wyjątkowo intymnej sytuacji. Gdy już skończył opatrywać ranę i opuścił rękaw, zaryzykował i zerknął na zakonnicę ponownie. Tym razem to jego przeszły dreszcze. Z niesmakiem patrzył, jak zjawa przeciąga palcem po ściankach kubka i zlizuje z niego czerwień, jak chciwe dziecko wyjadające resztki z miski.

Wstał i odwrócił się, czekając, aż zakonnica skończy, a naczynie wróci na swoje miejsce pośród jej szat.

– Dobrze – powiedziała. – Dziękuję ci.

– A teraz zabierzesz mnie do miejsca, gdzie widziałas dziewczynę z tym pierścieniem.

– Będzie tak, jak się umawialiśmy – odparła.

Ruszyli przed siebie. Zdawało się, że długi, wąski korytarz nie ma końca, a kiedy wreszcie skręcili w prawo, czekała ich kolejna długa prosta. Powtarzająca się monotonia lustrzanego świata sprawiała, że Sharp znów miał przytępione zmysły, wprowadzała go w stan podobny do transu.

Ponownie stracił poczucie czasu, a jego umysł stał się powolny i chaotyczny.

Ponownie poczuł dziwne zawroty głowy, jakby wędrował w czasie, a nie w przestrzeni.

Ilekoć pytał małą zakonnicę, jak daleko do celu, ta wskazywała ręką kierunek i mówiła, że już się zbliżają, ale jeszcze trochę. Zaczął nienawidzić widoku jej pięt wyłaniających się naprzemiennie spod rąbka habitu, lecz nie przestawał się w nie wpatrywać, na wypadek gdyby zechciała go oszukać i w mgnieniu oka skoczyć w lustro. Z całych sił walczył z sennością. Był wyczerpany, a nogi bolały go coraz bardziej.

Nagle zakonnica gwałtownie się zatrzymała, a on aż na nią wpadł.

– Tutaj – oznajmiła. – To było tutaj. Przechodziła tędy.

Wskazała palcem na lustro po lewej.

Wyglądało jak każde inne. Ot, kolejna srebrzysta tafla, która zamiast prowadzić do świata realnego, powieliała

w nieskończoność świat nierealny.

– Jak przejść na drugą stronę? – zapytał, ledwie znajdując słowa, by wyrazić swoją myśl.

– Nikt ci nie powiedział? – zdziwiła się, przyglądając mu się z niedowierzaniem.

Próbował sobie przypomnieć. Musiał kiedyś to wiedzieć. W głowie znowu miał mnóstwo puchowych zasłon.

– Musisz spojrzeć na lustro jak na materialne lustro, a nie jak na część nieskończonego tunelu – powiedziała. – To kwestia podejścia. Musisz powiedzieć sobie, że to zwykłe lustro, a wtedy nim się stanie i jak każde tutaj, będzie mogło posłużyć za portal do normalnego świata.

Wpatrywała się w niego.

– Na pewno to wiesz. Przecież kiedy cię spotkałam, właśnie pochylałeś się przed Czarnym Lustrem. Chciałeś przez nie przejść, prawda? Mogłeś to zrobić w każdej chwili. Chociaż wtedy naprawdę byś się zgubił...

Wspomnienie tamtego zdarzenia i świadomość, że mógł wpaść w tę straszną otchłań, przyprawiły go o dreszcze.

– Wcześniej... miałem taki przyrząd – wyszeptał. – Kłębki... one pomagały mi przemierzać ten labirynt... żebym się nie zgubił.

Był bardzo zmęczony.

Pokręciła głową z dezaprobatą, odwróciła się i pochyliła nad szklaną taflą. Następnie ułożyła dłoń na kształt lunety i przyłożyła do oka, spoglądając na coś, co bez wątplenia było dla niej teraz materialnym lustrem.

– Tu – powiedziała. – Zobacz.

Posłusznie zmrugał oczy i spojrzął przez nie do końca zaciśniętą pięść. O dziwo, nie zobaczył swojego odbicia, a jedynie ciemność.

– Nic nie widzę – powiedział.

– Bo to nieoświetlony pokój – wyjaśniła. – Przejdź na drugą stronę, ale powoli. Zrób najpierw tylko jeden krok i sprawdź, czy na coś nie wpadniesz. – Sięgnęła do habitu i wyjęła odrobinę toju oraz małe krzesiwo. – Przejdę za tobą i zapalę świecę – dodała.

Poczuł lekkie pchnięcie w plecy i chcąc nie chcąc, postąpił krok

przed siebie, nie do końca wierząc, że w ten sposób opuści lustrzany świat. Coś delikatnego i kruchego pękło – zupełnie jakby zniszczył właśnie wielką bańkę mydlaną – a zaraz potem cała jaskrawość luster zniknęła i znalazł się w ciemności.

Owiało go zimne, wilgotne powietrze śmierdzące stęchlizną. Ten dziwnie znajomy, intensywny zapach uderzył go z całą mocą, sięgnął aż do gardła i błyskawicznie rozbudził zmysł powonienia, uśpiony podczas pobytu w sterylnym labiryncie luster. Sharp odkasznął, powstrzymując odruch wymiotny, i ruszył do przodu, a wtedy... wtedy jego druga stopa trafiła w pustkę, a on sam runął przed siebie, by po chwili wylądować z chrzęstem łamanych badyli i patyków w samym środku jakiegoś ogromnego stosu.

Leżał na wznak, bez tchu, a zeszcłte gałęzie wbijały mu się w plecy. Czekał. Liczył, że mała zakonnica podąży za nim ze świecą i będzie mógł zobaczyć, jak się uwolnić z pułapki, w którą najwyraźniej wpadł.

Ale zjawa nie przychodziła. Czekał na nią jeszcze jakiś czas, obolały i unieruchomiony, lecz na darmo.

W lustrzanym labiryncie zakonnica odstępowała tymczasem o krok od zwierciadła, w które wepchnęła Sharpa, i skupiła uwagę na swoim własnym odbiciu. Szukała na twarzy choćby śladu triumfu, jednak go nie znalazła.

Wzdrygnęła się.

– Boże, przebacz mi – wyszeptała.

Następnie wzięła głęboki wdech i przechodząc przez lustro obok, zniknęła po drugiej jego stronie.

Sharp w końcu podniósł się i stanął niepewnie na nogach. Kruche gałęzie pod stopami nie dawały najlepszego oparcia. Raz jeszcze przeklął Dee za to, że zabrał mu buty.

Naraz dostrzegł przyćmione światło świecy – nie gdzieś obok, a wysoko nad sobą. Wpadało do środka przez szeroką szczelinę w suficie. Nie było na tyle jasne, by oświetlić całe pomieszczenie, lecz pozwalało dostrzec twarz zakonnicy spoglądającej na niego z góry.

– Jesteś tam? – zawołała.

Zacisnął zęby, próbując się uspokoić na tyle, by zacząć znów

trzeźwo myśleć.

– Co zrobiłaś? – zapytał wreszcie.

– Uwięziłam cię – oznajmiła bez cienia złośliwości czy satysfakcji. – Wybacz mi.

Jej przeprosiny były niepokojące. Między innymi dlatego, że zdawała się wahać, choć zarazem brzmiała szczerze. Odsunęła twarz od szpary, a jej dłonie zaczęły pojawiać się i znikać. Sharp dopiero po chwili zrozumiał, że zjawa wciąga na górę coś wiszącego na sznurze. Gdy ów przedmiot znalazł się na tyle wysoko, by dało się go dojrzeć w promieniach światła, mężczyzna pojął, dlaczego zakonnica usuwa go z jego zasięgu.

To było lustro w starej drewnianej oprawie, to samo, przez które się tu dostał – prawdopodobnie jedyne wyjście z tego więzienia.

– Czekaj! – krzyknął, a siła jego głosu wystarczyła, by na chwilę ją zatrzymać.

Lustro zawisło tuż pod sufitem, kołysząc się lekko na boki.

Na szczęście Sharp wciąż jeszcze był w formie, a szkolenie robiło swoje. Wołając zakonnice, sięgnął po swoje ostatnie ostrze – to, które Kowal wykuł kiedyś dla niego jako prezent pożegnalny, a które złodziej Dee przeoczył. Bez chwili namysłu rzucił nim, wkładając w to resztę swoich sił.

Broń zawirowała w ciemności. Ostra jak brzytwa krawędź przecięła sznur trzy cale nad ozdobną ramą. Nóż odbił się od sufitu i cicho spadł na podłogę, a zaraz za nim zaczęło opadać także zwierciadło.

Zakonnica szarpnęła sznur o chwilę za późno. Jednocześnie Sharp zdał sobie sprawę, że jeśli w porę nie złapie lustro, rozbije się ono w drobny mak, a jego plan legnie w gruzach. Skoczył do przodu, kalkulując w pamięci tor lotu.

Zanim dotarł do punktu przejęcia, potknął się, łamiąc kolejne gałęzie pod nogami, i znów stracił równowagę. Upadając, poczuł mocne uderzenie w głowę, a potem w bark.

W tym drugim przypadku wiedział, co go uderzyło. Błyskawicznie przekreślił się i chwycił lustro w locie, uszczęśliwiony, ale zarazem zdziwiony, że w ogóle udało mu się

ta sztuczka.

Wstał chwiejnie i spojrział do góry. Zakonnica wpatrywała się w niego, mrugając ze zdziwieniem.

– Wiesz, że to ci nie pomoże – powiedziała w końcu. – Wyjść z labiryntu możesz przez każde lustro, ale żeby doń wejść, potrzebujesz drugiego.

Postanowił się z nią nie kłócić. Jedno zwierciadło było lepsze niż żadne, poza tym musiał istnieć powód, dla którego chciała mu je zabrać. Uznał jednak, że potem się tym zajmie. Teraz wolał się cieszyć swoim małym zwycięstwem – oto pokrzyżował zakonnicy jej zdradzieckie plany.

– Okłamałaś mnie! – zawołał.

– Nie kłamałam – odpowiedziała, a Sharp wyczuł w jej głosie jakiś przedziwny smutek. – Powiedziałam prawdę. Pytałeś o dłoń z pierścieniem takim jak twój. Pomacaj wokół siebie. Bez trudu znajdziesz podobną błyskotkę. Wiele błyskotek. I wiele rąk. A raczej kości.

Kości.

A więc to nie gałęzie.

Schylił się i pomacał przestrzeń wokół. Pod nim ścielił się dywan z żeber i pischzeli, a rzekomy kamień, o który wcześniej uderzył głową, okazał się czaszką.

Znalazł także szczękę.

I zęby.

– Coś ty zrobiła?! – warknął.

– Mnóstwo rzeczy. Ale nie to. To zrobili inni dawno temu – odparła. – Wielu z tych, których tu zamknięto i zabito, nosiło pierścienie takie jak twój. Mężczyźni, kobiety. Nie okłamałam cię.

„Wielu z tych, których tu zamknięto i zabito...” Poczł ucisk w gardle, a do oczu napłynęły mu łzy. Wiedział już teraz, czym naprawdę jest ten zapach i dlaczego wydał mu się znajomy. I wstrętny. Była to woń latami rozkładających się ciał, woń śmierci, smród siłą otwieranych krypt.

Oczywiście w całej długiej i niesamowitej historii Nadzoru tylko raz doszło do mordu jego członków na podobną skalę. I oto stał po kolana w dowodach tej zbrodni.

Jakaś część jego umysłu nie chciała oglądać tych pozostałości po masakrze, z drugiej strony musiał mieć pewność, że się nie myli. Kowal miał rację, ostrzegając go przed lustrami. Były śmiertelnie niebezpieczne. I teraz mógł się o tym definitywnie przekonać. Dowiedział się przy tym, gdzie zniknęły całe rzesze agentów Nadzoru, choć fakt dysponowania taką wiedzą napawał go niezmiernym lękiem.

– Daj mi świecę – rozkazał. – Natychmiast rzuć ją na dół.

– Nie – odparła. – Przepraszam, ale długo to planowałam i nie zepsuję tego jakimś głupim posunięciem. Nie przez przypadek wybrałam tę pułapkę. Jedno lustro w środku, by cię wpuścić, i tylko jedna szczelina pod sufitem, zbyt wąska, żebyś się przez nią przecisnął, nawet gdyby udało ci się tu wspiąć.

– Cóż, mam twoje lustro – oznajmił chłodno. – Więc wybacź, ale coś kiepski ten twój plan.

Kłamał. Kiepskie było tylko to, że nie mógł po ciemku znaleźć noża i cisnąć nim w jej przekłete gardło.

– Chciałam zabrać lustro dla twojego dobra... żeby nic nie mogło tu za tobą podążyć – dodała. – Mam dla ciebie radę. Najlepiej od razu pogódź się z tym, że utknąłeś tu na dłużej i że twoje życie zależne jest wyłącznie od mojego kaprysu.

Jej dziwna uprzejmość była niepokojąca. Starał się opanować wzbierającą w nim wściekłość i zacząć myśleć jasno.

– W porządku, czego chcesz? – zapytał.

– Nowego układu. Raz jeszcze przepraszam, ale potrzebuję od czasu do czasu pić krew, a że jestem dość krucha, muszę zdać się na swój spryt. Inaczej bym nie przetrwała. Z kolei ty, aby przeżyć tutaj, w realnym świecie, będziesz potrzebował wody i jedzenia. Więc ja będę karmić ciebie, a ty mnie. Zastanów się.

Nie potrzebował wiele czasu do namysłu. W jednej chwili wyobraził sobie, jak by to wyglądało.

– Nie, nie będziesz na mnie pasożytować.

Teraz, gdy znajdował się poza lustrami, ich wpływ na jego umysł zdawał się z każdą chwilą maleć. Wciąż czuł się obolały i zmęczony, a wiedząc, jak go oszukano, także zrozpaczony, lecz jego zmysły ponownie nabierały ostrości, a stary, nieustępliwy

gniew zaczynał powoli powracać.

– Ale wtedy umrzesz... – stwierdziła, a w jej głosie nie było cienia groźby, raczej trwożne niedowierzanie. – Zagłodzisz się na śmierć, bo stąd naprawdę nie ma wyjścia.

Nie odpowiedział.

– Poza tym dotrzymałam słowa – dodała. – Zmyliłam cię, ale nie okłamałam.

Ponownie zaniechał odpowiedzi. Czasami okazanie obojętności jest najlepszą bronią. Jego milczenie zdawało się dezorientować zjawę.

– Ja nie rzucam słów na wiatr – mruknęła ze złością. – Jeżeli mówię, że utrzymam cię przy życiu, tak zrobię. Oferuję ci życie!

Pozwolił, by jej głos wybrzmiał, a potem zamienił się w długą, niezręczną ciszę.

– Życie samo w sobie w ogóle mnie nie interesuje – oznajmił w końcu. – A to dlatego, że moje słowo jest warte tyle samo, ile twoje. Jeżeli nie jestem w stanie odnaleźć tej ręki i ocalić mojej towarzyszki, równie dobrze mogę skończyć z tą farsą tu i teraz.

– Co ty wygadujesz?

– Mówię, że życie, które mi oferujesz, nie ma dla mnie żadnej wartości. Przysięgałem odzyskać dłoń mojej przyjaciółki Sary Falk – powiedział. – Nie ma jej tu. Ani przyjaciółki, ani ręki. Jeśli więc uwięzisz mnie w tym grobowcu, moje życie straci sens. Śmierć będzie w tej sytuacji wybawieniem. Co więcej, będę szczęśliwy, ba, nawet zaszczycony, kiedy umrę tu, pośród szczątków tych wszystkich dzielnych kobiet i mężczyzn.

To niezwykle, ale znajdował się w samym sercu pozostałości po Katastrofie. Wszedł do świata luster, by znaleźć Lucy Harker i odzyskać dłoń Sary, a zamiast tego odkrył szkielety członków Nadzoru, którzy kilka dekad wcześniej przywędrowali tu, by walczyć z niewyobrażalnym zagrożeniem, i ostatecznie ponieśli najwyższą ofiarę.

– Jeśli moje słowo nie ma wartości, jestem nikim – powiedział, świadomy, że zabrzmiało to w sposób nieco egzaltowany, ale tak właśnie myślał. – I jeżeli nie jestem w stanie ocalić mojej przyjaciółki, to im szybciej zniknę z tego świata, tym lepiej.

Zatrzymaj więc sobie to swoje jedzenie i wodę, a zwłaszcza tę gadkę, że mnie nie okłamałaś, tylko trochę oszukałaś. Powtarzam, nie będziesz na mnie pasożytować.

– Nie potrzebuję wiele krwi – powiedziała płacząco. – Sam widziałeś.

Jej świeczka nagle zgasała. Stał w ciemności i słuchał, jak szuka krzesiwa, a potem nerwowo usiłuje wzniecić płomień. Wkrótce twarz zjawy znów stała się widoczna w szczelinie na suficie.

– Myślisz, że chciałam zostać tym, kim jestem? – zapytała retorycznie. – Z całych sił starałam się być tym, kim byłam kiedyś. Fakt, że nie jestem jak inne lustrzaki, że zachowałam resztki człowieczeństwa, napawał mnie dumą.

– Więc wypuść mnie – rzucił bez wahania. – Pomóż mi.

Jej twarz na moment zniknęła ze szczeliny. Zmrużył oczy. W pomieszczeniu powyżej sklepienie najprawdopodobniej było z litej skały, ale niczego więcej nie dostrzegął. Lustrzak pojawił się z powrotem.

– Jeżeli opiszesz mi dziewczynę, która ukradła rękę, poszukam jej dla ciebie. I sprowadzę tutaj. Albo sprowadzę Sarę Falk, jeśli powiesz mi, gdzie obecnie przebywa – powiedziała. – Ale będziesz musiał użyczać mi czasem trochę krwi, gdy poproszę, by wesprzeć mnie w poszukiwaniach.

Chwilę rozważał słowa zakonnicy, wreszcie powoli pokręcił głową.

– Przyrowadzanie tu Sary nie ma sensu. Jest teraz w Londynie, a jej stan najpewniej się pogorszył i leży przykuta do łóżka. Znalezienie ręki to już inna sprawa. Tyle tylko, że taka umowa niczego mi nie gwarantuje. Mogłabyś przecież udawać, że prowadzisz poszukiwania, i doić mnie bez końca – odparł. – Nie masz żadnego powodu, by dotrzymać słowa.

– Po pierwsze, ja nigdy nie kłamię – oznajmiła z nieukrywaną dumą. Chciałby jej wierzyć. – A po drugie... Mam powód. Chodzi o mojego wroga spoza luster. Czy w zamian za przywrócenie do zdrowia twojej przyjaciółki obiecasz mi, że rozpoczniesz na niego obławę? Wy jako Nadzór...

– Nawet gdybym się zgodził, dlaczego miałabyś mi wierzyć? –

spytał. – Wiesz przecież, że obiecałbym ci wszystko, bylebyś tylko odnalazła dłoń Sary Falk... Sytuacja jest patowa i chyba nie ma sensu dalej o tym rozmawiać. Żadne z nas nie jest głupie.

– Dotrzymasz słowa, wiem o tym – stwierdziła. – A to dlatego, że mój prześladowca jest zarazem jednym z tych, którzy zastawili pułapkę na ludzi, których kości masz pod nogami.

Sharp zamarł.

– O kim mówisz? – zapytał.

Powiedziała mu.

– Obywatel Robespierre nie żyje – stwierdził z rozczarowaniem.

– Odcięli mu głowę na długo przed Katastrofą. Na oczach tysięcy gapiów. Gilotyną.

– Nie, *monsieur* – odparła. – Jego śmierć była sztuczką, teatrykiem odegranym pod publikę. Tak naprawdę wcale nie umarł. Więcej nawet, przekroczył granice swojej zwykłej egzystencji, nie tylko żyje, ale w dodatku przebywa w twoim ukochanym Londynie.

Sharp spojrział w jej czarne jak węgiel oczy. Nie mrugnęła ani razu. Mówiła prawdę.

– Pokonanie Robespierre’a jest moim priorytetem, jak twoim jest uratowanie Sary Falk. Możesz odzyskać swoją przyjaciółkę. To, co odebrał mi on, już nigdy nie zostanie odzyskane. Ale to nieważne. Znajdź go i zniszcz, a będę tak samo szczęśliwa jak ty. I wreszcie zdołam odejść z tego świata.

Sharp nigdy nie lubił namyślać się zbyt długo. Zazwyczaj po prostu podejmował decyzję, a potem – jeśli zachodziła taka konieczność – modyfikował ją i dostosowywał do nowych warunków. I chociaż zakonnica już raz go oszukała, musiał przyznać, że miała rację i że nie było to kłamstwo.

Właśnie dlatego ze wszystkimi ważnymi i mniej ważnymi detalami zaczął opisywać lustrzakowi Lucy Harker, licząc, że dzięki temu kobieta znajdzie ją i rozpozna. A gdy skończył, opisał także Sarę – na wypadek gdyby złodziejka dłoni okazała się nieuchwytna. W życiu czasem widzimy swoje karty, ale najczęściej musimy grać w ciemno.

O PODMIEŃCACH

...podmieńcy wegetują w dwu- lub trzyosobowych grupach, ściśle ze sobą współpracując, by wespół osiągnąć to, co jest ich podstawowym celem – czyli oszukać samą śmierć. Cały mechanizm ich egzystencji zaprojektowany jest w taki sposób, aby utrzymać kontinuum życia bez odczuwania skutków cielesnego rozkładu, który ogranicza każdą istotę. Najprościej rzecz ujmując, podmieńcy potrafią przenieść swoją świadomość do nowego ciała, a następnie wprowadzić w nim zmiany na poziomie fizjonomii, by „zmienić się” i udawać inną osobę. Nie jest jasne, dlaczego stworzenia te nie przenoszą swojej świadomości od razu do umysłu dowolnego ludzkiego dziecka. Być może wynika to z jakichś ograniczeń związanych z krwią, przez które mogą wnikać tylko w ciała z nimi spokrewnione, o tej samej strukturze. To dlatego starsi podmieńcy płci żeńskiej, zbliżając się okresu przekwitania, muszą spłodzić dziecko z innym członkiem grupy i podczas porodu od razu weń wnikać. Jeżeli natomiast bliskim śmierci jest mężczyzna, wtedy młoda matka rodzi potomka w nienaturalnie krótkim czasie (jak twierdzą specjaliści w rodzaju Henricusa Khunratha – po pięciu i pół miesiącach) i albo nie ma on własnego umysłu, albo jego umysł zostaje stłamszony przez ojca wnikającego weń w procesie wyżej wspomnianego przeniesienia. Zarówno Bernand z Trevesów, jak i przywołany wyżej Khunrath sugerują, że w większości przypadków umysły zostają jednak zamienione miejscami... w ten sposób nowe nibydziecko ma wielowiekowy umysł, a ciało starego mężczyzny lub starej kobiety – jaźń nierozumnego noworodka. Uwężone w zniedołężniałym ciele niemowlę zwykle jest na wpół świadome, nie potrafi zapanować nad motoryką ani opisać swojego dramatu na skutek

nieznajomości mowy. Kto wie ilu starców, bełkocząc coś niczym mały bobas, w istocie chciało w ostatnich dniach swojego żywota opowiedzieć o właśnie przeżywanym horrorze.

Istnieje kilka teorii tłumaczących, dlaczego podmieńcy zamieniają swoje potomstwo z niemowlętami normalnych ludzi. Jedna z nich przypisuje to zwykłej złośliwości czy zamiłowaniu do krzywdzenia innych. Wyjaśnienie to można jednak śmiało odrzucić, gdyż nie ma żadnego sensu, a wysiłek, jaki podmieńcy wkładają w ten proceder, jest zbyt wielki, aby można go było przypisać zwykłemu kaprynowi. W istocie żadna z hipotez nie została potwierdzona, zatem pozostaje nam tylko zgadywać. Możliwe, że matki podmieńców po prostu nie potrafią pielęgnować własnego potomstwa i potrzebują do tego innych. Albo podrzucając swoje dziecko jakiejś uprzywilejowanej rodzinie, grupa zapewnia sobie zdobycie fortuny i wpływów, przez co później, po zamknięciu procedur związanych ze spadkiem, nie musi się martwić o utrzymanie przyszłych wcieleń. W tym aspekcie podmieńcy potrafią być wyjątkowo zaradni...

Według autora niniejszego tekstu nienaturalny akt tworzenia ciała na zamianę, a następnie umysłowe przenikanie w nie i tłamszenie lub odrzucanie jego pierwotnej świadomości, zostawia jakiegoś rodzaju skazę na matce/dziecku, która wymaga potajemnego i wymuszonego „wychowania”. W rzeczy samej, jedna z kobiet podmieńców ujęta przez Nadzór na przełomie XVI i XVII wieku powiedziała podczas przesłuchania, że „nie będzie karmiła swego własnego dziecka piersią, gdyż obecność w nim mężczyzny, który je spłodził, czyniłoby ten akt nienaturalnym dla matki i nieodwracalnie przykrym dla dziecka”. Jednocześnie należy zauważyć, że kiedy dziecko podmieńca dorośnie i zakończy okres dojrzewania, wzajemne obcowanie cielesne nie wzbudza już żadnego obrzydzenia i drogą prokreacji cykl nieustannej podmiiany trwa dalej...

Bez względu na to, jak wygląda prawda, pewne jest, że podmieńcy nie wychowują własnego potomstwa. Co istotne, niektórzy z nich wychowują skradzione ludzkie dzieci, większość jednak pozbywa się ich na różne sposoby – zabijając niemowlęta,

podrzucając je innym lub sprzedając.

Kazirodcze praktyki podmieńców oraz ich cykl życiowy czynią te stworzenia jednymi z najwstrętniejszych wrogów Prawa i Obyczaju, gdyż ich *modus operandi* i sposoby rozmnażania aksjomatycznie wymagają przekroczenia granicy pomiędzy naturalnym i nienaturalnym.

*Wyjątek z Wielkiej i tajemnej historii świata
autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka
(znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)*

ROZDZIAŁ XIX

Przesłuchanie

Przesłuchanie podmieńca zaplanowano na popołudnie dnia następnego i miało się odbyć w podziemnych celach Sly House. Powodem opóźnienia była prośba Caitlin, która chciała, aby towarzyszył jej wówczas Kowal. Uzgodniono również, że całe zdarzenie będą mogli obserwować Lucy i Charlie, co pozwoli im zgłębić tajniki ich przyszłej profesji. Co zaskakujące, Caitlin udało się wybłagać u Kucharki, by ta pożyczyła jej nowy żelazny kociołek. Obiecała, że osobiście dokładnie wyszoruje go po użyciu. Charlie, jako silniejszy z dwójga uczniów, niósł go teraz podziemnym korytarzem łączącym Kryjówkę z celami. Naczynie było duże i nieporęczne i co rusz uderzał o nie kolanami. Za którymś razem, gdy zsunęła się pokrywka, Lucy pochyliła się i szybko ją podniosła, zanim zrobił to Charlie.

– Dzięki – powiedział.

– Po prostu nie chcę, żebyś upuścił mi to na stopę – odparła. – To, jak widzę, spory ciężar.

Idący przed nimi Kowal zachowywał się wobec Caitlin cokolwiek szorstko, jak gdyby bardziej zależało mu na zachowaniu jakichś śmiesznych konwenansów, aniżeli na byciu faktycznie miłym. Cait z kolei była pogodna i bezpośrednia. Lucy, która pierwszy raz zobaczyła ją ledwie chwilę temu, od razu ją polubiła. Wystarczyła przelotna wymiana spojrzeń, kiedy uściśniły sobie dłonie.

– No proszę, mamy tu Wejrzeńca... – zaczęła ostrożnie Cait. – Doprawdy, dla kogoś tak młodego musi to być wyjątkowo uciążliwy dar. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wszystkie te okropieństwa z przeszłości, które spadają na głowę w najmniej oczekiwanym momencie i za które nie jest się odpowiedzialnym...

– Ta dziewczyna może być przydatnym narzędziem – stwierdził sucho Kowal.

– Cóż, tego akurat jestem pewna... – Cait uśmiechnęła się do Lucy. – Ale kto chce być narzędziem, kiedy może być wolnym człowiekiem?

– Wszyscy mamy jakieś obowiązki – mruknął Kowal. – Od narodzin aż po grób.

– Proszę wybaczyć, ale to nieprawda – zaprotestowała Cait. – Rodzimy się absolutnie wolni. Obowiązki przychodzą dopiero później, gdy mamy już doświadczenie i siłę, by im sprostać.

– Widzę, że jesteś filozofem – powiedział Kowal i w jego ustach wcale nie był to komplement.

– Nie sądzę – odparła Cait. – Jestem łowczynią. To prosty fach dla prostej dziewczyny. Wskaż ofiarę, a ja prędej czy później ją złapię. Filozofowie za to spędzają cały czas na szyciu sieci ze słów, by pochwycić ważne myśli, choć zazwyczaj sami się w nie plączą.

– To prawda – przyznał Kowal, prostując się lekko. – Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że złapałaś podmieńca.

– Dwóch – poprawiła go Cait, skręcając w stronę więzienia. – Naprawiłam szkody, które wyrządzili tu, w waszym pięknym mieście, lecz obawiam się, że mam z nimi pewne niedokończone porachunki. Jestem wam winna przysługę za pomoc z waszej strony i z pewnością nie mogłabym być bardziej wdzięczna za użyczenie mi celi...

– Jeżeli faktycznie uniemożliwiłaś zamianę dzieci, to raczej my jesteśmy ci dłużni – mruknął Kowal. – Choć jestem pewien, że sami byśmy ich znaleźli, gdyby nie nasze przejściowe kłopoty.

– Ach, no tak, to oczywiście. Bez urazy, ale nie jest tajemnicą, że od lat jesteście mocno osłabieni.

– Osłabieni, lecz wciąż skuteczni.

Kowal powiedział to z przekonaniem, dało się jednak wyczuć jego skrępowanie.

– To prawda – odparła Caitlin, kiwając głową na znak, że mu wierzy, a potem spojrzała na Charliego i Lucy. – To będzie wasze pierwsze spotkanie z podmieńcem, tak?

Przytaknęli.

– No cóż, bywa. Najważniejsze to pamiętać, że nic nie jest takie,

na jakie wygląda. To, co może wydawać się wam okrutne, tak naprawdę jest po prostu koniecznością. Obydwaj podmieńcy są starsi niż ten budynek i przez całe pokolenia przysparzali innym tylko bólu i cierpienia. Obserwujcie ich twarze, a być może dostrzeżecie, jak się zmieniają, jak próbują stać się czymś, czym nie są, a co lubicie lub nawet kochacie. Niech was to nie zwiedzie. Tak naprawdę to tylko pasożyty. Pijawki.

Mówiąc to, otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, by wpuścić Kowala jako pierwszego.

Dziewczyna podmieńca siedziała na łóżku, opierając się o drewnianą ścianę celi. W obronnym geście podciągnęła kolana pod brodę. Dopiero po chwili można było zauważyć, że między udami i klatką piersiową trzyma niemowlę. W celi słychać było ciche, ale uporczywe łkanie.

– Wiem, czego chcecie – syknęła złodziejka, spoglądając na nich złowrogo spod grzywki opadającej na oczy. – Zwłaszcza ty, venatrix.

Cait uśmiechnęła się do niej pogodnie.

– Cóż, mam taką nadzieję, ponieważ jasno i wyraźnie powiedziałam ci to zeszłej nocy.

– Chcesz nas wyplenić – warknęła dziewczyna.

Cait pokręciła głową i podciągnęła rękawy. Oczy dziewczyny rozszerzyły się na widok tej pozornie niewinnej czynności. Przez jej twarz przemknęła niepewność. Lucy także zastanawiała się, co za chwilę nastąpi.

– Nie mam tak wielkich ambicji – odparła venatrix. – Nie jestem Kowalem, który wraz ze swoimi towarzyszami musi dbać o równowagę całego świata. Moim zadaniem jest utrzymanie porządku tylko w małym jego skrawku, czyli, jak już wspomniałam, w hrabstwie Cork. Wyrządziłaś tam wielką krzywdę rządcy i jego żonie. Ukradłaś im dziecko i podmieniłaś na jednego ze swoich pobratymców.

– Czemu zawijasz rękawy? – zapytała dziewczyna. – Co chcesz zrobić?

– Cokolwiek będę musiała – odparła Cait, wyciągając taboret spod stołu przy przeciwległej ścianie. Usiadła. – Natomiast ty

musisz tylko jedno: powiedzieć mi, co zrobiłaś z dzieckiem rządcy. Czy wciąż żyje? Jeżeli nie... cóż, to już inna bajka i zostawmy ten temat, zanim nie poznamy wszystkich szczegółów.

Złodziejka wciąż się w nią wpatrywała, wytrzeszczając oczy. Spokój Cait najwyraźniej ją przerażał.

– Jeśli dziecko żyje... – zaczęła ostrożnie dziewczyna.

– Jeśli? – wpadła jej w słowo Cait i szurając po podłodze nogami taboretu, przesunęła siedzisko pół metra bliżej. – JEŚLI!

– To znaczy nie. – Złodziejka przełknęła ślinę. – Dziecko żyje. Na pewno.

Niemowlę wybuchnęło głośnym płaczem. Dziewczyna przytuliła je mocniej. Bardziej po to, żeby je uciszyć, pomyślał Charlie, aniżeli uspokoić.

– Jak już mówiłam, wszystko, co musisz dla mnie zrobić, to powiedzieć, gdzie znajduje się prawdziwe dziecko, żebym mogła je zwrócić.

– A potem? – zapytała dziewczyna.

Cait szeroko rozłożyła ramiona.

– A potem to już nie moja sprawa, acushla.

Wzrok dziewczyny przeniósł się na Kowala, który stał nieruchomo, oparty o ścianę tuż obok drzwi. Skinęła na niego głową.

– A co z nim?

– Nie wiem – odparła Cait. – Nie jestem członkiem Nadzoru.

– Ale oddałaś mnie w ich ręce – stwierdziła pogardliwie dziewczyna.

– Ależ skąd – zaprzeczyła Cait, spokojna jak zawsze – zrobiłaś to sobie sama. Najpierw złamałaś Prawo i Obyczaj, a potem nie powiedziałaś mi tego, co chciałam usłyszeć. Jeżeli czujesz się w coś wrobiona, to owszem, młoda damo, całkiem słusznie, ale sama jesteś sobie winna.

Dziecko tym razem rozdarło się histerycznie. Dziewczyna mocniej przycisnęła je do klatki piersiowej. Jej twarzy wykrzywiła się w pogardzie, a w spojrzeniu pojawił się gniew.

– No cóż, więc nie mam żadnego powodu, żeby ci cokolwiek

powiedzieć, czyż nie? Jestem skończona; sama sobie wykopałam grób. To chcesz mi powiedzieć, prawda?

– Jestem pewna, że da się zawrzeć jakąś ugodę – stwierdziła Cait. – Zawsze się da.

– Nieprawda. Ty może i zostawisz mnie w spokoju, jeśli powiem ci, co i jak, ale spójrz na niego. – Ponownie wskazała głową Kowala. – Po prostu sobie czeka, jak jakiś kat. On ze mną tak łatwo nie skończy.

– To jest Kowal – powiedziała Cait. – O ile wiem, zawsze wygląda, jakby zaraz miał kogoś zabić. Ty poznałaś go dopiero teraz, ale ja słyszałam o nim jeszcze w dzieciństwie. Uwierz mi, nie ma uczciwszego i bardziej słownego człowieka niż on...

Złodziejka zwróciła twarz bezpośrednio w stronę Kowala.

– Zabijesz nas, prawda?

– Nie – odparł mężczyzna. – Cenimy życie bardziej niż wy. Mamy inne sposoby na... korekturę.

– Korekturę? – zapytała dziewczyna. – Nawet nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy, że wolelibyśmy raczej stłumić twoje zdolności, naprawić umysł i skorygować pragnienia.

– To znaczy – wtrąciła venatrix – że woleliby postąpić z tobą znacznie łagodniej niż ja, jeśli mi nie pomożesz. Bo właśnie skończyły się nasze pogaduszki.

Powiedziawszy to, wyprostowała się gwałtownie. Dziewczyna zadrżała.

– To, co się teraz stanie, raczej się wam nie spodoba – rzuciła Cait przez ramię do Charliego i Lucy. – Co ważne: pamiętajcie, że to różowiutkie niemowlę, ten z pozoru słodki bobas, liczy sobie więcej lat niż ten budynek. Jak mówiłam, odpowiada za morze cierpienia i łez. To coś przez całe pokolenia mordowało dzieci, do których się upodabniało, a nawet jeśli osobiście tego nie robiło, to było częścią tego procederu. Bez skrupułów wrywało córki i synów z objęć kochającej rodziny i porzucało gdzieś na odludziu, pośród obcych, skazując na samotność i cierpienie.

Coś w tych słowach – szczególnie ostatnich – sprawiło, że oczy Lucy zaszkliły się. Odchrząknęła, czując suchość w gardle.

Cait uniosła rękę i pstryknęła palcami, wciąż nie patrząc za siebie.

– Charlie, podaj mi kociołek, proszę.

Charlie posłusznie zrobił kilka kroków. Gdy mijał Lucy, wymienili zaniepokojone spojrzenia. Włożył uchwyt żelaznego kociołka w dłoń Cait.

Venatrix zacisnęła na nim palce, podniosła go i wyciągnęła rękę przed siebie. Chłopak zrozumiał, że kobieta musi być o wiele silniejsza, niż sugerowałyby to jej postura, ponieważ naczynie było naprawdę ciężkie. Sam z pewnością nie utrzymałby garnka w tej pozycji bez uginania ręki.

– Dlaczego im to mówisz? – zapytała raz jeszcze dziewczyna.

Jej wzrok skupiony był na kołyszącym się kociołku, którego wahadłowy ruch zdawał się ją hipnotyzować.

Cait pozwoliła mu kołysać się jeszcze przez chwilę, po czym gwałtownie postawiła go na podłodze tuż przed swoimi stopami i zdjęła pokrywkę.

Dziewczyna aż podskoczyła, słysząc zgrzyt metalu.

– Ponieważ zamierzam włożyć twojego brato-syno-ojca do środka. A potem przykryję ten żelazny garnek żelazną pokrywką.

Złodziejka gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Miejmy nadzieję, że żelazo wysie z tego paskudztwa całą jego moc, a te cholerne wrzaski wreszcie ucichną. Przynajmniej na początku, bo żelazo zaczyna od pozbawiania mocy i zdolności. Poza tym kiedyś odkryłam, że w drugim etapie przechodzi do wyzerania umysłu: myśli, wspomnień, skradzionych żywotów. Więc nawet jeśli po wszystkim wciąż będzie oddychał, stanie się warzywem. Skorupą. Cały ten czas, kiedy oszukiwał, kradł i krzywdził, okaże się na nic, gdyż twój brat nie będzie pamiętał, czym lub kim jest. Niedługo później pójdzie spać i zapomni się obudzić. Mówiono mi, że to właśnie dzieje się z podmieńcami, gdy wymaże się z ich pamięci minione lata. Widzisz, życie może być długą lub krótką podróżą przez nieodkryte wody, i oszukuj się do woli, ale ostatecznie każdy zapłaci kapitanowi.

Powoli sięgnęła po dziecko.

Niemowlę wytrzeszczyło oczy, a potem nagle obróciło głowę

w stronę dziewczyny i małą, pulchną rączką nieoczekiwanie uderzyło ją w twarz, zadrapując na policzku aż do krwi.

– POWIEDZIMGŁUPIASUKO!

Struny głosowe dziecka były jeszcze nieuformowane, przez co piskliwy ton zabrzmiał wręcz groteskowo, ale w zdaniu tym dało się słyszeć także ogromną nienawiść i strach.

Niemowlę – teraz przeraźliwie mówiące niemowlę – po raz kolejny uderzyło w twarz swoją siostrę-matkę. Cait odwróciła się ku dwójgu młodych adeptów Nadzoru.

– Słyszycie, jaki ma niewyparzony język? – spytała retorycznie, unosząc brwi. – Charlie, wrzucę tego potwora do kotła...

Chłopak zawahał się. Na szczęście, brato-syn był tak spanikowany, że nawet tego nie zauważył. Uniósł tylko głowę i ugryzł dziewczynę w podbródek, atakując ją niczym terier. Złodziejka krzyknęła z bólu, a następnie ujęła malca pod pachy i wyciągnęła przed siebie, poza zasięg swojej twarzy.

– POWIEDZIMPIZDO! – Dziecko zawyło z rozpaczą. Spod zaciśniętych powiek popłynęły łzy. – SUKODZIWKOGŁUPIAPIZDO! POWIEDZIM!

– Panna Nantasket – bąknęła dziewczyna, ledwie powstrzymując płacz.

– Że co? – zapytała Cait.

– POWIEDZTOSZMATO...

Dziewczyna przełknęła ślinę i lekko uniosła podbródek. Spoliczkowała dziecko. Mocno. O dziwo, poskutkowało – bluzgający gnom zamilkł, a na jego twarzyczce odmalowało się zaskoczenie. Przesłuchiwana spojrzała na Cait.

– Panna Nantasket – powtórzyła. – Boston, Massachusetts.

– Ale co z nią? – zapytała Cait. – Nic nie rozumiem.

– To nazwa statku kursującego na amerykańskim szlaku handlowym. Dostarcza drewno, suszone ryby i rum, a wraca na kontynent z luksusowymi towarami.

– I niby dlaczego ma to mnie interesować? – zapytała Cait.

– Ponieważ jego kapitan i zarazem właściciel, Obadiah Tittensor, oraz jego żona, bardzo chcieli powiększyć rodzinę. Podróżują teraz na pokładzie Panny Nantasket.

– Mają dziecko?

– Tak – potwierdziła dziewczyna. – Nie mogli go sobie zrobić w normalny sposób, więc...

Cait zmrużyła oczy.

– Podsumujmy zatem. Najpierw podmieniliście dziecko rządcy na swoje własne, a następnie biednego malca sprzedaliście tym... Tittensorom, czy tak?

Dziewczyna skinęła głową. Oczekiwała, że dostanie w twarz, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Są miłymi, zamożnymi ludźmi – dodała. – Nie skrzywdziliśmy dziecka!

Wzrok Cait sprawił, że w jednej chwili umilkła.

– Rozumiem – zaczęła powoli Cait. – Ale teraz to JA, chcąc spełnić daną rządcy obietnicę, będę musiała skrzywdzić tych miłych, zamożnych ludzi, zabierając im niemowlę, które pewnie zdążyli już pokochać.

Ostatnim jej słowom towarzyszyła ostrzegawcza nuta. Nikt w pomieszczeniu nawet nie drgnął.

– Wiesz, czego żałuję? – zapytała po chwili venatrix, podnosząc przykrywkę kotła.

Dziewczyna pokręciła głową.

Cait zamknęła kocioł z impetem.

– Że nie mam gara, który pomieściłby was oboje!

Metaliczny dźwięk odbił się echem od ścian celi i ucichł równie nagle, jak się pojawił. Przesłuchująca zmarszczyła brwi i zastygła z tą miną – zupełnie jakby sobie o czymś przypomniała.

– Zaraz... A właściwie skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i spojrzała na niemowlę. Gnom splunął na nią.

– Charlie – powiedziała Cait, pstrykając palcami. – Do kotła. Tylko uważaj, będzie gryzł i drapał.

– MÓWSZMATO – pisnęło dziecko.

– Ci ludzie, Tittensorowie, chcieli, żeby ich pierworodny miał braciszka – wyznała złodziejka. – Dlatego powiedziałam im, że moja siostra właśnie jest w ciąży i że chce się pozbyć kłopotu.

– I co? Popłyniesz do Ameryki, żeby sprzedać im kolejnego

noworodka? – zapytała z niedowierzaniem Cait. – Miałybyś zadawać sobie aż tyle trudu?

– Nie – odparła dziewczyna. – Panna Nantasket przybija do portu Pool of London pięć razy w roku.

Cait usiadła. Spojrzała na Kowala.

– Możemy to sprawdzić w biurze portu – oznajmił. – Hodge ma znajomości...

Venatrix znów odwróciła się do dziewczyny.

– I kiedy możemy się go spodziewać? – zapytała słodko.

Dziewczyna powiedziała jej. Cait przytaknęła, a potem odwróciła się na taborecie i przeciągnęła leniwie.

– Powiedz mi, Kowalu, czy mogłabym korzystać z waszej celi jeszcze przez jakiś czas? – zapytała. – Później zapłacę wam za tę uprzejmość gotówką. Lub w jakikolwiek inny sposób.

– Co masz na myśli, panno ná Gaolaire, mówiąc o „innym sposobie”? – zdziwił się Kowal.

Uśmiechnęła się do niego.

– Hm... Jak wspominałeś, jesteście osłabieni, ale wciąż efektywni, a jednak wygląda na to, że nie wykryliście żadnego z tych dwóch osobników żyjących w waszym mieście, tuż pod waszym nosem. Zakładam więc, że przydałaby wam się dodatkowa para oczu.

– Chcesz dołączyć... – zaczął.

– Co to, to nie – zaprzeczyła. – Przepraszam najmocniej, ale to nie wchodzi w rachubę. Po prostu byłabym wielce szczęśliwa, gdybym mogła zapłacić za udzieloną mi pomoc, służąc wam na własną rękę jako nadliczbowy partner waszego małego klubu.

Kowal spojrzał na nią; jego twarz niewiele zdradzała.

– Porozmawiam z Kucharką – odparł.

– W porządeczku – powiedziała Cait, puszczając oko do Lucy.

Było to tylko przelotne mrugnięcie, lecz obudziło w brzuchu Lucy chmarę motyli.

– Co zamierzasz nam zrobić? – zapytała cicho złodziejka, kładąc dziecko na łóżku obok siebie.

Wytarłszy łzy na policzkach, dotknęła rany na podbródku i ze zdziwieniem spojrzała na zakrwawione opuszki.

– Wstydz się – powiedziała Cait, szturchając niemowlaka. – Tak traktuje się siostrę? Albo matkę? A właściwie kochankę?

Dziecko syknęło na nią.

– Cholera, jak wy się w ogóle w tym możecie połapać?

Niemowlę przekręciło się na materacu i spojrzało na nią złowrogo.

– GDYBYM BYŁ WIĘKSZY SUKO...

ZABIŁBYM CIĘ...

ALE NAJPIERW...

Cait ostrzegawczo uniosła rękę. Dziecko zatrzymało swój potok jadu.

– Ale najpierw, wstrętny pomociu, musisz podrosnąć – powiedziała. – Więc trzymaj język za zębami albo przełożę cię przez kolano i dostaniesz tyle klapsów, że nauczysz się manier.

Odwróciła się do Kowala i wręczyła Charliemu garnek.

– To chyba wszystko – stwierdziła. – Myślicie, że załapałabym się u Kucharki na jeszcze jeden kawałek jej przepysznego ciasta?

– Bardzo możliwe – odparł mężczyzna. – Dobra, młodzi, idziemy stąd, bo słyszałem, że Hodge chce was gdzieś zabrać dziś po południu. Przyda wam się trochę świeżego powietrza. Szczególnie po tym smrodzie.

Gdy wracali podziemnymi korytarzami, Lucy cały czas trzymała się blisko Cait.

– Naprawdę włożyłabyś podmieńca do garnka? – zapytała.

– Bez żadnych skrupułów – odparła venatrix. – Chociaż nie, miałabym wyrzuty, bo to jest całkiem dobry garnek i Kucharka najwyraźniej bardzo go lubi. Byłoby szkoda zanieczyścić coś tak wspaniałego. Bo wiesz, czasami te paskudztwa tracą nad sobą kontrolę, gdy są w środku.

– Tracą kontrolę?

– Nad ciałem – wciął się Charlie.

– Nad pęcherzem i odbytem – dodała Cait. – Strzelają z obu stron jak z węży strażackich. Dlatego zawsze używam pokrywki.

ROZDZIAŁ XX

Znamienna nieobecność Alpa

Obywatel nie znosił odczuwać, a tym bardziej okazywać żadych emocji, teraz jednak zdał sobie sprawę, że śmierć Zielonego Człowieka nieco go przygnębiła. Ów karkołomny, ale i świetnie przygotowany eksperyment zapowiadał się wyjątkowo obiecująco. Nagły zgon obiektu badań był irytujący i mocno ostudził zapał, któremu Obywatel pozwolił w sobie zakiełkować. Już raz oszukał śmierć i być może na tym musi poprzestać. Przy okazji rozważań na ten temat często się zastanawiał – oczywiście w ujęciu czysto naukowym, gdyż miał się za człowieka światłego, a nie za chama wierzącego w ciemne przesady – czy fakt pokonania własnej śmiertelności oznaczał, że pokonał także swoje cielesne żądze. Wciąż pragnął władzy, lecz jedzenie i picie faktycznie wydawały mu się z roku na rok coraz mniej... zaspokajające.

To właśnie dlatego uzależnił się od Alpów i gdziekolwiek podróżował, zawsze dbał o to, by mieć dostęp do jednego z nich. Ci złodzieje oddechu – Alpy lub, jak mówią na nich w Europie Środkowej, dusiołki – od niepamiętnych czasów posiadali zdolność regenerowania swoich sił życiowych poprzez uciskanie piersi śpiącej ofiary, człowieka lub zwierzęcia, i wysysanie wydychanego przez nich powietrza. Łatwo z tego wywnioskować, że nocne koszmary, z których ludzie budzą się roztrzęsieni i wyczerpani, to nic innego jak dowód wizyty tych stworzeń. Dodatkowo Alpy potrafią przechowywać tak zgromadzoną energię i przekazywać ją innym, zachowując przy tym regenerujące właściwości takiego tchnienia.

Właśnie taki stwór zakwaterowany został w pustym mieszkaniu w kamienicy przy Golden Square. Budynek był jedną z wielu posiadłości Mountfellona, pod którymi ciągnęła się sieć tajnych korytarzy. Dzięki nim Obywatel mógł niezauważenie przemieszczać się pomiędzy Chandos Place a swoimi kryjówkami. Właściwie nie musiał zachowywać aż takiej ostrożności, bo przecież każdy, kto mógłby rozpoznać starego

jakobina, na pewno już od dawna nie żył, ale Obywatel unikał jakiegokolwiek zwracania na siebie uwagi przez tak wiele lat, że siła przyzwyczajenia w końcu uczyniła zeń dziwaka preferującego mrok i samotność.

W obecnych okolicznościach, zirytowany śmiercią Zielonego Człowieka i zarazem rozczarowany porażką swojej strategii, mającej przecież zniszczyć Nadzór, zdecydował, że potrzebuje kolejnej dawki energii od podległego mu Alpa.

Gdy słońce zbliżało się do linii dachów, w jednym z pomieszczeń w zakurzonej, majestatycznej i zapomnianej rezydencji przy Golden Square tajne przejście ukryte za panelami uchyliło się i z ciemnego korytarza wyłonił się Obywatel. Minął rozrzucone po podłodze kamienie, podszedł do szezlongu, który stał na środku pokoju, i przeciągnął dłonią po opartej o niego płycie. To właśnie dzięki niej oraz tym paru kamieniom wyciskał z Alpa życiodajne tchnienie. Na samą myśl o tym przyśpieszyło mu tętno, wywołując prymitywne, nieomal erotyczne podniecenie.

Chciał tej energii teraz, natychmiast. Ale w pokoju nie było nikogo poza nim. Gdy rozglądał się dookoła, zdał sobie sprawę, że poza żądzą czuje coś jeszcze – znamiennej nieobecność Alpa. Bez wątpienia cały dom był pusty. I coś mu mówiło, że złodziej powietrza odszedł i nie wróci. Próbował ocenić swój stan naukowo, dostrzec, jakie niezauważone i podprogowe wskazówki sprawiły, że zyskał nagle taką pewność. Spojrzał na skrawek wyszorowanej podłogi, skąd Alp startł krew biednego pomocnika, któremu Obywatel nieoczekiwanie podciął gardło. Przeszedł się powoli po pokoju, odgrywając ich pierwsze spotkanie i przypominając sobie, gdzie kto stał. Potem zbliżył się do wylotu korytarza wiodącego na dwór. Zauważył, że na zakurzonej podłodze znajdowały się jedynie ślady prowadzące od drzwi wyjściowych do pokoju i z powrotem. Tylko tyle. Wszystko wskazywało na to, że Alp nie wrócił po pozbyciu się ciała pomocnika.

Obywatel bezwiednie zacisnął zęby.

– Halo?! – krzyknął, a następnie, by stłumić nienawistnie puste

echo, przemówił w języku Alpa. – Bist du hier, mein Freund?

Cisza. Wykrzywił twarz, ale zaraz nad sobą zapanował, choć przecież w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go obserwować i wytknąć mu tę chwilę słabości.

Przemierzył korytarz, zszedł po schodach i zbliżył się do drzwi wejściowych. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Już miał się odwrócić, gdy zauważył ruch w jasnej szparze nad progiem.

Znieruchomiał.

Coś było na zewnątrz i rytmicznie oddychało. Więcej, niż oddychało – węszyło.

To pies. Cholerny pies, który próbuje złapać jego trop.

Ostrożnie zrobił krok w tył. W tej samej chwili zza drzwi dobiegło warknięcie.

– Spokój, Jed – zawołał jakiś szorstki głos. – Co tam masz?

W drzwiach znajdował się wizjer. Obywatel sięgnął doń, by odsunąć ruchomą kłapkę i zobaczyć, kto kręci się przed jego domem. I kiedy już wyciągał dłoń, usłyszał cichy chrzęst i klapka sama się poruszyła.

Po drugiej stronie drzwi stał Charlie. Trzymając twarz tuż przy ostrzu noża, którym podważył mechanizm wizjera, starał się zajrzeć do wnętrza pomieszczenia, które zafrapowało Jeda.

Widział pusty korytarz, ślady stóp na zakurzonej podłodze i schody prowadzące na piętro, do jakiegoś otwartego pokoju.

Hodge i Lucy przystanęli obok niego.

– I jak? – zapytał Hodge.

– Pusto – odparł Charlie. – Bogato, ale nikogo nie ma.

– Nie powinniśmy wejść do środka? – zagadnęła Lucy.

Jed zaszczekał.

Po drugiej stronie drzwi zgięty wpół Obywatel – pochylił się w ostatniej chwili – właśnie odkrył, że może patrzeć przez dziurkę od klucza.

Nie widział co prawda twarzy nieproszonego gościa, ale dostrzegł jego rękę, a na niej pierścień. Wytrzeszczył oczy.

Wstrętny pies znowu zaszczekał.

– Wchodzimy? – zapytał Charlie.

Chwila ciszy.

– Lepiej nie – odrzekł Hodge. – W środku jest coś, do czego chce się dostać Jed, ale swoim szczekaniem zapewne już zwrócił na siebie uwagę.

Pies spuścił łeb, jakby się wstydził.

– No cóż, teriery takie już są. Bezpośrednie i nieustępliwe. Sprawdzają się w wielu sytuacjach, ale nie wtedy, gdy trzeba się przyczaić – westchnął Hodge i schylił się, by podrapać zwierzaka za uchem. – Wrócimy tu w nocy i wejdziemy przez dach. Zobaczymy, czy nie ma w środku więcej tych drani. Chociaż Alpy to zazwyczaj samotniki, a dodatkowo ten, którego zabiłem, nie wyglądał na zbyt towarzyskiego gościa...

Na te słowa w Obywatelu aż zawrzała krew. Jego Alp, dostarczyciel sił witalnych, stracony. Co gorsza, chwilowo nie mógł skontaktować się z ludźmi, którzy dostarczyliby mu kolejnego dusiołka. Jedyne znane mu źródło znajdowało się daleko stąd, w Dolnej Kanadzie, gdzie dawno temu uciekły niedobitki jego współpracowników. Nie miał nawet pojęcia, czy ich potomkowie odpowiedzialiby, gdyby wysłał prośbę o Alpa. Musiałyby osobiście popłynąć do Kanady, ale przecież jego strach przed utonięciem sprawiał, że morskie podróże były nie do pomyślenia.

– Przez dach – mruknęła Lucy. – Zapowiada się niezła zabawa.

– Nie dla ciebie, panienko – odparł Hodge. – Ty będziesz w tym czasie w łóżku, bezpieczna na Wyspie Psów.

Obywatel usłyszał ich kroki. Odczekał krótką chwilę, po czym wrócił do pomieszczenia na piętrze i zniknął za sekretnymi drzwiami ukrytymi pośród paneli.

A potem zaczął biec.

Dziesięć minut później siedział w swoim podziemnym, zaryglowanym od środka gabinecie. Chrobot stalówki był jedynym dźwiękiem, który rozlegał się w pomieszczeniu, gdy mężczyzna kreślił krótki, pospieszny list. Gdy skończył, złożył kartkę, wsunął ją do koperty, stopił lak i odcisnął w nim pierścień.

Następnie podszedł do kufra w rogu pokoju i wyjął z niego metalową skrzynkę. Otworzył ją i wydobyl coś, co na pierwszy

rzut oka wyglądało na czarną, lakierowaną kasetkę na dokumenty.

Ustawił ją pionowo na węższym boku i podniósłszy zatrzask, otworzył jak książkę. Spojrzał na linię niewielkich otworów wentylacyjnych ciągnących się w górnej części obydwu skrzydeł. Poniżej, na niewielkiej wypustce idealnie pasującej do wgłębienia po drugiej stronie, stała czarna woskowa świeca. Osadzono ją na srebrnej podstawie, do której przytwierdzono także prosty mechanizm zegarowy wraz z młoteczką i dzwonkiem. Pospiesznie nakręcił kluczem sprężynę, ściągając ją do maksimum, a potem zapalił świeczkę i włożył list do środka, za podstawkę, opierając go o małe lustro wklejone w dno skrzydła kasetki. Wyjął z kieszeni składany scyzoryk i krzywiąc się, naciął nim sobie palec. Na powierzchnię drugiego zwierciadła, wklejonego w sąsiednią pokrywę, trysnęło kilka kropel krwi. Widząc to, Obywatel pociągnął za dźwignię zegara i uruchomił mechanizm. Młoteczek zaczął rytmicznie uderzać o mały dzwonek, wydając miły dla ucha, krystaliczny dźwięk. Na koniec mężczyzna zsunął obydwie skrzydła kasetki, sprawiając, że wewnętrzne lustra znalazły się dokładnie naprzeciwko siebie.

Wstał i drżąc na ciele, opuścił gabinet. Zamknął za sobą drzwi, tłumiąc uderzenia srebrnego dzwonka.

ROZDZIAŁ XXI

Buty i noże

Czas pośród luster wydawał się Sarze dziwnie rozciągliwy. Szła i szła, nie odczuwając ani odrobiny zmęczenia. Nawet głód nie dawał jej się we znaki na tyle, by miała jakiegokolwiek wrażenie upływu czasu. Czuła się jak we śnie, gdzie nie obowiązują związki przyczynowo-skutkowe. Jedyne, co utrzymywało ją w ruchu, to silne postanowienie odnalezienia Sharpa.

Straciwszy jego trop, zwątpiła w celowość swojej wyprawy i uświadomiła sobie, że albo zostanie zmiażdżona przez ten sterylny ogrom, albo zgłębi jego tajemnicę, licząc przy okazji na

łut szczęścia. Oczywiście wybrała to drugie i wędrowała szlakiem przypominającym rozszerzającą się spiralę. Pięćdziesiąt kroków do przodu i obrót w prawo, potem sześćdziesiąt kroków przed siebie i kolejny obrót w prawo, potem siedemdziesiąt – i tak dalej. Ze wszystkich rzeczy liczenie było najbardziej uciążliwe, a kiedy przekroczyła tysiąc, zmęczenie i desperacja wzięły górę.

Usiadła. Zrobiła to tak gwałtownie, że sama nie była pewna, czy tak właściwie nie był to upadek. Oparła się bokiem o lustro i spojrzała na Kruka.

– Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt – powiedziała niewyraźnie. – Tak mi się przynajmniej wydaje. – Ziewnęła i zwróciła się do ptaka: – Tylko godzin... czy dni?

Ten tylko mrugnął.

– W sumie to i tak nieważne – westchnęła. – Jeżeli się położę, staniesz na warcie?

Kruk kłapnął dziobem i przyskoczył bliżej. Sara wyjęła swój najdłuższy nóż i położyła go obok siebie.

– To na wypadek, gdyby odwiedził nas jakiś niechciany gość – oznajmiła. – Wolałabym nie odpoczywać, ale myślę, że muszę. Może potem poczuje się...

Zgubiła słowo i przeszły ją ciarki. Jej podkrążone oczy były wilgotne, ale nie miała zamiaru wycierać ich przy Kruku – jeszcze odebrały ten gest jako oznakę słabości.

– Muszę zregenerować siły – powiedziała. – Może obudzę się z nowym planem. Trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt... Chyba... Przypomnij mi, gdy...

Zamknęła oczy i odpłynęła w sen. Kruk podskoczył jeszcze bliżej i też znieruchomiał.

Czas mijał.

Nic się nie poruszyło.

Coś się zmieniło.

Nikt nie zauważył.

Czas mijał.

Sara obudziła się, czując obok siebie czyjąś obecność. Otworzyła

oczy i pierwsze, co zobaczyła, to męski but z cholewą.

Od razu go rozpoznała, choć zarazem ogarnęła ją niepewność.

– Jack! – powiedziała, podnosząc się na rękach. – Jak się tutaj...

– John – poprawił ją ktoś obcym, ochrypłym głosem. – Ale nikt tak do mnie nie mówi. Większość nazywa mnie doktorem...

Spojrzała na górującego nad nią mężczyznę. Ubrany był w długi płaszcz, a jego twarz zdobiła szpakowata kozia bródka. Głowę wieńczyła czapka wyglądająca na średniowieczną.

Sara ukryła zdezorientowanie, rozglądając się w poszukiwaniu swojego kompana.

– Gdzie on się podział? – mruknęła pod nosem.

– Gdzie się podział KTO? – zapytał mężczyzna.

– Kruk.

Również się rozejrzał.

– Nie ma tu żadnego kruka – stwierdził.

Wstała.

Mężczyzna cofnął się o krok, nagle spięty, jakby szykował się do walki. Lub do ucieczki.

Zmierzyła go szybko wzrokiem, oceniając jego umiejętności.

– Zawsze jest jakiś Kruk – powiedziała spokojnym głosem.

– Nie tutaj – odparł. – Tu są zawsze tylko lustra.

Skończyła oględziny.

– A ty? – spytała.

– Co ja?

– Nie jesteś lustrzakiem.

Uśmiechnął się – czy to z rozbawienia, czy żeby pokazać swoje białe uzębienie i umocnić ją w przekonaniu, że jest TYLKO człowiekiem.

– Ty też nie – odparł, a potem wskazał na jej pierścienie. – Jesteś z Nadzoru.

Rozważała, czy się nie uśmiechnąć, ale ostatecznie zachowała powagę.

– Nazywam się Sara Falk.

– A ja jestem John Dee.

– Doktor Dee był członkiem Nadzoru za czasów Elżbiety Pierwszej – powiedziała po chwili. – To niemożliwe.

– Faktycznie – przyznał. – To niemożliwe. Wszędzie poza tym miejscem.

Dłoń Sary wymacała pod kurtką rękojeść noża. Mężczyzna patrzył na nią tak, jakby miał dar widzenia przez ubranie.

– Najprościej rzecz ujmując, pośród luster czas płynie inaczej. Są tu światy wewnątrz światów, wymiary w wymiarach, a wszystko działa w różnym tempie.

– Nie można tak po prostu PRZETRWAĆ w lustrach – powiedziała Sara. – Chyba że jesteś lustrzakiem.

Rozchylił poły płaszcza i pokazał jej naszyjnik, który pod nim nosił. Widniał na nim pierścień. Złoty pierścień z krwawnikiem, w którym wycięty był znajomy wizerunek: jednorożec i lew. Nieznajomy uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”, po czym sięgnął za koszulę i wyciągnął kolejny łańcuszek. Zawieszono na nim kawałek nieobrobionego białego kamienia, a także mały srebrny dzwonek, podobny do tych, które zakłada się kotom.

– Wchodzę i wychodzę z lustrzanych światów, kiedy chcę, zawsze zachowując umiar i rozsądek. I noszę amulet. Lub jeśli wolisz, biały przeciwkamień, czyli przedmiot chroniący mnie przed ługującym działaniem luster.

– Ługującym działaniem? – powtórzyła Sara ze zdziwieniem. – Prościej nie można?

– No tak, ty wciąż nic nie rozumiesz. Lustra wypłukują kolory i siły witalne. Słowo pochodzi od...

– Nie interesuje mnie, od czego pochodzi – przerwała ostro. – Co tutaj robisz?

– Oszukuję śmierć, starając się zrozumieć prądy czasu płynące w świecie luster.

Pokręciła głową.

– Znam historię Nadzoru. Dee odszedł z tego świata dwa i pół wieku temu. Ty nie jesteś Dee...

– Ależ jestem. I masz rację, odszedłem, ale teraz stoję przed tobą. W jakimś sensie pozostaję schowany przed tantym światem. Mówiłem ci, czas w lustrach płynie inaczej. Pozwól pokazać sobie, na czym ta sztuczka polega – powiedział,

wyciągając rękę.

– Czemu miałbyś to zrobić? – zapytała Sara, odsuwając się do tyłu.

– Nadzór jest stowarzyszeniem, w którym między innymi chodzi o udzielanie sobie wzajemnej pomocy. – Uśmiechnął się. – Szczególnie *in extremis*.

– Gdybyś rzeczywiście był Dee, gdybyś był członkiem Nadzoru, utrzymywałbyś z nami kontakt.

Nie odpowiedział.

– Gdybyś rzeczywiście był Dee... – powtórzyła.

– Czemu nie miałbym nim być? – zapytał.

– Mogłeś przybrać jego imię. To tak samo łatwe jak ukradzenie pierścienia. Lub butów...

– Nie ukradłem butów – zaprotestował. – Znalazłem je.

– Wymówka każdego złodzieja od zarania dziejów – odparła.

– Nie jestem pewien, czy zaranie dziejów w ogóle miało kiedyś miejsce. Zaczynam myśleć, że świat istniał zawsze. Lub że jest cykliczny – rozmyślał na głos, po czym machnął ręką, porzucając te dywagacje. – Ale to zupełnie inna spawa. Znalazłem te buty na czarnym lustrze. Leżały obok tego i tego.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza Kłębki z Coburga, a sam płaszcz przerzucił przez bark, odsłaniając pas pełen noży. Noży, na których widok serce Sary nieomal stanęło. Wszystkie należały do Sharpa. Dee dokładnie ją obserwował.

– Czarne lustro pojawia się w miejscu, na które kapnie krew. Otwiera drzwi do wymiaru zupełnie innego niż nasz. Tak myślę. Jeżeli te buty, te noże i ten powrót do domu należały do twoich przyjaciół, obawiam się, że już ich nie znajdziesz. Niezależnie od twoich umiejętności są oni teraz poza twoim zasięgiem.

– On.

– On? – nie zrozumiał.

– On, nie oni. Szukam tylko jednego przyjaciela.

– Więc uznaj, że go straciłeś – odparł. – Przykro mi, ale to szczerą prawdą.

Jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Obserwował ją uważnie, nie mogła więc sobie pozwolić na choćby

najsubtelniejsze okazanie emocji.

– Droga panno – zaczął – skoro według ciebie jestem kłamcą, dlaczego mówię ci tak niemiłe rzeczy? Przecież gdybym był oszustem, prawilibym ci same komplementy i jak najdłużej dawał fałszywą nadzieję.

Nie pozwoliła sobie nawet na drgnięcie. Widok noży Sharpa, które definiowały go w równym stopniu co oszczędny uśmiech czy poważne spojrzenie, podciął jej skrzydła. Wetknięte za pas innego mężczyzny, były niczym smutna wieść o tragedii. Wieść, w którą prawie uwierzyła.

Prawie.

– Co zrobisz Krukowi? – zapytała.

Dee zmarszczył brwi.

– Przepraszam, ale...

– Z pewnością będziesz przepraszał, a nawet błagał o wybaczenie, jeśli okłamiesz mnie jeszcze raz – odparła. – O co ci chodzi?

Jego koci uśmiech był denerwujący. Sara powoli zaczęła wysuwać swoje ostrze zza pasa.

– Jestem filozofem, badaczem tajemnic – odparł. – Mam w lustrach współników, którzy pomagają mi w moich eksperymentach i którym odpłacam się za to przysługami.

– Ale przypadkowo nie mają nic wspólnego z Nadzorem, którego prawdziwy Dee był kiedyś częścią – powiedziała. – Ciekawe, prawda?

– Zapewniam cię, że rozstałem się z Nadzorem w pokoju, poza tym nasze cele wciąż są te same. Nie wiem, co piszą o mnie w księgach, ale to prawda. Wolne Bractwo było wtedy u szczytu swojej potęgi i jeżeli istniał jakikolwiek problem, o ile w ogóle można mówić o czymś takim, to był nim nadmiar członków, a nie ich brak. Odszedłem zatem w zgodzie i za przyzwoleniem, by oddać się swoim badaniom.

– Nie wierzę, że jesteś Dee. Myślę, że jesteś oszustem w skradzionych butach – oznajmiła. – I o ile wiem, pierścień na twojej szyi to kolejna rzecz, którą zabrałeś prawowitemu właścicielowi. Lecz czymkolwiek lub kimkolwiek jesteś, mocą

Prawa i Obyczaju domagam się, abyś oddał te noże, Kłębki oraz buty, a przede wszystkim pierścień.

Chodziło jej głównie o Kłębki z Coburga, które zapewniłyby jej bezpieczny powrót do domu, a wcześniej być może doprowadziłyby do Sharpa. Cała reszta była zasłoną dymną. Odetchnęła. Jej mózg znowu działał na pełnych obrotach.

– Mocą Prawa i Obyczaju – powtórzył jak echo. – A jak mnie do tego zmusisz, panienko?

– To już moja sprawa.

– Za pomocą tego żałosnego nożyka, który skrywasz za pazuchą? – Uśmiechnął się ponuro, a na jego twarzy nieoczekiwanie pojawił się jakiś nieokreślony, złowrogi cień. Zupełnie jakby zrzucił maskę. Sam także skrywał dłoń pod płaszczem, zapewne trzymając ją na rękojeści któregoś z noży Sharpa. – Nie chcę z tobą walczyć, panno Falk – dodał po chwili milczenia.

– Mądra decyzja. Inaczej mogłoby się to dla ciebie źle skończyć.

Ponownie się uśmiechnął i wtem, szybciej, niżby się tego spodziewała, wyciągnął przed siebie obie dłonie uzbrojone w noże i lekko przykucnął, szykując się do ataku. Jego refleks kompletnie ją zaskoczył.

– Nie musiało do tego... – zaczął, ale zanim dokończył zdanie, rozległo się głośne i uporczywe dzwonienie.

Skrzywił się.

Sara wykorzystała to i odsunęła się od niego, dobywając noża.

Dzwonienie działało jej na nerwy, ale postanowiła się nie poddawać.

Tymczasem Dee wyprostował się i ku jej zdziwieniu schował noże. Potem przykrył dłonią dzwonek na szyi, jakby chciał stłumić dźwięk. Nie zadziałało.

– Wzywają mnie – oznajmił, a słowa te najwyraźniej bolały go tak samo jak dźwięk dzwonka. – Jestem potrzebny gdzie indziej. Nasze sprawy muszą poczekać.

I zanim zdążyła zareagować, mężczyzna skoczył prosto w lustro za swoimi plecami.

Sara znowu została sama. Tym razem nawet bez Kruka.

Próbowała sobie przypomnieć, ilu kroków doliczyła się wcześniej, wędrując po spirali. Chciała odejść stąd jak najszybciej, na wypadek gdyby niepokojący Dee zechciał powrócić.

ROZDZIAŁ XXII

Głodny świat

Po powrocie z popołudniowego wypadu, podczas którego odkryli opuszczone kwatery Alpów, zastali Kucharkę narzekającą na bałagan panujący w kuchni. Kilka dostaw doszło w tym samym czasie i jej wielki, wytarty stół dosłownie zniknął pod wszelkiego rodzaju workami, skrzynkami i pakunkami owiniętymi w brązowy papier.

– No tak – powiedziała, gdy tylko weszli do kuchni. – Patrzenie na mnie w ten sposób nic nie da, paniczu Pyefinch. Nie zrobię nawet herbaty, dopóki nie będzie tu posprzątane. Sama mam do załatwienia sprawy w Goodbehere, więc sugeruję przenieść to wszystko do magazynu, a gdy wrócę, być może będę w lepszym nastroju, żeby piec racuchy czy coś w tym rodzaju.

Lucy wypatrzyła talerz ciasteczek stojący na kredensie, przykryty wilgotnym ręcznikiem, więc domyśliła się, że złość Kucharki jest po części udawana.

Gdy kobieta wyszła, a oni zabrali się do pracy, w drzwiach stanął Kowal. Trzymał wypełniony węgorzami duży kosz, z którego kapąła woda.

Cait złapała go w ostatnim momencie, pojawiając się, jak to miała w zwyczaju, znikąd.

– Na twoim miejscu nie zalewałabym podłogi tą brudną wodą – ostrzegła. – Kucharka jest dzisiaj wyjątkowo drażliwa. Ukrywam się przed nią całe popołudnie.

– No tak, dziękuję za ostrzeżenie – odparł. – W takim razie idę od razu do szpizarni na zapleczu.

Lucy była tam na długo przed nim. Kiedy już wepchnęła na półkę szorstki worek ziemniaków, z niesmakiem spojrzała na

swoje ubrudzone żółtawym pyłem rękawiczki. Podeszła do zlewu i zaczęła myć ręce świeżo rozpakowanym mydłem dziegciowym o dźwięcznej nazwie Patent Caverhilla. Nie ściągnęła rękawiczek, myła je tak, jakby myła dłonie, a gdy to robiła, z upojeniem zaciągała się sosnowym zapachem mydlin. Nagle jedną z dziur w jej pamięci wypełniło wspomnienie szorstkiego worka. Wsparła się o zlew, by nie upaść.

To właśnie wtedy Kowal wszedł do spiżarni ze swoim ciekącym koszem. Położył go na ziemi nieopodal odpływu, po czym spojrział dziewczynie w twarz.

– Co się stało? – zapytał.

– To... wspomnienie – powiedziała. – Ja...

– Wglądałaś, tak? – Spojrzął na jej okryte rękawiczkami dłonie.

– Ale jak...?

– Nie... To nie to...

Musiała usiąść. Zdjęła skrzynkę warzyw z beczki i zajęła jej miejsce. Kowal popatrzył na nią dziwnie, po czym wyszedł. Usłyszała skrzypienie i szum pompy, a gdy wrócił, trzymał w dłoniach kubek zimnej wody. Za nim stała zatroskana Cait.

Lucy wzięła kilka łyków i skinęła głową na znak, że już wszystko w porządku.

– Właśnie przypominałam sobie o czymś, o czym nie wiedziałam, że zapomniałam – stwierdziła, wskazując na worek ziemniaków, a potem na mydło. – To przez zapach. Ten sosnowy, smołowy... Coś mi to przypomniało.

– Wnioskując po tym, jak zareagowałaś, i po tym, jak wyglądasz, nic dobrego – domyśliła się Cait. – Jesteś blada jak ściana.

Przytaknęła.

– Powiedz nam coś więcej – poprosił Kowal.

– Zaczekaj, nie teraz – zaprotestowała *venatrix*. – Chodź, kochana, wrócimy do kuchni. Usiądziesz przy piecu i odzyskasz kolory. – Ujęła Lucy za ramiona i delikatnie zaprowadziła do wyjścia.

Na dźwięk ich kroków Jed czujnie uniósł głowę. Charlie otworzył usta, żeby zapytać, co się stało, ale Kowal posłał mu lodowate spojrzenie.

Lucy usiadła przy stole i popijała swoją wodę. Wzrok miała opuszczony, ale była świadoma, że znajduje się w centrum uwagi. Nawet dłoń, którą venatrix trzymała przyjacielsko na jej barku, nie dodawała w tej sytuacji najmniejszej otuchy.

Najwyraźniej zgromadzeni w kuchni porozumieli się za pomocą spojrzeń, ponieważ Charlie nagle zaczął dwa razy szybciej uwijać się przy sprzątaniu stołu, a Hodge uznał, że Jed koniecznie musi wyjść na dwór, żeby załatwić swoje psie sprawy.

– W porządku, teraz możesz mówić – stwierdziła ostrożnie Cait.
– Lepiej to z siebie wyrzucić.

– Przyniesiono mnie do Kryjówki z ustami zaklejonymi plastrem – zaczęła Lucy. – W brudnym worku na ziemniaki. Czułam tę duchotę. I sosnowy zapach, bo plaster pokryty był klejem żywicznym.

– Zgadza się – oznajmił Kowal. – Sara Falk była przerażona tym, że tak cię potraktowano. Sharp też.

– Cóż, to pamiętam bardzo dobrze – powiedziała, biorąc kolejny łyk z cynowego kubka. – Ale zanim tam trafiłam...

Skinęła głową w kierunku spiżarni.

– Zapomniałam o ludziach, którzy mi to zrobili.

– Zakneblowali i wrzucili do worka?

Przytaknęła.

– Mężczyzna nazywał się Bill Ketch – powiedział Kowal. – Tak twierdził Sharp. To był miejscowy pijak.

– Nie – odparła Lucy. – To nie był Ketch. To byli inni.

– Inni? – zdziwił się Kowal, unosząc brwi. – W jakim sensie?

– Tacy jak ci, którzy próbowali zatrzymać nas, mnie i Charliego, podczas wędrówki do Londynu. Z wytatuowanymi twarzami, odziani w skórę i kości. To znaczy te ich ubrania wyglądały z grubsza normalnie, tylko że zrobione były z włochatej skóry i zszyte kawałkami zwierząt...

– Sluagh – powiedział Kowal.

– Tak – potwierdziła szybko. Serce waliło jej jak młotem. – Sluagh.

– Spokojnie, moja droga – powiedział Kowal. – Nigdzie się nie spieszymy.

Pokręciła głową. Musiała jak najszybciej pozbyć się tego wspomnienia.

– Zabrali mnie gdzieś i związali. Nie mogę sobie przypomnieć, skąd mnie wzięli. Wiem tylko, że spałam, potem się obudziłam, a potem oni nieśli mnie do jakiegoś ciemnego lasu. Przynajmniej wydaje mi się, że był to las. Pamiętam gałęzie i jeżyny. Następnie przytrzymali mi głowę i wpatrywali się we mnie. Próbowałam nie patrzeć im w oczy, bo wiedziałam, że o to im chodzi, więc skoncentrowałam się na niebieskich wzorach, które pokrywały ich twarze. Mój wzrok wędrował po tatuażach, jakby to był labirynt, próbowałam się zatracić w tej czynności i nie słuchać, co mówią. Ale wszystkie linie zawsze prowadziły do ich oczu. Dlatego w końcu weszli mi do głowy i zaczęli zamazywać jedne wspomnienia i umieszczać tam inne. – Przeszły ją ciarki i aż się wzdrygnęła. Zrobiło jej się niedobrze. – Gdy wchodzili w mój umysł... – urwała. – Nie wiem, jak to opisać, ale... Czuję się nieczysta i...

– Zbeczyszczona – powiedział łagodnie Kowal. – To jak gwałt.

Cait cofnęła się i spojrzała na niego.

– A skąd ty, wielkoludzie, miałbyś wiedzieć, jak to jest zostać zgwałconym?

Jego słowa nie pomagały. Nazwanie tego zdarzenia w ten sposób było nie na miejscu i tylko pogorszyło sprawę. I to przy wszystkich. Lucy poczuła się jeszcze gorzej. Była naga, bezbronna, słaba.

– To nie było podobne do gwałtu – zaprotestowała. Choć oczywiście było podobne. – To znaczy nigdy nie miałam aż takiego pecha, ale niektórzy mężczyźni próbowali, źli mężczyźni. Zawsze okazywałam się szybsza i mądrzejsza.

Przypomniała sobie, jak w portowej knajpie rozbiła pewnemu Francuzowi butelkę na głowie. To też nie była przyjemna sytuacja, jednak zupełnie inna. Pamiętała jego spocone dłonie i gorący, zalatujący czosnkiem oddech, wciąż czuła w dłoni chłodną szyjkę butelki, słyszała chrzęst pękającego szkła. A może to była czaszka? Uciekała wtedy tak szybko, że nigdy się tego nie dowiedziała.

- Ty też potrafisz walczyć, przecież jesteś silna - powiedziała Cait. - A ja mogę...

- Ale jak wygrać ze Sluagh? On sprawia, że otwierasz swój umysł, w jednej chwili obnażasz najskrytsze tajemnice. I nie ma żadnego sposobu, żeby się temu przeciwstawić - stwierdził Kowal. - To jakby wszczepili coś w sam środek ciebie, plamę...

- Czerń - poprawiła go Lucy.

Przytaknął.

- Tak, czerń. Wkładają ją w ciebie i twój mózg zamiera z przerażenia. Mogą wtedy robić z tobą, cokolwiek chcą, bo ty w tym czasie wpatrujesz się w tę czerń sparaliżowana strachem i modlisz się, żeby pozostała nieruchoma i cię nie skrzywdziła.

Lucy wpatrywała się w niego w osłupieniu.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Żyję już bardzo długo, panno Harker - odparł, jak gdyby to cokolwiek wyjaśniało.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Kucharka i napięcie nieco zelżało. Opowiedzieli jej, co się stało, wrócił także Charlie, skończywszy udawać, że układa rzeczy w magazynie, a Lucy wysłano po suche rękawiczki. Na stole pojawiły się maślane racuchy, dżem i herbata, ktoś zapalił fajkę i świat znów stał się bezpiecznym miejscem.

Z tym wyjątkiem, że wspomnienie ze Sluagh wkradającym się do umysłu dziewczyny ewidentnie dodało coś do równania, które Kowal próbował od dłuższego czasu rozwiązać, szacując liczbę aktualnych wrogów. Gdy Lucy rozmawiała z Charliem i Cait na jakieś błahe tematy, zauważyła, że mężczyzna cały czas gorączkowo szepcze coś Hodge'owi i Kucharce. A gdy zapytała, czy też może iść na nocną wyprawę do domostwa przy Golden Square, usłyszała kategorię odmowę. Od dawna marzyła o choćby krótkiej przerwie w codziennej rutynie, niestety wieczór zakończył się jak wszystkie poprzednie: o określonej godzinie usiadła w powozie obok Kowala i razem ruszyli w krótką podróż na wschód, ku Wyspie Psów.

Mężczyzna mówił niewiele. Niczego nie próbował jej nauczyć ani nie przytaczał żadnych przydatnych faktów. Gdy dotarli do

domu, życzył jej dobrej nocy i poszedł do warsztatu.

Leżąc w łóżku, myślała o swoim życiu i próbowała wzbogacić barwną mozaikę wspomnień o kolejne. Zastanowiła się też nad nagłym napięciem, które wyczuła między Kowalem a Cait. Przy okazji złapała się na tym, że przywołując w wyobraźni Cait, lubi się z nią porównywać. W jakimś sensie chciała być jak ona, bezpośrednia i opanowana. Chciała też mieć takie dzikie, bujne włosy...

I wtedy zorientowała się, że wokół panuje absolutna cisza. Kowal musiał skończyć pracę.

Nagle usłyszała cichy pisk zawiasów oraz ledwie słyszalny odgłos stąpania na progu. Wyślizgnęła się z łóżka i podeszła do okna. Zobaczyła Kowala, który pospiesznie oddalał się od domu.

Spośród wszystkich fascynujących lekcji te polegające na śledzeniu drugiej osoby w zatłoczonym mieście Lucy lubiła najbardziej. Głównie dlatego, że była w tym bardzo dobra i zawsze wiedziała, kiedy być czujną i ostrożną, a kiedy trzeba iść „szybko-lecz-wolno”. Co istotne, podczas treningów często im powtarzano, aby wykorzystywać każdą nadarzającą się okazję do podniesienia swoich kwalifikacji. Być może to dlatego trzydzieści sekund później znalazła się pod bezgwiezdnym niebem i podążyła śladem Kowala, który choć teren był nierówny i grząski, niestrudzenie parł na północ. A może powodem było jego dziwne zachowanie i pośpiech, z jakim opuścił dom, do tego niosąc jakąś tajemniczą torbę. Może śledziła go, bo z natury była dociekliwa i chciała zrozumieć, dlaczego z taką niewytłumaczalną podejrzliwością traktuje kogoś, kto powinien uchodzić za jej obrońcę i przyjaciela. Kowal szedł bardzo szybko, niemal biegle. Wkrótce opuścił Wyspę Psów i ruszył wzdłuż torów Kolei Północnego Londynu. Następnie skręcił w Bow Road i kierował się główną ulicą na wschód, aż doszedł do mętnych wód River Lea i ponownie podążył na północ. Gdy mijał Pudding Mill Water Lucy nieomal zdradziła się ze swoją obecnością, przebiegając przez młynówkę. Na szczęście w porę znalazła skrawek cienia i wtopiła się weń w ostatniej chwili. Jej opiekun odwrócił głowę, po czym wkroczył na bagna Hackney Marsh. Od

tego momentu śledzenie stało się udręką i często musiała zgadywać, w którą stronę poszedł Kowal, a nierzadko nawet na nowo znajdować trop. Na wszelki wypadek co rusz przykuciała za kępą zarośli. Mężczyzna cały czas podążał na wschód. Do momentu, aż przeszedłszy po wąskiej kładce, pokonał ostatnią większą rzeczkę i wspiał się po trawiastym nasypie na torowisko Cambridge Line wyłożone drobnym żwirem.

Lucy podążyła jego śladem. Zgięta w pół, ostrożnie pokonała kładkę, wspięła się na szczyt zarośniętego zbocza i uważając, by stąpać tylko po drewnianych podkładach, przekroczyła żelazne tory. Wtedy Kowal, który dotarł do skrzyżowania z Ruckholt Lane – wreszcie się zatrzymał. Od strony południowej znajdowało się jakieś gospodarstwo, na wschodzie widać było zarys rezydencji ogrodzonej drutem kolczastym, na zachodzie zaś srebrzyły się płaskie zbiorniki wodne należące do nowego wodociągu East London Waterworks: obłe bańki spoglądające na nocne niebo ponad nimi.

Kowal odwrócił się w stronę zagajnika na północ od skrzyżowania. Lucy siedziała w rowie po jego prawej. Przez długi czas żadne z nich się nie poruszyło. Następnie mężczyzna przeszedł kilka kroków do przodu, zawiesił worek na sękatym drzewie i wrócił na miejsce, wpatrując się w cienie.

– Weź go – powiedział.

W miejscu tak spokojnym i tak oddalonym od miasta jego głos, choć cichy, był bardzo dobrze słyszalny. I najwyraźniej dotarł nie tylko do uszu dziewczyny, wkrótce bowiem rozległ się szelest, a pod drzewem pojawił się cień.

– Kowal – powiedział przybysz ochryłym głosem.

Cień zamienił się w mężczyznę. Na głowie miał niemodny kapelusz, piróg ozdobiony muszlami, spod którego wystawały ciemne włosy splecione w długie warkocze. Odzienie nieznanego połatane było króliczymi skórkami i miało kości zamiast guzików. Twarz obcego, co Lucy dostrzegła z przerażeniem, pokreślona była wzorami z ciemnego atramentu. Opuściła głowę jeszcze niżej, pewna, że Sluagh widzi w ciemności o wiele lepiej niż człowiek. Najbardziej zaniepokoiło ją to, że

Kowal zachowywał się przy stworze całkowicie swobodnie.

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? – zapytał Piróg.

– Jesteś sam, nie pogrywaj ze mną – odparł Kowal.

– Ale skąd wiedziałeś, że któryś z nas tu będzie? – przybysz nie dawał za wygraną. – Nie zobaczyłbyś mnie, gdybym się nie poruszył.

– Jesteśmy na obrzeżach miasta, na ostatnim skrzyżowaniu, w pobliżu płynącej wody i za żelaznymi torami – wyliczał Kowal.

– W takim miejscu zawsze jest któryś z was.

– Co jest w worku?

– Dobre pytanie. Sprawdź.

Sluagh chwycił za torbę, potrząsnął nią i rozwiązał sznurek. Ostrożnie włożył rękę do środka i wyciągnął coś małego, czego Lucy ze swojego miejsca nie potrafiła rozpoznać.

– Kości?

– A dokładniej resztki kościozwierza. Tego wysłanego do moich cel, by zabił jednego z waszych – wyjaśnił Kowal.

– Aha – mruknął Sluagh. – Ten kościozwierz.

Wyprostował się i rzucił torbę Kowalowi pod nogi.

– Nie interesuje mnie to. Jego zadanie zostało zakończone. A poza tym był przywiązany do osoby, która go stworzyła.

– Osoby, która pracowała dla niejakiego Mountfellona – powiedział Kowal. – W jakim celu?

– Nie wiem o niczym, co mogłoby ci pomóc – stwierdził sucho Sluagh.

– Dlaczego weszliście w umysł dziewczynki, a potem w umysł mężczyzny o nazwisku Ketch, by umieścić ją pośród nas? – Kowal zmarszczył brwi. – I dlaczego sprzymierziliście się z tym... Mountfellonem?

– Z nikim nie jesteśmy sprzymierzeni – zaprzeczył Sluagh, odwracając się.

– Na mocy Prawa i Obyczaju, rozkazuję ci odpowiedzieć! – warknął Kowal.

Sluagh ani na chwilę nie okazał strachu. Pogardliwie wyduł wargi.

– Prawo i Obyczaj? Wy, wielcy zdrajcy, macie czelność

powoływać się na coś takiego? Prawo i Obyczaj istnieją, by powstrzymać dwa światy przed zderzeniem. Znam słowa, których używacie. Nie tylko wy badacie nas. Patrzycie w ciemność, a my z niej patrzymy na was. Mówicie, że istnieje świat naturalny i ten drugi, zaraz obok niego, który nazywacie nadnaturalnym. Cóż, my nazywamy go starym światem albo Czystym Światem. A ten inny, nowy i nienaturalny, nazywamy Głodnym Światem.

- Głodny Świat? Co to za bzdury?

Mężczyzna w pirogu chrząknął pogardliwie, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem, zdradzając coraz większą nerwowość. Kolejne słowa wylewały się z jego ust, jakby pękła jakaś niewidzialna tama, dając upust długo tłumionej złości.

- A czy ten twój nowy świat nie jest głodny, Kowalu? Czy nie pożera drzew, by budować statki, które podróżują za słońce wody, by tam zdobyć jeszcze więcej drewna? Czy nasze lasy nie są nam odbierane, byście mogli budować stemple i stropy w tunelach, które kopiecie, by wydobywać węgiel do waszych buchających dymem fabryk? Czy nie odbieracie nam ciemności waszymi przeklętymi lampami gazowymi; tej prawdziwej, głębokiej ciemności, której potrzebujemy tak samo, jak wy potrzebujecie słońca? A co z naszą wspaniałą ciszą? Co z miejscami, gdzie jedynymi dźwiękami były szum wiatru w łanach zbóż i śpiew ptaków? Nasze pustkowia pocięte są żelaznymi torami, po których z hukiem pędzą wasze maszyny parowe. W dodatku rozmnażacie się jak króliki w środowisku bez lisów. Każdego miesiąca jest was więcej. A dla nas jest coraz mniej miejsca. Nowy świat jest wiecznie głodny i nic go nie zaspokoi. Wy tymczasem, potężny Nadzór, uważacie, że to my jesteśmy potworami. Oskarżacie nas, istoty ze starego świata, o wrogość, a jednocześnie sami przysmykacie oczy na krzywdę wyrządzoną nam przez nowy świat, Głodny Świat. Powierzono wam obowiązek strzeżenia granicy. Nie wypełniacie go ani na jotę. Mówicie jedno, a robicie drugie. Pogubiliście się i już nie wiecie, co to sprawiedliwość. Tak długo żyliście w Głodnym Świecie, że zapomnieliście nawet, iż płynie w was również nasza krew. Ale

na tym nie koniec. Gdy walczymy o swoje, bo wy za nas tego nie robicie, jesteśmy karani, szczuci i krzywdzeni. Reagujecie na nas z odrazą. Nie dlatego, że oskarżacie nas o potworności – bo jedyną potwornością jest to, że zdradziliście Prawo i Obyczaj – a dlatego, że przypominamy wam o waszej porażce. Jesteśmy niczym lustra, w których możecie się przejrzeć i zobaczyć, kim naprawdę się staliście: sługusami Głodnego Świata.

Kowal, który dotąd stał nieruchomo jak dąb mierzący się z wichurą i cierpliwie słuchał tyrady, postąpił krok do przodu.

– Radzę ci uważać, kogo nazywasz sługusem, nocny łowco. Mój młot w każdej chwili może przypomnieć sobie smak krwi Sluagh i znowu zgłodnieć.

Zmierzyli się wzrokiem. Kowal cofnął się o krok, rozluźnił napięte ramiona, a z jego gardła wydobył się krótki śmiech.

– Wybacz mi. Przyszedłem po informacje, a nie słuchać twoich żalów.

– To nie są żale. To jest historia okrucieństwa – powiedział Sluagh. – Jak wiesz, istnieje stara droga, którą nasi pobratymcy przez tysiące lat podróżowali między Wenlock Edge a Grimsby. Tymczasem głodni ludzie przecięli ją żelaznymi szynami, ciągnącymi się od Londynu do Manchesteru bez ani jednej luki. I teraz my oraz nam podobni nie możemy używać tej starej drogi, bo nie potrafimy przejść przez zabójcze żelazo. Czy Nadzór powstrzymał budowę tej linii? Czy użyliście mocy Prawa i Obyczaju, by powstrzymać inżynierów i robotników przed zniszczeniem naszego pradawnego krajobrazu? Nie. Przymknęliście na to oko. A ta żelazna sieć jest dla nas jak klatka. Przemierzanie tych ziem w grupach było częścią tego, kim od zawsze jesteśmy. A teraz... Teraz budzimy się każdego ranka, by odkryć, że oto odebrano nam kolejny skrawek naszych terenów i że możemy po nich wędrować tylko jakimiś szalonymi, krętymi drogami. Błądzimy po nich jak szaleniec próbujący uciec z labiryntu. Jesteście mieszańcami. Wasza czysta krew zmieszała się z krwią istot z Głodnego Świata, ale myślę, że tak naprawdę nienawidzicie tej swojej czystej części. Podejrzewam, że to dlatego zdradzacie nas na każdym kroku, ignorując nasze

potrzeby i pozwalając Głodnemu Światu tępić nas jak chorobę. Chcecie, byśmy wymarli. Chcecie, byśmy odeszli, ponieważ Głodny Świat jest zbyt chciwy, aby dzielić się dobrami z kimś, kto do niego nie należy. Jest pustką, która musi się wypełnić kosztem innych.

– Czego w takim razie chcecie? – zapytał Kowal.

– Prawa i Obyczaju. Egzekwowania sprawiedliwości. Niczego więcej. I niczego mniej.

– A co to ma wspólnego z Mountfellowem? – rzucił ostro Kowal.

– Czy z powodu owych wydumanych krzywd postanowiliście przestać być lojalni wobec Prawa i Obyczaju?

Piróg pokręcił głową. Lucy zdawało się, że więcej w tym geście było smutku niż pogardy.

– Kim jesteś, by mówić mi o lojalności? Ty, człowiek z Głodnego Świata? Jak możesz mieć nadzieję, że zmienisz swój los, renegacie – zadrwił. – Przepotężny Kowal, który potrafi zdradzić wszystko, co kocha. Jak zwykle, gdy wraca do niego ciemność.

Kowal zacisnął pięści. Wyraźnie żałował, że nie trzyma w dłoni młota.

– Kiedyś też tak myślałem – odparł szorstkim niskim głosem.

– Kiedyś?

– Tak, kiedyś. Ale wtedy przypomniałem sobie, że jestem konstruktorem. Potrafię zamienić podkowę w nóż albo miecz w lemiesz i z powrotem. Potrafię zrobić lub przerobić cokolwiek. W tym swój własny los.

Sluagh pokręcił głową.

– Ojcowie moich ojców mieli rację. Oszalałeś, Kowalu. Twoja arogancja przyćmiła wszystko inne.

– Ojcowie twoich ojców bali się ciemności, więc oddali się jej jak zwierzęta. Ja wkroczyłem w ciemność. Spojrzałem jej w oczy. A potem wróciłem. Ojcowie twoich ojców nie wiedzieli nic...

Sluagh roześmiał się złośliwie, a potem pochylił się w stronę Kowala i coś wyszeptał, tak że Lucy ledwie to usłyszała.

– A inni z Nadzoru... Czy powiedziałaś im, kim kiedyś byłeś? I dlaczego tak naprawdę jesteś lojalny? Czy w ogóle coś o tym wiedzą?

– Wiedzą, kim jestem. Wiedzą, że jestem lojalny. I nawet ty nie potrafisz się domyślić, z czego wypływa moja lojalność – powiedział Kowal.

– Nikt nie wraca z za czarnych luster, o ile siły tam rządzące na to nie pozwolą – oświadczył triumfalnie Piróg.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

Sluagh powiódł ręką dookoła.

– Jestem zaprzysiężony nocy. Znam jej tajemnice.

Teraz to Kowal się zaśmiał, donośnie i szczerze.

– Zaprzysiężony nocy? A co ona ma wspólnego z prawdziwą otchłanią? Gdyby ciemność była światłem, to ciemność za lustrami byłaby silna jak tysiąc słońc. Ta twoja noc, której sekrety ponoć znasz, jest niczym więcej jak migającym płomykiem dogasającej świecy.

Podniósł worek z kośćmi i wysypał je na drogę. Następnie zaczął miażdżyć je nogą, a kiedy skończył, kopnął resztki w kierunku Sluagh.

– Powiedz swoim przywódcom, że jeśli dalej będą działać na moją szkodę, czeka ich taki właśnie koniec. Zostaną starci na proch i rozrzućeni na nocnym wietrze. A jeżeli usłyszę, że którykolwiek z was pracuje dla Mountfellona albo tego przekłętego prawnika Templebane’a, przyjdziemy po was z całą potęgą Prawa i Obyczaju.

Odwrócił się na pięcie i zaczął iść przed siebie, na południe.

– Jeszcze jedno! – zawołał Sluagh. – Czarny Nóż.

Kowal zatrzymał się mimowolnie i obrócił.

– Wciąż go masz?

Nie odpowiedział.

Sluagh zaśmiał się szyderczo i skinął głową.

– A więc już wiemy, jak jest z tą twoją lojalnością – powiedział, po czym cofnął się w cień i zniknął.

Kowal długo wpatrywał się w miejsce, w którym stał – tak długo, że Lucy złapał skurcz w nodze. A potem odwrócił się plecami do ciemności i ruszył z powrotem w stronę migoczących w oddali świateł miasta.

Lucy przygryzła wargę, by wytrzymać skurcz. Próbowwała

zrozumieć coś z tego, co właśnie usłyszała, i poukładać to w jakąś sensowną całość. Choć było to rozczarowujące, sytuacja w żaden sposób nie wyjaśniła jej braku zaufania do Kowala. Prawdę mówiąc, miała teraz więcej pytań niż na początku tej wyprawy.

Rozważając te kwestie, spokojnie czekała, aż Kowal odejdzie na tyle daleko, by także mogła ruszyć w drogę. Żałowała, że musi wracać na Wyspę Psów. Z Charliem i Kucharką, a także z Cait, szczególnie z nią, na pewno poczułaby się bezpieczniej. Na samą myśl o domu na odludziu przechodziły ją ciarki.

Kryjówka była o niebo lepsza. Znajdowała się w mieście i przypominała niezdobytą twierdzę.

ROZDZIAŁ XXIII

Chytry plan

Issachar Templebane nie czuł się zbyt dobrze. Nie tylko jego umysł ze zrozumiałych powodów osłabiony był śmiercią bliźniaka, ale także okropnie bolało go ramię, które roztrzaskała mu ta wiedźma Sara Falk. Mogła je zwyczajnie złamać, ale nie, musiała jeszcze je zmiażdżyć i pokruszyć cały staw łokciowy. Tak skomplikowana kontuzja zmyliła nawet nastawiacza kości, który zaręczał, że ból będzie mijał. Tymczasem Issachar nie mógł spać, ponieważ każdy najdrobniejszy ruch kończył się niewyobrażalnym cierpieniem, które wybijało go ze snu. Oczywiście w ostatnim czasie odwiedził nastawiacza po raz drugi i zmusił go do naprawienia tego, co wcześniej przeoczył, ale zabieg był tak bolesny, że tuż przed omdleniem kazał go przerwać, więc nie liczył, że kiedykolwiek będzie mógł używać złamanej ręki jak dawniej. Jedynym plusem było to, że kazał przywiązać ramię na temblaku w taki sposób, by prosty ruch nadgarstka pozwalał sięgnąć do ust. Koniec końców ręka może i zrośnie się źle, ale przynajmniej będzie mógł jeść bez pomocy osób trzecich.

Była to ostatnia rozsądna myśl, jaka przyszła mu do głowy, gdyż z dnia na dzień jego umysł pracował coraz gorzej. W jakiejś

mierze, oprócz permanentnego bólu, winę za to ponosiła także domowa nalewka z laudanum, której używał przeciwbólowo (surowe opium, szafran, cynamon i goździki, rozbite i macerowane w sherry i białym miodzie, wszystko połączone według starego rodzinnego przepisu). Co więcej, wpływała ona tak na jego trzeźwość umysłu, jak i na pracę jelit. Podczas gdy Pountney Templebane praktycznie zamieszkał w wychodku stojącym w rogu dziedzińca, Issachar bywał tam sporadycznie, cierpiąc na przewlekłe zaparcia. Do tego swędział go cały tułów, co doprowadzało go do szału. Podejrzewał, że zawartość nieopróżnionych jelit zatruwa go od środka, co objawia się właśnie świądem, zaś lekarstwem na to mogły być jego zdaniem jedynie coraz silniejsze leki na rozwolnienie, po które nieustannie posyłał. W efekcie jednak czuł się coraz gorzej: w ustach miał sucho, oczy puchły mu i łzawiły, oddech zrobił się płytki i nieświeży. Issachar spędził sporo czasu, analizując wszystkie te symptomy, a wnioski niezmiernie go zmartwiły. W przeciwieństwie do innych uzależnionych od opium, u których substancja ta powoduje euforię, z każdym dniem stawał się przez to coraz bardziej kapryśny, lękliwy, zamknięty w sobie. Tak, nie był już tym samym Issacharem Templebane'em co kiedyś.

Co gorsza, ból wcale nie malał – i to mimo regularnego przyjmowania coraz większych dawek narkotyku. Jedynym, co w tej sytuacji trzymało go w pionie, była myśl o absolutnej likwidacji Nadzoru. I to takiej, która zarazem wyglądałaby na totalny zbieg okoliczności. W istocie bowiem wcale nie zależało mu na tym, by rozgłaszać swoje zwycięstwo, a fakt, że Nadzór nawet nie wiedziałby, przez kogo został zaatakowany, uznawał za wspanały dodatek, dzięki któremu zemsta smakować będzie znacznie bardziej. Wiedział przy tym, że musi się spieszyć. Na jego życie dybał nie tylko Nadzór. Nie miał wątpliwości, że gdyby plan nie wypalił, synowie mogliby zemścić się na nim, uznając, że jest słaby i bezbronny. Jest coś niepokojącego w sytuacji, kiedy ma się unieruchomioną jedną rękę. Wówczas człowiek jest bardziej ostrożny i uważniej kalkuluje ryzyko swoich działań.

Plan Corama miał trzy zalety: był prosty, gwarantował totalne

zniszczenie i stwarzał pozory tragicznego wypadku.

– Wyjaśnij jeszcze raz – rozkazał Issachar, krzywiąc się z bólu, gdy dostosowywał pozycję na swojej kanapie z wysokim oparciem, na której ostatnio spędzał większość doby.

– Rafineria cukru stoi na zboczu, bezpośrednio nad siedzibą Nadzoru – wyjaśnił Coram. – Znajdują się tam dwie ogromne kadzie, wysokie jak budynek mieszkalny, osadzone na utwardzonych piecach z ogniotrwałej cegły, które pozwalają osiągnąć wysokie temperatury potrzebne do roztopienia cukru. Wszystko, czego potrzebujemy, to upewnić się, że piece wybuchną i przewrócą kadzie, a płonąca rzeka karmelu spopieli całą okolicę. Dodam, że nikt nie będzie w stanie przed nią uciec, a tym bardziej przed pożarem, który wybuchnie zaraz potem. A gdybyśmy jeszcze zadbali, aby „dziwnym trafem” na drodze wrzącego strumienia znalazł się wóz z beczkami terpentyny... Myślę, że wtedy zagłada Nadzoru byłaby całkowita i nieodwołalna.

– Zaiste – zgodził się Issachar, sięgając po nalewkę i znów się krzywiąc.

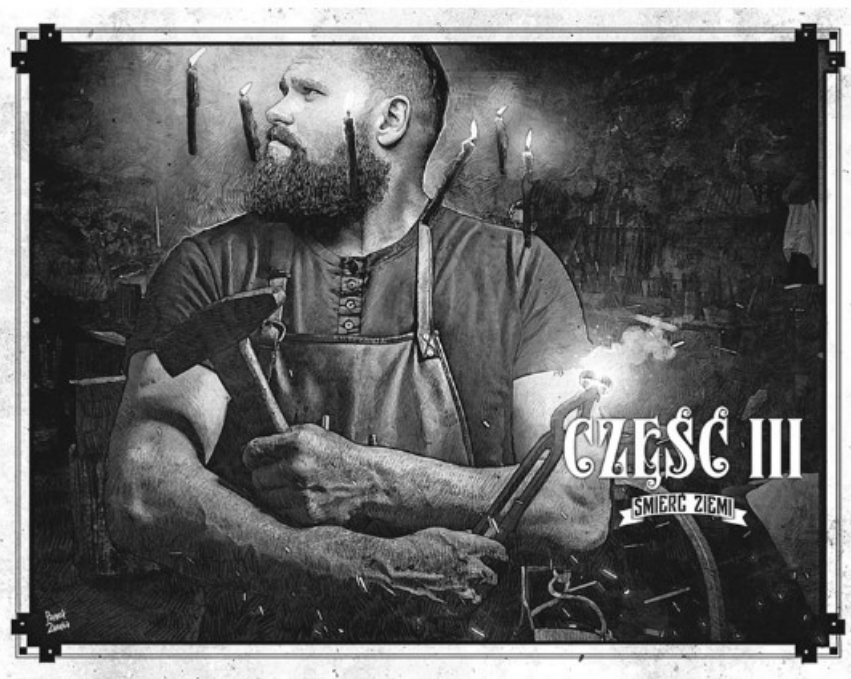
Coram okazał się szybszy: usłużnie odkręcił butelkę i podał ją ojcu.

– Dziękuję ci, chłopcze – powiedział mężczyzna, biorąc duży łyk. Zamknął oczy i zaczekał, aż napitek uśmierzy ból w łokciu. – A jak sprawić, żeby piece wybuchły?

– Bomby – odparł Coram. – Zaaranżowałem już zakup na czarnym rynku, z Woolwich Arsenal. Otwory w piecach są wystarczająco duże, by zmieściły się w nich wielkie kłody drewna, więc trafić nie będzie trudno. Nie musimy nawet podpalać lontów, ogień zrobi swoje. Po prostu trzeba wrzucić te cacka do pieca i szybko się ulotnić.

Issachar otworzył oczy, a Coram zdziwił się, jak bardzo są zaczerwienione i podpuchnięte. Chłopak z ulgą poczuł na sobie aprobujące spojrzenie.

– Ogień zawsze dobrze służył Templebane’om, chłopcze. Tak, ogień, oczyszczający ogień, dokładnie tego potrzebowaliśmy. Zdobądź bomby.



David
Garcia



ROZDZIAŁ XXIV

Poważne obrażenia

No i Alpa nie ma – warknął Obywatel.

– A gdzie poszedł? – zapytał Mountfellon.

– Do innego świata. Może nawet do samego piekła. Jest martwy.

– Widziałeś ciało?

– Widziałem ślady i wiem, że jest martwy. Nieżywy jak sama śmierć. A ja go potrzebuję...

Jego oczy aż płonęły z wściekłości, gdy krztusił się w apoplektycznym ataku. Po chwili wszystko minęło, a mężczyzna wytarł rękawem ślinę z kącików ust.

– To ten przekłety Nadzór – stwierdził.

– Mogą być inne wyjaśnienia – odparł Mountfellon.

Obywatel wstał i rzucił krzesłem o ścianę. Mebel pękł na pół, przy okazji sprawiając, że wiszący powyżej obraz spadł na podłogę, a ramka roztrzaskała się na dziesiątki połączanych gipsowych odłamków.

– O nie, milordzie. Jest gorzej, niż myślimy! Nadzór nie tylko krzyżuje nam plany i przeszkadza w eksperymentach. Teraz także zagraża MOJEMU ŻYCIU!

Trząśł się z wściekłości.

– I co w związku z tym? – zapytał chłodno Mountfellon, szacując

szkody po ataku Francuza.

– A co niby miałem zrobić? Wysłałem wiadomość z prośbą o dostarczenie kolejnego Alpa. W najszybszy możliwy sposób.

– W najszybszy możliwy sposób czy w najszybszy akceptowalny sposób? – zapytał Mountfellow.

– W tym przypadku najszybszy możliwy sposób jest także najszybszym akceptowalnym sposobem – wypluł Obywatel.

– A zatem skorzystałeś z luster, tak? I to pomimo tego, że wspólnie postanowiliśmy nie ryzykować ponownego ich użycia.

– Tak – rzucił twardo Obywatel, mierząc go wzrokiem. – Od tego może zależeć moje życie.

– Cóż, drugi raz już tego nie uczynisz.

– Bo?

– Bo za to odpowiesz – odparł chłodno Mountfellow.

– Niby w jaki sposób, milordzie? – spytał Obywatel, a jego głos nagle stał się ostry i nieprzyjazny. – Konkretnie.

– Nie potrafię ci teraz tego powiedzieć, ale z pewnością się dowiesz, gdy nadejdzie odpowiedni czas – odparł elokwentnie Mountfellow. – Sprawileś mi przykrość, łamiąc słowo dane w tak ważnej sprawie, ale ten jeden raz ci wybaczę. Z dwóch powodów. Po pierwsze, łączy nas wspólny, ważny cel, a po drugie, rozumiem twoje pobudki. W końcu zrobiłeś to dla ratowania swojego życia.

– Jesteś bardzo... uprzejmy.

– Jestem bardzo praktyczny. I jako taki powinienem podkreślić, że możliwość wysłania paczki pocztą w połączeniu z faktem rozbudowania linii kolejowych nie tylko tu, ale i na kontynencie, sprawia, iż list twój dotarłby do celu w czasie, który zadowoliloby nas obu. Co więcej, oszczędziłoby nam to komplikacji, a także uchroniłoby moje cenne obrazy przed niepotrzebnymi uszkodzeniami.

– Milordzie. Wybacz mi mój atak na twojego... Romneya, tak?

– Ramsaya. Cholernie dobry obraz, jak na Szkota. Ale nic nie szkodzi. Na szczęście ramkę mogę z łatwością wymienić.

– Ulżyło mi.

– Mnie również. A ulży mi jeszcze bardziej, gdy potwierdzisz

swoje zobowiązanie, że podczas pobytu w tym domu nie podejmiesz się żadnych ataków na Nadzór, zanim nie znajdę sposobu, by skorzystać z ich biblioteki.

Obywatel zagryzł zęby, jak gdyby próbował przełknąć o jedną wymuszoną grzeczność za dużo, po czym pochylił głowę.

– Zapewniam cię, milordzie, że dotrzymam obietnicy. I wybacz, że musiałeś pytać dwa razy – dodał usłużnie, ale niebezpieczny błysk w jego oku sugerował, że tak naprawdę żał mu było, iż Mountfellon zwątpił, nie zaś tego, że sam to zwątpienie sprowokował.

ROZDZIAŁ XXV

Radykalna zmiana

Amos i Zmora wreszcie znaleźli drogę wiodącą do kanału La Manche. Gdy dotarli na miejsce, zeszli zielonym pastwiskiem ku morzu, omijając spiętrzone białe klify, i w końcu dotarli do strumienia prowadzącego w dół do kamienistej plaży.

Jak okiem sięgnąć, wokół rozciągała się pustka, a jedynym śladem bytności człowieka była stara łódź rybacka zaciągnięta daleko poza linię przyływu. Ktoś bardzo się postarał, bo odwrócił ją do góry dnem i wepchnął między kamienie obok ujścia strumyka. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że poza tym krypa przywiązana jest do pali wbitych po obu jej stronach, a że wciągnięto ją na dwa ogromne głazy, można było się pod nią schronić. Zresztą nie oni jedni pomyśleli o niej w taki sposób: pod drewnianym kadłubem ktoś ułożył na piasku kamienne palenisko, a wokół rozstawił trzy drewniane kłody służące zapewne za siedziska. Co ciekawe, łódź wciąż musiała być wykorzystywana do połowów, bo w pobliską skalną szczelinę obok ktoś wcisnął gruby zwój sieci.

Poczerniałe kamienie paleniska pokrywała zielononiebieska warstwa glonów, wyglądało więc na to, że od dawna nikogo tu nie było. Nic nie stało na przeszkodzie, aby zostali tu i odpoczęli. Zwłaszcza że powoli zmierzchało, a oni i tak nie mieli siły, by

wędrować dalej. Jak co wieczór rozpalili ogień, pospiesznie przygotowali owsiankę, a potem położyli się na pościeli z rozłożonych sieci.

Kiedy Amos obudził się następnego ranka, był sam. Od razu się domyślił, że Zmora go porzuciła. Przez jakiś czas leżał nieruchomo, zastanawiając się, czy czuje z tego powodu złość, czy raczej ulgę. Jednostajny szum morza i głuchy odgłos fal uderzających o kamienie działały na niego wręcz hipnotyzująco i to pewnie dlatego postanowił nigdzie się nie spieszyć. Leniwie patrzył na promienie słońca odbijające się od powierzchni wody i tańczące na obitej metalem krawędzi łódki. Obserwował cienie przemierzające kamienistą plażę i linię brzegową cofającą się wraz z odpływem. W końcu potrzeby fizjologiczne okazały się silniejsze i zmusiły go, by wyszedł spod swojej drewnianej skorupy. Opróżniając pęcherz na kwitnącą kępkę zarośli, głęboko zaciągnął się powietrzem.

Kiedy sobie ulżył, przemknął po kamykach ku brzegowi i wspiął się na stromą skałę. Spojrzał w lewo i w prawo, ale nie dostrzegł ani Zmory, ani nikogo innego. Jediną oznaką życia był niewielki statek pod żaglami znikający za horyzontem.

Czuł się cudownie samotny.

Czuł się tak, jakby się nie mył od lat. Zresztą słusznie.

Przypomniał sobie, że w tobołku druciarza znajduje się kostka mydła, więc po nią poszedł. A kiedy wrócił, zostawił buty na piasku i wszedł do morza, ostrożnie stąpając po twardym, piaszczystym dnie. Przeszedł pełne pięćdziesiąt jardów w kierunku Francji, zanim zanurzył się chociaż po kolana. Ale nie zamierzał na tym poprzestawać. Parł dalej naprzód i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy woda sięgała mu do ramion. Nie potrafił pływać, więc dalsza wędrówka byłaby szaleństwem. Zanurzył głowę – tylko na chwilę – po czym powoli wycofał się w kierunku brzegu. Przez moment zastanawiał się, czy powinien zdjąć ubranie, ale ostatecznie namydlił je na sobie. Następnie kucnął, żeby się opłukać, i powtórzył całą procedurę. Efekt był znikomy. Ponieważ ani na plaży, ani na klifach wciąż nikogo nie dostrzegał, rozebrał się do naga. Stał po kostki w wodzie, ponownie

namydlił odzienie i porządnie je wypłukał, a później, rzuciwszy je na brzeg, namydlił i siebie. Pod wpływem impulsu miał przykucnąć, wbiegł z powrotem do oceanu, wolny i nagi, jak w dniu, kiedy się urodził, a każdy jego krok wzbijał w powietrze setki mieniących się w słońcu kropel. Będąc niemym, nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku, lecz w głębi duszy cieszył się i śmiał jak szczęśliwe i niewinne dziecko, którym nigdy nie był. Zanurzył się w zimnej toni, odczekał chwilę, a potem wystrzelił w górę, w stronę nieba, lekko i swobodnie. Poczł się tak, jakby zaraz miał wzbić się ponad morze i plażę, ponad wierzchołki klifów, ponad wysokie szczyty wzgórz...

Wtedy ją zobaczył.

Zmora przykucnęła nad jego ubraniami, pozbierała je, podniosła jego buty, po czym ruszyła w głąb plaży.

Stracił równowagę i klapnął do wody. Zanim zdążył się pozbierać i wypłuć obrzydliwie słoną wodę, która dostała mu się do żołądka i płuc, kobieta zniknęła.

„Zaczekaj!”

Nie usłyszał odpowiedzi. Być może Zmora była za daleko, by usłyszeć jego pełną paniki myśl.

„Zaczekaj proszę!”

Ruszył przed siebie, walcząc z oporem wody. Dotarcie do miejsca, w którym wynurzył biodra, zdawało się trwać wieki. Zresztą nawet kiedy to nastąpiło, jego ruchy nadal były niezręczne i ociężałe, jakby morze pozbawiło go całej witalności. Gdy wreszcie znalazł się na brzegu, był tak zmęczony, że dalej zdołał tylko iść chwiejnym krokiem. Wspięcie się na kamienistą skarpe było bardziej wycieńczające i niebezpieczne, niż mu się zdawało – zanim pokonał wzniesienie i znów zobaczył Zmorę, dwukrotnie upadł i potłukł się boleśnie.

Kobieta właśnie rozkładała jego ubrania na konarach wokół wygasłego paleniska.

Zatrzymał się.

„Co ty robisz?”

Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że jest nagi. Błyskawicznie opuścił ręce, by

osłonić genitalia. Zaledwie kilka minut temu marzył, by móc latać, teraz jednak wolałby zapaść się pod ziemię.

Nigdy w życiu nie pokazał się nago kobiecie, nawet tak starej. W ogóle bardzo rzadko pokazywał się komukolwiek bez odzienia.

Zmora pokręciła głową z rozbawieniem.

„Ciało jest jedynie skorupą. Byłam młodsza od ciebie, chłopcze, kiedy pomagałam przy sekcji zwłok. Anatomia nie skrywa przede mną tajemnic. Idź się przejść po plaży, żeby wiatr cię osuszył”.

Odwrócił się z powrotem ku kanałowi i zrobił tak, jak kazała.

Zastanawiał się, co oznaczało zachowanie Zmory. Jej rozbawienie i ton kompletnie do niej nie pasowały. To było jak... Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Ale w końcu nigdy nie miał matki, więc trudno mu było zrozumieć, co to jest „matczyna troska”.

Gdy już uznał, że jest wystarczająco suchy, zawrócił i od razu ujrzał unoszącą się zza skały smugę dymu. Obszedł zakole plaży i zobaczył, że kobieta gotuje coś w niewielkim garnku umieszczonym nad ogniskiem.

Kiedy podszedł, nawet na niego nie spojrzała, mógł więc bez wstydu założyć wciąż wilgotną bieliznę. Resztę ubrań przeniósł na jeden konar i usiadł na wolnym siedzisku. Kobieta wyjęła z jego tobołka paczkę herbaty i bez pytania wsypała zawartość do garnka. Zachowała się tak po raz pierwszy, a swoboda, z jaką to robiła, zaniepokoiła go. Coś się zmieniło, ale nie był w stanie stwierdzić, czy to dobra, czy zła zmiana. Zmora wyglądała na szczęśliwą i w rzeczy samej, taka musiała być, bo wkrótce usłyszał, jak nuci starą piosenkę, którą pamiętał jeszcze z przytułku. Nazywała się chyba... Czy znasz pana Mufinka.

Kobieta przerwała na chwilę, zauważywszy jego pytające spojrzenie.

„Ciepły, maślany mufinek świetnie by nam teraz zrobił, czyż nie?”

Przytaknął. W tym samym momencie podmuch wiatru skierował dym z ogniska prosto w jego oczy. Amos zacisnął powieki i poczekał, aż z powrotem będzie mógł je otworzyć.

– Usiądź przy otwartym ogniu ze splamionym sumieniem, a dym podąży za tobą, gdziekolwiek byś usiadł – powiedziała. – To sposób matki natury na karanie bezbożników.

„Co?”

– Napij się herbaty – dodała, przelewając część brązowego napoju do menażki. – Tylko się droczyć.

Była tak samo niepokojąca, jak wcześniej, ale teraz dodatkowo wyczuwał u niej jakąś dziwną łagodność. Wziął mały łyk gorącego naparu, starając się nie poparzyć ust o metalową krawędź. Poczłł słodki, kojący smak.

– Ostatnia kostka cukru – wyjaśniła z uśmiechem.

Skinął głową i znów upił łyk. Po orzeźwiającej kąpieli i suszeniu się w podmuchach chłodnego wiatru herbata zdawała się być zbawieniem. Nie tylko ogrzała go od środka, ale także sprawiła, że poczuł się odprężony i wypoczęty.

„Gdzie byłaś?”

– Przeszłam się wzdłuż wybrzeża – odparła i wskazała jeden z krańców plaży. – Aż za tamte odległe klify.

„Po co?”

– Tak po prostu – mruknęła. – Żeby coś sprawdzić.

Nie wyjaśniła jednak co.

Zostali w swojej kryjówce jeszcze dwa dni. Wałęsali się po wybrzeżu, cieszyli się słońcem, czystym powietrzem i szumem fal, radowali oczy i serca niezwykłymi widokami stromych klifów, o które nieustannie biły perliste fale.

Trzeciego dnia na plażę przybył właściciel łódki wraz ze swoim synem. Szli ostrożnie wzdłuż strumienia i prowadzili za sobą starego osła, który dźwigał drugą sieć rybacką. Rybak był wesołym człowiekiem o czerwonej twarzy i zdawał się nie przejmować tym, że ktoś obcy użył jego łodzi jako schronienia. Był nawet na tyle życzliwy, że przyznał, iż sam też by tak uczynił. Następnie razem z synem rozmontowali ów prowizoryczny dach i zamienili go z powrotem w łajbę. Potem załadowali do środka sieć i z pomocą Amosa zaciągnęli do morza. W podzięce zaproponowali mu wspólną wyprawę, ale chłopak kategorycznie odmówił. Kiedy wrócili z połowu z trzema pełnymi koszami ryb,

pożałował swojej pochopnej decyzji. W przeciwieństwie do niego Zmora postanowiła skorzystać z życzliwości rybaka i płacąc skradzionymi pieniędzmi, kupiła od niego trochę ryb, a także sporą paczkę tytoniu. Wcześniej w tobołku druciarza wyszperała cienką fajkę i gdy rybak z synem z powrotem zamienili łódkę w dach, a potem wrócili strumieniem tam, skąd przyszedli, nabiła ją i zapaliła.

Zjadłszy sporą część świeżo upieczonych ryb, usiedli w ciemnościach, przyglądając się iskrom wzlatującym ku nocnemu niebu. Zmora trąciła Amosa i wskazała wielki srebrzysty owal księżycyca tuż nad jednym z klifów.

„Już niedługo”.

„Niedługo do czego?”

„Do pełni. Wtedy będziemy mogli iść dalej”.

Do tej pory nie zastanawiał się, dokąd dalej mieliby pójść i po co w ogóle mieliby się stąd ruszać, ale był zbyt otępiły, bo rozważać takie kwestie. Ziewnął szeroko, położył się na boku i zasnął.

Przysnął na chwilę i obudzwszy się, zauważył, że Zmora przykryła go kocami i że srebrna tarcza znajduje się na gwieździstym niebie w połowie swojej drogi. Noc była tak jasna, że musiał przesunąć się w cień rzucany przez łódź, by się nie rozbudzić. Przymknął powieki i wrócił w objęcia snu.

Tak naprawdę Amos nie zmrużyłby oka, gdyby wiedział, że Zmora nawet nie leżała koło niego. Właśnie w tej chwili samotnie przemierzała trawiaste wzgórze nad ich kryjówką, z błyskiem w oku i stalowym nożem w dłoni, szukając sobie tylko wiadomego miejsca.

Na jednym z pagórków odnalazła wreszcie skrzyżowanie dwóch pasterskich szlaków, usiadła na ziemi i skierowała wzrok ku księżycowi. Następnie zaczerpnęła powietrza, pochyliła się i powoli wycięła mały kwadrat darniny. Odłożyła go ostrożnie na bok, odsłaniając znajdującą się poniżej kredę. Nie wahając się ani chwili, przecięła nożem wewnętrzną część dłoni i zacisnęła ją w pięść. Wątył strumyczek krwi pociękł na białą powierzchnię. Później odcięła pas swojej sukienki i opatrzyła nim skaleczenie.

Splunęła do otworu trzy razy. Gdyby ktoś znajdował się w pobliżu, usłyszałyby dziwny wiersz recytowany przez jeszcze dziwniejszą kobietę:

*Na krew w moich żyłach, na księżyc tam, w górze,
Na ziemię poniżej, Mountfellon musi umrzeć!*

Zmora przykryła zakrwawioną kredę wyciętym fragmentem darni i odwróciła się plecami do morza.

Nie powiedziała już nic więcej, lecz jej myśl wystrzeliła niczym strzała, pomknęła w głąb lądu, w kierunku wsi na północ od miejsca, w którym przebywali.

„Chodź”.

ROZDZIAŁ XXVI

Cisza przed burzą

Hodge zdawał się coraz bardziej oswajać ze swoim stanem. Charlie ani razu nie słyszał, by jego opiekun narzekał na ślepotę, która z pewnością mu doskwierała. Pod tym względem był tak samo twardy jak Jed. Terier, gdy niedomagał, po prostu cichł i znikał innym z oczu, dopóki nie wyleczył się na tyle, by móc wrócić do pracy.

Spośród wszystkich członków Nadzoru to właśnie z Hodge'em Charlie spędzał najwięcej czasu. Sharp i Sara wciąż byli nieobecni, Kucharka wydawała się przyrośnięta do swojego pieca, a Kowal większość czasu spędzał w Banialuce, gdzie mieszkała także Lucy. Inna sprawa, że dziewczyna regularnie bywała w Kryjówce, więc zdarzało się, że mieli czas na beztroską pogawędkę. Poza tym razem chodzili na lekcje do kuchni lub do Czerwonej Biblioteki.

– Prawo jest proste – powiedział Kowal pewnego pochmurnego popołudnia, gdy piec zdawał się dawać mniej ciepła niż zazwyczaj. – To nic innego jak zdrowy rozsądek, a jeśli to nie wystarcza, staje się nim przyzwoitość. Prawo zabrania zarówno

naturalnym, jak i nadnaturalnym istotom żerowania na sobie. Żadna ze stron nie może użyć swoich umiejętności, by zaszkodzić drugiej.

– To uczciwe – stwierdził Charlie.

– Otóż to – przyznał Kowal. – Między światami ciągnie się granica i Nadzór jej strzeże. Naszym zadaniem jest utrzymanie równowagi.

– Nie do końca – wtrąciła cicho Kucharka, otwierając drzwiczki pieca, by dorzucić do ognia.

Nikt nie zareagował i Lucy pomyślała, że była jedyną osobą, która to usłyszała. Odwróciła się i spojrzała pytająco na starszą kobietę.

Jed siedział przy drzwiach, spoglądając wymownie na ludzi obecnych w kuchni i licząc, że ktoś w końcu dostrzeże jego gotowość do wyjścia na dwór.

– Zaraz – powiedział Hodge. – Piję herbatę.

Jed zaszczekał.

– Wartościowe rzeczy wymagają cierpliwości – rzucił zagadkowo Hodge.

Jed pisnął, a następnie osunął się na podłogę, układając głowę tak, by mieć nos tuż przy szparze pod drzwiami. Leżał teraz w takiej pozycji i co jakiś czas merdał ogonem.

– Nasza kochana Kucharka ma czasami skrupuły, ale... – zaczął Kowal.

– Co to są skrupuły? – weszło mu w słowo Lucy.

Cały czas myślała o podsłuchanej w nocy rozmowie swojego opiekuna ze Sluagh. Do tego fakt, że jego zdanie często różniło się od zdania Kucharki, wzmagił jej niepokój.

– To wątpliwości – odparł Kowal tonem, który sugerował, aby więcej mu nie przerywać. – Czyli luksus, na który desperaci nie mogą sobie pozwolić.

Lucy uśmiechnęła się rozjemczo. Tak naprawdę nie tylko spory z Kucharką ją martwiły. Odkąd usłyszała o Czarnym Nożu i ewentualnej nielojalności, była pewna, że jedynym sposobem na rozwiązanie zagadki będzie użycie daru wglądania. Co prawda Kowal jej tego zabronił, twierdząc, że mogłaby sobie nie poradzić

z zadaniem, ale czy nie tak mówiłby ktoś, kto chce ukryć swój sekret przed innymi? Choć z drugiej strony...

Do tej pory powstrzymywał ją strach przed konsekwencjami, ale pokusa stawała się coraz silniejsza. Najlepsze, że wcześniej nie traktowała swego daru jako narzędzia. Odkąd pamiętała, zawsze był on kulą u nogi, przekleństwem.

– Są rzeczy, na które przy takim osłabieniu po prostu nie mamy czasu – dokończył Kowal, dając do zrozumienia, że najwyższa pora powrócić do lekcji o metodach rozpoznawania istot nadnaturalnych. – A teraz podajcie mi trzy cechy podmieńców.

Charlie i Lucy wymienili uśmiechy. Poprzedniego dnia spędzili dobrych kilka godzin, obserwując przez okno widokowe podmieńców uwięzionych w Sly House. Byli z siebie szczególnie zadowoleni, gdyż aby to zrobić, musieli wymknąć się z Kryjówki i przejść sekretnym tunelem pod domem publicznym, nie zwracając na siebie uwagi żadnego z Bunyonów. Oboje stawali się coraz lepsi w szybkim, niezauważalnym przemieszczaniu się.

– Ich twarze nie do końca działają tak, jak powinny – oświadczyła Lucy.

Kowal westchnął z rozczarowaniem.

– Mylisz się, Lucy Harker. Działają aż za dobrze, a ich zdolność łatwego podszywania się pod swoje ofiary dowodzi, że mają w tym względzie doskonałą wprawę.

– Nie, nie – wtrącił się Charlie. – Lucy ma rację. Tak naprawdę nie wyglądają IDENTYCZNIE jak ten, kogo naśladują. Po prostu sprawiają, że inni tak myślą. To sprytniejsze niż dokładne kopiowanie wszystkich cech twarzy...

– Doprawdy? – zdziwił się Kowal, a w jego głosie zabrzmiała nuta sceptycyzmu i irytacji.

– Potrafią dostosować swój wygląd – Lucy znów przejęła inicjatywę – ale jest to bardziej wynik wytworzenia odpowiedniej atmosfery czy ogólnego naśladowania mimiki rozmówcy aniżeli faktycznego podobieństwa fizjonomii.

– Fizjonomii? – powtórzył pytająco Kowal. – Co za wymyślne słowo.

– Jeżeli nie chcesz, żebym takich używała, nie kładź mi słownika

przy łóżku – odparowała Lucy – albo nie każ tego robić Emmetowi.

Kucharka odchrząknęła.

– Nie ma nic złego w czytaniu słowników – powiedziała z zakłopotaniem. – Myślałam, że ci się to spodoba.

– Podoba mi się – odparła Lucy. – Zaczytuję się w nich zwłaszcza wtedy, gdy nie mogę zasnąć...

– Pod-mień-cy! – przerwał Kowal. – Uczymy się, jak ich rozpoznać. Skoncentrujcie się.

– Przyjrzyj się im dokładnie, a sam zobaczysz, że twarze tych istot nigdy do końca nie przestają się ruszać – dodała Lucy. – Są jak ciasto, które nie chce się upiec.

– Moje ciasta zawsze chcą się upiec – powiedziała Kucharka. – Ale wiem, o co ci chodzi.

– Nie miałabym nic przeciwko odrobinie czegoś smakowitego – rozległ się nagle znajomy głos.

Kowal odwrócił się, by spojrzeć w ciemny kąt. Cait pochyliła się do przodu i niewinnie uśmiechnęła.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Nie zauważyłem cię – odparł Kowal.

Ten niewinny uśmiech sprawił, że Lucy znów poczuła motyle w brzuchu.

– Jaka byłaby ze mnie venatrix, gdybym nie potrafiła się ukryć, gdy tego chcę – stwierdziła Cait. – Młodzi mają rację. Podmieńcy nie kopiują jeden do jednego, nawet gdy dorosną. Zamiast tego nieustannie grają, naśladują cudzą mimikę, mieszając w umysłach tych, którzy na nich patrzą. Są jak iluzjoniści, którzy potrafią przewidzieć, czego się spodziewasz, a następnie odwracają twoją uwagę, przez co nie zdajesz sobie sprawy, że to, co widzisz, nie do końca pokrywa się z prawdą. Do tego robią wszystko, by nie rzucać się w oczy. Jeśli nie zwrócisz na nich uwagi celowo, nawet ich nie zauważysz. To obrzydliwe, śliskie kreatury. Bez dwóch zdań.

Wstała z krzesła i przystawiła je do stołu, tyłem do blatu. Następnie opadła nań okrakiem, wychyliła się do przodu i spojrzała w oczy najpierw Lucy, a potem Charliemu.

– Chcecie poznać pewną sztuczkę? – zapytała. – Mogę wam pokazać, jak rozpoznać podmieńca, nie dając się zmylić jego manipulacjom.

Przytaknęli. Kowal i Kucharka wymienili spojrzenia. Cait wyciągnęła rękę.

– Połóżcie dłonie na moich – rozkazała.

Lucy i Charlie wypełnili polecenie. Młodzieniec poczuł się skrępowany ciepłem dotyku Cait, ale ta zaraz cofnęła rękę, tak że ich skórę dzieliło pół ciała.

– A teraz zamknijcie oczy, oczyście umysły i powiedzcie, jeśli coś zauważycie.

Charlie, mimo odległości, wciąż czuł ciepło bijące od jej dłoni. A także jakąś dziwną wibrację.

– Czujecie? – zapytała Cait.

– Rewerberacja – powiedziała Lucy.

– Cóż, kolejne wyrafinowane słowo. Jeżeli oznacza ono brzęczenie przypominające to w ulu pełnym pszczół, to zgadłaś. Jest jednak coś jeszcze.

– Czuję tylko ciepło i drgania.

– Nie chodzi o czucie – wyjaśniła venatrix. – Masz więcej zmysłów niż tylko dotyk, prawda? Jest ich tyle, ile masz palców u jednej dłoni, jeśli już chcesz wiedzieć.

– Ryba – powiedziała nagle Lucy. – Pachnie rybą. Czystą, świeżą rybą. I nie morską.

Charlie pociągnął nosem i się uśmiechnął.

– Tak, to ryba. Słodkowodna – stwierdził. – Może pstrąg.

– Doskonale – pochwaliła Cait. – Otwórzcie oczy. Podmieniec nieustannie wzbudza wibracje wokół siebie, a gdy się zmienia, stają się silniejsze niż zwykle. I zawsze towarzyszy mu zapach świeżej ryby. Nic nieprzyjemnego, po prostu coś...

– Śliskiego – wtrącił Charlie.

– Jak łosoś – zgodziła się Cait.

– Chwila – powiedziała Lucy. – Czy to oznacza, że też jesteś podmieńcem?

– W żadnym razie – odparła Cait, puszczając oko. – Uwierz lub nie, ale po prostu jestem dobra w udawaniu.

Kowal skinął głową.

– Jak łośoś... – powtórzył. – Dobrze powiedziane. Nie zapomną.

Cait wydawała się zadowolona z jego pochwały.

– No cóż, czasami praktyka jest lepsza od teorii – stwierdziła.

– Nawet nie czasami – odparł Kowal. – Zawsze dowiadujemy się więcej, dotykając czegoś, niż tylko słuchając o tym. Zapewniam cię, że będziemy ci ogromnie wdzięczni za wszystko, czego ich nauczysz podczas swojego pobytu u nas. Masz spore doświadczenie i szkoda byłoby zmarnować taką okazję. A swoją drogą, jakkolwiek szanuję twoją decyzję, by kroczyć ścieżką łowcy, zawsze zastanawiałem się, czy nie żał wam, samotnikom, że nie macie komu przekazać swojego sprytu i wiedzy.

Cait lekko skinęła głową, przyjmując komplement. Kucharka spojrzała na Kowala, a następnie na Lucy. Teatralnie uniosła brwi, zaskoczona niecodzienną uprzejmością przyjaciela wobec venatrix.

– Cóż, nauczanie to fach zaszczytny i niedoceniany – oznajmiła Cait. – Sama niewiele bym umiała, gdyby nie pewna mądra staruszka, która wzięła mnie pod swoje skrzydła. Byłam wtedy tak samo zielona jak te dzieciaki teraz. Chętnie podzielę się z nimi swoją wiedzą. Choćby częściowo odwdzięczę się za te wszystkie pyszności, do których niestety zdążyłam już przywyknąć. Naprawdę czuję się rozpieszczana. I muszę zrobić nową dziurkę w pasku. A najgorsze, że pewnie do końca życia będę grymasiła przy potrawach innych kucharzy...

Kucharka chrząknęła. Wyglądała w równej mierze na zawstydzoną i zadowoloną.

– Jak ty to robisz? – chciał wiedzieć Charlie. – Z tymi podmieńcami.

– Jak robię CO? – zapytała Cait.

– No upodabniasz się do nich. Tworzysz te wibracje i wydzielasz ich zapach. To znaczy... na pewno nie jesteś... jednym z nich?

Venatrix parsknęła śmiechem.

– Jestem łowczynią, chłopcze. Muszę znać się na takich rzeczach. To trochę jak z polowaniem na normalną zwierzynę.

Myśliwy odpowiednio się ubiera, spryskuje substancjami zapachowymi, wydaje różne odgłosy, a wszystko po to, by zwabić ofiarę w pułapkę. Sztuczki, mój drogi, sztuczki. Kiedyś nauczyłam się wysyłać te wibracje, które poczułeś. A zapach ryby? – Sięgnęła za siebie i wyjęła owinięty gazetą pakunek. – Dwa świeże pstrągi z rynku Billingsgate. Do herbaty. I na potrzeby waszej edukacji...



Późne, leniwe lato powoli zaczynało przechodzić w jesień i upływ czasu stał się wyraźniejszy niż dotychczas – przynajmniej dla Lucy i Charliego. Stało się tak głównie dlatego, że oboje zajęci byli nauką i tym, co Kucharka określała mianem zaprawy. Gdy stało się jasne, że venatrix musi poczekać na powrót Panny Nantasket, statku, który właśnie przemierzał Atlantyk z dzieckiem rządcy ze Skibbereen na pokładzie, Kowal i reszta sprawiali wrażenie, jakby pogodzili się z jej obecnością, i nieco złagodnieli wobec niej. Dwoje najmłodszych członków Ręki z dnia na dzień coraz bardziej cieszyło się z odwiedzin Cait. Ich wspólne spacerunki po mieście były tak samo intrygujące jak te z Hodge'em. Kobieta była mądra i spostrzegawcza, a do tego obdarzona umiejętnością przekazywania wiedzy w sposób atrakcyjny, przez co Charlie i Lucy czuli się raczej jak jej partnerzy, nie uczniowie. Poza tym, mówiąc wprost, Cait była ich zdaniem po prostu fajna. Po części dlatego, że była bliższa im wiekowo niż pozostali członkowie Nadzoru, a po drugie zarażała ich swoim entuzjazmem na widok różnorodnych atrakcji miasta. Sama o sobie mówiła, że jest nikim więcej jak prostą, wiejską dziewczyną z zielonych wzgórz. Poza tym miała silny wpływ na Lucy – do tego stopnia, że ta zwierzyła się jej ze swoich wątpliwości co do Kowala. Gdy po raz pierwszy poruszyła ten temat, poczuła się, jakby kogoś zdradzała, lecz Cait wysłuchiwała jej cierpliwie i w skupieniu. Wyjaśniła, że obawy są czymś dobrym i że powinna zaufać samej sobie, jednocześnie będąc gotową spojrzeć na sprawę z odmiennej perspektywy.

– To ważne, żeby mieć własne poglądy – tłumaczyła. – Ważne,

jeśli chcesz być silna i kierować swoim życiem, postępując w zgodzie z własnym sumieniem. Z drugiej strony bycie silną oznacza, że dopuszczasz do siebie możliwość pomyłki i jesteś gotowa odstąpić od dotychczasowych przekonań, gdy dowody okażą się niepodważalne.

Oczywiście, jasne było, że Cait także kieruje się własnymi zasadami i nigdy nie dołączy do Nadzoru, ale z jakiegoś powodu uczenie dwojga młodych ludzi sprawiało jej wyraźną przyjemność. Dlatego Lucy stwierdziła, że w tym momencie znajduje się we właściwym miejscu, gdzie korzyści przewyższają ograniczenia, a wiedza, którą jej oferowano, choć bez wątpienia dziwna, jest zarazem niezwykle użyteczna.

Hodge także był dobrym nauczycielem, chociaż posługiwał się zupełnie innymi metodami niż Cait. Znał miasto jak własną kieszeń i potrafił szczegółowo opisać każdy jego zakątek. Miał Londyn we krwi, a Londyn – jak sugerowały blizny na jego ciele i waleczny Jed u jego boku – miał we krwi jego.

W efekcie edukacja Charliego i Lucy przebiegała bez większych problemów, co było błogosławieństwem dla pozostałych członków Ręki, którzy mieli inne, znacznie poważniejsze zmartwienia. Czuli, że w mroku niepewności czai się coś, czego kształtu ani formy nie są w stanie określić. Wiedzieli też, że Kryjówka jest pod obserwacją i że stoi za tym Dom Templebane'ów, ale dopóki nie łamali oni zasad Prawa i Obyczaju, nie można było nic z tym zrobić. Hodge zasugerował, że powinni porozmawiać z Issacharem twarzą w twarz, lecz pozostali nieustannie odwodzili go od tego pomysłu, wiedząc, że takie spotkanie, zwłaszcza teraz, po śmierci Zebulona, przyniosłoby skutek odwrotny do zamierzonego.

– Boisz się – powiedział pewnego wieczoru Hodge, spoglądając na Kowala.

Charlie siedział w kącie na podłodze, z determinacją ćwicząc zapalanie świeczek siłą woli. Był całkowicie pochłonięty treningiem, który miał sprawić, że wkrótce będzie lepszy w tej sztuczce od Lucy.

Kowal nie odpowiedział. Spojrzał wymownie na teriownika.

– Czekanie na atak przeciwnika to recepta na przegraną – kontynuował Hodge.

– To nie jest walka na ringu – odparł Kowal po długiej ciszy. – To wojna. Zawsze byliśmy wplątani w jakiś konflikt, ale czasy się zmieniły. Sluagh wysłał jednego ze swoich do miasta, by opracować plan ataku na nas. Ataku przy udziale innych, „normalnych” wrogów Nadzoru. Pomyśl, jak zdeterminowany musiał być ten Sluagh, który zginął zabity przez własnego kościozwierza. Wybrał długą i trudną drogę wiodącą przez labirynt torów kolejowych i rzek, ryzykując porażkę na każdym etapie swojej podróży. Wyobraź sobie, jak bardzo musiał nas nienawidzić, by zrobić coś takiego.

– Po prostu Issachar cię przestraszył – stwierdził Hodge. – Nie chcesz się z nim spotkać, bo wiesz, do czego jest zdolny. Ale to tylko bluff, a my nie powinniśmy ulegać takim sztuczkom. Nie po tym, co zrobił Sharp. Albo Sara. Albo ktokolwiek, kto odszedł przed nami.

– Gdyby ci, którzy odeszli, mieli w sobie nieco więcej strachu, bardzo możliwe, że wciąż byliby pośród nas, a my nie musielibyśmy prowadzić tej rozmowy – odparł Kowal. – Tym argumentem na pewno mnie nie przekonasz, stary druhu. Strach jest wspianiałym narzędziem, które wyostrza zmysły i utrzymuje nas w gotowości.

– Gadka szmatka – mruknął Hodge, który tak naprawdę zawsze był człowiekiem czynu.

– Nie, to coś więcej – odparł Kowal. – To pancerz przeciw głupocie. Znasz to powiedzenie? Tylko głupcy się śpieszą. Nie możemy działać pochopnie. Musimy myśleć o przyszłości.

Hodge prychnął i chwycił za rękojeść noża przytroczonego do pasa.

– Nie jestem głupcem, Kowalu. I dobrze wiesz, że choć niektórzy łatwowierni ludzie nazywają nas aniołami, to nam do nich daleko.

Wstał i skierował się ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – zapytał Kowal.

– Zrobić coś, co nie wymaga dyskusowania. Jed wypatrzył sobie

sukę, irlandzkiego teriera, która jest w rui. Z chęcią spędziliby razem kilka chwil, gdyby nie pewien sukinkot, który myśli, że suka jest jego własnością, i zamknął ją, dopóki jej nie przejdzie.

– I co w związku z tym? – zapytał Kowal.

– A to, że Jed będzie potrzebował mojej pomocy – oznajmił Hodge, jakby to było oczywiste. – Pokonamy przeszkody i zakochana parka zrobi sobie walczone, mądre psiaczki. Postąpię dokładnie tak, jak powiedziałaś, Kowalu. Pomyślę o przyszłości. – Skinął na Charliego. – Bo przecież to zbrodnia, żeby dorastający chłopak nie miał własnego psa.

Teriernik zawołał Jeda i razem z nim wyszedł z kuchni, zostawiając chłopca z pytaniem wymalowanym na twarzy. Młodzieniec wsłuchiwał się w odgłos kroków i szuranie pazurami cichnące w korytarzu. Zdał sobie sprawę, że istotnie nigdy wcześniej nie pomyślał o własnym psie. A przecież byłoby wspaniale mieć takiego wiernego kompana u swego boku – zwłaszcza w tych ciężkich czasach, które ponoć nadchodzą.

ROZDZIAŁ XXVII

Pojmanie amosa

Następnego dnia Amos pomógł Zmorze przeszukać plażę. Przymaszerowali wybrzeżem ponad milę, wypatrując morskiego szkła, czyli zmatowiałych kawałków popękanych butelek, których ostre krawędzie wygładziły fale i piach. Była to czynność iście hipnotyzująca. Fale przyjemnie szumiały, słońce grzało. Za wszelką cenę starali się znaleźć jakąkolwiek wyróżniającą cechę, błysk, dziwny kolor, kształt, ale nie było to takie łatwe, jak się zdawało. Amosowi aż kręciło się w głowie od różnorodności kamyków pod stopami. Po jakimś czasie wreszcie wypatrzył obiecująco wyglądające szkieleto, ale Zmora cisnęła je do morza i bez słowa wróciła do poszukiwań. Jako że jego dalsze starania również były bezowocne, zaczął zbierać kamyki z dziurką w środku i nanizywać je na kawałek starego sznurka, który znalazł przy wybielonej solą desce leżącej w piachu.

– Po co to zbierasz? – zapytała go Zmora.

Wzruszył ramionami.

– Ha, kiedyś ludzie wierzyli, że patrząc przez dziurę w kamieniu, można dostrzec to, co nadprzyrodzone – powiedziała. – Wiedziałeś o tym?

Zaprzeczył.

– Ale to nieprawda.

Miała rację. Pamiętał Sluagh wyłaniającego się z ciemności na polu za gospodą: bez wątpienia był najbardziej nadprzyrodzoną istotą, jaką kiedykolwiek widział. Zaraz potem zaczął uciekać i wpadł do kanału. A później... zabił druciarza. Sluagh widział wtedy wyraźnie, gołym okiem, bez pomocy kamienia z dziurką pośrodku.

„Po co ci morskie szkło?”

Nie odpowiedziała. Kontynuowała wędrówkę, wodząc wzrokiem wzdłuż linii, gdzie mokre kamienie spotykały się z suchymi.

„Jest ci do czegoś potrzebne?”

– Mnie do niczego – mruknęła.

„Nie rozumiem...”

– Nie jest dla mnie.

Kiedy zawrócili w stronę obozu, Amos z rozczarowaniem musiał przyznać, że Zmora ma o wiele lepszy wzrok od niego. Jej kieszenie wypełniały głośno pobrzękujące różnokolorowe szkiełka: niebieskie, zielone, jasnobrązowe. Przy okazji dowiedział się, że obydwa fragmenty, które znalazł, zostały wyrzucone, ponieważ pochodziły z przezroczyстых butelek.

– Nikt nie ma białych tęczówek – stwierdziła. To jednak niewiele mu wyjaśniało.

Wracając, dalej szukał kamieni z dziurami, i gdy dotarli do obozu, na kawałku sznurka nie było już miejsca.

– Wygląda jak naszyjnik – zauważyła Zmora.

Przytaknął. Nie dodał, że jest to także świetna broń. Zawiesił swoją zdobycz na tyczce obok postania i usiadł przy palenisku.

Słońce właśnie zniknęło za horyzontem, a oni znów rozmawiali o tym, co tajemne i nadnaturalne, choć tym razem głównym

tematem był Nadzór i jego trwający od lat konflikt z istotami o nazwie Sluagh. Zmora mówiła o nim z mieszkanką żalu i pogardy. Zupełnie jakby wspominała starego przyjaciela, który w jakiś sposób ją zdradził.

Amos po raz pierwszy słyszał o Wolnym Bractwie jeszcze w kantorze, gdy podsłuchiwał dyskusje toczone się za zamkniętymi drzwiami, lecz tak naprawdę nigdy nie zrozumiał, czym ono właściwie jest i dlaczego obydwaj ojcowie tak go nienawidzą. Dzisiaj nie miało to zresztą większego znaczenia. Wiedział tylko, że spotkanie Sluagh było przerażającym doświadczeniem i że każdy, kto walczy z tymi stworami, zasługuje raczej na pochwałę, a nie na krytykę, jak wynikało ze słów i tonu Zmory.

Tej nocy po raz pierwszy od dawna spało mu się wyjątkowo źle. Głównie dlatego, że dręczył go koszmar, z którego ostatecznie wybudził się półprzytomny i zdezorientowany. Zanim ponownie zamknął oczy, odczekał, aż przykre wspomnienia wyblakną. Dopiero gdy był pewien, że odzyskał spokój ducha, pozwolił sobie ponownie odpłynąć. Ale koszmar powrócił. Amos znów oglądał potworną śmierć M'Gregora, a potem gnał korytarzem pełnym drzwi i za każdym razem, kiedy któreś otwierał, po drugiej stronie znajdował się ktoś znajomy z przeszłości z wielkim pistoletem w dłoni. Niezależnie od tego, co robił – uciekał, przemykał obok, przeproszał czy groził – każdy z napotkanych po prostu przykładał lufę do podbródka i śmiejąc się, pociągał za spust, a jego mózg bryzgał na drzwi, ściany i sufit. Był to ten rodzaj snu, w którym człowiek wie, że wszystko wokół jest iluzją, ale zarazem nie ma siły, by ją odegnać, i tylko coraz bardziej grzęźnie w kolejnych pokładach fikcji.

W końcu Amos obudził się, machając rękami i z trudem łapiąc oddech, jak gdyby właśnie wynurzył się z jakiejś bezdennej toni.

Zmora siedziała obok, uważnie mu się przypatrując.

„Byłem uwięziony w koszmarze” – pomyślał i przeszedł do pozycji siedzącej.

– Widziałam – odparła. – Ale wszystko już w porządku, tak? Możemy iść.

„Iść?”

Wstała i spojrzała w kierunku wzgórz.

– Już czas – powiedziała. – Jest pełnia.

„O czym ty mówisz?”

– Nie jesteśmy tu już bezpieczni.

Być może wciąż tkwił jedną nogą w krwawym koszmarze, a może sprawił to jej twardy, zdecydowany ton, ale kiedy wstał i się rozejrzał, aż przeszedł go dreszcz. Ich bezpieczna przystań jakimś cudem nie wyglądała już tak gościnnie jak wcześniej. Morze ucichło, klify stały się wyższe i bardziej drapieżne, a wiszący tuż nad wodą księżyc był tak ogromny, że miało się wrażenie, iż zaraz ich pożre. Odbicie srebrnej tarczy tworzyło wyraźną smugę światła biegnącą od horyzontu aż po brzeg i zdawało się, że celowo wskazuje ich położenie.

Amos pospiesznie założył buty i zarzucił na plecy toból druciarza, a potem ruszył za Zmorą po zboczu wzgórz.

Wspinanie się było znacznie bardziej uciążliwe niż schodzenie. I nawet nie w tym rzecz, że wymagało więcej energii, co zresztą było prawdą. Najgorsze, że droga zdawała się dłuższa o dobrych kilka jardów. Nawet trawa zdawała się inna, obca, jakby nie z tego świata. Wiatr ustał całkowicie i jedynymi dźwiękami rozbrzmiewającymi w nocnej ciszy były odgłos ich kroków i grzechot kamieni w tobole. Amos słyszał także bicie własnego serca i swój oddech. Przez długi czas miał wrażenie, że nigdy nie dotrą na szczyt. Zupełnie jakby wciąż śnił i jakby ten sen polegał na ciągłym wspinaniu po bezkształtnej, trawiastej kuli, bez końca ani początku, skazując go na wieczną tułaczkę po niekończącej się krzywej. Gdy wreszcie dostrzegł krawędź wzniesienia, a za nią kilka głązów znaczących zapewne szlak pasterski, odetchnął z prawdziwą ulgą.

Ale radość nie trwała długo. Gdy dotarli do skrzyżowania dróg, Zmora zatrzymała się i oznajmiła:

– Myślałam, że będziemy musieli na was poczekać.

I wtedy skały zaczęły wstawać, ujawniając, że wcale nie są skałami, tylko znieruchomiałymi ludźmi oczekującymi czegoś lub kogoś.

– Dlaczego się dziwisz? – zapytał najwyższy osobnik, wyższy od Amosa o głowę. – Wezwałeś nas podczas ostatniego wschodu księżyca.

Nawet w blasku księżyca trudno było dostrzec, czy na jego twarzy maluje się wrogość, czy obojętność, a to dlatego, że w całości pokryta była plątaniną geometrycznych tatuaży. Ciemne linie biegły aż do wygolonych boków głowy i znikwały na jej czubku, pod kokiem zaplecionym na modłę fryzur członków indiańskiego plemienia Mohawk z Ameryki Północnej. Amos rozpoznał ten wzór, przypomniał sobie to, co widział na oknach drukarni w Cheapside. Między brwiami mężczyzny widniała wypukła, lśniąca ozdoba przywodząca na myśl galion. Początkowo Amos myślał, że to jakiś wielki chrząszcz, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to pomalowana na czarno czaszka zwierzęcia. Większego niż królik. Do tego barczyste ramiona nieznanego skrywał płaszcz z niezbyt starannie zszytych borsuczyczych futer. Wszystko to jednak nie miało większego znaczenia – ani tatuaże, ani ozdoba, ani futrzane okrycie czy nawet tomahawk z przytroczonymi kośćmi zatknięty za pas oraz sierpowaty nóż trzymany lekko w dłoni. Prawdziwą grozę budziło to, że mężczyzna odziany w ów makabryczny strój wcale nie był mężczyzną. Był tym, przed czym Amos uciekał, odkąd wysiadł z karety Mountfellona.

Był potwornością, przez którą – gdyby to było konieczne – bez wahania skoczyłby w najstraszniejszą otchłań, byle tylko znaleźć się jak najdalej.

Był gorszy od koszmaru, ponieważ istniał naprawdę i chodził drogami tak krętymi jak tatuaże na jego twarzy.

Nie był człowiekiem.

Był Sluagh.

Amos najchętniej porzuciłby teraz toból i rzucił się do ucieczki – tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, najszybciej ze wszystkich ludzi na świecie – gdyby nie wyczuł, że Sluagh jest na to przygotowany. Nie miał wątpliwości, że stwór w mgnieniu oka podciąłby mu ścięgna pod kolanami swym przerażającym zakrzywionym nożem.

Tatuaze poruszyły się, gdy Czaszka Borsuka odłonił w uśmiechu swe połamane zęby.

– Słyszysz moje myśli – stwierdził chropowatym głosem. – Czyż nie?

– Jest niemy – odparła Zmora.

Reszta Sluagh także wstała i podeszła bliżej, otaczając Amosa ze wszystkich stron. Patrzyły na niego i go szturchały, jakby był owcą na targu. Gdzie się nie obejrzał, widział wytatuowane twarze i cuchnące, skórzane płaszcze z kośćmi zamiast guzików.

– Kto to?

– To Krwawy Chłopiec – odpowiedziała Zmora, a w jej ukradkowym spojrzeniu dostrzegł coś, co kazało mu siedzieć cicho i nie zdradzać swojego prawdziwego imienia.

Nagle ktoś stojący za jego plecami pochwycił go za ramiona i zarzucił mu worek na głowę, po czym obwiązał go ciasno wokół gardła. Potem czyjś buciorkopnął go w zgięcie nogi, powalając na kolana, a gdy odruchowo wystawił do przodu ręce, by uchronić się przed obrażeniami twarzy, został błyskawicznie spętany.

W jednej chwili pojmano go i skrępowano i teraz mógł tylko czekać, jak prawdziwa owca na rzeź.

ROZDZIAŁ XXVIII

Ex tenebris lux

Gdyby Sharp chciał znaleźć swój nóż, pewnie musiałby go szukać wiele godzin. Kiedy rzucił nim, by przeciąć sznur, na którym lustrzak wciągał lustro, ten odbił się od sufitu, a potem od ściany celi i wylądował gdzieś w ciemnościach, pośród dziesiątków kości pokrywających podłogę.

Na szczęście po godzinie poszukiwań znalazł inne ostrze, należące do kogoś, kto tu był przed nim.

Gdy zakonnica zniknęła w wąskiej smudze światła, pozostał w tej cuchnącej czerni zupełnie sam. Starając się nie panikować, zastanawiał się, co robić dalej. Nie miał pojęcia, w jakiego rodzaju pieczarze go uwięziono. Co gorsza, biorąc pod uwagę

niezrozumiały związek pomiędzy topografią luster a faktyczną geografią świata, kompletnie nie potrafił odgadnąć, w jakim miejscu na Ziemi się znajduje. W tak beznadziejnej sytuacji powinien wpaść w rozpacz, ale zamiast tego pomyślał o Sarze Falk. Zaczął się zastanawiać, co zrobiłaby na jego miejscu. Doszedł do wniosku, że nie poddałaby się i zaczęła walkę od zbadania terenu. Zaczął powoli i chwiejnie wędrować po grzędawisku z kości, by odszukać ścianę. Tak, najlepiej zacząć od ściany. Miałby w zasięgu ręki coś solidnego, mógłby się o nią oprzeć, przytrzymać, odpocząć.

Wreszcie dotarł do celu, ale nie w taki sposób, jak to sobie zaplanował. Po prostu przewrócił się i uderzył głową o porowatą powierzchnię. Zaklął na głos i zamrugał, próbując odegnać mroczki sprzed oczu.

Następnie, skoro już znalazł ścianę, postanowił oczyścić mały skrawek podłoża, by usiąść. Po omacku zaczął rozgarniać kości. Zakładał, że lada moment dotrze do dna, ale rzeczywistość okazała się inna. Nie wiedzieć jak długo przerzucał żebra, piszczele, łopatki, miednice, kręgi i czaszki. W dodatku raz na jakiś czas w jego dłonie wpadały fragmenty odzienia – podarte koszule, kamizelki, suknie... Szybko zrozumiał, że będzie to tytaniczna praca, do tego niezbyt przyjemna. Bo przecież wiele z tych kości zapewne należało do ludzi, których kiedyś spotkał na swojej drodze – którzy go wychowywali, z którymi się przyjaźnił lub których po prostu znał. Żeby o tym nie myśleć i nie zwariować, postanowił skupić się na podnoszonych rzeczach i na głos nazywać każdą z osobna.

Buty były pierwszą dobrą rzeczą, jaka przydarzyła mu się w ciemności. Przez moment wahał się, czy wypada mu je zakładać, ale uznał, że gdyby ich właściciel mógł mu coś powiedzieć z zaświatów, pewnie sam by go do tego namawiał. Niestety, to nie był jego rozmiar. Kolejna para musiała być damska, bo nie zdołał wcisnąć nawet czubka stopy. Dopiero za trzecim razem znalazł coś, co dawało nadzieję. Wysypał ze środka zawartość, czymkolwiek była, i przymierzył. But pasował.

Jeden but.

Lepsze to niż nic. Poza tym teraz mógł wstać i rozgarniać kości nogą. Tylko raz na jakiś czas pochylał się, by przerzucić jakiś większy fragment szkieletu. Przy okazji z zadowoleniem stwierdził, że przywykł już tak do zapachu jak i do grzebania w rozczłonkowanych szkieletach. Aż do momentu, gdy trafił na coś znajomego.

Dotykając napiętej, szorstkiej skóry i uzmysławiając sobie, że to nie iluzja, ledwie powstrzymał wymioty. Przestał kopać i oparł się o kamienną ścianę, starając się zapanować nad emocjami. Potem pochylił się, by oburącz chwycić to, co zdawało się być torsem. I wtedy pod palcami wyczuł kształt przypominający kieszeń.

A więc to nie nagie ciało, jedynie skórzany kaftan.

Odetchnął z ulgą, a potem odruchowo się zaśmiał. Zanim echo ucichło, znów znieruchomiał. W kieszeni znajdowały się trzy niezbyt duże tuleje. Wyciągnął jedną z nich i zbadał po omacku. Miała płaskie dno, gładki, cylindryczny kształt na długość dłoni, a na drugim końcu ze środka wystawała jakaś miękka witka. Nie, raczej sznurek. Albo...

– Knot? – spytał na głos, nie wierząc własnemu szczęściu.

Machnął nadgarstkiem i w jednej chwili ciemność się rozproszyła pod wpływem płonącej świeczki.

– Ex tenebris lux – powiedział, z rozbawieniem wspominając Kucharkę siedzącą naprzeciwko stołu z podobną świecą pośrodku i uparcie uczącą go łacińskich sentencji.

Przypomniał sobie także młodą dziewczynę o kruczoczarnych włosach, z którą uczęszczał na te lekcje, a która często pokazywała mu wtedy język, choć tak naprawdę zapomniał już, jak twarz Sary wyglądała w tamtych czasach.

– Z ciemności światło – powtórzył.

Popatrzył na sufit. Po części dlatego, że tam właśnie znajdowała się szczelina, a po części, ponieważ nie był jeszcze gotowy, aby spojrzeć na cmentarzysko pod swoimi stopami.

Z miejsca, w którym stał, trudno było cokolwiek dostrzec. Sięgnął po dwie pozostałe świece i zapaliwszy je, także uniósł wysoko ponad głowę. Pomogło. Przede wszystkim potwierdził

swoje przypuszczenie, że nie przebywa w pokoju. Jego więzieniem była skalna pieczara. Niestety, oznaczało to, że nie zdoła się wspiąć do szczeliny po którejś z tworzących sklepienie ścian. Ich powierzchnia była dziwnie gładka, a kształt groty sugerował, że została ona uformowana na skutek pojawienia się pęcherza powietrza w płynnej niegdyś skale. Inna sprawa, że równie dobrze przyczyną mogły być procesy związane z podziemną erozją wodną, na ścianach dało się bowiem dostrzec ciemne pierścienie o nieregularnych odstępach, które wskazywały, że miejsce to było kiedyś zalane. Na samym szczycie sklepienia, gdzie widniał najjaśniejszy pierścień, znajdowała się szczelina, przez którą obserwowała go zakonnica.

Opuścił wzrok, mając nadzieję, że ujrzy podobny otwór gdzieś poniżej, co pozwoliłoby mu uciec z tego butelkowatego lochu, lecz nigdzie nie dostrzegł choćby skazy w gładkiej powierzchni.

Kiedy już był na to gotowy, spojrzął jeszcze niżej, pod nogi. Tak jak się spodziewał, stał pośrodku cementarzyska pełnego wybrakowanych, przemieszanych ze sobą szkieletów. Niektóre z nich leżały na plecach, niektóre twarzą ku ziemi, jeszcze inne zginały się wpół lub skręcały w nienaturalnych pozach. Większość kości miała stępione krawędzie, a do tego była w kolorze łożu lub starych, ściemniałych rogów zwierząt. Ciała zazwyczaj zdążyły ulec rozkładowi, choć czasami zdarzała się jakaś dłoń w rękawiczce, oplecione resztkami ścięgien nogi czy ręce, znalazła się nawet jedna czaszka okryta resztkami skóry. Ubrania także nie zachowały swojego oryginalnego wyglądu, ale i tu niektóre rzeczy czas potraktował łagodniej – głównie czapki, buty i paski. A skoro są paski, pomyślał Sharp, to musi być i przytroczona do nich broń.

Sięgnął do pochwy, którą wypatrzył pomiędzy szkieletami, ale kiedy zaczął wysuwać z niej ostrze, rozpadła się w pył. Co gorsza, w dłoni trzymał coś, co może kiedyś było pięknie zdobionym kordelasem, teraz jednak bardziej przypominało tępy, przerdzewiały, spłaszczony pręt. Odrzucił go i zaczął szukać czegoś lepszego.

Jak się szybko okazało, wcześniejsze znalezisko nie było

wyjątkiem i nawet najsolidniejszy egzemplarz nie nadawał się do użytku z powodu rdzy. Chcąc nie chcąc, Sharp zrozumiał, w jaki sposób umarli wszyscy ci ludzie wokół.

– Utonęliście... – powiedział. – Wszyscy utonęliście. To straszne...

Spojrzał jeszcze raz na stare linie wskazujące poziom wody, w tym na błądy pierścieni znajdujący się najwyżej.

– Jaśniej – szepnął.

Świece w jego dłoni zapłonęły większym ogniem. Stopiony wosk zaczął spływać mu na dłoń, ale nawet nie drgnął. Wpatrywał się w ów błąd pierścienia, bowiem zobaczył, czym był naprawdę – dziesiątkami drobnych zadrapań, które wyźłobili zdesperowani tonący.

– Zgaśnijcie – rozkazał, a płomień natychmiast przygasł. Na powrót zapanowały ciemności.

Sharp stał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w sklepieniu. Nie mógł, nie potrafił oczyścić umysłu z wyobrażenia tej rzezi – kobiet i mężczyzn walczących ramię w ramię, by utrzymać się na powierzchni, gdy podnosiła się woda, napierających na siebie, w miarę jak zwężały się ściany jaskini, drapiących skałę w ostatnim akcie rozpacz. Mieli własne świece i tak jak on, potrafili je rozpaścić. Musieli wiedzieć, jak wygląda sklepienie. I wiedzieć, co ich czeka. Przestrzeń u góry nie była wystarczająco szeroka, by dać szansę na oddech wszystkim naraz. W którymś momencie musieli zacząć wzajemnie się topić, wpychać pod wodę jedni drugich – nieumyślnie, nieświadomie, chcąc za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni.

Czy do ostatnich chwil myśleli o godności, honorze, poświęceniu?

– Wymordowani – powiedział w otchłań. – Utopieni. Jak niechciane szczeniaki wrzucone w worku do rzeki.

Wyobraził sobie krzyki i zawrota umierających. Naprawdę nie chciał wiedzieć, jak brzmiały, jaka była ich treść, kto był ich adresatem...

...ale i tak to sobie wyobraził.

Nie raz brał udział w walce na śmierć i życie, ale zazwyczaj były

to pojedynki lub starcia małych grup. Tutaj – wręcz przeciwnie. W dodatku nikt o zdrowych zmysłach nie nazwałby tego walką, nawet nieuczciwą. To był podstęp. Zasadzka. Eksterminacja. Nie bitwa.

Sharp stał tak jeszcze bardzo długo. A ponieważ było ciemno, nikt nie widział, jak wyciera oczy ani jak zaciska szczęki.

– Dobrze – powiedział w końcu.

Włożył dwie świece do swojej kieszeni i zapalił trzecią. Rozejrzał się. Wśród tego stosu kości musiało się przecież kryć więcej użytecznych przedmiotów. Wystarczyło tylko zacząć szukać. A jeżeli mu się poszczęści, być może nawet znajdzie jakieś nowe, większe lustro, choć miał wrażenie, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, że akurat na szczęście nie powinien zbytnio liczyć. Ważne jednak, że mógł działać. I że wciąż miał szansę. Choćby dlatego, że wśród szkieletów dostrzegł także fragmenty beczek i przypomniał sobie, że kiedy obecni tu wojownicy Nadzoru wyruszali w lustra, ponoć zabrali ze sobą także mnóstwo prochu, by ostatecznie rozliczyć się z przeciwnikiem. Nie miał złudzeń, że większość z tych zapasów zamokła i nie nadawała się do użytku, ale może gdzieś głęboko, przy samym dnie, znajdują się nienaruszone pojemniki. Trzeba to sprawdzić.

Zanim zabrał się do pracy, spojrzął jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze, które ocalił. Przypomniał sobie ostrzeżenie zakonnicy o INNYCH, którzy mieliby tu za nim podążyć, i przeszły go dreszcze. Nie chciał nawet myśleć o tym, że po drugiej stronie coś lub ktoś może go obserwować. Teraz, gdy wrócił do realnego świata, wiedział, że już nigdy nie zaufa żadnemu zwierciadłu.

Bo może jest tak, że kiedy ty przeglądasz się w lustrze, lustro przegląda się w tobie.

Odwrócił je do ściany.

– No cóż – powiedział, rozciągając mięśnie. – Czas na wykopaliska.

ROZDZIAŁ XXIX

Biały tatuaż

Amos leżał na brzuchu, z głową w szorstkim jutowym worku, bez możliwości uwolnienia się ze sznura krępującego jego ręce. Jedyne, co mógł zrobić, to przysłuchiwać się wymianie słów i myśli osób obecnych w pobliżu. Miał lukę w pamięci, ale nie wiedział dlaczego. Ponieważ potwornie bolały go skronie, przypuszczał, że musiał upaść i się o coś uderzyć lub że został ogłuszony ciosem w potylicę.

Mokry wór śmierdział tak okropnie, jakby wcześniej noszono w nim coś martwego, i Amos ledwie mógł oddychać. Co gorsza, gdy próbował się poruszyć, zdał sobie sprawę, że ktoś na nim siedzi. Przestał się wiercić i skoncentrował się na oddychaniu oraz spowolnieniu bicia serca. Gdy to zrobił, oczyścił umysł na tyle, by wsłuchać się w konwersację.

– Jest narzędziem – powiedziała Zmora. – Bronią.

– Nie potrzebujemy więcej broni – odparł głos należący do stwora, którego wcześniej nazwał Czaszką Borsuka, a który najwyraźniej był przywódcą Sluagh.

– Wiem, czego potrzebujecie – powiedziała. – Co więcej, wiem, jak to przy odrobinie cierpliwości zdobyć.

– Nie wiesz nic o naszych potrzebach – odpowiedział głos.

– Wiem o Mountfellonie – odparła. – I wiem, że musi...

– Doprawdy? – przerwał jej Czaszka Borsuka.

Po tych słowach zapadła cisza, a Amos z jakiegoś powodu poczuł ciężar sytuacji, choć nie mógł przecież widzieć, jak jego porywacz odwraca się, by spojrzeć ostentacyjnie na resztę Sluagh, po czym znów spogląda na Zmorę, głęboko zaciągając się powietrzem, jakby chciał poczuć jej woń.

– Co ty o nas wiesz? Ty, która wzywa nas krwią i kredą i używa imienia kogoś, kto nienawidzi wszystkich Czystych chodzących pośród nieskalanych mroków nocy – powiedział.

– Wiem, że chcecie flagi, która nigdy była wasza – odparła.

Sluagh siedzący Amosowi na plecach poruszył się, boleśnie wbijając miednicę w niechronione miejsce nad nerką.

– Flaga wciąż jest nasza – syknął inny Sluagh, być może ten

siedzący Amosowi na nogach. – Została skradziona, oprawiona w żelazo i znowu skradziona, przemieszczała się pomiędzy naszymi wrogami i przeciwnikami, ale wciąż jest nasza!

– Wiem, że jest – odparła spokojnie Zmora. – Wiem też, że to mapa waszego świata i że gwarantuje wam w nim nietykalność. Wiem, że wiąże się z nią przysięga, która obowiązuje wszystkich Sluagh i daje żelazu moc nad wami. To ograniczenie nałożone wieki temu na wasz własny sztandar przez waszych pogromców.

Sluagh nagle ucichły. Amos prawie widział, jak jego porywacze wymieniają spojrzenia.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Czaszka Borsuka. – Kim jesteś?

– Kiedyś byłam kimś – odparła – i sporo wiedziałam. Teraz jestem nikim. Jestem zemstą. Bronią i narzędziem. Zupełnie jak ten Krwawy Chłopiec.

„Zdradziłaś mnie” – pomyślał Amos. „Pomogłem ci, a ty mnie zdradziłaś”.

„Tak” – odparła. „Co z tego? Tak było trzeba”.

Zanim zdążył odpowiedzieć, znowu zaczęła mówić. Zrobiła to tak, jakby siłą chciała go uciszyć.

– Wiem, gdzie ona jest.

– W Gallstaine Hall – odparł kpiąco Czaszka Borsuka. – To dla nas żadna tajemnica.

– Ale nie wiecie, jak przedrzeć się przez zabezpieczenia – stwierdziła. – Przez wysoki, gruby mur z kamienia wzbogaconego rudami żelaza i wzmocnionego żelaznymi sztabami.

– Znajdziemy jakiś sposób. Czekaliśmy wieki, poczekamy jeszcze trochę. Wszystko ma swój koniec, nawet sztuczki przebiegłych ludzi.

– Zwłaszcza sztuczki przebiegłych ludzi – zgodziła się. – Ale ja mogę wam pomóc już teraz. Jeżeli zdradzę, jak użyć Krwawego Chłopca, dostaniecie flagę przed końcem następnego cyklu księżyca. Zainteresowani?

– Nie możesz tego wiedzieć – odparł Sluagh siedzący na plecach Amosa.

- Nie znasz przyszłości – dodał ten na jego nogach.
- To absurd – zawtórował im Czaszka Borsuka. – Wiele rzeczy tak naprawdę jest możliwych, nawet te, których dzieci światła nie potrafią lub się boją. Ale tego nie umie nikt.
- A jednak ja jestem wyjątkiem – powiedziała. – Mogę poczuć przyszłość.
- To niemożliwe. Jesteś szalona.
- Wygląda na szaloną.
- Czy Wejrzeniec może przeżyć bez kamienia serca? – zapytała. Czaszka Borsuka chrząknął.
- Przez pewien czas tak – powiedział. – Potem traci siły. Choruje, szaleje, a w końcu umiera.
- Przez jaki?
- Trzy, może cztery lata, nie więcej. Chociaż nie, kiedyś na Lindisfarne żyła pewna grupa mnichów. Zamknęli w celi kobietę, Wejrzeńca. Zrobili to, jak mniemali, dla jej własnego dobra, sądząc, że została opętana. Mogli ją od razu spalić, ale postanowili być łaskawi i spróbować innej metody. Mówiono, że zanim zmarła, krzyczała bez przerwy przez blisko pięć lat. Mnisi znosili jej wrzaski, uznając je za część swej pokuty. Taka jest właśnie łaskawość istot światła. Pięć lat. To maksymalny okres. Nigdy nie słyszeliśmy o Wejrzeńcu, który przeżyłby bez kamienia dłużej.
- Jesteś pewien? – zapytała.
- Jak tego, że księżyc jest srebrzysty, a noc pożera światło – odparł Sluagh.
- Ja byłem Wejrzeńcem – powiedziała – i mój kamień został mi odebrany razem z wieloma innymi rzeczami. To było piętnaście lat temu.
- To niemożliwe – zaprotestował Czaszka Borsuka.
- A jednak jestem tu – wyznała. – Nie jestem dziewczyną, którą kiedyś byłem, ani Wejrzeńcem. Jestem... czymś innym. Czymś spoza. Czymś, co czuje prądy przyszłości, jakby to były przyptywające i odpływające fale.
- Czym zatem jesteś? – zapytał Czaszka Borsuka.
- Już ci mówiłam. Zemstą.

– I chcesz dokonać odwetu na Mountfellowie – upewnił się.
– Mountfellow musi umrzeć – odparła. – Pokażę wam, jak zdobyć flagę, którą u siebie trzyma, a w zamian go do mnie przyprowadzicie.

– Pragniesz go zabić osobiście? Ty, kobieta?

– Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle – odparowała. – Nie uwierzę, że jest martwy, dopóki nie zobaczę, jak ulatuje z niego życie. I czułam to tak mocno, że tak, prawie to widziałam.

– A chłopiec?

– Chłopiec jest kluczem, który otworzy wszystkie drzwi. Połączony jest z Mountfellowem krwią i przynależnością. Jest bronią. Powiem wam, jak go użyć.

– A dlaczego miałyby zrobić to, co chcemy? – zapytał Czaszka Borsuka. – On nie jest zemstą. Jest zwykłym niemym, ciemnoskórym chłopcem w torbie na głowie.

– Jest Krwawym Chłopcem – powtórzyła. – Czuję to.

Sluagh znowu prychnął.

– Nie wiem nic o żadnych KRWAWYCH CHŁOPCACH. To jakieś szaleństwo.

– Nie – zaprzeczyła. – Szaleństwo było wtedy, gdy odebrano mi kamień serca. Powinnam wówczas umrzeć, ale wytrzymałam i przeżyłam. Nie wiem, jakim cudem. Na pewno jednak tamten obłąd zmienił mnie raz na zawsze. Przeszłość jest jak magnes, który przyciąga, ale dzięki szaleństwu odkryłam, że dokładnie tak samo działa przyszłość. Ma swoje własne przyciąganie i powoduje zakłócenia w eterze, dzięki czemu można wglądać nie tylko w to, co było, ale także do przodu...

– Wystarczy – powiedział Czaszka Borsuka. – Zbyt wiele słów przyćmiewa cele. Zdecydowałem. Niech tak będzie. Mamy za dużo do zyskania, by nie spróbować, a jeśli się nie uda, przepadnie tylko czas. Czas, a także twoje życie. I jego.

– Uda się – powiedziała Zmora. – Czuję to.

Sluagh umieścił na czole Amosa pętlę i zacisnął ją tak, że idealnie wpasowała się w oczodoły, boleśnie wciskając gałki w głąb czaszki. Ból był nie do opisania, ale na tym bynajmniej się nie skończyło. Tą samą linką oprawcy związali pęta na kostkach

i nadgarstkach Amosa i po chwili nieszczęśnik klęczał z wypiętym torsem i odchyłoną do tyłu głową, dając łatwy dostęp do krtani.

Czuł się jak wół w rzeźni.

Wystarczyło jedno szybkie cięcie.

Zacharczał na znak buntu, lecz odpowiedziały mu tylko czyjś śmiech i pchnięcie, tak silne, że upadł na bok. Na moment odzyskał oddech. Jeden ze Sluagh znów na nim usiadł, tym razem okrakiem. – Przemagaj, chłopcze – powiedziała. – Będzie bolało.

Przygotował się na najgorsze, ale o dziwo, nie poczuł na szyi chłodnego ostrza, nie przecięto mu żył ani ścięgien, nie upuszczono krwi. W ogóle nie został pocięty. Poczuł jedynie ukłucie, a po chwili przerwy następne, potem zaś kolejne. Za każdym razem o ułamek cała obok. To nie był miecz ani nóż, tylko szpilka. Lub igła. Albo cierń. Gdy już zdał sobie sprawę, że nikt nie poderżnie mu gardła, przynajmniej nie teraz, odprężył mięśnie i oczyścił umysł.

„Przemagaj” – pomyślał. „Co to znaczy?”

„Wytrzymaj. Znieś. Przetrwaj” – odpowiedziała Zmora. „To cię nie zabije”.

„A co oni właściwie robią?”

Wykrzywił się z bólu, czując nieprzyjemne ukłucia na szyi.

„Tatuaż. Oznaczają cię”.

„Po co?”

Z przerażeniem wyobraził sobie swoją twarz pokrytą geometrycznymi wzorami.

– Pyta, dlaczego mu to robicie – oznajmiła Zmora. – Nie chce mieć takiej twarzy jak wasza.

– Nie jest tego godzien – odpowiedział ktoś siedzący na nim w rozkroku, a po głosie Amos rozpoznał, że to Czaszka Borsuka. – Na taką twarz trzeba zasłużyć.

Sluagh splunął gdzieś na bok. Potem chwycił Amosa za głowę i pochylił ją do przodu, odsłaniając kark. Sznur wokół głowy zacieśnił się gwałtownie, sprawiając, że ból oczu stał się nie do wytrzymania.

– To stare prawo, chłopcze. Nie wyrzekłeś się światła, więc

otrzymujesz znamię cienia. To znak własności, dziesięcina twej przyszłości, gwarant twojego posłuszeństwa i wierności.

- Biały tatuaż - oznajmiła Zmora tonem, którym sama siebie zaskakiwała.

- Słyszałaś o nim?

- Jak widać - odparła. - Ale to musiało być dawno temu, gdy jeszcze co nieco wiedziałam.

- To umowa - wyjaśnił Sluagh, kontynuując bolesne nakłuwanie szyi Amosa. - Rodzaj zobowiązania. Gdy skończymy, przysięgniesz robić przez określony czas to, co ci każemy. Tatuaż jest biały i dla większości prawie niewidoczny. Tobie będzie się wydawał ledwie dostrzegalną obręczą na szyi. Wraz z upływem czasu całość zacznie czernieć, począwszy od pierwszego nakłucia aż do ostatniego. Jeżeli dochowasz przysięgi, zanim czerń spotka czerń, obręcz zniknie bez śladu. Ale jeśli ci się to nie uda, jeśli złamiesz dane słowo, tatuaż w całości czernieje, a wszystko, co znajdzie się pod nim, obumrze. Tak się składa, że jest to całe ciało, więc sugeruję, byś grzecznie robił, o co poprosimy.

Czaszka Borsuka wylał sobie na dłoń jakiś płyn, po czym wtarł go w szyję młodzieńca, którą przed chwilą z takim namaszczeniem nakłubał. Amos z początku pomyślał, że to jakiś balsam mający złagodzić obrzęk podrażnionej skóry i przynieść ukojenie. Już sięgał do umysłu Zmory, by wyrazić swoje zadowolenie z faktu, że po karku i podgardlu rozlewa mu się miły chłód, gdy nagle orzeźwiający uczucie zamieniło się w piekący żar. Co gorsza, wrażenie palenia z każdą sekundą narastało i po chwili, kiedy osiągnęło szczytową intensywność, ogłuszony bólem Amos stracił przytomność.

ROZDZIAŁ XXX

Przypadkowe spotkanie

To, że Sara i zakonnica w końcu trafiły na siebie w tym rozległym, lustrzanym labiryncie, zakrawało na cud, choć równie dobrze można by stwierdzić, że to nieunikniona konsekwencja

uporu Sary oraz jej umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach. W uporządkowany, metodyczny sposób, sama jedna, bez pomocy Kruka i Kłębków z Coburga, przeszukiwała zwierciadlane korytarze metr po metrze, trzymając się swojego pierwotnego planu. Szła przed siebie, ani na moment nie przestając liczyć kroków i zawsze w odpowiedniej chwili skręcając w tę samą stronę.

W końcu jej stopy raz jeszcze odnalazły trop Sharpa.

Oczywiście w pierwszej chwili pominęła go, skoncentrowana na odliczaniu, a także walce z potwornym zmęczeniem. Dopiero kilka kroków później zdała sobie sprawę, co się właściwie stało. Zatrzymała się wówczas, nie dowierzając, że po tak długiej wędrówce jej plan wreszcie zadziałał, a potem zaczęła ostrożnie się cofać, odejmując kroki na wypadek, gdyby trop okazał się fałszywy. Ku swojemu zaskoczeniu dopiero teraz uświadomiła sobie, że cała ta procedura, którą realizowała z takim mozołem, kompletnie przyćmiła jej cel. W istocie o mały włos przegapiłaby ślady Sharpa. Cóż, była już w stanie, w którym wszystko wydawało się jej iluzją.

Wreszcie dotarła na miejsce. Znieruchomiła, pozwalając, by fale wspomnień omyły ją, przeniknęły przez jej ciało, wypełniły ją od stóp aż po czubek głowy. W końcu pod powiekami ujrzała twarz ze znajomym, szerokim uśmiechem.

– Mam cię – powiedziała. – Mam.

Prawie już zapomniała, jak ciasno jej życie splotło się z życiem Sharpa. Wspomnienie o nim było jak nagły powrót do domu. Otarła łzy i zaczęła podążać nowym szlakiem.

Gdy w myślach doliczyła do stu trzydziestu, zdała sobie sprawę, że nie musi już dłużej odliczać. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i przyśpieszyła kroku.



Zakonnica nie dopytała Sharpa o wszystkie szczegóły i nie wiedziała, gdzie dokładnie szukać odciętej ręki. Zakładała, że amputacja wydarzyła się podczas przechodzenia z jednego miejsca w zewnętrznym świecie do drugiego, a co za tym idzie, że

zguba znajduje się gdzieś pomiędzy tymi punktami, czyli pośród luster.

Mając to na uwadze, stwierdziła, że najsensowniej będzie cofnąć się po śladach Sharpa. Przyjęła dwa założenia. Albo po drodze trafi na dziewczynkę, która ukradła rękę, albo dotrze do punktu wyjścia swojego więźnia, skontaktuje się z Sarą Falk i przekona ją, by przyszła do swego przyjaciela. Przypadkowe spotkanie złodziejki wydawało się raczej mało prawdopodobne. Zakonnica była przekonana, że dziewczynka użyła zwierciadeł jedynie jako drogi ucieczki, a nie kryjówki i że jest już daleko poza lustrzanym światem. O wiele łatwiejsze wydawało się odnalezienie Sary Falk. W głowie zakonnica miała już cały plan, cieszyła się w duchu, że dzięki swojemu wybiegowi zyska za sojusznika potężny Nadzór. Wreszcie zemści się na swoim oprawcy i zazna ukojenia. Zresztą Obywatel, główny architekt Katastrofy, był nie tylko jej wrogiem, ale także egzekutorem Wolnego Bractwa: to on utopił jego członków, kiedy po niego przyszli. Był chodzącym zagrożeniem dla ludzkości. Więcej nawet, w swoim wynaturzeniu był definicją wszystkiego, co nieludzkie. Nie był to jedyny powód, dla którego zakonnica podjęła się tak ryzykownej misji. Nienawidziła Obywatela z całego serca, ale jednocześnie wciąż kochała świat, z którego została wygnana, a jego obraz nadal był w niej żywy.

Wracając śladami Sharpa i rozmyślając o tym wszystkim, nieoczekiwanie dostrzegła kogoś na końcu jednego z korytarzy. Odruchowo cofnęła się i ukryła za rogiem. Nie bez powodu uchodziła za jednego z najbardziej płochliwych lustrzaków, który jednak dzięki swojej ostrożności przetrwał zadziwiająco długo.

Wyglądając zza węgła, dostrzegła kobietę w rękawiczkach noszącą charakterystyczne pierścienie. Co więcej, miała także długi siwy warkocz. Zakonnica przestała mieć wątpliwości. Opis Sharpa był wystarczająco dokładny i obrazowy.

- Nazywasz się Sara Falk - ni to spytała, ni oświadczyła, wychodząc na środek korytarza, a kobieta błyskawicznie dobyła noży i jednocześnie stanęła w lekkim rozkroku, gotowa do walki.
- Przychodzę od Sharpa.

– Kim jesteś? – zapytała Sara. – I co Sharp ma z tobą wspólnego?
– Chciał, żebym znalazła twoją dłoń – odparła zakonnica. – Ale widzę, że już ją odzyskałaś.

Sara nie odpowiedziała.

– Jak widzisz, jestem lustrzakiem – wyjaśniła zakonnica. – Ale nie kłamię.

– Gdzie on jest? – zapytała Sara, wciąż próbując się domyślić, na czym polega zasadzka.

– Jest w pułapce i chce, żebym cię do niego zaprowadziła – odparła mała kobieta. – Chodź za mną, jeżeli chcesz go zobaczyć.

– Nie ma sprawy – oznajmiła Sara. Zatknęła jeden z noży z powrotem za pas, drugi trzymając wciąż w gotowości. – Ale jeżeli spróbujesz mnie oszukać, odetnę ci tę twoją głupią łepetynę.

– Nie kłamię – oznajmiła zakonnica, wzruszając ramionami.

– Ja też nie – powiedziała Sara, podążając za nią w głąb korytarza. – Ja też nie.

ROZDZIAŁ XXXI

Wszyscy wędrowcy nocy

Amos, zdradzony i sprzedany w niewolę, podróżował razem ze Sluagh i Zmorą już od kilku dni. Tak jak pozostali jechał na młodym kucu, którego grzywa pobrzękiwała wplecionymi w nie kośćmi i ptasimi czaszkami. Jako że nie był wprawiony w tego typu podróżach, pierwsze godziny wydawały mu się wyjątkowo ciężkie, ale wkrótce przyzwyczał się do bólu i zaczynał czuć się w siodle coraz pewniej – choć biorąc pod uwagę całą resztę, daleko mu było do pełnego komfortu.

Na początku podróży rozwiązano go i zdjęto mu z głowy śmierzący worek. Najwyraźniej nikt się nie obawiał, że może zbiec. Widać zdaniem jego oprawców śwędzący, niewidoczny tatuaż skutecznie go przed tym powstrzymywał. Zresztą tak czy owak nie miał pojęcia, w którą stronę uciekać.

Poza tym dokąd miałyby się udać? Powrót do ojców zakrawał na szaleństwo. Władza Issachara i Zebulona wypływała z czysto ludzkich, zwyczajnych cech – z posiadanej wiedzy, ze zdolności planowania, z umiejętności wpływania na innych. Żaden z nich nigdy nie wykazał się jakimikolwiek nadnaturalnymi mocami, więc w obecnej sytuacji byli kompletnie bezużyteczni. Mógł też udać się do Nadzoru, ale ani przez chwilę nie łudził się, że uzyskałby od jego członków jakąkolwiek pomoc, nawet gdyby potrafili jej udzielić. I to nie dlatego, że podobnie jak Zmora, nie darzył ich sympatią. Po prostu należał do przeciwnej drużyny, do Domu Templebane'ów. Poza tym o ile było mu wiadomo, przed jego odejściem ojcowie planowali zjednoczyć siły z Mountfellonem i frontalnie zaatakować Wolne Bractwo. Albo im się to udało, albo nie. W pierwszym przypadku nie byłoby do kogo iść, a w drugim nie miałyby to sensu.

Podróżował więc razem ze Sluagh i Zmorą – zawsze po zmierzchu, unikając wartkich nurtów i torów kolejowych, po zapomnianych ścieżkach wijących się niczym linie niebieskich tatuaży na twarzach jego oprawców. Dni stały się nocami, a noce dniami, świat zaś powoli przeobrażał się w coś zupełnie innego, nowego. Gdy Amos oswoił się już ze zdradą Zmory, postanowił dłużej nie roztrząsać powodów jej zachowania. Zamiast tego wolał cieszyć się jej towarzystwem i traktować ją bardziej jako mentora, a nawet przyjaciela niż jako zapiekłego wroga.

Obserwując Zmorę, z czasem dostrzegł, że była wręcz uszczęśliwiona myślą, iż od dawna planowana zemsta wreszcie się dokona. I to niedługo. Słyszał, jak otwarcie rozmawia o tym ze Sluagh. Pomimo wrodzonej pogardy do wszystkiego, co ma związek ze światłem, byli wyraźnie zafascynowani, gdy opowiadała im, co Amos zrobił z umysłem M'Gregora.

– Ten chłopak to perfekcyjna broń – mówiła. – Zaskarbił sobie zaufanie Mountfellona i żelazo ani płynąca woda nie są dla niego żadną przeszkodą. Przedrze się przez okute żelazem mury Gallstaine, łamiąc umysł każdego, kto strzeże bram i drzwi, a gdy będzie już w środku, dokona mojej zemsty na Francisie, wy zaś dostaniecie to, co tak starannie chował przed wami przez te

wszystkie lata.

Amos wiedział, że Francis to imię Mountfellona. Zauważył przy tym, że im bardziej zbliżają się do Rutlandshire, tym częściej Zmora określa wicehrabiego w ten poufaly sposób. Zupełnie jakby odżywały w niej jakieś dawne wspomnienia.

Rozmawiali o tym pewnej nocy podczas postoju. Chwilę wcześniej Zmora kazała się Amosowi włamać do jednego z przydrożnych posterunków i ukraść wypatrzone przez okno papier, pióro i atrament. Chciała napisać list polecający, który Amos mógłby pokazać strażnikowi bramy w Gallstaine i dzięki temu dostać się na teren posiadłości. Jediną przeszkodą, jaka ją niepokoiła, była przypadłość Amosa.

„Nie martw się, nic nie będziesz musiał mówić” – zapewniła go w myślach. „Napiszę list z zastrzeżeniem, że może on zostać przekazany Francisowi wyłącznie do rąk własnych. To wzbudzi jego ciekawość i zagwarantuje, że dostaniesz się wystarczająco blisko, by użyć na nim swojej mocy”.

W blasku księżyca jej szeroki uśmiech wyglądał wręcz upiornie.

„Wiesz, że mówisz na niego Francis?”

„Doprawdy?”

„Tak. Już od jakiegoś czasu”.

„No cóż, razem dorastaliśmy”.

„Byliście przyjaciółmi?”

„Tak, bardzo bliskimi. I wkrótce odświeżymy naszą intymną relację. Może to dlatego zaczynam ulegać starym zwyczajom...”

„Intymną?”

„Owszem. Nie ma nic bardziej osobistego niż zemsta. Kiedyś bez odrobiny współczucia patrzył, jak umiera we mnie nadzieja, a teraz to ja pochylę się nad nim i spojrzę mu w oczy, bo zobaczyć, jak przeżywa to samo. Więcej nawet, by ujrzeć, jak przed śmiercią odkrywa, że jestem jego karą”.

Amos nie tracił czasu na tłumaczenie, że tak naprawdę to on będzie miał krew na rękach. Niejeden raz podczas ich podróży próbował usprawiedliwić swój postępek, lecz wiedział, że to bezcelowe. Kobieta dostrzegała w nim jedynie narzędzie, a raczej broń. Był dla niej jak sztylet lub fiolka trucizny. Była przy tym

przekonana, że gdy Amos stanie twarzą w twarz z Mountfellowem, wpłynie na niego tak samo, jak uczynił to z M'Gregorem. Nie mieściło jej się w głowie, że może nie zdołać tego powtórzyć.

„Zrobiłeś to temu łotrowi, bo myślałeś, że umrzesz” – tłumaczyła. „Teraz zrobisz to Francisowi, bo WIESZ, że w przeciwnym razie złamiesz przysięgę i tatuaż cię zabije. Strach przed śmiercią raz jeszcze uwolni twoją moc”.

Innej nocy Amos zauważył, że ich oddział dotarł aż w okolice Gloucestershire. Odgadł to, gdyż wcześniej uważnie obserwował wskazówki na kamieniach milowych i zwracał uwagę na kierunkowskazy. Był trochę zaskoczony tym, jak daleko na zachód zawędrowali, lecz Zmora wyjaśniła mu, że muszą podróżować okrężnymi drogami, by obejść wielką – i dla Sluagh nieprzebytą – przeszkodę, jaką jest Tamiza. Teraz podążali ukrytą ścieżką równoległą do drogi na Cirencester. W końcu zatrzymali się na rozdrożu ze znakiem wskazującym pobliski przysiółek o nazwie Siedem Wiosen.

Po raz pierwszy od początku ich podróży Sluagh wydawali się wyraźnie odprężeni, a nawet rozweseleni. Zsiedli z kuców i zebrali się wokół niewielkiej kępy karłowatych wierzb. Ktoś rzucił żart, ktoś inny poklepał druha po plecach, zapanowała lekka atmosfera.

„Co się dzieje?” – spytał Amos.

„Nie wiem”.

Szczerłość tego stwierdzenia sprawiła, że poczuł niepokój. Tak naprawdę Zmora zdradziła go i była jego wrogiem, ale zarazem traktował ją jak autorytet – wszak wiedziała wszystko o rzeczach nadnaturalnych. Lecz jeśli nawet ona nie znała odpowiedzi, być może coś im groziło.

– Nigdy nie widziałam ich w takim nastroju – wyszeptwała. – Są tacy...

Począł, aż znajdzie odpowiednie słowo, ale nic takiego nie nastąpiło.

„Normalni?” – dokończył za nią.

Przytaknęła milcząco.

– Tak mi się wydaje – dodała na głos.

Czaszka Borsuka odwrócił się i spojrzał na nich.

– A dlaczego nie mielibyśmy być normalni? I kim jesteście, by nas osądzać?

– Nie miałam na myśli niczego złego – odparła.

Czaszka Borsuka uśmiechnął się szeroko.

– Po prostu jesteśmy szczęśliwi. Ulżyło nam. Dotarliśmy do jednego z wielkich miejsc tej ziemi. Tutaj Tamiza ma swój początek. Tutaj krzyżują się Stare Proste Drogi i Kręte Szlaki. W tym polu leży źródło rzeki. Siedem Wiosen. Tutaj możemy obejść nieprzekraczalną dla nas barierę, która oddziela północ od południa. To tak, jakbyśmy doszli do końca muru i mogli dostrzec obydwie strony. To dla nas cudowne, święte miejsce. – To rzekłszy, zbliżył się do Amosa i ściągnął go z konia. Nie było w tym geście ani krztyny agresji. – Zostań tutaj, pani – powiedział. – Chłopiec może wziąć udział w naszym rytuale, ale ty nie.

Trzymając lekko Amosa za kark, poprowadził go na łąkę, gdzie jego pobratymcy zebrali się dookoła wierzby. Wepchnął go do kręgu i uśmiechnął się szeroko.

– No dalej, przyłącz się do nas – zachęcił, wychwytyjąc kątem oka pytający wzrok innego Sluagh. – W niczym nam nie zaszkodzi. I ma w sobie odrobinę starej krwi. Im nas więcej, tym lepiej. Aczkolwiek jego wkład pewnie będzie sporo mniejszy od Czystego.

Wszyscy przytaknęli, po czym zaczęli się śmiać, rozpinając spodnie.

Chwilę potem wspólnie zaczęli oddawać mocz, wydając wyolbrzymione odgłosy ulgi, które wywoływały kolejne salwy śmiechu.

– No dalej – zachęcał Czaszka Borsuka ze spodniami opuszczonymi do kolan. – To na szczęście.

Amos zaczął grzebać przy rozporoku.

– Tamiza, jak każda wartka woda, jest naszym wrogiem i zawsze nim będzie – wyjaśnił Sluagh, spoglądając na księżyc. Strumień jego moczu okazał się imponująco mocny. – Dlatego

dawno temu narodziła się tradycja, aby podczas każdego mijania jej źródeł dodać do niej coś, co mogłoby ją skalać. Niektórzy uważają, że to tylko przejaw próżności albo chęć okazania braku szacunku. Inni powiedzą, że to przez starszych, którzy sądzili, iż w ten sposób możemy rozcieńczyć rzekę i tym samym osłabić jej moc. Niezależnie od przyczyny za każdym razem, gdy mijamy to lub inne źródło rzeki... – Chwilę szukał odpowiedniego słowa, ale ostatecznie tylko wzruszył ramionami. – Odlewamy się do niego – dokończył.

Amos poczuł w głowie myśl Zmory.

„Co ty tam robisz?”

„Nic”.

Ulżył sobie jak reszta, przez krótką chwilę ciesząc się tymczasową wolnością.

„Czy ty robisz to, co myślę, że robisz?” – usłyszał w głowie.

„Jeśli masz na myśli śmiech, to tak”.

Amos opuścił Siedem Wiosen z dwoma żywymi wspomnieniami, które raz po raz wracały podczas dalszej drogi. Pierwszym było wzburzenie Zmory, gdy Czaszka Borsuka wykluczył ją z grupy na czas trwania rytuału, co w jego oczach uczyniło ją nieco mniej władczą i nieomylną. Drugim było prawdziwie niepokojące uczucie, którego doznał, stojąc pośród Sluagh, gdy ci oddawali mocz, wymieniali się sprośnymi żartami i śmiali do rozpuku. Zupełnie jakby byli zwykłymi grubiańskimi rzezimieszkami, jakich pełno w Londynie. Nie przypominali strasznych przedstawicieli jakiegoś starożytnego ludu o nadprzyrodzonych mocach. Wręcz przeciwnie. Zdawali się normalni, a przez to – przez krótką chwilę – mniej okrutni.

Na szlaku do Rutlandshire Czaszka Borsuka coraz częściej jechał tuż obok Amosa. Sluagh od najmłodszych lat ćwiczyli wchodzenie do cudzych umysłów, dzięki czemu mężczyzna bez problemu mógł się porozumiewać samymi tylko myślami, w podróży jednak trzymał się staromodnego zwyczaju mówienia na głos.

Od jakiegoś czasu podążali wzdłuż nowej linii kolejowej, mając nad głowami bezchmurne niebo rozświetlone srebrzystym

sierpem księżycy. Podobnie jak płynącej wody, Sluagh nie potrafili pokonać szyn z czystego żelazem. Mogli za to przejść pod nimi. Wystarczyło tylko, że znajdą jakiś wiadukt. Niestety, tereny, które właśnie przemierzali, były płaskie jak stół, a perspektywa długiego objazdu coraz bardziej frustrowała cały oddział.

Czaszka Borsuka odwrócił się do Amosa.

– Będziesz potrafił to zrobić? Mam na myśli jej obietnicę. Złamiesz umysł Mountfellona?

„Nie wiem”.

Sluagh szeroko się uśmiechnął i wskazał na jego szyję.

– Chyba rozumiesz, że paktu nie można złamać?

„Nie miałem pojęcia”.

– Ona mówi, że potrafisz – powiedział Czaszka Borsuka, obracając się i spoglądając na Zmorę, która jechała na tyłach grupy, z rozmarzeniem gapiąc się w księżyc. Zupełnie jak ktoś jadący za dnia rozkoszowałby się uzdrawiającym ciepłem słońca.

„Jest szalona” – pomyślał Amos. „Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?”

Sluagh skinął głową.

– Szalona. Ale nie głupia.

Zza pleców dobiegł ich dziwny, rytmiczny odgłos, który z każdą chwilą narastał. Wkrótce na jednym z wzniesień pojawiły się światła lokomotywy rozjaśniające mrok niczym oczy dzikiej bestii.

Oddział wtopił się w cienie cętkowanych buków rosnących przy drodze i znieruchomiał.

Amos, który dotychczas widział pociągi tylko w mieście, po raz pierwszy oglądał przejazd składu przez tereny wiejskie, w dodatku nocą. Lokomotywa wydała mu się taka potężna, taka głośna i... niepasująca do tego miejsca. Pędząc w ich stronę z pióropuszem dymu, wprawiała ziemię w coraz mocniejsze drgania.

Gdy ich mijają, czuć było moc i prędkość. Błysnęło światło bijące z otwartego pieca, a zaraz potem zastąpiły je oświetlone okna wagonów, za którymi siedziały nieruchome ludzkie

sylwetki.

Amos zerknął na jeźdźców ukrytych między drzewami. Każdą z ponurych, wytatuowanych starożytnymi wzorami twarzy raz po raz rozświetlały błyski lamp gazowych płonących wewnątrz wagonów. Młodzieniec poczuł się tak, jakby stał na granicy dwóch światów, które wzajemnie się obserwowały – i zrozumiał, że właśnie widzi coś wyjątkowego i rzadkiego, co nie każdemu dane jest zobaczyć.

Żaden ze Sluagh się nie poruszył, dopóki żelazna bestia nie zniknęła za wzniesieniem.

Gdy wrócili na drogę, Czaszka Borsuka znów przemówił.

– Odzyskanie flagi sprawi, że klątwa zniknie. Nie będziemy musieli się już ukrywać ani obchodzić torów. Przejdziemy przez nie, jakby były zwykłym żywopłotem.

„Czym jest flaga?”

Sluagh milczał. Właśnie dotarli do miejsca, w którym teren gwałtownie opadał, tory zaś bieging górą, przez wiadukt. Całym oddziałem przejechali pod ceglany sklepieniem. Gdy już znaleźli się po drugiej stronie, Czaszka Borsuka nagle zatrzymał się i wskazał na tory za sobą.

– Kiedyś nie istniała dla nas żadna przeszkoda poza płynącą wodą – powiedział nieoczekiwanie do Amosa, który już zwątpił w odpowiedź. – A potem pojawiło się żelazo, które wszystko zmieniło. Starsi powstali przeciwko wyznawcom tego przeklętego metalu i podjęli próbę usunięcia go z tego świata. Ale się nie udało. Nosiciele żelaza nie byli Czyści, tak jak my. Zmiesza li swoją szlachetną krew ze słabszymi plemionami i stali się skalani. To właśnie dlatego żelazo dało im siłę. Najmądrzejsi pośród nas szybko zrozumieli, że ci okrutni mieszkańcy z nami wygrają i że jedynym ratunkiem dla nas jest powrót do pierwotnej, świętej ciemności, która nas zrodziła i z której czerpaliśmy swoją siłę.

„Nie rozumiem”.

Być może było to tylko złudzenie wywołane blaskiem bijącym od księżycy, ale przez chwilę Amosowi wydawało się, że Sluagh się uśmiecha.

– Nie musisz. To stara historia. Opowieść okryta mgłą dawno minionych czasów. Jedyne, co musisz wiedzieć, to że nosiciele żelaza ostatecznie zwyciężyli. Wygrali dzień. I narzucili na Czystych swoje bestialskie warunki pokoju. Każdemu plemieniu, które pokonali, zabrali proporce i złączyli je w jedną wielką flagę zwycięstwa. A potem napisali na niej pakt. Wiedzieli, że w przeciwieństwie do innych, słabszych stworzeń, to jest podmieńców, lustrzaków czy Zielonych Ludzi, prawdziwi Czyści są niewrażliwi na żelazo. I dlatego rzucili na nas klątwę, z której powodu każdy Sluagh musi unikać przeklętego metalu, by przez niego nie spłonąć. Przyjęliśmy to z godnością. Wyrzekliśmy się światła, oddając zwycięzcom dzień, a sami wycofaliśmy się w mrok. Staliśmy się tym, kim jesteśmy teraz: nocnymi wędrowcami. Przez wieki wiedliśmy swój żywot w spokoju, nie mieszając się w sprawy innych ras. I wtedy pojawiło się to.

Spłunął w stronę skąpanych w świetle księżycy torów kolejowych.

– Nie zostawili nam nawet nocy. Przecięli nasze stare, święte szlaki swoimi żelaznymi drogami, bez naszej zgody dzieląc przynależne nam tereny według własnego uznania. I kto nas przed nimi ochronił? Nikt. Ale teraz wszystko się zmienia. Wystarczy, że przyniesiesz nam flagę.

„A co to wam da?”

– Flaga zawiera pakt, który odbiera nam siły, gdy znajdziemy się w pobliżu żelaza. Dopóki istnieje na tym świecie chociażby jej skrawek, klątwa ma nad nami władzę.

„Chciecie tę flagę podrzeć?”

– Więcej.

„Spalicie ją?”

– Palenie zostawia popiół i tworzy dym, które zostałyby na tym świecie, podtrzymując klątwę.

„Więc co planujecie?”

Tym razem Sluagh z pewnością się uśmiechnął. Potem pochylił się w stronę Amosa i klepnął jego kuca w zad. Galopując obok siebie, błyskawicznie zaczęli doganiać resztę grupy.

– Usuniemy flagę z tego świata – krzyknął Czaszka Borsuka. –

Wtedy niestraszne nam będą wszystkie te przekłete żelazne tory i wreszcie zaczniemy chodzić, gdzie nam się tylko podoba.

ROZDZIAŁ XXXII

Co widział młot

Prawda jest taka, że gdyby Kowal nie schował Czarneho Noża, Lucy nie zżerałaby ciekawość. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Obsydianowy sztylet zniknął następnego dnia rano, a ona od tego czasu nie mogła przestać rozmyślać, ile prawdy było w słowach Sluagh. Obawa, że jeden z liderów Nadzoru mógłby się okazać niełojalny wobec Wolnego Bractwa, przerażała ją i zarazem pobudzała wyobraźnię. W końcu, podczas pewnej długiej nocy spędzonej w Baniałuce, poddała się.

Zmęczona czytaniem przy blasku świecy odłożyła Wielką i tajemną historię świata i wsłuchała się w stukot okiennic. Zimny wiatr wiejący od strony Blackwall Reach zwiastował rychłe nadejście zimy. Czas mijał, a ona nic nie robiła. Rozumiała, że nie powinna badać kamiennego noża za pomocą swojego daru, ale przecież mogłaby go znaleźć i chociaż mu się przyjrzeć bez zdejmowania rękawiczek. Być może znalazłaby jakiś brakujący fragment układanki, który by wszystko wyjaśnił i ją uspokoił.

Wyszła na korytarz. Z pokoju naprzeciwko dobiegało regularne chrapanie Kowala, lecz mimo to wołała zachować ostrożność i zbliżyła się do schodów na palcach. Chwyciła za poręcz i zeszła powoli na dół, omijając te stopnie, które zazwyczaj skrzypiały. Następnie wzięła świeczkę i przywołując w pamięci wszystkie rady swoich nauczycieli, zamknęła oczy, skoncentrowała się i szybko machnęła nadgarstkiem.

Knot strzelił jasnym płomieniem. Uśmiechnęła się.

– Ciemniej – powiedziała, a światło natychmiast przygasło. – Tak, teraz jest dobrze.

Nie chciała, by Kowal przyłapał ją, jak kręci się po warsztacie i szpera w jego rzeczach. Półmrok dawał lepszą ochronę, a zarazem w zupełności wystarczał, aby przeszukać

pomieszczenie.

Znalezienie noża okazało się nie lada wyzwaniem. Wszechobecny bałagan nawet za dnia byłby nie do ogarnięcia. Na szczęście znała to miejsce na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie znajdują się skrytki dość duże, by umieścić w nich obsydianowe ostrze. Metodycznie, schowek po schowku, zaczęła przeszukiwać cały warsztat.

Oczywiście działała ostrożnie i starała się nie narobić zbyt wiele hałasu, ale nie było to łatwe – niejednokrotnie musiała przełożyć jakieś narzędzie, otworzyć starą szafę lub wysunąć ciężką szufladę. To głównie przez to wszystko niemiłosiernie się wydłużało, ona zaś czuła coraz większy niepokój. Po godzinie z rozczarowaniem stwierdziła, że zrealizowała jedynie ułamek założonego planu. Pojawszy, że do świtu niczego nie wskóra, zdecydowała, że pójdzie spać i wróci następnej nocy.

Skierowała się ku schodom – i wtedy go zobaczyła. Nie, nie Czarny Nóż. Młot Kowala. Stał na najniższym stopniu, choć wcześniej na pewno go tam nie było.

– Nie tego szukałaś, prawda? – usłyszała gdzieś z boku.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos, i ujrzała swojego opiekuna siedzącego na kowadle i wpatrującego się w nią przesywającym wzrokiem. Nawet nie pomyślała, że Kowal potrafi poruszać się tak szybko i cicho. Przełknęła ślinę. Miała poczucie winy. Takie zachowanie mogło sugerować, że jest lojalna wobec kogoś innego, a przecież tak nie było.

– Zakładam, że słyszałaś moją rozmowę ze Sluagh – powiedział.

– Wtedy, w Hackney Marsh, kiedy mówił o Czarnym Nożu.

Jego spojrzenie pozostawało obojętne, tak samo jak ton głosu, i Lucy kompletnie nie potrafiła odgadnąć, o czym Kowal myśli. Poczucie winy zastąpił lęk.

Wiedział o tym przez cały czas, uzmysłowiła sobie.

– To nie ja cię nakryłem – oznajmił. – Dobra robota.

– Ale jak... – zaczęła.

– Charlie Pyefinch – wyjaśnił. – Hodge kazał mu pilnować moich tyłów.

Teraz na dodatek czuła się zdradzona.

– Przysiągł dochować tajemnicy – powiedział Kowal. – Nie był z tego zadowolony, jeśli cię to pocieszy.

Nie pocieszyło.

– Zdejmij rękawiczki – poprosił.

Przeszył ją chłód. Spojrzała na drzwi. Żeby stąd uciec, musiałyby przebiec tuż koło niego. Nie byłoby to łatwe, ale przecież potrafiła być szybka. Bardzo szybka.

– Nie – powiedział, uprzedzając jej zamiary. – Jeśli to zrobisz, będziesz tego żałować do końca swoich dni. Nigdy nie uważałem cię za tchórza... ale może to błąd?

Słowa te ubodły ją na tyle mocno, że z podniesioną głową spełniła prośbę.

– Dobrze – powiedziała, odkładając rękawiczki na szafkę obok.

– Gdzie on jest?

Pokręcił głową.

– Chodzi ci o Czarny Nóż. Mówiłem ci, Lucy Harker. Nie chcesz go dotknąć. To by cię zniszczyło.

– Ale...

– Ale chcesz się o nim dowiedzieć.

Skinęła głową.

– Więc dotknij młota. Młot wie. Był tam ze mną.

– Nie rozumiem.

Było coś okropnego w jego pozbawionym wyrazu spojrzeniu.

– Nie mamy czasu, by testować twoją lojalność, a bez ciebie nie będzie Ostatniej Ręki. Więc zobacz, co musisz zobaczyć, i podejmij decyzję. Raz na zawsze. To nie jest czas na wątpliwości. Jeśli chcesz się dowiedzieć wszystkiego o nożu, jeśli chcesz wiedzieć, na czym polega MOJA lojalność, zobacz to na własne oczy. Jesteś Wejrzeńcem, dziewczyno, możesz zobaczyć, co widział młot.

Powoli podeszła do schodów. Jej dłonie stały się wilgotne.

Młot był najzwyczajniejszym przedmiotem w całym tym zagraconym warsztacie – stare, wysłużone narzędzie, zadrapanie i wyszczerbione przez lata częstego używania. Tępy, metalowy obuch i drewniany, nieco poczerniały trzonek. Wyglądał jak każdy inny zwyczajny młot. Ale gdy wyciągnęła po niego rękę,

wstrzymując oddech i przygotowując się na uderzenie przeszłości, dostrzegła, że jednak wyglądał inaczej. Był stary – starszy od wielu narzędzi wokół.

Dotknęła obucha i poczuła potężny wstrząs, który otworzył bramę do minionego czasu.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że po raz pierwszy wgląda dobrowolnie, na skutek własnej decyzji, dzięki czemu zupełnie inaczej postrzega cały ten proces i ma czas na obserwację.

Z pozoru młot był tym samym młotem, który pochwyciła, ale metal stał się nagle o wiele bardziej błyszczący, a szczyrby i zadrapania na jego powierzchni – głębsze i wyrazistsze.

Dłoń zaciśnięta na młocie nie należy do niej, ale do jakiegoś mężczyzny. Jest masywna, z krótkimi, grubymi palcami, mokra od potu.

Nie zna jej. Widzi tylko, że na grzbiecie wije się tatuaż granatowych linii.

Choć to nie ona trzyma młot, immersyjność Wejrzenia sprawia, że może poczuć rozluźnianie i napinanie się mięśni podczas pracy.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń. Beng.

To młot i kowadło.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń. Beng.

Na kowadle długa, rozgrzana do czerwoności sztaba metalu.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń.

Młot uderza w metal cztery razy, nadając mu kształt.

Beng.

Za piątym razem przesuwa się i uderza w kowadło, oczyszczając szaroczną łuskę, która wychodzi z kutego żelaza.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń. Beng.

Ssss.

Czerwony metal chłodzi się w wiadrze z wodą. Wytatuowany kowal niesie młot w słońcu.

To nie jest Wyspa Psów. To nie Londyn. A przynajmniej nie Londyn, który zna Lucy.

Nie ma tu kamiennych budynków, brukowanych ulic,

wyziewów z kominów ani fetoru bijącego od rzeki czy kanału.

Nic w pobliżu nie gnije.

Zamiast tego wdycha czyste powietrze pachnące świeżym drewnem pływającym w paleniskach.

Znajduje się na szczycie wzgórza. Wokół rozciąga się drewniana palisada. Za nią jest rów, a dalej widać nietknięte połacie zieleni.

To starszy świat.

Są tu dwie grupy ludzi. Pierwsza nosi szorstkie, ręcznie utkane rajtuzy i włosy związane z tyłu głowy. Mają broń – szare metalowe miecze połyskujące w promieniach słońca i tarcze na plecach. Ich twarze i ręce pokryte są prążkami grubo położonej niebieskiej farby. Druga grupa chodzi ubrana w skóry zwierzęce i uzbrojona jest w krótkie, szerokie miecze z brązowego metalu. Niektórzy mają topory o podwójnym ostrzu lub długie włócznie. Ich twarze i ręce także pokrywa ozdobny ornament, ale nie dość, że jest wytatuowany, a nie wymalowany, to jeszcze wydaje się bardziej skomplikowany i ładniejszy.

Ludzie dostrzegają Lucy. A raczej kowala.

Na ich twarzach widać zgorszenie.

Kowal nie może zrozumieć, co mówią, ale po zachowaniu odgaduje, że są wzburzeni i źli. Jeden z nich podchodzi i pluje mu w twarz.

Szarpnięcie czasu. Lucy traci orientację, ale zaraz ją odzyskuje, bo wizja przeskakuje do przodu.

Młot w jej ręce znów podnosi się i opada.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń. Beng.

Kolejny dzień. Na zewnątrz jest zimno. Niskie zimowe słońce ledwie oświetla kuźnię zatopioną w półmroku.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń. Beng.

Na zewnątrz jakieś zamieszanie. W otwartych drzwiach migają czyjeś sylwetki.

Młot opada na kowadło i tam zostaje.

Kowal wychodzi.

Połacie zieleni zniknęły. Po drugiej stronie palisady ziemia jest biała od szronu.

Odgłosy zamieszania dobiegają z rowu.

Wytatuowani mężczyźni poganiają przed sobą zwierzęta.
Konie. Psy.

Te ostatnie płaczą się wszystkim pod nogami, a ich opuszczone pyski i podkulone ogony nie wróżą niczego dobrego. Jeśli któryś z nich próbuje zawrócić, zostaje uderzony, kopnięty lub dźgnięty włócznią. To dlatego żaden nie próbuje wycofać się po raz drugi.

Ciała koni są lepkie i mokre od potu, pokryte krwią.

Szara klacz próbuje się zatrzymać. Dźgnięcie włócznią posyła ją naprzód, na bladym zadzie rozkwita ciemnoczerwona plama.

Kolejne szarpnięcie czasu.

Lucy jest w innym miejscu. Gdzieś wyżej. Za palisadą.

Patrzy w dół.

Na skraju długiego rowu znajduje się głęboka jama wypełniona wodą, a w niej rzeczy, których Lucy nie chce widzieć. Lecz nie odwraca oczu. Nie może też ich zamknąć, tak jak nie może przerwać tego połączenia z przeszłością, które zdążyło się zakotwiczyć w jej umyśle.

Rzeczy wiją się, dygocą, drgają.

To konie i psy.

Ludzie zaganiają je na brzeg jamy i wpychają do środka, pomagając sobie włóczniami. Zwierzęta desperacko usiłują wypłynąć na powierzchnię. Konie biją na oślep kopytami, rozbijając czaszki swoich współtowarzyszy niedoli lub łamiąc sobie kończyny. Psy próbują wejść im na grzbiety, a te w samoobronie odwzajemniają się tym samym.

Skomlenie i rzenie tworzą upiorną kakofonię.

Lucy nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie przerażającego, nawet Wejrzenie o kobiecie, która uchodziła za wiedźmę i którą postanowiono spalić na stosie, nie było tak potworne.

Kowal, którego oczami Lucy widzi tę hekatombę, wykrzykuje coś w proteście i wymachuje młotem w stronę mężczyzn stojących na skraju dołu. To ci, którzy mają wytatuowane twarze i broń z brązu. Stoją na lekkim wzniesieniu, w pobliżu dzwonekowiastych klatek z pozaplatanych gałęzi, wewnątrz których rusza się coś o ciemnych, oleistych piórach i paciorkowatych oczach.

Przywódca grupy odwraca się, aby spojrzeć na wołającego. Mierzy w niego sierpowatym ostrzem z brązu.

I w tym momencie perspektywa się zmienia. Czyjeś ręce chwytają kowala od tyłu i powalają go na ziemię, wyrwijąc młot z ręki. Lucy widzi niebo i pochylonych nad sobą ludzi i domyśla się, że ktoś niesie mężczyznę. Zapewne zmierzają w stronę klatek dla ptaków i osobnika, który najprawdopodobniej jest kimś w rodzaju kapłana.

Lucy czuje, jak kowal rzuca się i szarpie, aby pokonać oprawców. Jest bardzo silny. Trzyma go aż sześciu mężczyzn, którzy ledwie dają mu radę.

I nagle, spojrzawszy w bok, nieruchomieje, a oczy zachodzą mu mgłą.

Rudowłosa dziewczyna, którą przywleczono tu za nim, ma na gardle brązowe ostrze.

Lucy znów nie może zrozumieć języka, w jakim porozumieją się dziwni ludzie, ale to, co mówią, jest oczywiste: jeśli mężczyzna będzie dalej walczył, ostrze zrobi swoje.

Dziewczyna także się odzywa. Jej słowa są twarde i bije z nich duma. Z pogardą patrzy na wytatuowanych mężczyzn, którzy ją trzymają. Stara się przycisnąć szyję do ostrza, ale jeden z oprawców chwyta ją za gruby warkocz i odciąga głowę do tyłu. Kowal otwiera usta, aby coś wykrzyzczeć...

Jeszcze jedno szarpnięcie czasu.

I...

Jest noc.

Gwiazdy migoczą niczym żywe istoty. Jest zimno – tak zimno, że księżyc tworzy podwójne halo.

Wytatuowany kowal obserwuje niebo. Nie ma wyboru.

Leży płasko na plecach przywiązany do krzyża.

Kapłan stoi nad nim okrakiem i coś śpiewa, zwracając twarz ku ciemnemu niebu. Sztylet, który podnosi w kierunku księżyca, nie jest zrobiony ani z żelaza, ani z brązu. Zakrzywione ostrze wygląda jak wykonane z krzemienia, ale jest o wiele ciemniejsze.

Na brzegu jamy rozpalono dwa ogniska, a zebrany wokół nich tłum najwyraźniej na coś czeka. Połowa z zebranych to ci

noszący skóry, a połowa – ci w rajtuzach.

Kapłan milknie i się pochyla, tak aby z bliska przyjrzeć się kowalowi. Na jego obliczu pojawia się pogardliwy uśmiech, a oczy zwięzają się w nienawiści. Pluje. Jego ślina ląduje na twarzy kowala.

Ktoś chwyta za krzyż i podnosi go razem z kowalem.

Procesja przechodzi pomiędzy ogniskami i zatrzymuje się przy jamie wypełnionej wodą. Krzyż zostaje przechylony. Stopy wyżej, głowa niżej, tuż nad krawędzią.

Kapłan podchodzi do więźnia. W jego ręku szamocze się coś czarnego. Unosi to i wbija weń ostrze.

To kruk.

Głowa ptaka odbija się o tors kowala i spada na ziemię. Z opierzonego tułowia tryska krew i zalewa nagie ciało poniżej. Potem okaleczone truchło ląduje w jamie.

Jakieś zamieszanie.

Klatki zostają otwarte, a noszący skóry przepychają się, żeby wyjąć z nich kolejne kruki.

Ptaki giną jeden za drugim, rozcinane nad krzyżem, a ich krew tryska na kowala. Brunatnoczerwone strugi spływają po umięśnionym ciele, zalewają twarz, nikną w jamie.

Kolejne szarpnięcie czasu.

Bezgłowe kruki spadają w otchłań dołu, dołączając do bezkształtnej masy zwierzęcych zwłok i niedobitków. Niektóre konie i psy wciąż są żywe. Wierzgają, szarpią się, drgają.

Krzyż opada na ziemię. Kapłan znów staje okrakiem nad kowalem i się pochyla. W jednej dłoni trzyma obsydianowy nóż, a w drugiej – połyskującą czarną płytkę. Związany mężczyzna widzi w smolistym zwierciadle swoje odbicie. Ledwie rozpoznaje własną twarz pokrytą grubą warstwą kruczej krwi.

Ale nie to sprawia, że jego oczy otwierają się szeroko, a białka błyszczą jak dwie lampy.

O wiele bardziej przerażający jest widok w odbiciu, przedstawiający to, co znajduje się za jego głową wystającą poza krawędź jamy.

Kowal wstrzymuje oddech, zdjęty grozą. Nie może oderwać

wzroku od wzburzonej, ruchliwej powierzchni gdzieś za nim, w dole. Woda zdaje się żyć własnym życiem, jakby karmiła się agonią tonących zwierząt.

Kowal w końcu łapie oddech.

Wciąż patrzy w kamienne lustro, w mroczną, nieruchomą powierzchnię wody. Nienaturalnie nieruchomą.

Tuż przed uspokojeniem się fal, kiedy w toni zniknęło skrzydło ostatniego kruka, Lucy miała wrażenie, że z głębi na moment wyłonił się jakiś cień – wielki, czarny, nieokreślony. Pochwycił ptaka, wciągnął go pod taflę i zniknął.

Oczy wyznawców jak na komendę odrywają się od jamy i skupiają na kamiennym nożu trzymanym przy gardle kowala.

Kapłan mówi coś ni to do tłumu, ni do ukrzyżowanego. Lucy mogłaby przysiąc, że tatuaże na jego twarzy wiją się jak smugi dymu.

Zadaje pytanie.

Kowal pluje mu w twarz.

Kapłan krzyczy ze złości i unosi nóż, by zadać nim ostateczny cios. Robi to o wiele za wolno.

Kowal łamie poprzeczkę pod plecami i uderza swojego oprawcę w głowę – z obydwu stron jednocześnie.

Rozlega się dziki wrzask.

Jednocześnie nóż opada siłą bezwładu, ale miast w szyję trafia w ramię ofiary. Kowal nie zwraca na to uwagi. Rozrywa więzy na nogach, kopie mężczyznę nad sobą, a potem chwytą udami i ścisną.

Szamotanina sprawia, że ześlizgują się ku jamie. Kiedy spadają, kowal wyciąga nóż ze swojego ramienia, a kapłan bezskutecznie szuka jakiegoś punktu oparcia. Chwilę później obydwaj leżą do połowy zanurzeni w czarnej toni.

Wówczas ciemna tafla burzy się, a jakiś kształt chwytą ich i wciąga w nieprzeniknioną głębię.

Znów szarpnięcie czasu.

Wyznawcy w skórach stoją na krawędzi wykopu i spoglądają w dół. W świetle ognisk widać ich przerażone twarze. Wokół panuje cisza, przerywana jedynie niepewnym pokaszaniem

i trzaskiem płonących polan.

Tafla w dole przypomina zastygły bazalt.

Nie licząc małej wypukłości pośrodku.

To kamienny nóż.

Nie unosi się na powierzchni. Leży na niej jak na cienkiej warstwie czarnego lodu.

I wtedy ktoś krzyczy.

To dziewczyna o rudych włosach. Wskazuje na nóż.

Na rękojeści zaciśnięte są czyjeś palce.

Nóż i trzymająca go dłoń zaczynają się poruszać.

Ostrze kieruje się ku tafli.

Jego koniuszek przebija smolistą powierzchnię i znika pod wodą. A potem, przy aplauzie tłumu, czyjeś potężne ramiona jedno po drugim rozbijają w tym miejscu czarną skorupę.

Na powierzchni pojawia się głowa. Kolejnym uderzeniem ostrza, które mają utorować drogę reszcie ciała, towarzyszy rytmiczne pohukiwanie.

W końcu mężczyzna wypełza na wąski brzeg u wylotu rowu. Dyszy, rozglądając się wokół. Następnie powoli wstaje, rozcina więzy na nadgarstkach i odrzuca na bok kawałki połamanego krzyża. Wszystko bez jednego słowa.

Czerń, z której się wyłonił, zdaje się z niego spływać niczym mętna maź. Ludzie w skórach gorączkowo o czymś rozprawiają. Widzą, że nie tylko z twarzy i ramion kowala zniknęły tatuaże, ale także że jego kruczoczarne włosy pokryła biel.

Kształt z czarnego lustra, czymkolwiek był, właśnie wyszał z ciała mężczyzny cały mrok.

Nagle kowal odwraca się i Lucy już wie.

Z wrażenia zapiera jej dech w piersiach.

Bez tatuaży rozpoznaje tę twarz.

Mężczyzna nie jest tylko zwykłym kowalem.

Jest... Kowalem.

Był nim przez cały czas.

Uświadomiwszy sobie, kogo obserwowała przez cały ten czas, stara się poukładać widziane obrazy w logiczną całość. Czuje ostatnie uderzenie przeszłości. Jest jak pięść trafiająca

w świeżego siniaka.

Idą przez bagna, ukryci w porannej mgle.

Mężczyźni uzbrojeni w żelazo.

Szorstkie wełniane płaszcze, miecze i topory, tarcze.

Nie śpieszą się.

Wysokie trzciny cicho szeleszczą, przepuszczając milczące hordy.

Ręka dzierżąca młot idzie z nimi. Tym razem nie ma na niej tatuaży.

Są pod palisadą.

Noszący skóry czekają na nich za ostrymi palami. Mają łuki. Wypuszczają strzały. Jednocześnie.

Śmiertelna chmura zakrywa niebo.

Kowal coś wykrzykuje.

Mężczyźni naokoło niego zbijają się w ciasną grupę i unoszą tarcze nad głowy.

Słychać złowrogi gwizd.

Strzały uderzają o tarcze niczym setki toporów. Wojownicy ledwie wytrzymują ich napór. Potem zmieniają szyk i znów idą przed siebie – aż do momentu, kiedy ponownie rozlega się znajomy gwizd. I tak raz za razem. Coraz bliżej palisady.

Wreszcie docierają do drewnianej bariery i osłaniając się tarczami, zaczynają ją podkopywać.

Powyżej, na pomost u szczytu palisady, mężczyźni w skórach wprowadzają spętanych zakładników. Wymachują przed nimi mieczami. Krzyczą coś do najeźdźców.

Wiadomość jest jasna.

Wojownicy nadal podkopują mur, wykorzystując kilofy, miecze, a nawet gołe dłonie.

Pierwsi zakładnicy zostają zabici. Ich ciała spadają jak ciężkie worki.

Lucy rozpoznaje jednego z pojmanych.

To rudowłosa dziewczyna.

Ma zamknięte oczy i wygląda na nieprzytomną. Jej bezwładne ciało podtrzymuje dwóch wytatuowanych mężczyzn – łucznik i szermierz. Ten drugi przykładą jej miecz do gardła. Wypatruje

kogoś w tłumie u podnóża palisady, a kiedy odnajduje wzrokiem Kowala, krzyczy w jego stronę coś obraźliwego.

Kowal odwzajemnia mu się obelgą. Potem daje znak jednemu ze swoich towarzyszy. Tamten ścina mieczem strzały wbite w tarczę i unosi ją nad głowę, stając w rozkroku na ugiętych nogach. Dwóch innych wojowników chwyta mocno krawędzie tej prowizorycznej skoczni.

Kowal zaczyna biec w ich stronę, a kiedy wskakuje na tarczę, ta wyrzuca go wysoko w górę, ponad ostre końcówki pali. W locie mężczyzna bierze zamach, by w kluczowym momencie zaatakować.

Lucy widzi to wszystko w zwolnionym tempie.

Młot szerokim łukiem zmierza prosto w stronę przerażonej twarzy szermierza.

Miecz otwiera gardło dziewczyny.

Młot uderza w głowę szermierza i oddziela ją od korpusu.

Za późno.

W oczach Kowala pojawia się niedowierzanie i rozpacz...

Przeszłość zwalnia swój uścisk i wyrzuca Lucy z powrotem w terażniejszość. Wpatrzona w nieistniejący punkt, uświadamia sobie w końcu, że ma przed sobą w te same oczy co w Wejrzeniu.

Oczy pełne niedowierzania i rozpacz.

Kowal delikatnie wyjął młot z jej rąk i posadził ją na schodach, aby doszła do siebie. Kręciło jej się w głowie.

– Kochałeś ją... tę rudowłosą dziewczynę...

Skinął głową.

– To była twoja żona?

Niemo zaprzeczył i odwrócił wzrok.

– Córnica – wyjaśnił po chwili. – Właśnie tak umarła...

– Ale... jak to możliwe, że żyjesz tak długo?

– Nie rozumiesz – odparł. – Nie żyję, odkąd przeszedłem przez czarne lustro. Dzieje się tak z każdym, kto tego dokonał. Po drugiej stronie jest Inne, a Inne to nieżycie.

– Ale wróciłeś.

– Tak.

– Jakim cudem?

Usiadł na stopniu obok niej i wziął głęboki oddech. Potem zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Wracanie do tych wydarzeń najwyraźniej było dla niego bardzo bolesnym przeżyciem.

– Jestem anomalią, dewiantem, wynaturzeniem. Jestem paradoksem. Prawdziwym paradoksem. Nie tylko stanowią antytezę śmierci rozumu. Moja egzystencja zaprzecza także śmiertelności nierozumu, który kryje się za czarnymi lustrami. Jestem umarłym, który wciąż żyje, a jednocześnie żywym, który nieustannie umiera. A przy tym wszystkim wciąż nie mogę zapomnieć, że jej tu już nie ma. Mojej córki. Pamiętam ją na tamtym pomoście u szczytu palisady. Pamiętam ten moment, kiedy byłem naprawdę żywy; kiedy wierzyłem, że ona wciąż żyje, kiedy wskakiwałem na tarczę, a potem na całą wieczność zawisłem między niebem a ziemią, przepelniony słusznym gniewem, wiedząc zarazem, że moja szybkość i siła nie będą w stanie jej ocalić. To był moment, po którym przegrałem.

Otworzył oczy i spojrział na nią.

– Nikt nie mógł jej uratować – powiedziała Lucy. – Widziałam to przecież. Gdy biegłeś z odsieczą, twoja córka była już martwa.

– Któż inny potrafiłby wrócić z drugiej strony czarnego lustra? – spytał retorycznie. – Skoro tego dokonałem, ją także powinien umieć ocalić.

Westchnął ciężko i wstał.

– Teraz widzisz mnie takim, jakim jestem: człowiekiem, który potrafi wytłumaczyć wszystko... oprócz siebie samego.

– Byłeś kiedyś jednym z nich? – zapytała ostrożnie. – Sluagh?

– Oni nie byli wtedy Sluagh. To znaczy nie do końca, nie w tamtych czasach. Dopóki ich nie podbiliśmy, nie wyrzekli się dnia i nie wędrowali wyłącznie nocami – powiedział, odkładając młot na kowadło. – Po zwycięstwie zabraliśmy im flagi i zabiliśmy ich wodzów, a potem zakopaliśmy tę pieprzoną jamę z czarną wodą i ponownie sprowadziliśmy kruki, aby pilnowały tego miejsca. Później ze zdobytych flag stworzyliśmy jedną wspólną i sprawiliśmy, że nasi wrogowie zaczęli być wrażliwi na żelazo.

– I co dalej?

– Dalej przytrafił się czas. Przytrafiła się historia. To, co niegdyś było krwawym ołtarzem, stało się świątynią, później jeszcze inną świątynią, a wreszcie zamkiem z White Tower, wokół którego wyrosło miasto. Ludzie rodzili się i umierali. I zapominali o starych wydarzeniach. Świat w pewnych aspektach stał się łatwiejszy, a w innych trudniejszy. Ale ci, którzy przyrzekali bronić Tower, wkrótce stali się tymi, którzy bronili także miasta. Swoją lojalność przekazywali z pokolenia na pokolenie, a ich poczucie odpowiedzialności oraz wzajemne zaufanie było wszystkim, na czym mogli polegać.

Potrząsnęła głową. Coś tu było nie tak.

– A właściwie dlaczego mi to mówisz? – spytała.

– Ponieważ znam metale i minerały i wiem, co jest dobre, a co nie. Z tobą jest coś... coś nie tak, Lucy Harker – powiedział. – Chodzi o zaufanie. Nie wiem dlaczego, ale nie jesteś w stanie nikomu zawierzyć. I tego nie da się naprawić tak po prostu, od ręki. To wymaga żmudnego i długotrwałego treningu. Musisz przy tym wiedzieć, że istnieje pewien rodzaj nieufności, który na skutek traumatycznych przeżyć jest zakorzeniony tak głęboko, że wszelkie standardowe metody zawodzą. Jedynym, co może wtedy pomóc, jest miłość. Ale nie jednostronna: to musi być miłość wzajemna, czyli ofiarowana tobie przez kogoś drugiego, i temu komuś przez ciebie. I to jest to, czego ci życzę, dziewczyno. Miłości. I siły, aby być sobą, kiedy już ją znajdziesz.

Powiedziawszy to, przeszedł obok niej, przelotnie kładąc rękę na jej ramieniu, a później wspiął się po schodach i zniknął w ciemności.

Lucy siedziała zgarbiona, rozglądając się po warsztacie oświetlonym przez stojącą na kowadłe świecę. Oczy jej się zaszklily. Wytarła łzy, zanim spłynęły jej po policzkach.

Miała rację, żeby nie ufać Kowalowi. Otworzyła się i on to wykorzystał. A to, co powiedział, bolało jak diabli.

ROZDZIAŁ XXXIII

Skąły i wir

Coram wychowywany był przez ojców na prawdziwego Templebane'a, ale lojalność przyrzekł przerażającemu Mountfellowowi. Gdyby użyć przenośni, znalazł się pomiędzy Scyllą a Charybdą. Ale nie przejmował się tym. Jak na bystrego człowieka przystało, postanowił rozegrać obie strony przeciwko sobie, mając nadzieję, że wzajemna walka rozwiąże wszystkie jego problemy.

Właśnie wracał do domu, dźwigając na plecach sporej wielkości worek. W środku znajdowały się bomby – trzy żeliwne kule wypełnione prochem. W zabawnych koszulkach, z karbowanymi lontami wystającymi z otworów na górze, wyglądały jak zwyczajne owoce granatu. Coram kupił je od zapijaczego i wiecznie zadłużonego oficera, który stacjonował w Royal Arsenal w Woolwich. Zapłacił funta za sztukę, ale nie miał zamiaru podzielić się tą wiadomością z Issacharem. Niech ojciec wierzy, że cena wynosiła cztery funty. Zaoszczędzoną w ten sposób monetę chłopak traktował jako zarobek – inwestycję we własną przyszłość.

Issachar, który przez długi czas wyglądał i czuł się koszmarnie, powoli zaczynał wracać do zdrowia. Poprawę swojego stanu przypisywał zasługom Corama, który jego zdaniem jako jedyny walczył o interesy Domu Templebane'ów. Szczególnie ubodło to Abchurcha – i to pomimo tego, że wszyscy wiedzieli, iż ozdrowienie ojca wynika po prostu ze zmniejszenia dawek laudanum.

Ale wystarczy już o Scylli – większym problemem była Charybda. Wiedząc, że Mountfellowowi zależy na dostępie do Czerwonej Biblioteki, Coram rozważał poinformowanie go o ataku na siedzibę Nadzoru, jednak ostatecznie uznał, że to bezcelowe. Zanim ten nastąpi, wicehrabia i tak o niczym się nie dowie, a potem będzie już za późno. Zapewne niewiele da także śledztwo, jakie niewątpliwie zostanie potem przeprowadzone. W końcu po to składał Mountfellowowi przysięgę wierności, aby dać mu do zrozumienia, że w razie jakichkolwiek kłopotów jest

poza podejrzeniem. A nawet jeśli by wpadł, to miał jeszcze kozła ofiarnego, zezowatego brata Abchurca, na którego mógłby wówczas zrzucić winę. Po prostu powie, że to od niego kupił pomysł i przekazał go Issacharowi.

Bomby coraz bardziej ciążyły mu na plecach, ale zamiast narzekać, tylko uśmiechnął się pod nosem. Był podekscytowany wizją wysadzenia rafinerii cukru, a co za tym idzie, zniszczenia siedziby Nadzoru. Liczył, że wszyscy członkowie Wolnego Bractwa będą wtedy na miejscu. Nigdy nie wybaczył im upokorzenia, jakie zafundowali mu na rzece. Do tego na oczach Mountfellona.

Jednego był pewien: niezależnie od tego, co się stanie, jemu nic nie groziło. Musi tylko zaraz po powrocie ukryć zaoszczędzonego funta pod materacem Abchurca. Jeśli zajdzie taka potrzeba, „przypadkowo” znajdzie go i użyje przeciw swojemu konkurentowi na dowód jego winy.

Tak, pomyślał, to znakomita inwestycja.

ROZDZIAŁ XXXIV

Korek

Czas mijał, a zakonnica wciąż nie wracała. Sharpowi szybko zaczęły doskwierać głód i pragnienie, których wcześniej, w lustrzanym labiryncie, nie czuł. W tamtej rzeczywistości wszystko było inne, ale tutaj, w zwyczajnym świecie, momentalnie stał się ofiarą przyziemnych potrzeb.

Wyjął z kieszeni ciastko i dwa kawałeczki suszonego mięsa, które trzymał na czarnej godzinę, a których wcześniej nie znalazł (lub znalazł, ale nie wziął) przekłęty Dee. Jadł powoli, delektując się każdym kęsem. Pozwolił sobie na zjedzenie tylko połowy zapasów i kiedy skończył, schował resztę z powrotem do kieszeni.

Ale problemem wciąż była woda, a raczej jej brak.

Starając się nie myśleć o pragnieniu, wrócił do oczyszczania przestrzeni wokół lustra, które wcześniej ustawił szklaną taflą do

ściany, potem jednak przeniósł się na środek groty. Początkowo zamierzał, przez wzgląd na szacunek dla zmarłych, kompletować z kości całe szkielety, ale szybko stało się jasne, że w tych warunkach nie będzie w stanie określić, jakie części do siebie pasują. Zamiast tego zdecydował się więc na najprostszą metodę magazynowania szkieletów używaną w ossuariach na całym świecie i zaczął dzielić kości według typu i kształtu. W ten sposób na uboczu groty szybko wyrosły trzy spore kopce: czaszek, kości udowych ułożonych jak drewniane belki, a także przemieszanych ze sobą pomniejszych kości. Pośród rumowiska Sharp znalazł także więcej części rozbitych beczek z prochem, które układał w osobny stos. Po jakimś czasie na tyle przyzwyczał się do wykonywanej czynności, że przestał zwracać uwagę na fakt, że ma do czynienia z ludzkimi szczątkami. Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Gdy wreszcie dokopał się do podłoża, problem z brakiem wody się rozwiązał, a przy okazji Sharp uzyskał odpowiedzi na kilka pytań. Wcześniej zastanawiał się, jak to możliwe, że pieczara teraz jest sucha. Woda musiała stąd wypłynąć lub wyparować. Ale jak? Którędy? Przeniósłszy jeszcze parę szkieletów, odkrył szczelinę w kamiennym podłożu, długą na mniej więcej cztery stopy i szeroką na najwyżej osiem cali, a kształtem przypominającą zagięty strąk groszku. Gdy włożył do niej rękę, pod palcami poczuł wolno płynącą, zimną ciecz.

Podziemny strumień, pomyślał.

Nabrał wody w obie dłonie i chciwie wlał ją w wysuszone gardło. Odetchnął z ulgą.

Zrozumiał, że to właśnie dzięki tej szczelinie opróżniono jaskinię, choć nadal nie znał szczegółów całego procesu. Sięgnął głębiej, zanurzając rękę prawie po bark. Jego dłoń trafiła na spoczywający na dnie but, który zaczepił się o jakąś wystającą krawędź. Wyciągnął go i odłożył na właściwy stos.

Segregował nie tylko kości, ale i inne rzeczy: świeczki, buty z cholewą i bez, pasy i paski, a nawet fragmenty ubrań. Te ostatnie rozłożył na podłodze, czyniąc z nich legowisko, tak by mieć gdzie wypocząć podczas przerw w pracy. Wśród odkrytych

skarbów były także zardzewiałe i niezdatne do użytku rewolwery oraz miecze, a nawet spora liczba monet i obrączek ślubnych.

I oczywiście pierścienie. Złote, z cętkowanymi kamieniami, na których wyryto lwy i jednorożce.

To właśnie one wstrząsały nim najbardziej. Pewnie dlatego, że każdy z nich oznaczał ludzkie życie. I dlatego, że sam nosił podobny.

Naturalnie każdy z pierścieni zabezpieczał, starannie owijając go w materiał. Uważnie przy tym je liczył. Od Kucharki i Kowala, którzy nieraz rozprawiali o desperackiej wyprawie Nadzoru, wiedział, że w drogę wyruszyło dokładnie osiemdziesięciu pięciu śmiałków. Lecz mimo uporządkowania całej jaskini doliczył się jedynie osiemdziesięciu czterech pierścieni. Wcześniej przeliczył je kilka razy, a teraz, z braku innych zajęć, postanowił wrócić do stosów mniejszych kości i sprawdzić je ponownie, by się upewnić, że nie przeoczył żadnego sygnetu. Przejrzał także stos większych kości. Bez rezultatu.

Poddał się. Zgasił świece i spoczął na swoim prowizorycznym pościeliu.

Czekając na sen, zaczął rozmyślać o Sarze Falk. Zastanawiał się, gdzie teraz jest i czy istnieje jakakolwiek szansa, że zakonnica ją znajdzie. To przypomniało mu o umowie i o mężczyźnie, którego miałyby zabić dla lustrzaka – oczywiście jeśli jakimś cudem sam przeżyje, a zjawa dotrzyma obietnicy. Wtedy będzie mógł dalej szukać ręki Sary. Znowu wróciło pytanie o brakujący pierścień. Nie Sary. Ten z jaskini.

Nie mógł zasnąć, więc z powrotem zapalił świece i podszedł do ściany, pod którą piętrzyły się stosy kości.

Miał świadomość, że z boku mogłoby to wyglądać idiotycznie, ale w końcu był tu sam. Brał do ręki czaszkę po czaszce i potrząsał nimi, jak dziecko chcące sprawdzić zawartość skarbonki. Niestety, nie usłyszał żadnego odgłosu metalu uderzającego o kość. Ponownie ułożył stos z czaszek, odruchowo je licząc, a kiedy skończył, uświadomił sobie, że jednej z nich brakuje.

Podniósł wysoko świecę, wznicił płomień, po czym obszedł jaskinię, wpatrując się w każdy zakamarek, a potem sprawdził także sterty szmat i resztek po beczkach. Bez powodzenia.

Przykucnął i rozejrzał się znowu.

Pięć minut później zaczął liczyć piszczele. Zsumował je, podzielił przez dwa i potwierdził, że liczba ciał się zgadza. Brak dotyczył tylko głów.

Usiadł na pościeli, by coś zjeść i wszystko przemyśleć. Żując kęs suszonego mięsa, poczuł pragnienie. Podeszedł do szczeliny.

Gdy już napił się z podziemnego źródła, doznał olśnienia. Zrozumiał, że to jedyne miejsce, gdzie mogła znajdować się czaszka.

Położył się na brzuchu, włożył rękę z zapaloną świeczką do wody i zajrzał przez szparę.

Świeczka nie zgasła, jedynie delikatnie zamigotała.

– Jaśniej – rozkazał.

Płomień rozbłysnął i oświetlił ściany podziemnego kanału. Sharp przycisnął twarz do zimnego kamienia i spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Nigdzie nie dostrzegł znajomego kształtu, ale odkrył, że u wlotu strumienia znajdują się dwie kości, promieniowa i łokciowa, owinięte we fragment rękawa. Wyjawszy rękę ze świecą, sięgnął ku nim drugą, pochwycił je i szarpnął, lecz bez skutku. Pociągnął jeszcze raz, silniej, a potem znowu, by w końcu zdać sobie sprawę, że coś je blokuje. Z powrotem włożył świecę do wody i wyteżył wzrok. Nurt na moment unióśł tkaninę i Sharp ze zdumieniem stwierdził, że za zaklinowanie odpowiedzialna jest brakująca czaszka. Powtórzył procedurę z drugą ręką, ale opuszki palców na próżno szukały jakiegoś punktu zaczepienia na gładkiej, obłej powierzchni. Ponownie chwycił za kości ramienia i pociągnął z większą siłą, przekręcając je i szarpiąc nimi na wszystkie strony. Wreszcie usłyszał chrupnięcie, a chwilę potem uwolnioną w ten sposób czaszkę porwał nurt, na zawsze zabierając ją w nieznane otchłanie. Rozczarowany Sharp wyjął z wody trzymaną w rękę kość. I nie mógł uwierzyć. Oto trzymał fragment przedramienia odziany w rękaw, a na jednym z przykurczonych palców ujrzał

mieniając się w blasku świecy złotą obrączkę.

Był tak zaskoczony tym niespodziewanym zwycięstwem, że się roześmiał, głośno i szczerze, a jego głos jeszcze długo odbijał się echem od sklepienia.

W tym samym czasie uwolniona czaszka dotarła do przewężenia kanału i tam utknęła niczym olbrzymi korek. Zatomowana woda zaczęła wzbierać i z bulgotaniem wypływać ze szczeliny w podłodze.

Sharp przestał się śmiać, z niedowierzaniem wpatrując się w kałużę rosnącą mu pod stopami.

Gdy się otrząsnął z pierwszego szoku, pojął ogrom konsekwencji tego, co się stało. Musiał działać, i to szybko. Spojrzał na sufit, potem na pierścienie na ścianach, a w końcu na ogromne stosy, które układał przez tak długi czas.

Jaskinię wypełni woda, to pewne. Już raz tak się stało. Ale nie zaleje jej w całości, więc nie musi to oznaczać śmierci. Potrafił pływać, nie mógł jednak tego robić w nieskończoność. Potrzebował czegoś, co by mu w tym pomogło; czegoś, co unosi się na powierzchni wody.

Tratwy.

Miał do dyspozycji tylko deski z rozbitych beczek i drewnianą oprawę lustra. Ale to powinno wystarczyć. Zaczął rozkładać na ziemi potrzebne elementy i wiązać je pasami z podartych ubrań. Pracował w pośpiechu. Ostatecznie zbudował solidną, prostokątną platformę – wystarczająco dużą, by dało się na niej usiąść. Potem podbiegł do stosu świec i wepchnął, ile zdołał, do kieszeni spodni i kamizelki, a nawet za pasek.

Woda sięgała mu już do łydek, ale miał wrażenie, że jej poziom podnosi się coraz wolniej. Czyżby tylko na strachu miało się skończyć?

Usiadł na tratwie i zrozumiał: kluczowy był tu gruszkowaty kształt jaskini. Kiedy tafla dotrze do miejsca, w którym ściany się zwężają, napływ wody znów przyspieszy.

Powietrze znacząco się ochłodziło, a on przypomniał sobie, że przecież strumień był lodowato zimny. Oznaczało to, że nawet jeśli nie utonie, to z pewnością umrze z wyziębienia.

Żałował teraz, że jeszcze kilka minut temu tak cieszył się ze swojego odkrycia. W duchu przeklinał się za swój niepoprawny optymizm.

Gdyby wierzył w bogów (a nie wierzył, bo byli zbyt nudni i wydumani w porównaniu ze wszystkim, co spotykało go na co dzień), mógłby teraz pomyśleć, że to boska kara za butę i arogancję.

Zgasił świeczkę i uznawszy, że nie wolno mu wpadać w panikę, oczyścił umysł. W duchu liczył na to, że w pewnym momencie woda przestanie napływać. Jednak w jaskini wciąż dało się słyszeć regularny bulgot.

– Saro... – powiedział cicho.

Sam nie wiedział, czy były to przeprosiny, czy też prośba o pomoc. A może modlitwa – jedyna, na jaką było stać bezbożnika.

ROZDZIAŁ XXXV

Staw

Amos nie miał pojęcia, że zbliżają się do Gallstaine Hall, dopóki nie ujrzał na horyzoncie charakterystycznych rusztowań, od których Bowland's Gibbet wzięło swoją nazwę. Mroczne sylwetki starych szubienic, oświetlane jedynie blaskiem gwiazd, zdawały się w złowieszczy sposób zapowiadać to, czego zamierzają dokonać Zmora i Sluagh. Oczywiście Amos ani na moment nie zapomniał, że nie jest dla nich współtowarzyszem podróży, lecz niebezpieczną bronią pomocną w realizacji zabójczych planów, mimo to starał się o tym nie myśleć. Nie bez znaczenia pozostawał tatuaż wokół jego szyi, który sprawiał, że musiał pogodzić się ze swoim losem. Zamiast dumać nad nieuniknionym, postanowił cieszyć się każdą przeżywaną chwilą tej osobliwej wyprawy. Przy okazji z uwagą obserwował Sluagh i zastanawiał się, co sprawia, że są tacy obcy, inni od ludzi, z którymi dorastał w wielkim mieście, a także – co być może komuś wydałoby się zaskakujące – co mają z nimi wspólnego.

Wędrowcy nocy byli tak dumni, a zarazem darzyli nie-Czystych taką pogardą, że zapytani o podobieństwa, z pewnością zaprzeczyliby ich istnieniu, ale z tego, co zauważył Amos, tak naprawdę każdy z nich bardziej przypominał człowieka aniżeli potwora. Byli tak samo nerwowi, flegmatyczni, marudni, dociekliwi, gadatliwi czy wulgarni jak zwykli ludzie. W grupie zdarzały się spory, ale istniały także przyjaźnie. Sluagh dzieliły stare żale, które przejawiały się w kłótniach wybuchających podczas podróży, a łączyły żarty, będące owocem zażyłości i wyrazem poczucia humoru. Amos zauważył, że ich dowcipy są specyficzne – śmieszne, aczkolwiek bardzo brutalne. Nie to jednak go niepokoiło, lecz fakt, że bawiły również jego.

Sluagh byli twardzi i surowi, a jednocześnie uwielbiali się przechwalać. Szczególnie gdy mogli popisać się swoją bezwzględnością i okrucieństwem. W towarzystwie Zmory i Amosa wada ta jeszcze bardziej dawała o sobie znać. A jednak choć wręcz rozplýwali się w opisach przemocy, nikogo podczas swojej podróży nie nastraszyli ani nie skrzywdzili. Przemieszczali się ostrożnie i niezauważenie, unikając jakiegokolwiek kontaktu. Amos doszedł do wniosku, że podobnie jak tatuaże czy stroje, wszystkie te mroczne opowieści mają jedynie dodać im animuszu – sprawić, że będą wyglądali na o wiele dzikszych i bardziej nieobliczalnych, niż są w rzeczywistości.

I wtedy, gdy już zaczynał myśleć, że nie są tacy źli, dotarli do stawu, gdzie zrozumiał, że poufałość nie zrodziła pogardy, ale coś znacznie dla niego groźniejszego: wrażliwość.

Jeszcze w Bowland's Gibbet Amos sądził, że na skrzyżowaniu całym oddziałem skręca w stronę Gallstaine Hall i podążą bezpośrednio do Mountfellona, ale kawałek dalej nieoczekiwanie odbili od traktu i skierowali się na szczyt niewysokiego wzgórza. Gwar rozmów towarzyszący wspinaczce cichł, w miarę jak zbliżali się do celu, i nim dotarli na górę, wszystkim udzielił się poważny, uroczysty nastrój. Staw na szczycie był w istocie niemal idealnie okrągłym zagłębieniem w skale, wypełnionym po brzegi ciemną, mętną wodą. Sluagh okrążyli go, ale żaden z nich

nie zsiadł z wierzchowca. Co więcej, także żadne ze zwierząt nie próbowało zaspokoić pragnienia.

„Co to jest?” – pomyślał Amos.

Zmora spojrzała na niego z ukosa.

„Staw nawadniający. Niektórzy nazywają je mgłowymi studniami. A teraz bądź cicho. Coś się dzieje”.

Amos popatrzył na gładką, połyskującą taflę. Odbijająca się w niej tarcza księżycy zdawała się spoczywać na dnie zbiornika, jakby ktoś ją tam uwięził. Rozejrzał się dookoła. Sluagh mieli zamknięte oczy, głowy lekko odchylili do tyłu. Wyglądali, jakby właśnie brali udział w jakiejś niemej ceremonii, z której on i Zmora zostali wykluczeni.

Sięgnął wzrokiem poza krąg jeźdźców. W oddali, za Bowland's Gibbet, rozciągał się widoczny w księżycowej poświacie mur, a za nim wysoka, ponura budowla z jaśniejącymi tu i ówdzie oknami. Gallstaine Hall.

Przeszedł go dreszcz.

Być może w jednym z tych rozświetlonych pokoi właśnie znajdował się mężczyzna, którego miał zabić.

Czaszka Borsuka obrócił konia. Wpatrywał się chwilę w pola uprawne poniżej, po czym wyciągnął rękę przed siebie.

– Jeśli się nie mylę, tam pasą się krowy. A za tamtym zagajnikiem jest także byk. Sprawdźcie to.

Sluagh bez słowa protestu zawrócili wierzchowce i popędzili we wskazane miejsca.

„Po co ci krowy?”

– W sumie nie chodzi konkretnie o nie, chłopcze – odparł Sluagh. – Po prostu nic innego nie mam pod ręką.

„Pod ręką? Do czego?”

– On potrzebuje krwi – wtrąciła Zmora.

Czaszka Borsuka skinął głową i spojrzał na Amosa.

– Do zachodu księżycy poleje się jej mnóstwo, Krwawy Chłopcze. A ty musisz zacząć taniec. Jedziemy.

To rzekłszy, pochylił się i chwycił cugle wierzchowca, którego dosiadał jego więzień. Było jasne, że nie do końca ufa chłopakowi, a przynajmniej że nie ma pewności, iż ten wykona

polecenia zgodnie z instrukcją.

We troje ruszyli ku pokrytym żelazem murom Gallstaine.

Plan był prosty. Tak prosty, że nawet nie uwzględniał żadnych alternatywnych rozwiązań. Wszyscy jednomyślnie pokładali nadzieje w potężnym, siejącym zniszczenie umyśle Amosa, uznając, że nie ma sensu niepotrzebnie komplikować spraw.

– Uda ci się albo nie – ciągle słyszał od Zmory. – Ale widziałam, co potrafisz w sytuacji zagrożenia. I wierzę, że dasz radę.

Przypomniał sobie o tatuażu, który miał go zmotywować do działania, i odruchowo podrapał się po przepasce zawiązanej wokół szyi.

W końcu dotarli w pobliże bramy. Ostatni odcinek postanowili przebyć pieszo. Zsiedli z wierzchowców i poprowadzili je wzdłuż brukowanej drogi. Kiedy Amos przybył tu po raz pierwszy, także była noc, ale wtedy niebo zakrywały ciężkie, burzowe chmury. Wokół błyskało, padał deszcz, a on brodził po kostki w błocie. Tym razem było inaczej.

Zatrzymali się i spojrzeli na mur otaczający posiadłość Mountfellona. Był wysoki, obity metalowymi wzmocnieniami i kolcami, porośnięty dzikim bluszczem. Z kolei wielka żelazna brama całkowicie pozbawiona była jakichkolwiek dodatkowych elementów, nie licząc herbu Mountfellona pośrodku. W półokrągłym oknie strażnicy paliło się światło.

Amos znów przypomniał sobie, po co tu przybył. Miał zabić człowieka. Nie lubił go, ale to jeszcze za mało, aby odebrać komuś życie. Zwłaszcza że jedyną krzywdą, jakiej doznał od wicehrabiego, było rozcięcie kciuka. I wyniosła, chłodna obojętność przedstawiciela wyższych sfer.

Amos nie był Krwawym Chłopcem. A na pewno nie chciał nim być. Odrzucał tę myśl od chwili, kiedy tak nazwała go Zmora, nawet mimo wspomnienia mózgu M'Gregora zbryzgującego sufit i futrynę. Czuł, jak łomocze mu serce. Ciepło bijące od tatuażu niepokojąco rozlewało się po całym ciele. Idąc drogą, powtarzał sobie, że daleko mu do bezdusznego mordercy. Nawet jeśli kogoś zabił, mógł z tym żyć, ponieważ nigdy tego nie chciał. W obydwu przypadkach jego działanie nie było świadome. Druciarz miał

zamiar poderżnąć mu gardło, a M'Gregor chciał wystrzelić z garłacza prosto w twarz. Amos tylko się bronił. Jak dotąd miał szczęście. I jak dotąd ratował go instynkt.

Ale to, co go czekało, nie było kwestią szczęścia czy instynktu. Tym razem chodziło o świadomą decyzję, która pozwoli mu przetrwać. Bo niespełnienie obietnicy oznaczałoby jego śmierć. Mimo że starał się tego nie robić, nie mógł przestać myśleć o umowie, do której został zmuszony. To przez nią musiał porównać swoje życie z życiem drugiego człowieka i dokonać wyboru. W sumie nie było nad czym deliberować: jeśli Amos ma żyć, Mountfellowon musi umrzeć.

A jednak mimo że napiętnowano go białym tatuażem i jasno wyznaczono cel, nadal się wahał. Od wielu lat tkwił w niemocy swojej ułomności. Była jego klątwą, a zarazem wybawieniem. To dzięki niej wyrobił w sobie nawyk prowadzenia wewnętrznych monologów, który często stawał się bronią obusieczną. Rozmowy te bowiem sprawiły, że nauczył się patrzeć na świat z różnych perspektyw. I właśnie teraz, kiedy prawie już się rozgrzeszył w myślach ze swoich wszystkich przeszłych i przyszłych czynów, uzmysłowił sobie jeszcze jedno: że ceną za jego życie nie jest śmierć Mountfellona, a on sam, jego jestestwo. Jeśli zrobi to, czego wszyscy od niego oczekują, resztę swoich dni spędzi na zadręczaniu się, że dokonał wyboru i z rozmysłem zamordował człowieka. Będzie zmuszony z tym żyć, a chcąc zachować czyste sumienie, będzie musiał okłamywać samego siebie, że inaczej nie mógł, że liczy się tylko przetrwanie, że jest wart więcej niż drugi człowiek. W ten sposób przestanie być Amosem, którego znał. Dlatego nadchodzące morderstwo będzie nie tylko końcem Mountfellona, a także kresem jego samego. A najgorsze, że miał głębokie przekonanie, że obecny Amos nie polubiłby tego nowego. A skoro tak, skoro ostatecznie miałyby stać się Krwawym Chłopcem, to czy gra, do której został zmuszony, jest warta takiego poświęcenia?

– Za dużo myślisz – powiedziała Zmora.

– Życie lub śmierć. Czarne bądź białe. Noc albo dzień. Najważniejsze decyzje zawsze są najprostsze – burknął Czaszka

Borsuka.

Świadomość, że obydwójce siedzieli głęboko w jego głowie i słuchali, o czym myślał, a także strach przed nadchodzącym rozlewem krwi, spowodowały, że jego ciało zbuntowało się.

Obserwowali go w milczeniu, jak raz za razem wymiotuje na drogę, a potem do rowu. Kiedy opróżnił żołądek, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł twarz. Przypomniawszy sobie, że wcześniej należała do druciarza, zmiął ją i ze złością wyrzucił w krzaki. Czyniąc to, pomyślał, że zachowuje się jak rozkapryszony dzieciak, który buntuje się tylko na pokaz.

„Dość”.

Odwrócił się i spojrzał na nich.

– Nie masz wyboru – powiedziała Zmora, a w jej skrzeczącym głosie dało się słyszeć łagodną nutę, jakby chciała go przeprosić.

Ucisząco machnął ręką i ruszył ku bramie, drapiąc się po swędzącym tatuażu.

„Przestań. Wiem. Mountfellow musi umrzeć”.

Stanowczość jest czymś wspaniałym. Rozwiewa wszelkie wątpliwości i oczyszcza umysł, przywracając poczucie sensu i celu.

Amos chwycił za sznur zwisający tuż przy bramie i zdecydowanym ruchem pociągnął za niego trzy razy. Ku jego zdziwieniu dzwonienie wcale nie obudziło psa czy nieprzyjemnego strażnika, których pamiętał z ostatniej wizyty, ale Whitlowe’a, posłańca Mountfellowa. Przypomniał sobie, że kiedy ostatni raz widział chłopaka, ten był płaczącym malcem z wiecznie zasmarkanym nosem. I najwyraźniej niewiele się zmieniło. Przynajmniej jeśli chodziło o nos.

Wychodząc na dwór, Whitlowe swoim zwyczajem wciągnął zwisającego gluta i przetarł twarz brudnym rękawem.

– Ktoam? – zapytał bełkotliwie. – Strażnik gdzieś poszli i zabroniono mi otwierać komu innemu, jak jemu i władcy.

Amos wyciągnął list, który napisała Zmora, i podał go chłopakowi.

– Do wicehrabiego Mountfellowa, oddać do rąk własnych – przeczytał powoli Whitlowe, wyraźnie zadowolony, że nie

napotkał żadnych nieznanymi mu słów.

Spojrzał na Amosa.

– Ale zara... jego tu ni ma, panie. Pojechał do Londynu. Dawnoemu.

Amos uważnie wsłuchiwał się w myśli chłopaka, kiedy ten mówił, i wiedział, że młody posłaniec nie kłamie, musiała jednak minąć chwila, zanim dotarł do niego sens tej wypowiedzi. Wcześniej był tak głęboko przekonany o powodzeniu planu, że nawet nie rozważał scenariusza, w którym wszystko runie jak domek z kart.

Przerażenie sprawiło, że mimowolnie nawiedził umysł chłopca. „Zaczekaj tu!” – pomyślał.

O dziwo, Whitelowe usłyszał ten rozkaz. Znieruchomiał, a jego twarz przybrała obojętny wyraz. Nawet nie zareagował, kiedy z nosa pociekło mu na brodę kilka kropli śluzu.

W tym czasie Amos wrócił za róg i chwiejnym krokiem podszedł do Sluagh i Zmory kryjących się w cieniu rozłożystego wiąz.

Nie mógł uwierzyć, że żadne z nich nawet nie pomyślało o tym, że Mountfellow może być zwyczajnie nieobecny.

„Nie ma go tutaj. Musimy jechać do Londynu”.

Zmora spojrzała na niego, jakby została spoliczkowana.

– Ale... – zaczęła.

Najwyraźniej porażka zaskoczyła ją tak samo jak jego.

– Możemy udać się do Londynu, ale my do niego nie wejdziemy – powiedział Czaszka Borsuka. – Z kolei dla ciebie to żaden kłopot, ale nie dotrzesz tam na czas, nawet jeśli dosiędziesz naszego najszybszego wierzchowca...

Wzruszył ramionami i przejechał dłonią po szyi.

Amos dopiero teraz poczuł dziwny, nieopanowany świąd i rozdarł kołnierz. Rzucił się na Zmorę i odsłonił gardło.

„Ile już szerniało?”

Spojrzała mu w oczy, a potem na tatuaż.

– Och... – westchnęła.

Jej spojrzenie mówiło samo za siebie. Domyślił się, że końce czarnej obręczy nieomal połączyły się w całość.

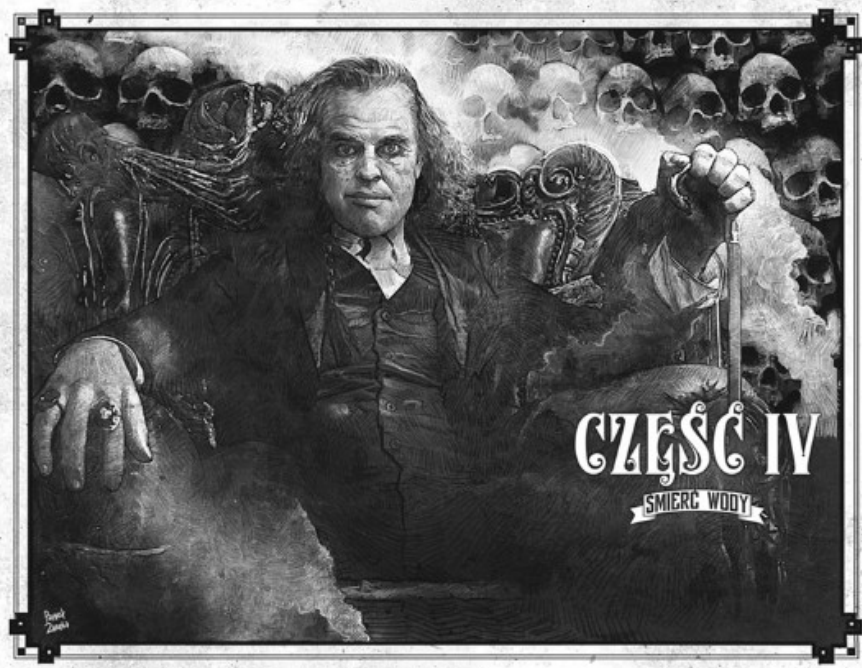
„Zabiłaś mnie”.

Zatoczył się do tyłu i spojrzął w niebo. Czuł się, jakby uwięziono go w celi o grubych murach i ogromnych metalowych drzwiach, odcinając od świata, pozwalając, by szczeł w odosobnieniu, na powrót obrócił się w proch, jakby nigdy nie istniał. Poświęcił tyle czasu na filozoficzne rozmyślenia o moralnych aspektach swojego niedoszęłego czynu, a teraz dostrzegł, jak głupie i naiwne były jego wątpliwości. Gdyby Mountfellow stał teraz przed nim, zabiłby go bez chwili namysłu. Zrobiłby to – i nie tylko to – byleby przeżyć. Nie chciał kończyć w taki sposób. Nie chciał porzucać tego wszystkiego, co przydarzyło mu się tej niezwyklej wczesnej jesieni. Nawet ponury okres spędzony w Domu Templebane'ów, pośród okrutnych i bezwzględnych braci oraz bezdusznych ojców, zdawał mu się teraz nie tak straszny. Miał wtedy zresztą nadzieję, że kiedyś nadejdą lepsze dni, a to osładzało największe cierpienia. Wreszcie zrozumiał. Życie to jedyna cenna rzecz, jaką ma każdy człowiek, ponieważ alternatywą jest pustka i ciemność. I beznadzieja.

Zrozumiał też jeszcze jedno. Właśnie na tę pustkę i ciemność był teraz nieodwracalnie skazany. I to tylko dlatego, że ani Zmora, ani Czaszka Borsuka nie potrafili przewidzieć, że Mountfellona może nie być tam, gdzie się go spodziewali.

Spojrzął na nich.

„Obydwoje mnie zabiliście”.





ROZDZIAŁ XXXVI

Tonące nadzieje

Tak jak Sharp przewidywał, tratwa idealnie się sprawdziła i de facto uratowała mu życie, teraz jednak, kiedy lustro wody uniosło się wysoko pod sklepienie, musiał z niej zejść i zanurzyć się po barki w lodowatej otchłani. Czuł, jak chłód wysysa z niego resztki ciepła, powodując odrętwienie całego ciała. Zgrabiące dłonie ledwie ścisnęły uchwyt. Zdecydował, że właśnie nadeszła chwila, aby skorzystać z planu awaryjnego i przypiąć się do tratwy przygotowanymi wcześniej pasami. To na wypadek, gdyby stracił przytomność.

Miotając się w wodzie, poluzował zapięcie, przeciągnął skórzaną wstęgę pod pachami, a następnie ponownie mocno zacisnął klamrę. Ta z pozoru prosta czynność zabrała mu znacznie więcej energii, niż się spodziewał. Nie był tym zachwycony, zważywszy na to, że powinien oszczędzać siły, nie wiedział bowiem, kiedy zakonnica wróci i wybawi go z opresji. Jeśli w ogóle będzie wiedziała, jak to zrobić.

Chłód stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Sharp miał wrażenie, że przenika go do szpiku kości i zamienia resztki ciepła w tępy, obezwładniający ból.

Znieruchomiał, dryfując niczym kłoda na powierzchni wody, jakieś trzydzieści, czterdzieści stóp nad podłogą, z głową w ostatniej kieszeni powietrza. Spróbował oczyścić umysł

i przezwyciężyć paraliżujący go strach. Bezskutecznie. Jego pogarszająca się z każdą chwilą kondycja oraz klaustrofobiczne położenie stały się nie do zniesienia. Był bezsilny i nie miał żadnego pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji. Gdyby tylko miał jakiś plan, jakiś cel – może to podtrzymałoby go na duchu i dodało sił.

I jeszcze ta ciemność.

Westchnął, nie rozpoznając własnego głosu.

Zaraz, zaraz, pomyślał. Przecież mam...

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął z niej świecę. Pstrykając palcami drugiej ręki, zapalił ją, kiedy jeszcze była w wodzie. W mętnej otchłani pojawił się nikły płomień.

– J-j-jaśniej – wychrypiał, dygocząc z zimna.

Płomień urósł, dając o wiele więcej światła, a zaraz potem lekko zadrżał. Sharp pamiętał butelkowaty kształt jaskini, ale nie spodziewał się, że zobaczy ściany tak blisko siebie. Możliwe zresztą, że wrażenie to potęgowało złudzenie optyczne, ale sytuacja i tak wydawała się poważna. Wyjął świeczkę z wody i spojrział w górę. Od sklepienia dzieliło go ledwie kilka stóp.

– Jasna cholera – zaklął i zaraz tego pożałował. – To znaczy nie jest dobrze – poprawił się.

Gdy tak dryfował z płonąca świecą przy twarzy, poczuł coś jeszcze – coś, o czym zdążył już zapomnieć. Ciepło bijące od ognia.

Wspaniałe uczucie.

Zacisnął szczęki, żeby przestać dzwonić zębami, i zaczął wyciągać świeczki jedna po drugiej, od razu je zapalając. Zdziwił się, że nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Zwłaszcza że w tych okolicznościach oszczędzanie zapasów czy planowanie czegoś na dłuższą metę było pozbawione sensu. Szybciej umrze z wychłodzenia, udusi się lub utonie. Wkrótce trzymał w garści pęk sześciu świec, ale kiedy zamierzał dołączyć do nich siódmą, ta wysunęła mu się z dłoni. Z zaskoczeniem obserwował, jak nikły płomień opada na dno, rozświetlając przestrzeń wokół. Woda musiała być naprawdę czysta.

– Dobrze i to – bąknął, niezrażony drobną porażką.

Cieszył się z tego, co miał. Ogrzanie twarzy i dłoni wyraźnie poprawiło mu humor. I choć nadal przeszywał go ziąb, to przynajmniej powróciło wspomnienie ciepła i światła.

Uśmiechnął się pod nosem, choć podejrzewał, że z zewnątrz wcale to tak nie wyglądało.

– Przynajmniej nie umrę w ciemności.

Woda cały czas wzbierała, a Sharp bezwiednie krążył w wirze utworzonym przez prąd. Musiał być już mocno zmęczony, bo dopiero po którymś okrążeniu zauważył, że poziom lustra przestał się podnosić. Z początku nie mógł w to uwierzyć, ale po kolejnym okrążeniu zyskał pewność. I zrozumiał. To szczelina, przez którą zagłędała zakonnica. Woda dotarła do niej i teraz zaczęła się przez nią przelewać.

Poczekał, aż wir przeniesie go w odpowiedni punkt jaskini, i odepchnął się od ściany, po czym podpłynął do otworu. W najszerszym miejscu szpara miała może siedem cali – wystarczająco dużo, by zmieściło się w niej ramię włożone aż po bark, ale jednocześnie za mało, aby precyzyjnie przecisnąć przez nią głowę i tułów. Tędy więc nie ucieknie, to pewne. Lecz skoro woda uchodziła przez szczelinę, to może ma więcej czasu, niż myślał. Inna sprawa, że to tylko odwleczenie w czasie nieuchronnego. Prędzej czy później zimno zrobi swoje. Chyba że ktoś przyjdzie mu z pomocą. Szanse na to były nikłe, z drugiej strony wiedział, że w takich sytuacjach wszelkie założenia są warte funta kłaków i że należy walczyć do samego końca.

– Odpoczniesz po śmierci – powiedział, cytując Kucharkę, która przed laty tymi właśnie słowami każdego ranka wyganiała go z legowiska w kuchni, zanim jeszcze przydzielono mu własny pokój na jednym z wyższych pięter domu.

Czując, że krawędzie szczeliny są gładkie, precyzyjnie przecisnął ramię przez otwór i zaczął badać ścianę po drugiej stronie. Jego palce nie trafiły na żaden uchwyt. Nie chcąc, aby znów porwał go wir, przewiązał zapasowym paskiem jedną z luźnych desek tratwy i zaklinował ją w otworze niczym kotwicę. Następnie wyjął z kieszeni kolejną świecę, zapalił ją i wrzucił przez szczelinę.

Zbliżył twarz do otworu i spojrzał przez niego. Wydrążony

w skale korytarz miał nie więcej niż pięć stóp wysokości. Na przeciwległej ścianie widniały wsporniki sztolni, a między nimi bieliło się wzmocnienie wykonane z pionowych i poziomych, najprawdopodobniej krzemianych szczepki. Całość tworzyła dziwny, frapujący wzór. Zanim wrzuconą do środka świeczkę porwał nurt i na powrót zapadła ciemność, Sharp zdążył jeszcze dostrzec wijące się na suficie linie czarnej sadzy – ślady po latarniach górników – a także... wpatrzoną w niego twarz.

– Kim jesteś? – krzyknął w ciemność. – Odezwij się! Potrzebuję pomocy!

Chwilę wsłuchiwał się w plusk wody wpadającej do korytarza, ale nikt mu nie odpowiedział.

Sięgnął po kolejną świecę i ją zapalił. Inaczej niż w przypadku poprzedniej, tej nie wrzucił do środka, tylko wepchnął przez dziurę. Znowu przybliżył twarz do otworu. Jego oczy trafiły na parę innych.

Dwie poczerniałe, nieruchome gałki oczne spoglądały wprost na niego.

– Pomocy! – wycharczał.

I wtedy zdał sobie sprawę, na co patrzy. To nie była twarz, a przynajmniej nie taka, która mogła mu odpowiedzieć. Patrzył na czaszkę, w której oczodołach ktoś umieścił dwa czarne i oszlifowane kamienie. W jednej chwili zrozumiał także, czym były „szczepki” dziwnej konstrukcji w sztolni. W końcu wcześniej spędził kilka dobrych godzin na układaniu ich w stosy. To były dziesiątki ludzkich kości udowych ułożonych na sobie tak, że tworzyły coś w rodzaju płotu. Czaszka znajdowała się w centralnym jego punkcie.

„A więc to nie kopalnia” – pomyślał, patrząc w kamienne oczy. „To katakumby”.

Woda sięgała mu do samej brody.

„Porzucone i zapomniane katakumby” – poprawił się.

Doskonałe miejsce na śmierć.

Na chwilę zamknął oczy. Poczul się śpiący. I zbyt zmęczony, by myśleć logicznie. Być może jeśli się zdrzemnie, siły wrócą i znowu będzie mógł podjąć walkę. Wystarczy minuta czy dwie. Chwilka...

Zmusił się do otwarcia oczu.

– Nie – powiedział stanowczym tonem.

Tak właśnie zabija chłód. Widział to nie raz, przemierzając zimą zaśnieżone ulice Londynu. Ludzie siedzieli w zaspach niczym zeszlone kukły. Zasypiali i odchodzili. Ze spokojem, bez żadnej szamotaniny. Chłód zakradł się do nich jak przyjaciel i szeptał im do ucha, że powinni się przespać, że wtedy przestaną czuć ból, że obudzą się silniejsi. A kiedy to ufnie robili, najpierw przychodziła ulga, potem zapomnienie, a na końcu, kiedy zapominali wziąć kolejny oddech, a serce stawało – nicość.

Nie, nie odejdzie tak.

Odgłos wody wlewającej się przez wąską szczelinę do katakumb jakby przycichł. Sharp na moment się ożywił, licząc, że może woda wreszcie przestaje przybierać. Raz jeszcze spojrzął przez dziurę. Mylił się – nic się nie zmieniło poza tym, że korytarz zalany był już w połowie i strumień uderzał w taflę z mniejszej wysokości.

Proste zasady fizyki unicestwiły jego ostatnią nadzieję: gdy korytarz wypełni się po brzegi, on znajdzie się po złej stronie, razem z trzema calami powietrza nad głową, warstwą tlenu, która skończy się ledwie w parę minut.

Sharp już wiedział: umrze tutaj.

ROZDZIAŁ XXXVII

Kamienne Morze w blasku księżyca

Wysoko na płaskowyżu Steinernes Meer, rozległym wapiennym krasie zajmującym centralną część Alp Berchtesgadeńskich, stojąca na grani kobieta w średnim wieku od dłuższego czasu spazmatycznie krzyczała w kierunku nieba.

Bezwietrzna noc była rześka, a powietrze wyjątkowo klarowne. Widoczne w oddali postrzępione grzbiety, wąwozy i zapadliska tonęły w jasnej poświacie Księżyca Myśliwych, który na tle dalekich, zimnych gwiazd zdawał się być na wyciągnięcie ręki.

Wcześniej kobieta zostawiła swojego męża oraz synka

w bacówce na skraju wysokich, letnich pastwisk – po tej stronie masywu, gdzie leży Salzburgerland – i wspinała się przez prawie dwie godziny, by ostatecznie dotrzeć do Kamiennego Morza i w samotności oddać się rozpacz. Jej okrzyki były rytmiczne, pozbawione słów i przypominały prymitywne, zwierzęcy skowyt. Płakała.

Ubrana była w ciemną lodenową pelerynę, na którą opadał gruby warkocz upleciony z częściowo posiwiałych włosów. Pod szeroką haftowaną wstęgą zwaną kropfband, którą miała na szyi, kryło się spuchnięte wole. Wśród mieszkańców górskich rejonów Europy Środkowej było to całkiem powszechne schorzenie, które zresztą wynikało z diety pozbawionej jodu, a nie – jak to obraźliwie twierdzili mieszkańcy nizin – z zawierania kaziurodczych związków.

Nie była piękna, lecz żałoba nadawała jej specyficzny urok. Miała w sobie ten rodzaj smutku, który sprawia, że ma się ochotę natychmiast okazać współczucie i zaproponować pomoc. Ona jednak nie chciała ani jednego, ani drugiego. W ogóle nie chciała niczyjej uwagi. To właśnie dlatego wspięła się tak wysoko i dopiero tutaj pozwoliła sobie na okazanie bólu. Ścisnęła w dłoniach pomięty list i zawodziła przejmująco na tle tarczy księżyca.

Podczas jednej z przerw między okrzykami, gdy nabierała powietrza, nieoczekiwanie usłyszała dzwoneczek.

Znieruchomiła, nasłuchując.

Charakterystyczny dźwięk rozległ się ponownie. Był zdecydowanie wyższy i delikatniejszy niż ten wydawany przez dzwonki noszone przez krowy. Zresztą byłoby tu czego szukać – brak odpowiednich pastwisk i zbyt strome podejście skutecznie je odstraszały. Jedynie kozy były na tyle zwinne i uparte, by zapuszczać się tak wysoko. Inna sprawa, że jedynym powodem, dla którego to robiły, była ucieczka przed drapieżnikiem.

Świadomość, że w pobliżu może przebywać wilk lub nawet niedźwiedź, sprawiła, iż kobieta postanowiła więcej nie krzyczeć. Zamiast tego zaczęła nasłuchiwać.

Dzwonek wciąż dzwonił – nieregularnie i coraz głośniej, jakby zwierzę z trudem pokonywało kamieniste zbocze, nieustannie podążając w jej kierunku. Kobieta wsunęła pognieciony list za gorset, otarła łzy z policzków, a potem podniosła z ziemi długą ciupagę. Trzymając ją jak szablę, ostrym końcem do przodu, wpatrywała się w stronę, z której dobiegały dziwne odgłosy. W końcu usłyszała coś jeszcze.

Kroki.

„Więc to nie kozioł. A przynajmniej nie tylko kozioł” – pomyślała, chowając się w cień skały.

Nagle rozległ się płaczliwy, dziecięcy głos, dobiegający z odległości jakichś kilkunastu, może kilkudziesięciu jardów.

– Hansi? Gdzie jesteś, ty głupi zwierzu? Ojciec mnie zabije...

Kobieta odetchnęła. A więc jakaś dziewczynka, która opiekowała się stadem kóz, najwyraźniej zgubiła jedną z nich. Co więcej, bojąc się konsekwencji, gotowa była szukać swej zguby nawet o tej porze.

Kobieta uśmiechnęła się. Ktoś taki nie był dla niej zagrożeniem.

Odganiając smutek, który przepełniał ją z powodu otrzymanej wiadomości, postanowiła pomóc małej pasterce. Jeśli poczeka, to koza sama wejdzie jej w ręce, a wtedy zawoła dziewczynkę i przekaze jej uciekiniera. Dzieci nie powinny włóczyć się o tej porze po tak odludnych miejscach. W ciemności czyha wiele niebezpieczeństw.

Wyteżyła wzrok. Na szczycie poszczerbionego głazu, mniej więcej dziesięć jardów od niej, dostrzegła nieruchomy kształt. Zwierzę sprawiało wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwało, w każdej chwili gotowe do ucieczki.

– Hansi? Głuptasie, gdzie jesteś? – głos dziewczynki brzmiał coraz bardziej desperacko.

Kształt się poruszył, dzwoniąc kilka razy, po czym znów znieruchomiał.

Kobieta nie raz miała do czynienia z kozami i wiedziała, że rozbawione zwierzę czeka, aż dziewczynka podejdzie bliżej, by umknąć jej w ostatniej chwili. Taka zabawa mogłaby trwać do samego rana. Albo do czasu, aż któreś z nich spadnie w jakąś

przepaść.

Odwróciła ciupagę tak, by w razie czego móc zahaczyć rączką o obrózkę z dzwonkiem, i oddychając coraz wolniej, zaczęła skradać się w stronę głazu.

Mroczna sylwetka zeskoczyła na ziemię i ukryła się w głębokim cieniu po drugiej stronie głazu. Kobieta obeszła przeszkodę i zatrzymała się. Czekwała, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności. Po chwili z zaskoczeniem odkryła, że z bliska koziołek jest znacznie większy.

I wtedy dzwonek zadzwonił ponownie, a kształt ruszył w jej stronę, zatrzymał się jednak na granicy światłocienia.

– *Frau Wachman?* – usłyszała, wpatrując się w dziwny przedmiot, który pojawił się w blasku księżyca.

To była kusza – z podwieszonym od spodu dzwonkiem i co gorsza, z nałożonym i gotowym do strzału bełtem wycelowanym prosto w nią.

Ani drgnęła.

Na plecach poczuła zimny dreszcz. Nie rozumiała, jak to możliwe, że jakiś uzbrojony mężczyzna najwyraźniej dobrze ją zna, choć sama nijak go nie rozpoznaje.

– *Frau Wachman?* – powtórzył.

– Kim jesteś? – spytała, czując w gardle nagłą suchość.

– To ja, Otto von Fleischl.

Usłyszawszy to, poczuła, jak podnoszą jej się włoski na karku.

– *Von Fleischl? Jesteś...*

– *Schattenjägerem.* Tak.

Postać wciąż pozostawała w cieniu, ani na moment nie opuszczając broni. Nie wyglądało to dobrze. Kobieta pomyślała o ucieczce. Mogłaby skoczyć w bok, za głąz, a potem pobiec w stronę niskiego zagajnika na skraju Kamiennego Morza. Niestety, zanim znalazłaby schronienie pośród karłowatych drzew, musiałyby przebyć spory kawałek na otwartej przestrzeni, gdzie stałaby się łatwym celem dla mężczyzny uzbrojonego w kuszę. Miała rację – w ciemności czyha wiele niebezpieczeństw. Jak widać, groźnych nie tylko dla małych dzieci.

Na samą myśl o tym, co może ją spotkać, poczuła mdłości. Dobrze знаła opowieści o *Schattenjägerach*, Łowcach Cienia. Do tego żyła w górach wystarczająco długo, by wiedzieć, że wiele mrocznych historii często okazuje się zawierać więcej prawdy, niż sądzą mieszkańcy jasno oświetlonych miast.

– A gdyby nie trafił cię bełt – usłyszała szept tuż koło ucha – ja bym cię dogoniła i zabiła.

Uświadomiła sobie, że jakimś cudem dziewczynka szukająca wcześniej koziołka podkradła się do niej od tyłu, nie wydając przy tym najmniejszego szmeru. Tym razem miała inny głos, starszy i tak samo spokojny jak *Schattenjäger*.

Kobieta poczuła łaskotanie na karku i domyśliła się, że to czubek długiego i ostrego noża myśliwskiego. Zrozumiała również, że jakakolwiek próba buntu w ułamku sekundy poskutkowałaby jednym szybkim pchnięciem między kręgi szyjne, które przecięłoby jej rdzeń i wywołało całkowity paraliż. Nie było to trudne do odgadnięcia, kiedy już uzmysłowiła sobie, kim może być dziecko – Nożem Łowcy Cienia.

– Jesteś *Schattenjägermesserem*, prawda?

Dziewczyna fuknęła, co równie dobrze mogło być oznaką irytacji, jak i rozbawienia.

– Głupie przewisko. Wolę, kiedy wołają na mnie Ida Laemmel – wyjaśniła. – Ręce za plecy. Bardzo powoli.

Kobieta nie miała wątpliwości, że znalazła się w poważnych tarapatkach. Była przerażona perspektywą własnej śmierci, ale mogło być jeszcze gorzej. Dopóki ją mieli, mogli wyciągnąć z niej informację o miejscu pobytu syna i męża, a tego by nie zniósła. Wciąż mogła ich ocalić. Musiała tylko sprawić, że intruzi zechcą ją zabić.

Choć przecież wcale nie chciała umierać. Mimo ogromnej straty nadal chciała żyć. Nawet w żałobie można jakoś egzystować.

Ale ryzyko było zbyt...

Nie dokończyła myśli. Ida Laemmel bez żadnego ostrzeżenia uderzyła ją kościstą pięścią prosto w nerkę. *Frau Wachman* upadła na kolana, półprzytomna, bez tchu, z szeroko rozwartymi ustami. Nie była w stanie zareagować, kiedy dziewczynka

chwyciła ją za prawą rękę, wykręciła do tyłu i założyła jakąś metalową obręcz na kciuk, a potem to samo zrobiła z lewą ręką. Chwilę później, zanim jeszcze zdążył minąć paraliżujący ból, kobieta uświadomiła sobie, że założono jej kajdanki.

– Ida... – powiedział mężczyzna, a w jego głosie dało się słyszeć nutę potępienia.

Dziewczyna obeszła *Frau Wachman* i zatrzymała się naprzeciwko. Była zaskakująco młoda i całkiem ładna. Na ramiona służyły jej długie, grube warkocze, a zza pleców wystawała rękojeść niewielkiej kuszy. Co ciekawe, nie miała na sobie gorsetu i spódnicy, lecz trachten, czyli męski strój myśliwski: miękkie bryczesy ze skóry jelenia, które ciasno przylegały do jej pośladków i ud, a także identyczną kurtkę sięgającą do pasa. Delikatny zamsz wcześniej ufarbowano na czarno i ciemnozielono, aby ułatwić maskowanie. Ida w jednej ręce trzymała długi nóż, a w drugiej cienki srebrzysty łańcuch.

– Chciała nas przechytrzyć – powiedziała. – Jej rodzina ukrywa się w bacówce na wysokich pastwiskach. Syn i mąż. Nie chciała, żebyśmy się o tym dowiedzieli.

Świat wokół kobiety zawirował. Zawiodła swoich bliskich. Sama zdradziła temu potworowi, który potrafił czytać jej w myślach, miejsce ich pobytu.

– Potwór to niemiłe określenie – zaprotestowała Ida, pociągając za srebrny łańcuch, a *Frau Wachman* dopiero teraz spostrzegła, że przyczepiony jest do kajdanek na kciukach.

– Jak możesz tak o nas myśleć? – spytał retorycznie Otto, wychodząc z cienia.

On także nosił ufarbowany na ciemno trachten, ale dodatkowo miał na sobie jeszcze filcowy kapelusz z opuszczonym rondem zasłaniającym czoło i oczy. Podłużna twarz kończyła się gęstą czarną brodą.

– Wiesz, kim jesteśmy.

Frau Wachman zmierzyła ich pogardliwym wzrokiem.

– Wiem – rzuciła wyzywająco. – I przeklinam was za to, co robicie.

– Zachowaj te żałosne groźby dla siebie. I pamiętaj: spróbujesz

ostrzec męża, a nie tylko zrobimy to, za co nas tak przeklinasz, ale w dodatku przyłożymy się do tego tak, że pożałujesz – oznajmił Otto. – A skoro wiesz, kim jesteśmy, to z pewnością słyszałaś też, że nigdy nie rzucamy słów na wiatr. Wszystko jasne?

Gdyby zdecydowali się zejść po bawarskiej stronie masywu, wędrowaliby w cieniu i musieliby iść wolniej, uważając na kamienne osypiska i skalne wyrwy. Dlatego ostatecznie zmienili plan i zamiast tego skręcili ku łagodniejszym zboczom po stronie austriackiej. Oświetlone blaskiem księżyca pozwalały im wędrować znacznie szybciej i bezpieczniej. *Frau Wachman* szła między swoimi oprawcami, prowadzona na łańcuchu niczym zwierzę – świadoma, że dziewczyna wciąż ściska w dłoni nóż, a Łowca celuje w jej plecy z kuszy.

Po długim marszu wreszcie dotarli do rozległej doliny. Daleko w dole dostrzegli rozświetlone okna wiejskich domostw przy drodze do Saalfelden. I linię ruchomych ogników przemieszczających się wzdłuż srebrnego pasma rzeki płynącej przez środek żyznych terenów nizinnych. Kobieta zastanawiała się, czym są owe ogniki.

– Przecież wiesz – stwierdziła dziewczyna, ani na chwilę nie zwalniając kroku.

– Tak, wiem, to ludzie – odparła *Frau Wachman*. – Szukają takich potworów jak wy. Mają ze sobą widły i kosy, żeby rozszarpać was na kawałki.

– I strzelby – powiedział Otto. – Zapomniałaś o broni palnej.

– A zatem dobrze, że są na dole, a my tu, na górze – dodała Ida. – Prawda?

Schattenjäger chrząknął.

– Tak naprawdę wcale nie polują na potwory – oznajmił. – Jeszcze nie.

Frau Wachman szurnęła butem o kamieniste podłoże. Kilka kamyków osunęło się w dół zbocza, w kierunku drzew rosnących poniżej. Kobieta miała nadzieję, że hałas ostrzeże jej męża. Oczywiście zanim myśl ta zdążyła się skryształizować, błyskawicznie wygnała ją z głowy, modląc się w duchu, żeby

dziewczyna z warkoczami nie słuchała jej umysłu przez cały czas. Zamiast tego skupiła całą swoją uwagę na jedzeniu. Pomyślała o gotowaniu, o tym, jak bardzo kocha przyrządzać potrawy, jak wiele przyjemności sprawia jej krojenie i mieszanie składników, a potem gotowanie ich lub zapiekanie. Pomyślała o swojej ciepłej, pachnącej przyprawami kuchni i o stole, przy którym siadali jej najbliżsi. Oczami wyobraźni ujrzała ich twarze oświetlone lampą zwisającą z krokwi. Przypomniała sobie także o swoim synu i o liście – tym samym, który sprowadził ją do Steinernes Meer...

– Co w nim było? – zapytała dziewczyna.

Frau Wachman zacisnęła usta. Nie powie im tego. Nie wspomni o dziwnym człowieku o nazwisku Dee, który wyszedł z luster, by dostarczyć jej przesyłkę, a następnie tam wrócił, zanim zdążyła ją przeczytać. To jej żałoba i nikomu nic do tego. Mogą robić, co chcą, ale nie wyciągną z niej tego...

– Wciąż się zapominasz – stwierdziła *Ida* z rozbawieniem. – To kto umarł?

Frau Wachman zsunęła się po zboczu, posyłając w dół kolejną kaskadę skalnych okruchów. Szarpnięcie łańcucha sprawiło, że jęknęła z bólu, gdy kajdanki wygięły jej kciuki w złą stronę. Nie chcąc ich sobie połamać, musiała odwrócić się w bok, plecami do dziewczyny. Tak jak się spodziewała, *Schattenjäger* wciąż celował w nią z kuszy.

– Więc kto umarł? – spytał. – Też jestem ciekaw.

– Mój syn – odparła cicho. – Żebyście smażyli się w piekle za zmuszanie mnie do takich wyznań.

– Syn?

– Tak. Jeden z nich. Gdyby tutaj był, odpowiedzialibyście za to, co robicie jego bezbronnej matce.

Dziewczyna zaśmiała się.

– Och, nie jesteś taka bezbronna, na jaką wyglądasz, *Frau Wachman* – powiedziała z przekąsem. – A jeżeli jeszcze raz spróbujesz ostrzec swojego męża, wywołując lawinę, coś ci się stanie i będziemy musieli cię nieść. Nie zdołasz uciec przed tym, co nieuchronne.

– Jak umarł twój syn? – zapytał *Schattenjäger*, sygnalizując

ruchem kuszy, że powinna się obrócić i iść dalej.

Kobieta czuła, jak list, który wcześniej wcisnęła pod gorset, wręcz pali jej skórę.

– I dlaczego był aż w Londynie? – zapytała dziewczyna. – To cholernie daleko stąd. Co on tam robił?

Frau Wachman nie odezwała się.

– Mniejsza z tym – powiedział Łowca. – Od teraz ani mru-mru.

Bez przeszkód dotarli do linii drzew. Bacówka była już tylko pół mili stąd.

Frau Wachman czuła się bezsilna. Dziwaczna dziewczyna potrafiła czytać jej w myślach, więc planowanie czegokolwiek było pozbawione sensu. Wiedziała przy tym, że nawet gdyby udało jej się ukryć zamiary, Łowca zabiłby ją bez wahania przy pierwszej próbie ucieczki. To dlatego nosił kuszę, a nie strzelbę. Była tak samo skuteczna, a przy tym cicha – nic więc nie ryzykował.

Jedyne, co trzymało *Frau Wachman* w pionie, to nadzieja, że mąż na tyle odpoczął, by móc się bronić. Udali się w te odludne rejony właśnie po to, aby odzyskał siły. Jeśli okazałoby się, że wyzdrowiał i wrócił do dawnej formy, być może istniała jeszcze jakaś szansa. Pod warunkiem że nie będzie spał i że usłyszy, jak nadchodzą. On i jej syn mogliby wtedy ocaleć. Bo dla niej – to jedno wiedziała na pewno – było już za późno. Te przekłete nocne potwory więziły ją i cokolwiek się wydarzy, nie mogła liczyć na ratunek.

– Już ci mówiliśmy, że nie jesteśmy potworami – powiedział nagle Łowca, wytrącając ją z zamyślenia. – Różnimy się od was, to fakt, ale tylko nieznacznie. I nie masz racji. Na nic nie jest za późno. Nawet teraz twój los jest w twoich własnych rękach, ponieważ jeśli będziesz cicho, nie skończy się to aż tak źle, jak się obawiasz...

ROZDZIAŁ XXXVIII

Ostatni oddech

Ici – powiedziała zakonnica.

Stuknęła w zwierciadło po swojej prawej stronie, po czym sięgnęła pod habit i wyjęła karmazynowy ogarek oraz krzesiwo. Sara przywykła już do monochromatycznego świata luster i kolor wosku był dla niej tak zaskakujący, że nie mogła oderwać od niego wzroku. W duchu zastanawiała się, jakie przesłanie niesie dla niej ta czerwień, która zazwyczaj zwiastowała przecież krew i śmierć. Spojrzała na zakonnice, a potem na lustro.

Gdyby zjawa przagnęła jej zguby, moment przejścia przez lustro idealnie nadawałby się do aktywowania pułapki.

– Chwila prawdy – mruknęła francusku.

Zakonnica zapaliła świeczkę i spojrzała znacząco. Sara zastanawiała się, czy przypadkiem nie pomyliła powiedzenia lub nie użyła złej formy gramatycznej.

– Całe moje życie jest CHWILĄ PRAWDY – odparła zakonnica, wrzuszając ramionami. – Nawet gdy zmuszona byłam oszukiwać, nigdy nikogo nie okłamałam.

Najwyraźniej te dwie rzeczy bardzo się różniły w jej mniemaniu, lecz Sara nie miała ani czasu, ani chęci zagłębiać się w niuanse rozumowania lustrzaka. Szczególnie że wciąż nie wiedziała, co lub kto tak naprawdę czeka na nią za wskazanym przez zakonnice zwierciadłem.

– Więc twierdzisz, że po drugiej stronie spotkam Sharpa? – zapytała.

– Tak – potwierdziła mała zjawa. – Znajduje się tam krótki korytarz. Na jego końcu jest szczelina w ścianie. Widać przez nią jaskinię, w której Sharp został przeze mnie uwięziony.

Sara rozważyła zadanie jeszcze kilku pytań, które rzuciłyby więcej światła na całą tę tajemniczą sytuację, ale uznała, że odpowiedzi niczego by nie wyjaśniły. Czcza gadanina nie zastąpi twardych dowodów.

– Dobrze – zgodziła się wreszcie. – Zróbmy to.

Lustrzana zjawa uśmiechnęła się anielsko.

– Ale wchodzimy tam razem – dodała szybko Sara i zanim zakonnica zdążyła zaprotestować, dziewczyna ujęła ją w pasie

i bezceremonialnie podniosła na wysokość swojej twarzy. Widząc, że pojmana wierzga nogami i się wyrzywa, wyjęła nóż z cholewy buta i przytknęła ostrze do bladego gardła. – I pamiętaj, jeśli to zasadzka, z radością odetnę ci głowę. Tak samo będzie, jeśli po drugiej stronie nie spotkamy Sharpa.

– Ale ja myślałam, że mi ufasz – wykrztusiła zakonnica, uspokajając się na widok broni. – I że jesteś miłą i uprzejmą osobą!

– To źle myślałaś – odparła Sara. – Nie jestem ani miłą, ani uprzejmą.

Po tych słowach, nie czekając, aż zakonnica zacznie mieszać jej w głowie, przeszła przez lustro.

Kiedy lodowata kipiela uderzyła w nią z całą swoją mocą, na moment straciła równowagę, wypuszczając z ręki lustrzaka. Woda sięgała jej ledwie do bioder, ale dla karłowatej zjawy była to prawdziwa toń bez dna. To pewnie dlatego tak przeraźliwie piszczała i machała rękami, usiłując utrzymać się na powierzchni.

Zanim świeczka zgasała, Sara zdążyła jeszcze pochwycić zakonnicę i podnieść ją na bezpieczną wysokość.

– Przestań się rzucać – syknęła.

– Nie wiem, co się dzieje – jęknęła zjawka. – To jakieś szaleństwo!

– Trzymasz wciąż tę swoją świecę?

– Tak, ale...

– Daj mi ją.

Zakonnica podała jej ogarek.

– Proszę, nie puszczaj mnie! – zawołała błagalnie, czując, że Sara poluzowuje uchwyt. – Nie umiem pływać.

Zanim Sara zapaliła świeczkę, kątem oka zobaczyła jakiś błysk. Wstrzymała się z ponownym oświetleniem korytarza.

– Chwyć się czegoś – powiedziała do lustrzaka, który natychmiast sięgnął do sufitowych podpór i zacisnął na nich swoje małe dłonie.

Miała rację. Coś tam było. Pod wodą.

Uświadomiła sobie, że to szczelina, o której wspominał lustrzak. Była już w całości zalana, ale nie to zwróciło uwagę Sary, ale fakt,

że po drugiej stronie coś wyraźnie połykiwało. Zupełnie jakby...

Światło! – zrozumiała nagle Sara.

Zapaliła świeczkę, po czym podeszła do otworu i włożyła weń rękę z ogarkiem. Przyjmując coraz to inne pozy, starała się bez zanurzenia dojrzeć dno zatopionej jaskini.

– Jaśniej – rozkazała i zbliżyła twarz do spienionej powierzchni.

Nadal nic. Jedyne, co czuła, to słaby prąd opływający jej dłoń.

Wyjęła rękę z otworu. Przez chwilę w korytarzu słychać było tylko plusk wody i łkanie zakonnicy.

– Przestań! – krzyknęła do niej rozdrażniona Sara.

Zjawa zdławiała płacz.

– Źle mnie traktujesz – bąknęła cicho.

– Jeśli utopiłaś Sharpa, potraktuję cię jeszcze gorzej – oświadczyła Sara, ponownie wkładając rękę do otworu. – Jak duża jest przestrzeń nad szczeliną?

– Nad szczeliną? – zdziwiła się zakonnica. – Nie wiem. Może pół metra, może metr...

Nagle Sara wymacała czyjąś nogę. Bez zastanowienia upuściła świecę, chwyciła za kostkę i pociągnęła kilka razy.

Sharp był ledwie przytomny, ale żył.

Właśnie miał się ostatecznie poddać i zasnąć, ale szarpnięcie wszystko zmieniło. Natychmiast ocknął się z otępienia i uderzywszy głową o sklepienie, otworzył oczy. Z początku jego wyobraźnia podsunęła mu obraz jakiegoś zmutowanego rzeczno- węgorskiego, który postanowił go pożreć, ale zaraz potem dostrzegł na dnie jaskini drugą świeczkę – tę, którą upuściła Sara.

Sięgnął do stopy i napotkał czyjąś dłoń. Mało tego, była to dłoń w rękawiczce i tkwiły na niej dwa dobrze znane mu pierścienie.

Ich palce spłotyły się czule na jedno uderzenie serca.

Sara!

Zaczerpnął zimnego, stęchłego powietrza i zanurkował. Kiedy podpłynął do otworu, z rozczarowaniem odkrył, że po drugiej stronie jest tak ciemno, iż nie zdoła nikogo dostrzec.

Wyjął z kieszeni ostatnią świeczkę i ją zapalił.

Serce Sary zabiło niebezpiecznie szybko.

Gdy na końcówce knota pojawił się płomień i w zalanej jaskini

rozbłysło światło, w pierwszym momencie chciała krzyknąć. Zamiast tego jednak ugryzła się w język i chwilę niemo wpatrywała się w ukochaną, znajomą twarz zanurzoną w wodzie po drugiej stronie szczeliny.

– Jack... – powiedziała ochrypłym głosem. – Jack, coś ty narobił?

Unosząc się w czarnej toni, Sharp także widział jej twarz – rozmazaną, ale wciąż rozpoznawalną. Byli tak blisko, a zarazem tak daleko od siebie.

Sarze wydawało się, że ten moment trwa wieczność, choć w rzeczywistości trwało to jedynie kilka chwil. Dokładnie tyle, na ile pozwalało wstrzymanie oddechu. Sharp odepchnął się od ściany i popłynął w kierunku sklepienia jaskini, do miejsca, które znajdowało się powyżej poziomu wody.

Lecz już go nie znalazł.



Sara odwróciła się do zakonnicy.

– Jest tam jakieś inne wejście? – spytała ostro.

– Tak... – odparła z przerażeniem zakonnica. – Jest tam lustro. Ale...

– Jak z niego skorzystać?

– Wystarczy wrócić do labiryntu i przejść przez lustro obok... Ale wtedy...

Sara ruszyła na drugi koniec korytarza.

– Ale wtedy umrzecie oboje – wykrztusiła wreszcie zakonnica. – Bo można tam wejść, ale już nie można wyjść. Nie ma jak.



Sharp dostrzegł mniejsze i większe bąble na sklepieniu, przypominające jakąś dziwną srebrzystą narośl. Niektóre z nich były nawet tak duże, jak jego dłonie. Wiedział, że to już koniec, że ma przed sobą najwyżej kilka minut, ale mimo to podpłynął do nich i ostrożnie wysysał powietrze z kolejnych pęcherzy.

Jeszcze kilka minut temu perspektywa śmierci wydawała mu się przerażająca, ale teraz, kiedy ujrzał Sarę całą i zdrową,

z odzyskaną dłonią i pierścieniami, poczuł wielką ulgę. I choć już nigdy nie wyzna jej, że ją kocha, zrozumiał, że wcale nie musiał tego robić, że splecenie dłoni i wymiana spojrzeń w zupełności wystarczyły, aby to zrozumiała. Zresztą najważniejsze, że dotrzymał słowa. A osoba, na której tak mu zależało, z pewnością to zauważy i doceni.

Myśląc o tym wszystkim, poczuł spokój. Wciągał do płuc ostatnie krople powietrza i przygotowywał się na śmierć.



Sara nie słyszała słów zakonnicy. Pulsowanie krwi w skroniach skutecznie zagłuszało wszystkie dźwięki wokół. Zdecydowanym krokiem przeszła przez zwierciadło na drugim końcu korytarza i znów znalazła się w lustrzanym labiryncie. Ociekała wodą, a pod jej stopami rosły spore kałuże, jednak nie zwracała na to uwagi. Podeszła do sąsiedniego zwierciadła i biorąc głęboki wdech, zanurzyła się w jego tafli.



Sharp poczuł silne wzburzenie wody i zrozumiał, że coś dostało się do jaskini przez lustro na spodzie tratwy. Wyciągnął zapaloną świeczkę i zaczął się usilnie wpatrywać w zmaconą toń. W końcu dostrzegł znajomą spódnicę, a potem nogi, warkocz, a wreszcie całą sylwetkę.

Na widok Sary wszystko w nim zakrzyczało w rozpaczliwym proteście.

Dopiero co pogodził się ze śmiercią.

Jego spokój, poczucie zwycięstwa, duma z dotrzymanego słowa – wszystko to w jednej chwili rozsypało się na drobne kawałeczki niczym rozbity dzban.

Umieranie było straszne, lecz konieczność umierania wraz z ukochaną jawiła się jako niewypowiedziane okrucieństwo. Wszystko, co Sharp zdołał osiągnąć, nagle straciło sens.

Ich ramiona się spotkały, w skąpym świetle ostatniej świeczki spojrzeli sobie w oczy. Sharp skinął głową, uśmiechnął się. Nagle płonący ból wypełnił mu klatkę piersiową i rozlał się po całym

ciele.

Sara gestykulowała gwałtownie, coś mu chciała przekazać.

Ale co?

Mąciło mu się w głowie. Całym sobą skupiał się na powstrzymaniu odruchu, który kazał mu zaczerpnąć powietrza. Gdyby to zrobił, jego płuca wypełniłaby woda i to byłby koniec.

Sara chwyciła go za podbródek, zaś drugą dłonią wskazała lustro u spodu tratwy.

To, przez które tu weszła.

To, któremu brakowało bliźniaka, by zadziałał portal i by dało się stąd uciec.

Z każdą chwilą mięśnie Sharpa słabły coraz bardziej. Ciało nie było w stanie uwierzyć w to, co mówiła mu głowa – że nie ma już powietrza, a poprzedni oddech był ostatnim.

Bańki powietrza zaczęły uciekać mu przez nos, zwiastując ostateczny paroksyzm.

Desperacko zatkał usta dłonią, ale Sara oderwała mu ją od twarzy.

Rozwarł szeroko oczy.

Poddał się.

Kiedy otwierał usta, spodziewał się, że jego płuca błyskawicznie wypełnią się lodowatą wodą i w jednej chwili straci przytomność. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego poczuł słodkie, ciepłe powietrze. I usta Sary. Podarowała mu kilka sekund własnego życia.

Patrzyli sobie w oczy. Wiadomość była jasna.

Nie zmarnuj tego.

Dobrze. Nie zmarnuje. Umrze z tym powietrzem w płucach, z oddechem zapieczętowanym wspomnieniem jej ust.

Sara wskazała na lustro.

Pokręcił głową i wyciągnął jeden palec.

Było tylko jedno lustro.

Pytająco wzruszył ramionami.

Utknęli tu.

Sara pokręciła głową i uniosła dwa palce. A potem zrobiła coś niewyobrażalnego: wzięła świeczkę w zęby i mając wolne obie

ręce, złapała się za nadgarstek i przekręciła go.

Dłoń, którą wcześniej zgubiła i której Sharp bezskutecznie szukał w lustrzanym labiryncie, odłączyła się od przedramienia.

Był tym tak zdziwiony, że prawie otworzył usta i zmarnował otrzymaną szansę.

Z przejęciem patrzył, jak Sara obraca dłoń i pokazuje mu idealnie płaską, lustrzaną powierzchnię.

Zwierciadło!

Wskazała nim tratwę i skinęła na niego.

Nie dał się prosić dwa razy. Chwytając ją za biodra, by nie porwał go wir, spojrział w falujący korytarz powtarzających się lustrzanych odbić.

Potem, nie marnując ani chwili, obrócił się i machnął nogami, po czym wpłynął prosto w zwierciadło pod tratwą.

Sara uśmiechnęła się, widząc, jak przechodzi na drugą stronę. Do ostatniej chwili ignorowała przejmujący ból, który rozsadał jej puste płuca.



Sharp z impetem wpadł w lustrzany labirynt i łąpczywie zaczerpnął powietrza. Następnie, kaszląc ciężko, odwrócił się, by złapać Sarę.

Patrzył na swoje odbicie, czekając, aż przesłoni je sylwetka ukochanej, ale widok pozostawał niezmienny.



Sara podpłynęła do ściany i ustabilizowała pozycję. Miała zamiar przytrzymać w miejscu odjętą dłoń, tworząc przejście, a następnie odbić się od skał i wpłynąć w zwierciadło, jak zrobił to Sharp. Nie była do końca pewna, czy jej plan wypali, ale miała nadzieję, że zdoła przejść na drugą stronę i w ostatniej chwili zdąży jeszcze zabrać swoją dłoń.

Niestety, choć sam pomysł wydawał się całkiem atrakcyjny, to jego realizacja pozostawiała wiele do życzenia. I była obciążona poważnym ryzykiem.

Wszystko dlatego, że rękawiczka, zapięta przy nadgarstku na

jeden tylko guzik, nagle, nie wiedzieć jak, rozpięła się i nieco zsunęła. Odślonięta skóra dotknęła skały.

Reakcja była natychmiastowa i szokująca.

Sara wejrzała.

Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz, wbrew sobie otworzyła oczy i otworzyła usta.

Zachłysnęła się, nie mogła nic na to poradzić.

Oto jaskinia.

Wciąż jest zalana wodą.

Wokół jacyś ludzie.

Mnóstwo ludzi.

I beczki.

Na dnie świecą porzucone w panice świece.

Jak basen pełen ryb.

Ale to nie są ryby.

To kobiety i mężczyźni.

Szamoczą się, burząc toń.

W niewielkiej komorze powietrznej rozbrzmiewają okrzyki – przekleństwa, prośby, modlitwy.

Ostatni oddech.

Wytrzeszczone oczy.

Gasnące twarze.

Trzepoczące ręce – chwytające innych, drapiące ściany.

Wierzgające nogi, obute i bose.

Kopiące świeżo utopionych.

Gdyby nie woda w płucach, Sara krzyczałaby z całych sił.

Przemyka oczy, świadomość powoli ją opuszcza.

I wtedy ją widzi.

Jedyną kobietę, która nie walczy, nie usiłuje wypłynąć na powierzchnię.

Zwinną, silną, zdeterminowaną.

Jej czarne włosy ciągną się za nią, gdy płynie głową w dół.

Celowo zmierza ku podłożu.

Czas mija.

Kobieta jest już prawie na miejscu.

Bąble dobywające się z jej ust unoszą się, omywają jej twarz.

Sara z rozmysłem opróżnia płuca, by pozbyć się naturalnej wyporności.

Wie, że to samobójstwo, ale nie rezygnuje.

Jej twarz zwraca się ku górze. Patrzy na wylot przez Sarę, szukając kogoś powyżej. I wtedy dziewczyna rozpoznaje kobietę, a odkrycie to jest niczym ostrze wbite prosto w serce.

Próbuje wymówić dawno zapomniane imię, ale pozostaje jej tylko słowo, które było także pierwszym wypowiedzianym w jej życiu. Chce je wykrzyknąć. Ale nie może tego zrobić, ponieważ teraz także i ona tonie.

Kiedy pole widzenia zwęża się do niewielkiego stożka, Sara widzi, jak czarnowłosa kobieta dociera wreszcie do swojego celu – lustra, przez które dostali się tutaj wszyscy ci nieszczęśni ludzie. Kopiąc wściekle zwierciadło, próbuje je rozbić ostatkiem sił.

By ocalić tych, którzy mogliby dotrzeć tu po nich.

Także swoją córkę, która teraz to wszystko ogląda.

Która wpadła w tę samą pułapkę.

Która właśnie umiera.

Ciemność zwyciężyła po raz kolejny.



Sharp rzucił się z powrotem w stronę lustra. Sięgnął do jaskini. Wymacał ciało Sary, zanim jeszcze jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Pociągnął ją za sobą.

Wypadli razem na lustrzaną podłogę labiryntu niczym ryby wyrzucone na brzeg.

Sharp wyczołgał się spod Sary i uklęknął obok niej.

– Ocknij się – wydusił z siebie.

Miała szeroko otwarte oczy. Woda wypływała z ust. Klatka piersiowa zastygła w bezruchu.

– Nie – wyszeptał. – To niemożliwe.

Nie żyła.

W Sharpie wezbrała wściekłość.

NIE!

Nie wiedział, czy wykrzykuje to na głos, czy tylko w swojej

głowie.

NIE!

Nie interesowało go to.

NIE!

– Nie akceptuję tej śmierci – wydyszał. – Tak nie będzie.

Spojrzał w dół, na pozbawioną wyrazu twarz dziewczyny.

– Nie, Saro – wykrztusił, usiłując pohamować napływające do oczu łzy. – Tylko nie ty. Nie ty. Nie dzisiaj. I nigdy, przenigdy przede mną. Dałem słowo.

Działął szybko. Przewrócił ją na bok, objął w klatce piersiowej i nacisnął. Trochę wody ulało się na podłogę. Odwrócił Sarę na drugą stronę i powtórzył czynność. Z ust Sary znów popłynęła woda. Następnie położył ją na plecach, odchylił jej głowę do tyłu i zaczął wdmuchiwać w martwe usta hausty powietrza. Pracował nieprzerwanie, na przemian wyciskając z niej resztki wody i dzieląc się z nią własnym oddechem. Dorastał tuż nad Tamizą i wiele razy widział, jak rybacy przywracali do życia topielców w ten właśnie sposób. Raz nawet im się to udało.

Przerwał, zastanawiając się, czy coś robi nie tak.

Odegnął wątpliwości i spróbował ponownie.

Usta Sary dalej były lodowate.

Od nadmiaru tlenu zaczynało kręcić mu się w głowie. Pozwolił sobie na chwilę przerwy i spojrzał na nieruchomą, bladą twarz przyjaciółki.

Potrząsnął ją za ramiona.

– Saro! – krzyknął. – Saro, proszę!

Zastanawiał się, czy nie powinien jej spoliczkować. Kiedyś tak właśnie zrobił jeden z rybaków. Nie pamiętał, czy to była właśnie ta jedna udana próba, kiedy kogoś uratowano.

Potrząsnął nią raz jeszcze.

Nagle Sara szarpnęła się i zwymiotowała wprost na niego.

Nigdy nie był tak szczęśliwy.

Odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i znów zwymiotowała.

– Sharp – powiedziała ochryple. – To nie jest... śmieszne.

Zaczęła kaszleć.

– Ależ jest – odparł. – To wręcz wspaniałe.

Usiłowała się podnieść, ale musiał objąć ją w pasie i jej pomóc.

– Spokojnie – powiedział.

Pokręciła głową.

– Nie. – Wskazała na zwierciadło obok tego, z którego właśnie wypadła. – Wychodzimy z tych cholernych luster.

– Saro... – zaczął.

– Teraz, Sharp – powiedziała stanowczo. – Natychmiast!



Chwiejnym krokiem przeszli przez zwierciadło wprost do katakumb. Woda sięgała im do pasa, a prąd był na tyle silny, że Sharp wolał nie wypuszczać Sary z objęć. Wolną ręką wyjął świeczkę i ponownie ją zapalił.

– Nie ma jej – powiedziała cicho dziewczyna.

– Kogo?

– Zjawy. Zakonnicy – wyjaśniła. – Musiała mi uwierzyć.

– Uwierzyć w co?

– Powiedziałam, że odetnę jej głowę, jeśli mnie oszuka – odparła, krztusząc się i kaszląc. – Nie żebym to zrobiła. Ale to było nie fair. Może zresztą pomyślała, że umarłam.

– Dobre sobie.

Znów wymiotowała wodą.

– Cóż, nie blefowałam... – Wzruszyła ramionami. – A teraz w którą stronę?

Sharp wskazał na lewo.

– Woda zbiera się i płynie gdzieś w dół – powiedział. – Idźmy więc pod prąd.

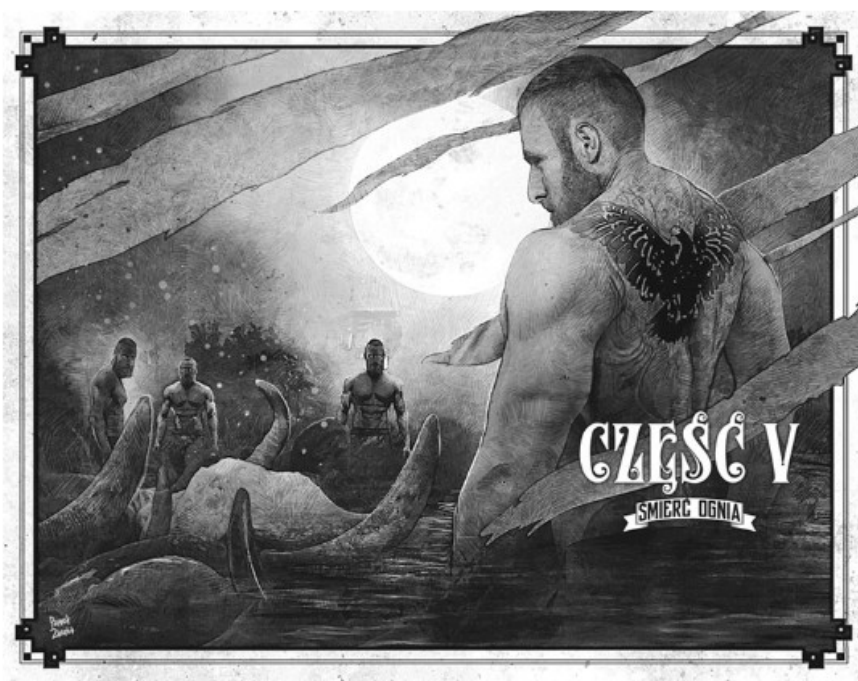
– Dobrze powiedziane – wyszeptała, wycierając usta rękawem.

– A zatem głowy do góry i znów pod wiatr.

Z wysiłkiem brodzili w wodzie, która dopiero po jakichś piętnastu jardach stała się nieco płytsza. Po kolejnych dwudziestu pięciu w końcu stanęli na suchym kamieniu, zostawiając szalejącą kipieli za sobą. Sara oparła się o ścianę tunelu, ale czując, że ta z grzechotem się osuwa, szybko od niej odskoczyła. Dopiero teraz uświadomiła sobie, czym były dziwne

wzmocnienia.

– Co to za miejsce? – spytała. Przeszedł ją dreszcz.





ROZDZIAŁ XXXIX

Przysięga amosa

Chcesz żyć? – zapytał Czaszka Borsuka, spoglądając na niego z góry.

„Jasne, że tak”.

Serce zabiło mu szybciej.

„Potrafisz usunąć ten tatuaż?”

– Nie. Jest równoznaczny ze złożeniem przysięgi. Powiedziałem ci to, gdy nanosiłem go na twoją skórę. Nie może zostać usunięty. Przysięga nie może zostać odwołana czy choćby tymczasowo zawieszona.

Amos spuścił głowę, a potem odwrócił się i zaczął iść przed siebie.

„Więc jestem zgubiony”.

– Dokąd idziesz? – zapytała Zmora.

„Daruj sobie tę troskę”.

Los znowu okazał się wobec niego bezlitosny, nie pozostawało mu więc nic innego, jak tylko liczyć na siebie. Jeśli miał umrzeć w tak okropny sposób, jak to opisał Sluagh, jeśli jego przegniłe, poczerńiałe ciało miało odpaść od głowy, wołał, aby nikt inny tego nie widział. Nie chciał, by ktokolwiek patrzył na niego ze współczuciem lub, co gorsza, z pogardą.

Gdy tak kroczył w stronę ciemnych wzgórz, zastanawiał się, czy

ma jakieś inne wyjście. Być może warto byłoby zakpić z przysięgi i samemu odebrać sobie życie. Przynajmniej w swych ostatnich chwilach okazałyby godność i dumę. Jednak mając w pamięci niegdysiejsze wydarzenia, wątpił, czy byłby w stanie się utopić, a już tym bardziej podciąć sobie żyły. Na samą myśl o tym poczuł mdłości. Może w pobliżu znajdował się jakiś klif albo kamieniołom? Krótki lot, a potem ciemność i spokój. No tak, ale co, jeśli tylko się połamię? Wtedy leżałby, obolały i zapewne unieruchomiony, czekając na śmierć aż do świtu...

– Utonięcie byłoby chyba najlepsze – powiedział Czaszka Borsuka. W jego głosie pobrzmiwała pogarda.

Amos spojrział za siebie, by odkryć, że przywódca Sluagh podążał kilka kroków za nim, cały czas czytając mu w myślach.

„Zostaw mnie w spokoju”.

– Samobójstwo nie jest rozwiązaniem – powiedział Sluagh. – To oznaka słabości.

„Ciekawe, co byś zrobił na moim miejscu”.

– To proste. Gdybym miał umrzeć, jak ci się wydaje, w okrutny i bolesny sposób, wyjąłbym ten nożyk, który taszczysz w tobole, i rzucił się na swoich oprawców. Musieliby odejść razem ze mną. Albo mnie zabić.

„I co by to dało?”

Amos był zmęczony jak jeszcze nigdy w życiu. Rozważał położenie się gdzieś na ziemi i przespanie do rana – do czasu, aż to wszystko się skończy.

– Może nic – odparł Czaszka Borsuka – ale na pewno poczułbym się lepiej, wiedząc, że zabieram ze sobą kogoś winnego mojej śmierci. Kto wie? Może spotkałbym go po drugiej stronie i musiałyby mi dotrzymywać towarzystwa.

„Nikogo nie spotyka się po drugiej stronie”.

Była to rzecz, do której Amos doszedł dawno, dawno temu, jeszcze w parafialnym sierocińcu, gdzie wykonywał niewolnicze prace za spastych, bezdusznych kapłanów. Nie było żadnego nieba ani tym bardziej żadnego boga. Gdyby ten ostatni istniał, nie pozwoliłby na taką nędzę i cierpienie, jakie Amos widział wszędzie wokół. Pod tym względem Templebane’owie byli

znacznie bardziej szczerzy, otwarcie bowiem negowali istnienie jakiegokolwiek siły wyższej i nie ukrywali swoich ludzkich, egoistycznych celów.

– Nie wiesz nic, a pamiętasz jeszcze mniej – odparł Sluagh.

„Zostaw mnie. Po prostu odejdz. Proszę”.

Czaszka Borsuka popędził konia i zbliżywszy się do Amosa, uderzył go w plecy z całych sił.

Chłopak był tak zaskoczony tym nieoczekiwanym atakiem, że zachwiał się, a potem po prostu usiadł na środku drogi.

„Co...”

– Co powiedziałem ci o białym tatuażu? – spytał Sluagh.

„Że to oznaka... mojej wierności i posłuszeństwa”.

– I?

Amos zmarszczył czoło.

„I gwarancja, że wypełnię słowa przysięgi, do której mnie zmusiliście, czyli że zabiję Mountfellona i zwrócę wam flagę”.

– Nie do końca. Przysięga dotyczyła tylko tego, że będziesz robił to, czego chcemy, przez określony czas. – Wskazał na szyję Amosa. – Czas, który szybko się kończy.

„Nie rozumiem”.

– Nie rozumiesz, ponieważ zaślepia cię strach. To normalne. Czasem wystarczy kogoś przerazić, żeby go pokonać.

Amos wstał.

„Koniec lekcji. Nie mam czasu na takie głupoty”.

– Jeszcze raz. Przysięga zobowiązuje cię do posłuszeństwa przez określony czas. O szczegółach mówiliśmy osobno.

Geometryczna płatanina linii wykrzywiła się na twarzy Sluagh, kiedy ten się uśmiechał.

– Pomyśl, Krwawy Chłopcze. Możemy poprosić cię o cokolwiek. Możemy ci kazać zabić Mountfellona dla kobiety, ale możemy także zmienić zdanie i kazać ci tego nie robić. Możemy zamiast tego życzyć sobie, żebyś poszedł tam i tylko przyniósł flagę. Teraz.

„Nie wierzę ci”.

– Po co miałbym kłamać?

Amos wydał z siebie odgłos pomiędzy burknięciem

a chrząknięciem, który w zamierzeniu miał być pogardliwym śmiechem.

„Ponieważ pragniesz flagi jak niczego na świecie. Ponieważ nie ma dla ciebie nic ważniejszego ponad złamanie Żelaznego Prawa. Ponieważ powiedziałbyś cokolwiek, byleby dopiąć swego”.

Sluagh spojrział na niego uważnie.

– To prawda – przyznał. – Obiecałbym każdą absurdalną rzecz. Ale w tym przypadku nie kłamię. Przypomnij sobie moje słowa i zastanów się.

Amos spróbował oczyścić umysł i przywołać słowa, które usłyszał, gdy był tatuowany.

– A nawet jeśli kłamię – dodał Czaszka Borsuka – to co masz do stracenia?

Amos spojrział na oświetlone blaskiem księżyca pola i stado krów pędzonych na szczyt pagórka za szubienicą.

„Faktycznie, niewiele”.

Trzy minuty później minął Zmorę, która wciąż klęła na Sluagh, wyrzucając im, że jakimś głupim paktem chcą zniszczyć jej cudowną broń, podszedł do Whitlowe’a i spojrział mu w oczy.

„Zrobisz, co powiem. Zabierzesz mnie do środka. Pomożesz mi dotrzeć do pokoju, gdzie Mountfellow trzyma swoje skarby, tego za żelaznymi drzwiami. A potem pomożesz mi coś stamtąd wynieść. Nie mogę mówić, więc w razie czego będziesz to robił za mnie. Rozumiesz?”

Przez chwilę bał się, że jego próba przejęcia kontroli nad umysłem chłopaka się nie powiodła, i już miał się poddać, gdy nagle Whitlowe skinął głową, a zwisający mu z nosa błyszczący gil rozbryzgał się o kokosową matę, którą wyłożone było podejście do bramy.

Chwilę później obydwaj kroczyli szerokim podziemnym tunelem o łukowatym suficie z żelaznymi wzmocnieniami, oświetlając sobie drogę niewielką latarnią.

Gdy pokonali niespełna pół mili, Whitlowe wspiął się na ukryty taras po zewnętrznej stronie rozległej willi, przeszedł pomiędzy dwoma żeliwnymi filarami podpierającymi szklany dach i – zanim Amos zdołał go powstrzymać – zapukał do drzwi u szczytu

schodów.

Po minucie w progu pojawił się jakiś poirytowany lokaj, najwyraźniej wybudzony z głębokiego snu.

– Czego chcesz? – zapytał gońca, a potem spojrzał na jego towarzysza. – I kim jest ten ciemny...

Amos wbił w niego wzrok.

„Idź stąd” – rozkazał w myślach.

Lokajowi zadrżała warga. Wybałuszył oczy, rozdarty pomiędzy potrzebą natychmiastowego wykonania polecenia a odkryciem, że ktoś wszedł do jego umysłu.

„Idź stąd. Uciekaj. Teraz!”

Mężczyzna zamrugał, jakby chciał się pozbyć resztek snu. Amos stwierdził, że już prawie mu się udało. Potrzebował tylko konkretniejszego celu do wskazania, zanim w pełni zapanuje nad lokajem.

„Czym prędzej udaj się pod mur posiadłości. Biegaj wzdłuż niego do świtu. Potem możesz iść spać”.

– Oczywiście – odparł lokaj. – Tak zrobię.

„Natychmiast”.

– Natychmiast – powtórzył lokaj, po czym bez słowa ruszył przez taras. Po chwili zniknął w ciemnościach.

Whitlowe nie wykazywał żadnego zainteresowania tą dziwną sytuacją. W ogóle zdawał się niczego nie zauważać.

„Kogo jeszcze spotkamy?”

– Starego Bileasa – odparł chłopiec. – Nocami siedzi w gabinecie szefa.

„Sam?”

– Sam. Nie licząc Bessie.

„Bessie to kobieta?”

– Bessie to jego słuwa.

Amos poczuł dreszcz, ale było już za późno na odwrót.

„Podprowadź mnie do niego tak blisko, żebym mógł spojrzeć mu w oczy”.

Mimo że czuł presję i pragnął jak najszybciej wykonać zadanie, nie spieszył się zbyt, przemierzając ogromny, strzelisty hol. Z zachwytem patrzył na odgradzone złotą balustradą arkady na

wyższym piętrze i na żyrandole o dziwnych kształtach. Stojące pod ścianami meble przykryte płachtami białego płótna zdawały się tworzyć labirynt nie do przebycia. Krokami Amosa i Whitlowe'a towarzyszył głuchy pogłos, kiedy szli po marmurowej posadzce, a potem wspinali się po kamiennych schodach. W końcu dotarli do długiego, słabo oświetlonego korytarza. Po obu jego stronach stały ogromne gabloty wypełnione trofeami Mountfellona. Amos mimowolnie otworzył usta. Nigdy wcześniej nie widział tak niezwykłej kolekcji ptaków, ssaków, ryb i owadów. Ekspozyty miały różną postać. Czasem były to wygarbowane, rozpięte na płytach skóry, a czasem kompletne, wypchane modele.

W pewnym momencie dotarli do miejsca, w którym oprócz szkieletów goryli w gablotach znajdowały się także szczątki ludzkie. Amos poprosił Whitlowe'a, żeby lepiej oświetlił jeden z postumentów. Na jego środku spoczywała czaszka o pustych oczodołach, a za nią, na lekko pochylonej tablicy, rozwieszono zasuszoną skórę. Z początku Amos myślał, że należała do jakiegoś tygrysa, ale szybko się zorientował, że wzory na niej są o wiele bardziej zawiłe i efektowne.

I wtedy usłyszał, że ktoś się poruszył.

Wyjrzał za róg i zobaczył wielkiego mężczyznę – bez wątpienia Bilesa. Podnosił się z krzesła ustawionego pod ścianą, ściskając w dłoni wielki garłacz.

Whitlowe wyminął Amosa i zatrzymał się na środku, pomiędzy gablotami.

– Ty zasmarkany głupcze – warknął mężczyzna. – O mało co nie odstrzeliłem ci głowy.

Chłopak jedynie odwrócił się i spojrzał bez wyrazu na Amosa, który także wyszedł zza rogu.

„Pan Biles?”

Stary wojak, wyraźnie zdezorientowany, opuścił broń.

– Ee... – bąknął, marszcząc brwi, zaskoczony faktem, że ktoś odezwał się w jego głowie. – Chwila...

To były jedyne dwa dźwięki, jakie wydał z siebie tego wieczoru. Zaraz potem Amos, coraz bardziej zaniepokojony swędzeniem na

karku, kazał mu oddać pistolet, a następnie zmusił, aby używając aż trzech wielkich kluczy, otworzył drzwi na końcu korytarza.

„To nie powinno być takie łatwe”.

Później nieraz wracał pamięcią do tego momentu i nieodmiennie dochodził do wniosku, że gdyby wtedy napotkał jakiegokolwiek przeszkody, byłby bardziej czujny. Być może znalazłby chwilę, aby się zatrzymać i pomyśleć. I być może udałoby mu się uniknąć wszystkich tych okropnych konsekwencji.

Pomieszczenie, którego Mountfellow używał jako gabinetu, było wyjątkowo bogato zdobione i wszystko wskazywało na to, że wcześniej mieściła się tu sala balowa. Okna zasłonięte były okiennicami, a ściany, podłoga i sufit pokrywała gęsta siatka żelaznych pasów, które krzyżowały się co parę jardów, tworząc wewnętrzną, metalową klatkę. Zastosowanie takiego zabezpieczenia z pewnością nie wynikało ze zwykłego kaprysu, a Mountfellow najwyraźniej był przygotowany na włamanie istot każdego rodzaju. Na środku pokoju ustawiono ciemny, dębowy stół bankietowy. Wnioskując po stosach papierów zalegających na jego blacie, ewidentnie używano go jako biurka. W jednym z rogów pomieszczenia stały ogromny regał, sięgający aż do sufitu, oraz drabina. To właśnie koło niej znaleźli długą i wąską skrzynię z flagą, wzmocnioną żelaznymi sztabami.

Amos przekonał Bileasa, że do szczęścia nie potrzeba mu niczego więcej, jak tylko pomóc im wynieść ten długi i nieporęczny przedmiot z pokoju, znieść go po schodach i na końcu wytaszczyć na dwór, na taras. Gdyby nie natrafili na taczkę stojącą u wlotu do tunelu, pewnie starych piechur pomagałby im do samego końca. W tej sytuacji jednak nie było to konieczne i mężczyzna został odesłany na krzesło, które wcześniej zajmował, z poleceniem, aby potraktował wszystko, czego właśnie doświadczył, jako sen.

Resztę drogi Amos przewędrował w towarzystwie Whitlowe'a, który ponownie oświetlał mu drogę swoją latarnią. Żelazne koła toczyły się po kokosowej macie niemal bezgłośnie, a za sprawą nachylenia tunelu podróż trwała o wiele krócej niż w tę stronę.

Gdy zbliżali się do wyjścia, obydwaj musieli nawet podbiec, by nadażyć za rozpędzoną taczka.

Sluagh stali w szeregu na końcu tunelu, zaraz za żelazną bramą, czekając na powrót swego wysłannika.

Widząc go już z daleka, zyskali pewność, że plan się powiódł. Wpatrywali się w skrzynię zachłannie i łapczywie.

Whitlowe, biegnący nieco z tyłu, pociągnął nosem, a Amos przypomniał sobie o nim i poczuł wyrzuty, że wciąż trzyma go na uwięzi swoich myślowych rozkazów. Z pewnym wysiłkiem zatrzymał taczka, podszedł do gońca i ujął go za podbródek, po czym obrócił ku sobie jego twarz. Ich spojrzenia się spotkały.

„Wracaj do środka. Idź spać. Zapomnij o tym”.

Whitlowe skinął głową i posłusznie odmaszerował. Po chwili zniknął wewnątrz strażnicy. Amos nie potrafił powiedzieć, czy tak przekazane polecenie przyniesie oczekiwany efekt i czy goniec faktycznie o wszystkim zapomni, ale nic nie szkodziło spróbować. Być może w ten sposób oszczędził mu koszmarów, które sam czasami miewał, wspominając przerażające spotkanie ze Sluagh.

Wrócił na miejsce, napiął mięśnie i ponownie wprawił taczka w ruch. Wypchnął ją na drogę.

„Macie. Oto wasza flaga. Wypełniłem swoją powinność. Teraz usuńcie ten przeklęty tatuaż”.

Sam zdziwił się natłokiem słów, które eksplodowały mu w głowie. Nie miał pojęcia, że był aż tak zdenerwowany.

Ku jego zdziwieniu Sluagh odsunęli się od skrzyni.

„Co jest?”

Zmora precyzyjnie się między nimi.

– Żelazo – wyjaśniła lekceważącym tonem. – Biedacy, sami nie mogą jej otworzyć.

Czaszka Borsuka rzucił mu sznur.

– Przywiąż go do uchwyty – polecił, mocując drugi koniec do siodła swojego wierzchowca. – Zaciągniemy ją nad staw i tam otworzymy. To znaczy ty otworzysz.

– A co z Mountfellowem? – zapytała gniewnie Zmora. – To dzięki mnie wreszcie wydostaliście z Gallstaine swoją upragnioną flagę.

Czas na rewanż. Chyba że chcecie mnie oszukać?

– Nikt nie zamierza cię oszukać. Po prostu śmierć chłopaka byłaby sporym marnotrawstwem, nie sądzisz? – odparł wódz. – Ale masz rację, jesteśmy ci winni przysługę.

– Dobrze to słyszeć.

– A jakże – odparł. – W ramach spłaty naszego długu pozwolimy ci żyć.

Zmora zrobiła pół kroku w tył, jakby dostała w twarz. Wykrzywiła usta w pogardliwym grymasie.

– ALE JA NIE CHCĘ ŻYĆ! – wrzasnęła.

– To znajdź jakiś klif, rzekę albo nóż... – Czaszka Borsuka wzruszył ramionami. – Pogadaj zresztą ze swoim Krwawym Chłopcem, bo to jego pomysły...

Chwyciła go za rękaw i zawyła mu prosto w twarz:

– ZANIM ODEJDE, MOUNTFELLON MUSI UMRZEĆ!

Odepchnął ją i pstryknął palcami na Amosa.

– Zrobione? Przywiązałeś sznur?

Amos znów poczuł swędzenie na szyi. Przez chwilę trudno było mu oddychać. Nie zrażając się tym, zacisnął supeł na metalowym uchwycie.

Sluagh ruszyli ku wzgórzu, ciągnąc za sobą skrzynię po mokrej trawie.

Amos ruszył za nimi. Gdy mijał stojącą na środku drogi Zmorę, ta chwyciła go za ramię i szarpnęła.

– Mountfellow musi umrzeć – wysyczała przez zęby.

„Nie zabiję go. Nie teraz, kiedy już nie muszę. Już nigdy więcej nie pozbawię nikogo życia”.

Przyciągnęła go jeszcze bliżej siebie. Spodziewał się, że wykrzyczy mu coś w twarz, zacznie przeklinać lub grozić, lecz była dziwnie spokojna, a z jej oczu biło tyle samo szaleństwa, ile nieoczekiwanej życzliwości.

– Zabijesz, wierz mi – wydyszała. – Czy tego chcesz, czy nie. W końcu jesteś najkrwawszym z chłopców.

Amos wyswobodził się z uchwytu i podbiegł ku wzgórzu, by dołączyć do Sluagh.

Widział w swoim życiu wiele złych rzeczy, a za dwie z nich

odpowiadał osobiście. Poza tym wystarczająco często biegał na posyłki do rzeźnika na targu Smithfield, by uodpornić się na widok i krzyk zarzynanych zwierząt. A jednak to, co zastał na szczycie wzgórza, wstrząsnęło nim do głębi. Bez słowa patrzył na niezwykle rytuał, a w jego umysł raz po raz uderzała mieszanina sprzecznych emocji. Zdawałoby się, że przerażenie, euforia i spokój nie mogą istnieć obok siebie, a jednak w tyglu emocji buzujących w sercu Amosa one właśnie wybijały się na plan pierwszy. Nigdy wcześniej nie doznał niczego tak niezwykłego. To było jak zbiorowy, niemy krzyk rozsadzający czaszkę – tak intensywny i obezwładniający, że aż trudno było mu oddychać.

Stojące na wzgórzu stado było przedziwnie spokojne. Zupełnie jakby krzątający się wokół niego ludzie mieli nad nim jakąś mentalną władzę. Bydło nie protestowało ani wtedy, gdy zaganiano je w gromadę, ani gdy prowadzono do stawu.

Amos przeniósł wzrok na Sluagh. Byli boso, w samych tylko bryczesach, a w niektórych przypadkach także w sztylpach. Ich ciała pokrywały tatuaże podobne do tych na twarzach, przez co wyglądali, jakby mieli na sobie identyczne kostiumy. A jednak kiedy Amos przyjrzał im się uważniej, dostrzegł pewną różnicę. Każdy z mężczyzn po lewej stronie klatki piersiowej miał wytatuowane czarne koło, a na plecach, dokładnie po drugiej stronie, wizerunek zwierzęcia, będący zapewne imieniem.

Na środku stawu, zanurzony do pasa, stał wysoki Sluagh z bykiem na łopatce. W prawej ręce trzymał nóż z brązu. Obok niego ponad powierzchnię wody wystawał jakiś dziwny garb. Dopiero po chwili, gdy ów garb drgnął, Amos zrozumiał, że patrzył na drżące w agonii ciało jałówki.

Ktoś wprowadził do stawu kolejną krowę, a Sluagh z bykiem na plecach przyciągnął ją delikatnie ku sobie. Amos dostrzegł wielkie, ufne oczy połyskujące w świetle księżyca oraz błysk ostrza tuż pod miękkim gardłem. Zwierzę zakrztusiło się, szarpnęło, po czym upadło na kolana. Mistrz ceremonii wykonał kolejne cięcie, otwierając tętnice jeszcze szerzej, a krew trysnęła do stawu szerokim strumieniem. Po kilku minutach Byk sięgnął po kolejną krowę.

Amos wzdrygnął się z obrzydzenia. To była rzeź! A uległość bydlęta dodawała jej nierzeczywistego, przerażającego wymiaru.

„Przestańcie!”

Nikt mu nie odpowiedział.

Wepchnął się między Sluagh, szukając Czaszki Borsuka. Znalazł go pochylonego nad skrzynią. Także był rozebrany tylko do spodni, a na jego plecach widniał tatuaż przedstawiający warczącego borsuka.

„Nie musicie tego robić!”

Przywódcą nawet na niego nie spojrział.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – zapytał sarkastycznie. – Potrzebujemy krwawego lustra, by otworzyć drogę do Innego Miejsca.

„Nie”.

– Otwórz skrzynię – rozkazał Sluagh. – Chcę zobaczyć naszą zdobycz, zanim ją odeślemy i raz na zawsze złamiemy Prawo Żelaza. – Uśmiechnął się szeroko do Amosa, a kiedy ten nie zareagował, dodał: – To moja ostatnia prośba. Sluagh nie widzieli prawdziwej flagi od czasów, które twój ród nazywa początkiem historii. Byłbym zaszczycony, gdybym po tylu latach tułaczki wreszcie ujrział jej majestat. Wszyscy bylibyśmy zaszczyceni. Otwórz więc teraz skrzynię, Krwawy Chłopcze, a twoja przysięga przestanie cię zobowiązywać.

„Nie jestem Krwawym Chłopcem”.

Czaszka Borsuka spojrział przelotnie na swoich towarzyszy, a następnie, wróciwszy wzrokiem do Amosa, niespodziewanie pchnął go z całej siły. Młodzieniec zachwiał się i zahaczywszy o skrzynię, wpadł do stawu. Szamotał się chwilę w wodzie, lecz w końcu zdołał wstać. W ustach czuł dziwny, słony smak i kiedy spojrział na swoje ubranie, zrozumiał, dlaczego Sluagh się śmieją, wytykając go palcami.

– Widzisz – powiedział wódcz. – Teraz naprawdę jesteś Krwawym Chłopcem. Ale dość żartów. Wracaj tu i otwórz skrzynię.

Ubranie Amosa przesiąknięte było zwierzęcą krwią, a jego twarz przypominała makabryczną czerwoną maskę o wielkich,

białych oczach.

Splunął kilka razy, pragnąc pozbyć się nieprzyjemnego smaku, po czym podszedł do skrzyni i przed nią uklęknął.

Płakał. Nie wiedział dlaczego.

Odciągał żelazne zatrzaski jeden po drugim, a kiedy któryś się zaklinował, uderzał go kantem dłoni, obojętny na ból. W końcu wieko powędrowało w górę, a blask księżyca oświetlił zawartość skrzyni.

Amos zaczął się trząść, a jego cichy szloch nieoczekiwanie przeszedł w niekontrolowany, bezdźwięczny śmiech.

– O co chodzi? – zainteresował się Sluagh, podchodząc bliżej i spoglądając w dół.

Zakrwawiona dłoń Amosa wskazała wewnątrz skrzyni.

„Oto wasza flaga! Wasz majestat i zaszczyt!”

Skrzynia pełna była podartych, na wpół zmurszałych szmat.

– Co to jest? – krzyknął Sluagh. – Co jej się stało?

„Czas”.

To nie był dobry moment na taką odpowiedź – Amos uzmysłowił to sobie, gdy tylko zobaczył, jak Czaszka Borsuka dobywa miecza. Widząc zmierzające ku sobie ostrze z brązu, błyskawicznie uchylił się w bok. Na szczęście Sluagh wcale nie chciał go zabić, a jedynie pogrzebać w skrzyni. Szmaty były tak stare, że przy każdym dotknięciu zamieniały się w pył, jak gdyby tkwiąc przez stulecia w ciemności, tylko czekały na ten ostatni moment zniewagi.

Sluagh spojrział wymownie na Amosa. Jego ręka niespodziewanie wystrzeliła w kierunku młodzieńca i chwyciła go za kark.

Roześmiał się.

– Czujesz to?

Czuł. Szyja wciąż piekła niemiłosiernie, ale teraz pojawiło się także ukłucie przytkniętego do krtani miecza, a zaraz potem tępy ból, kiedy ostrze zaczęło wędrować po napiętej skórze. Nie miał wątpliwości, że Sluagh właśnie poderżnął mu gardło, śmiejąc się jak gdyby nigdy nic – nie mógł tylko zrozumieć dlaczego.

– Argh... – jęknął, zdumiony dźwiękiem dobywającym się z jego

ust.

– Nie martw się, chłopcze – powiedział łagodnie Czaszka Borsuka. – Koniec zawsze boli.

Wstał, zamknął kopniakiem wieko skrzyni i cofnął się o krok.

Amos próbował powstrzymać krwawienie, szukając na śliskiej szyi jakiegokolwiek rozwarcia, ale bez rezultatu.

– Argh!

– Już to mówiłeś...

„Obiecałeś, że mnie ocalisz!”

– Zgadza się. I właśnie to zrobiłem. Ten ból, który poczułeś... To była moc przysięgi, która przepływała z twojego ciała na mój miecz. Jesteś wolny.

Amos znów obmacał swoje gardło. I znów nie mógł znaleźć żadnej rany. Tym razem jednak zrozumiał, że to dlatego, że jej tam po prostu nie ma.

„Myślałem...”

– Nie, nie myślałeś – uciął Sluagh. – Spanikowałeś. Mówiłem ci: nie możesz robić tych dwóch rzeczy w tym samym czasie. Strach zabija myślenie.

„Nie przejmujesz się flagą?”

Czaszka Borsuka wyglądał na zdziwionego.

– Bardzo się przejmuję. Chciałbym ją zobaczyć chociaż raz w życiu, ale nic na to nie poradzę. Najważniejsze, że nawet w tym stanie zachowuje swoją moc, więc nasz plan nie ulega zmianie. Otworzymy portal i wyrzucimy ją z tego świata. Dzięki temu raz na zawsze uwolnimy się od naszego przekleństwa.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając haczykowate zęby, których wcześniej Amos nie zauważył.

– Znów będziemy wolni, a nasi wrogowie zapłacą za swoje zbrodnie. Ale dość tych pogaduszek. Nie przeszkadzaj nam więcej. Musimy zdążyć przed świtem.

W pierwszym odruchu Amos zamierzał odejść, ale uświadomiwszy sobie, że nie ma dokąd, usiadł i zaczął obserwować. Musiał. Chciał się przekonać, czy cała ta rzeź faktycznie była warta tego, co miało nastąpić.

Wszystko, co do tej pory zobaczył, nie miało najmniejszego

sensu. Staw, krowy, masakra... Nic z tego nie wynikało. W którymś momencie pomyślał nawet, że rozkoszuje się widokiem cudzej śmierci, ponieważ sam uniknął wyroku. Oczywiście, natychmiast odrzucił tę myśl, lecz samo jej pojawienie się pozostawiło w nim niesmak. W milczeniu przyglądał się, jak Sluagh wykrwawiają jeszcze pięćdziesiąt krów i jednego byka. Z każdą kolejną ofiarą woda stawała się coraz gęstsza i bardziej lepka. Srebrzyste światło księżyca było zbyt słabe, aby dało się rozróżnić kolory, ale kiedy mistrz ceremonii wychodził na brzeg po kolejne zwierzę, za każdym razem zostawiał na piaszczystym brzegu ciemne ślady stóp. Gdy zabito już całe stado, Czaszka Borsuka powiedział coś do Sluagh z krukiem na plecach, a ten ruszył po martwych ciałach aż na środek stawu, trzymając w ręku worek, w którym coś się szamotoło. Kiedy dotarł na miejsce, wyciągnął z worka ogromnego ptaka – wronę lub kruka. Szybki ruch noża oddzielił czarny opierzony łepok od reszty ciała i do wody trysnęła struga krwi. Reszta Sluagh wydała z siebie głośny okrzyk aprobaty.

Następnie Kruk przeskoczył po ciałach krów z powrotem na skraj zbiornika. Gdy tylko stanął na piasku, sięgnął do torby i wyjął z niej jakiś dysk z uchwytem. Obrócił go gładką powierzchnią ku ziemi i pochyliwszy się, ustawił równolegle do powierzchni wody.

Kiedy wreszcie uznał, że osiągnął cel, znieruchomiał. Przez kilka długich chwil nic się nie działo – aż do momentu, kiedy ręka Sluagh zaczęła drżeć, a on sam wydał z siebie krótki okrzyk. Wraz z nim rozległo się ciche tąpnięcie, jakby coś wyszło z okolicy części powietrza.

Amos przeniósł wzrok na staw i osłupiał.

Stado przepadło. Nabrzmiące brzuchy, nieruchome łby z wybałuszonymi oczami, potężne rogi i racice – wszystko to zniknęło, przestało istnieć. W tym samym miejscu znajdowała się teraz tafla połyskująca niczym polakierowany blat. Była tak idealnie płaska i tak nieruchoma, że aż nierzeczywista. Zupełnie jakby ktoś położył na ziemi ogromne czarne lustro.

Nie, nie lustro. Otchłań. Bo nagle Amos zdał sobie sprawę, że nie

tylko krowy zniknęły ze stawu, ale także odbicie nieba. Choć księżyc i gwiazdy wciąż były na swoich miejscach, lustropodobna powierzchnia ich nie odbijała.

Jego rozważania przerwali Czaszka Borsuka i Byk, którzy niemal równocześnie klepnęli po zadzie jednego z kuców. Zwierzę ruszyło naprzód, a przywiązany do siodła sznur napiął się i po chwili skrzynia z flagą zaczęła się przesuwac na środek smolistej tafli. Przez kilkanaście sekund nic się działo. Aż nagle czerń podniosła się, złapała żelazny przedmiot i wciągnęła go pod powierzchnię. Sznur ponownie się naprężył i zanim ktokolwiek zdołał zareagować, wierzcholec runął. Chwilę później, przeraźliwie rżąc i wierzgając kopytami, także zniknął w otchłani.

Czaszka Borsuka krzyknął coś do kompana, który odskoczył do tyłu, zabierając ze sobą lustro. Gdy tylko połączenie między dwiema czarnymi powierzchniami zostało przerwane, rozległ się kolejny poddźwiękowy wstrząs, jak gdyby zabrana wcześniej część powietrza z powrotem wróciła na swoje miejsce.

Nikt się nie poruszył.

Czaszka Borsuka podszedł do brzegu i nabrał wody w obie dłonie. Następnie pozwolił, by przeciekła mu przez palce. Była czysta, pozbawiona krwi.

– Stało się – oznajmił.

Odszukał wzrokiem Amosa.

– Wciąż tu jesteś, Krwawy Chłopcze?

„Tak”.

Choć wolałby być gdzie indziej. Gdziekolwiek. Lub móc wymazać z pamięci to, co przed chwilą zobaczył. Zmyć z siebie wspomnienie, jak zmywa się brud.

– Tak, umyj się – powiedział Czaszka Borsuka, jakby czytał w jego myślach. – Woda znowu jest czysta. To zwykły staw. Jak kiedyś.

Amos ze zdziwieniem dostrzegł, że Sluagh wzdycha z ogromną ulgą. Czyżby aż tak się denerwował?

– Najważniejsze, żeby w porę zerwać połączenie – wyjaśnił przywódca. – Nasi ojcowie opowiadali nam, że czarne lustra nie

zawsze były czarne. Kiedyś, dawno temu, były jasne. A potem z miejsca, które leży po ich drugiej stronie, zabrano Pożogę, sprawiając, że pograżyły się w wiecznej ciemności. Ten mrok łąknie utraconego światła i jeżeli przejście między światami będzie otwarte za długo, kto wie co się tu przedostanie. I kto wie jaką krzywdę mogłoby wyrządzić nam wszystkim.

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową, odchylając ją nieco do tyłu, jakby chciał osuszyć włosy.

– Rzuć mi swój nóż – rozkazał.

„Mój nóż?”

– Tak, twój przeklęty żelazny nóż.

Amos wyjął go z kieszeni i bez wahania wypełnił polecenie.

Sluagh złapał broń za klingę. Wszyscy na niego patrzyli. Nawet się nie wzdrygnął. Ostrożnie przyłożył metal do odkrytego nadgarstka. Zaśmiał się cicho. Wystawił język i powoli przeciągnął po nim ostrzem.

Sluagh ryknęli śmiechem, podekscytowani i wyraźnie zachwyceni.

– Żelazo nie ma już nad nami władzy! – krzyknął Czaszka Borsuka. – Wreszcie jesteśmy wolni!

Potem spojrzał na Amosa.

– Myślę, że zachowam twój nóż na pamiątkę – oznajmił. – Będę się musiał przyzwyczaić do tego metalu. I do tak ostrych krawędzi.

Amos wzruszył ramionami.

„I tak nie był mój. Ani razu nie przyniósł mi szczęścia”.

– Szczęścia nie dostaje się za darmo, trzeba na nie zapracować – odparł Czaszka Borsuka. – Ale za to, co dla nas zrobiłeś, życzę ci go jak najwięcej.

– Zaczekaj – powiedział jakiś głos.

To była Zmora, która właśnie weszła na szczyt wzgórza.

– Nasza współpraca dobiegła końca – odparł Czaszka Borsuka.

– Nie – zaprotestowała Zmora. – Właśnie wracam z Gallstaine. Musicie to zobaczyć. I to teraz, kiedy żelazo nie jest w stanie was zatrzymać.

Przywódca zmarszczył brwi.

– Mountfellona tam nie ma – stwierdził, patrząc pytająco na Amosa. – Czego mielibyśmy tam szukać?

– Kości – odparła Zmora. – W środku są kości, które musicie zobaczyć.

Kiedy grupa zeszła ze wzgórze i zniknęła w tunelu, Amos położył się na trawie i przymknął oczy. Nie chciał stąd odchodzić, dopóki się nie dowie, w którą stronę podążą Sluagh. Pragnął udać się w przeciwnym kierunku. A poza tym naprawdę chciało mu się spać.

Zmora i Czaszka Borsuka nie wracali przez długi czas, a kiedy się pojawili, ona się uśmiechała, zaś przywódca Sluagh aż kipiał ze złości. Niósł jakieś zawiniątko; Amos dostrzegł pokrytą tatuażami skórę. Zdał sobie sprawę, że dokładnie coś takiego widział w jednej ze szklanych gablot.

Kostki na pięściach Czaszki Borsuka były rozcięte i krwawiły.

Uniósł tobolek.

– Oskórował jednego z nas i umieścił szczątki w klatce.

Reszta Sluagh ryknęła z dezaprobatą.

– Dlatego zostawiłem mu niespodziankę.

Po raz ostatni spojrzał na Amosa.

– A mówią, że to my jesteśmy potworami – dokończył i strzelił palcami, dając znak swoim ludziom.

Minutę później Amos i Zmora stali na szczycie wzgórze sami, bez zapasów i bez wierzchowców.

„Dokąd teraz?”

Wciąż czuł się zmęczony, ale wiedział, że nie może go tu być, kiedy nadejdzie świt.

– Do Londynu – odparła. – Jeśli to tam jest Mountfellon, tam właśnie umrze.

Bez ostrzeżenia ruszyła w dół zbocza, kierując się ku ubitej drodze.

Dogonił ją.

– Chcesz mi pomóc, Krwawy Chłopcze? – spytała, gdy pokonywali rów na poboczu.

„Może...” – skłamał.

Tak naprawdę Londyn był ostatnim miejscem na ziemi,

w którym chciał się znaleźć. Z drugiej strony to właśnie tam mieściła się siedziba Wolnego Bractwa, które walczyło ze Sluagh. Ostatnie dni sprawiły, że kompletnie stracił grunt pod nogami. Choć przez biały tatuaż stracił władzę nad własnym życiem, z czasem zaczął lubić swoich ciemżycieli, a nawet się z nimi utożsamiać. Kiedy jednak dotarli do Gallstaine, zdał sobie sprawę, że wszystko to były tylko sztuczki, które miały na celu zdobycie jego zaufania. A gdy zobaczył, co zrobili nad stawem, był pewien, że nie ma z nimi nic wspólnego. I że od tej chwili każda noc będzie pełna strachu przed Sluagh.

Być może odszukanie ludzi, którzy potrafią ich pokonać, przyniosłoby mu ukojenie.

ROZDZIAŁ XL

Ostatnia komnata

Sharp i Sara już od dłuższego czasu wlekli się niskimi i krętymi tunelami katakumb. Byli wycieńczeni, przemoknięci i przemarznięci, nawet nie mieli siły, by ze sobą rozmawiać. Jedyne, co im pozostało, to przeć naprzód, licząc, że w końcu wydostaną się z tego przekłętego miejsca.

Aby się nie pogubić, na każdym rozwidleniu zawsze wybierali korytarz prowadzący w górę.

Sara jedną rękę trzymała na barku przyjaciela, a drugą przyciskała do swojej piersi. To pierwsze miało jej pomóc utrzymać się w pionie, to drugie – zachować resztki ciepła, choć tak naprawdę po prostu chciała uniknąć przypadkowego kontaktu ze szkieletami zmarłych, których wokół było pełno. Oczywiście nadal miała na dłoniach rękawiczki, ale strach przed kolejnym przypadkowym Wejrzeniem był silniejszy niż zdrowy rozsądek. Bała się, że tym razem mogłaby nie znaleźć drogi powrotnej do teraźniejszości. Wejrzeńcy znani byli z tego, że prędzej czy później popadali w szaleństwo, ponieważ nie potrafili uciec od nieustannie prześladowających ich wizji.

Białe stopy ciągnące się wzdłuż korytarzy w większości

składały się z kości udowych i piszczeli, ale gdy w pewnym momencie Sharp zbliżył świecę do ściany, okazało się, że za nimi są także inne, mniejsze. Poza tym ludzie, którzy budowali ten grobowiec, najwyraźniej próbowali raz na jakiś czas popuścić wodze fantazji i układali z czaszek rozmaite kształty. Sharp i Sara widzieli już krzyże i serca, a raz trafili nawet na coś, co przypominało flagę piracką.

Do tej pory minęli też całkiem sporo komnat grobowych, z których każda udekorowana była w odrębnym stylu. Przypominały boczne kapliczki w katedrach – z filarami, ołtarzami i posągami także usypanymi z kości. Nawet się nie zatrzymywali przy tych makabrycznych jamach.

Sara coraz bardziej słabła i Sharp, zastanawiając się, czy podoła takiemu wyzwaniu, pogodził się z tym, że będzie ją musiał wziąć na plecy, kiedy nagle natknęli się na przestronną komnatę. Na jej środku znajdował się solidny filar zbudowany z ułożonych warstwami kości i przeplatanych pasmami czaszek, niczym groteskowy beczkowaty tort.

Zatrzymali się w progu i zajrzeli do środka.

Nogi ugięły się pod Sarą, więc mocniej przyłgnęła do Sharpa, ten zaś zacieśnił uścisk wokół jej talii, przygotowując się na najgorsze.

– To złe miejsce – powiedziała cicho.

– Tak, chyba zabłądziliśmy.

– Nie rozumiesz. W tym pokoju stało się coś naprawdę złego.

Sharp czuł, że przyjaciółka słabnie. Jej oczy stały się niezdrowo szkliste.

– Chodź – powiedział i poprowadził ją w kierunku drzwi po drugiej stronie filaru.

Powłóczyła nogami tak, jakby nie chciała stamtąd wyjść, jak gdyby groza pomieszczenia obezwładniała ją i przyciągała ku sobie.

Przeszli przez próg i ku swojemu zaskoczeniu znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu, tym razem w kształcie klina. Nie było tu żadnych kości, obydwójce więc poczuli ulgę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, omiatając wzrokiem gładkie

ściany.

Odwrócił się i spojrzął na drzwi, przez które właśnie przeszli. Wyglądały jak złowieszcza czarna paszcza, której nie sposób rozjaśnić żadnym światłem. W nadprożu wyryto napis: *Arrete! Ici, c'est l'Empire de la Mort.*

– Stój! Oto królestwo śmierci – przetłumaczył cicho Sharp. – Nie wydaje mi się, żebyśmy byli pod Londynem.

Skinęła głową, skupiając wzrok na ciemności ziejącej za drzwiami.

– Nie – odparła. – Nie jesteśmy.

Pociągnął ją w kierunku wznoszącego się korytarza na końcu klinowatego pomieszczenia. Idąc, co chwilę oglądała się za siebie, w stronę wejścia do katakumb, dopóki nie zniknęło za zakrętem.

Sharp poczuł, że Sara odzyskuje siły. Po stu jardach poczuła się już na tyle dobrze, że uwolniła się z jego objęć i szła teraz o własnych siłach. Nabrali tempa i kolejne sto jardów pokonali w dwa razy krótszym czasie. W pewnym momencie płomień świecy zamigotał od poddmuchu świeżego powietrza. Skręcili za róg i stanęli jak wryci.

Na przeciwległej ścianie zamontowano drabinę, a trzydzieści stóp wyżej znajdował się zakratowany otwór, przez który wpadały smugi światła.

– Jesteśmy wolni – powiedział, z uśmiechem odwracając się do przyjaciółki. – Możemy wracać do domu.

W snopie światła dostrzegli opadające powoli drobiny jakiegoś pyłu. Sharp podszedł do ściany i uniósł głowę, a pył zaczął lądować na jego twarzy i topnieć. Wyciągnął ze zdziwieniem rękę.

– To śnieg – stwierdził. – Ale jakim cudem... Przecież teraz nie mamy zimy...

Odwrócił się, by sprawdzić reakcję Sary, ale ona nie patrzyła ani na niego, ani na taniec białych płatków. Stojąc nieruchomo, spoglądała w ciemny korytarz za nimi.

– Dobrze – powiedział, wskazując na drabinę. – Idź pierwsza. Będę tuż za tobą na wypadek, gdybyś zasłała.

– Nie – zaprotestowała. – Nie mogę stąd odejść. Jeszcze nie

teraz.

– Nie teraz? – spytał osłupiały.

Skinęła głową i ruszyła z powrotem w kierunku ciemnego korytarza.

– Saro – zawołał, usiłując złapać jej rękę.

Zrobiła unik, nie zwalniając kroku.

Pobiegł za nią i chwyciwszy ją za ramię, nie pozwolił się odepchnąć. Odwróciła się twarzą do niego. Zaciskała szczęki, a w jej szeroko otwartych oczach malowała się rozpacz.

– Muszę wrócić do tamtego pomieszczenia. Muszę wejść do królestwa śmierci i dotknąć ściany...

– Nie. Absolutnie nie – odparł. – Nie pozwolę ci na to.

W jej oczach pojawiła się determinacja.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia.

– Przysięgłem cię chronić... – zaczął, ale zaraz zamilkł, czując na swoich ustach jej palec.

Pokręciła głową.

– I chronisz mnie, Jack. Zawsze mnie chroniłeś, a ja zawsze o tym wiedziałam. Nie było dnia, żebym cię za to nie ceniła, nawet jeśli wydawało ci się, że nie dostrzegam twoich starań. Świetnie sobie z tym zadaniem radzisz. Ale przed jednym mnie nie uchronisz, Jack.

– Przed śmiercią?

– Nie – odparła. – Przed obowiązkiem.

Uśmiechnęła się do niego najłagodniej, jak potrafiła.

– To naprawdę miłe, że tak się o mnie troszczysz, że robisz wszystko, aby nie stała mi się żadna krzywda. Ale obowiązki, a właściwie ich wypełnianie to już zupełnie inna sprawa. Czymkolwiek jesteśmy, przede wszystkim jesteśmy Nadzorem. Polegają na nas inni. I niektóre rzeczy są nam po prostu pisane.

Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie.

A on za nią.

– Saro! – zawołał.

– Muszę wrócić tam i wejrzeć – powiedziała, nie zwalniając kroku. – Muszę i chcę...

– Jesteś osłabiona. Pozwól się stąd zabrać. Osuszemy się,

ogrzejemy, posilimy, może nawet prześpimy, a wtedy...

– Pamiętasz jaskinię?

– Trudno jej nie pamiętać.

– Kiedy się topiłam... to się stało... Zanim wróciłeś i wyciągnąłeś mnie stamtąd przez lustro. Ja...

Załamaj jej się głos, mimo to nie zwolniła kroku.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

Odchrząknęła.

– W jaskini dotknęłam ściany. Wejrzałam.

Jej głos był szorstki.

– To dlatego za mną nie podążyłaś – zrozumiał.

Skinęła głową i ponownie odchrząknęła. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie powinien jej teraz powstrzymywać.

Po raz trzeci odkaslnęła i wzięła głęboki oddech.

– Widziałam Katastrofę. Widziałam, co się stało, gdy ci biedni... gdy ci ludzie weszli przez tę przeklętą serwantkę z Murano do świata luster, myśląc... mając nadzieję... że nas wszystkich uratują. Widziałam... wirującą w jaskini wodę, tonących mężczyzn i kobiety, walkę o ostatni oddech... I tyle znajomych twarzy... Nikt tego nigdy nie powinien oglądać...

Ból w jej głośnie był nie do wytrzymania

– Widziałam ich śmierć. Wszystkich po kolei.

– Saro... – szepnął.

– Widziałam też, jak umierała moja matka – dodała po chwili milczenia. – Walczyła o oddech do ostatniej chwili, a potem próbowała rozbić lustro, żeby nikt więcej tam nie wszedł i nie zginął, jak oni. Nawet w objęciach śmierci wypełniała swój obowiązek. Jak mogę to zignorować?

Zatrzymała się i odwróciła, patrząc mu prosto w oczy. Po jej policzkach spływały ogromne łzy.

– Muszę się dowiedzieć, dlaczego ta piekielna siła obecna w tamtej komnacie chce, abym poznała prawdę.

Patrzył na nią bez słowa protestu.

– Znam każdy twój argument – ciągnęła. – Że to niebezpieczne, że jestem osłabiona, że należy zachować rozsądek, ale...

– Zrób to – wszedł jej w słowo. – Musisz to zrobić.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale idę z tobą – dokończył.

Powoli skinęła głową, a w jej oczach, prócz smutku, pojawiła się także ulga.

– Mam taką cholerną nadzieję – powiedziała, ocierając łzy.

Podał jej świecę.

– Prowadź. I pośpiesz się. Świeczka zaraz się wypali.

Zaczęli biec.

– Wszystko będzie dobrze – wydyszała. – Widziałam Katastrofę. Widziałam śmierć własnej matki. Nic gorszego mnie już nie spotka.

ROZDZIAŁ XLI

Umierający chłopiec

Chłopiec umierał. Wiedział o tym. Leżał bezradnie na plecach, a wielki ciężar przygniatał jego klatkę piersiową z taką siłą, że kamienie pod siennikiem wbijały mu się w łopatki. Coraz bardziej brakowało mu powietrza. Jeżeli to coś się nie podniesie i nie da mu odetchnąć, zebra zaraz mu trzasną jak suche gałęzie.

Ale wiedział, że to nie nastąpi. To coś już go nie uwolni. Powiedziało mu to. Powiedziało, żeby wziął głęboki oddech, ponieważ za chwilę będzie po wszystkim; że jedyne, co musi zrobić, to się nie ruszać i czekać na sen. Tak właśnie nazwało śmierć, ale chłopiec wiedział, że to kłamstwo. Dlatego walczył. Wił się, drapał, bił i gryzł. I wtedy to coś go uderzyło, opróżniając jego płuca z resztek powietrza. A gdy złapał kolejny oddech, położyło mu na ustach dłoń śmierdzącą tytoniem i kurzymi odchodami. Potem drugą dłonią zacisnęło mu także nozdrza i ponownie wcisnęło w siennik.

W głowie chłopca rozległo się nieme wołanie. Wołał matkę i ojca, których – wiedział o tym – nigdy już nie zobaczy. A kiedy zrozumiał, że nie ma żadnych szans, to coś się uniosło, ale tylko po to, by zaraz przycisnąć jego klatkę kolanem. Pochylone nad nim, wyglądało jak mężczyzna. Stary, posiwiały, o białej brodzie,

bladej skórze i szklistych oczach. Zupełnie jakby ktoś wyprał go ze wszystkich kolorów. Nie było w tym nic zaskakującego, bo tak naprawdę to coś wcale nie było mężczyzną, tylko przybrało ludzki kształt. W istocie było jednym z tych potworów żyjących w mrocznych, okrutnych baśniach, którymi straszy się małe dzieci.

Chłopiec był przerażony. A teraz jego walka dobiegała końca. Umierał. Umierał, ponieważ to coś pochyliło się nad nim i szeroko rozwarło szczęki, zakrywając nimi jednocześnie jego nos i usta, obejmując je, pochłaniając. Chłopiec próbował nie wypuszczać powietrza i przetrzymać pieczenie w klatce piersiowej, gdy kwas mlekowy zalewał jego pozbawione tlenu płuca, ale wówczas potwór jeszcze mocniej napał kościstym kolanem. Kołysał się przy tym, mrużąc coś pod nosem, jak gdyby odprawiał jakiś mroczny rytuał. I wtedy chłopiec się poddał, opróżnił płuca.

Powoli tonąc w ciemnościach, podjął ostatnią próbę. Tuż nad sobą słyszał przedziwne, jednostajne mrużenie. I jakby bulgot. Istota nad nim zdawała się przeżywać euforię. Zadrżała i napała na niego jeszcze mocniej – jak chciwy pijak, który nerwowo wytrzepuje z bukłaka ostatnie krople wina. Płuca chłopca płonęły, z oczu tryskały mu ostatnie łzy. Wiedząc, że czeka go Sąd Ostateczny, zaczął myśleć o Bogu, przeproszać go za wszystkie swoje dziecięce grzechy i błagać o przebaczenie. A może Bóg nie istnieje? Spanikował, nie chcąc umierać z tak okropną myślą...

...i pewnie dlatego nie usłyszał, jak otwierają się drzwi. Poczuł tylko chłodny podmuch na policzku.

Ktoś wszedł do izby.

– Nie! – krzyknęła jakaś kobieta.

Bardziej usłyszał, niż zobaczył, że coś leci przez pokój. Przedmiot uderzył napastnika z ciężkim, głośnym tąpnięciem, jak topór wbijający się w suchy dąb, a potem zabójczy ciężar zniknął.

Gdy tylko potwór oderwał usta od twarzy chłopca, ten natychmiast otworzył oczy i spróbował wziąć oddech.

Nie mógł.

Nie mógł też zrozumieć, co przed sobą widzi.

Istota walczyła z czymś w rodzaju krótkiego kija, który najwyraźniej przygwaździł ją do ściany obok materaca. Znał ten przedmiot. To był bełt kuszy. Z pierzastej lotki skapywała krew, barwiąc siwą bronę mężczyzny na czerwono.

Chłopiec odwrócił się, by spojrzeć przez pokój.

W drzwiach stał Łowca. Po jednej jego stronie leżała nieprzytomna kobieta, żona potwora, a po drugiej kucąca jakaś dziewczynka w stroju myśliwskim, z dwoma czarnymi warkoczami i z bardzo dużym nożem w dłoni.

– Zapadnięte płuca! – powiedział Łowca. – Ido, pomóż!

Dziewczyna była szybka, nawet bardzo, jakby czas i przestrzeń zupełnie jej nie ograniczały. W jednej chwili sprawdzała, czy kobieta na podłodze jest przytomna, a sekundę później stała u boku chłopca i uśmiechała się do niego. W jej oczach odbijał się ogień przygasający w kamiennym palenisku obok upiornej istoty przybitej do ściany.

– Nie martw się – uspokajała. – Wszystko będzie dobrze.

To powiedziawszy, pochyliła się, delikatnie ścisnęła jego nozdrza i przyłożyła swoje usta do jego ust. Jej wargi były miękkie, a oddech słodki. Robiła to tak długo, aż jej płuca całkowicie się opróżniły. Chłopiec poczuł w klatce piersiowej ból, któremu towarzyszyło wrażenie, że coś w niej trzeszczy i pęka. Dziewczynka uniosła głowę, a on, odkaszlnąwszy kilkakrotnie, zaczął łapczywie oddychać, zdumiony, że znowu może to robić.

– Spokojnie – powiedziała. – Nie musisz się tak spieszyć. Już ci nic nie grozi, młody Peterze.

Łowca przemierzył pokój, pochwycił mężczyznę i przyciągnął ku sobie, uwalniając z pułapki. Potem, rzuciwszy ciało na podłogę, chwycił za bełt i zajął się wyciąganiem go z desek boazerii.

Chłopiec spoglądał to na przybysza, to na dziewczynkę, usiłując sobie przypomnieć, czy ich już kiedyś spotkał. Jego oddech nieco się uspokoił, choć wciąż jeszcze daleko mu było do normalności.

– Oddychaj wolniej, Peterze – powiedział przybysz. – Inaczej wszyscy się tu podusimy z braku powietrza.

Twarz Łowcy była ponura, ale jednocześnie biło z niej sporo

życzliwości.

Dziewczynka podeszła do *Frau Wachman*, leżącej na podłodze przy wejściu. Zza jej gorsetu wyjęła zwitek papieru i podeszła do ognia. Rozwinęła list i wbiła wzrok w czarne jak węgiel wersy. Zacisnęła zęby, a potem spojrzała na Łowcę, który od jakiegoś czasu usiłował wyjąć bełt z pomocą krótkiego noża.

– Niedobrze – stwierdziła.

– Kim jesteście? – zapytał cicho chłopiec.

– *Frau Wachman* wiedziała od razu – odparła, patrząc na leżącą pod drzwiami kobietę. – Zna wszystkie historie o potworach.

– Nie jesteście potworami – stwierdził.

– To prawda, nie jesteśmy – przyznała. – To ona i jej mąż są potworami. A my na nie polujemy.

– Więc kim jesteście? – powtórzył, jednocześnie zdając sobie sprawę, że zna odpowiedź, ponieważ stare, mroczne historie traktują nie tylko o bestiach, ale także o bohaterach.

Dziewczynka zwinęła list i schowała go do kurtki, po czym znów podeszła do chłopca i usiadła obok niego. Pogładziła go po policzku. Jej dłoń była zaskakująco zimna i delikatna.

– Jesteśmy *Die Wachte*, mały Peterze.

Mężczyzna skrzywił się i szarpnął za bełt. Zdoławszy wreszcie wyrwać go ze ściany, wsunął go do kołczanu.

– Jesteśmy Łowcami Cienia – dodał.

– Czyli łowcami potworów – powiedział z podziwem Peter.

Dziewczynka wruszyła ramionami i delikatnie położyła mu dłoń na oczach. Czuła, jak chłopiec odruchowo się wzdryga. Być może przypomniał sobie, jak to coś stawało się coraz cieplejsze, gdy wysysało z niego ostatni oddech. Na szczęście jej łagodny głos jak zawsze zrobił swoje i uspokoił malca. Chłopiec poczuł błogi, rozleniwiający spokój.

– Tak, można tak powiedzieć. Jesteśmy łowcami potworów. Ale mimo to o tym zapomnisz. Kiedy oddamy cię rodzicom, będziesz pamiętał jedynie to, że lunatykowałeś i obudziłeś się gdzieś w ciemności, samotny i zagubiony na drodze do *Berchtesgaden*, gdzie ja i mój przyjaciel znaleźliśmy cię płaczącego w rowie.

Zabrała dłoń z oczu chłopca. Spał.

Otto spojrział na nią.

– Mogłaś poczekać, aż zejdziemy z tej góry.

Pokręciła głową.

– Był zbyt zmęczony, żeby iść.

– A teraz ja muszę go nieść!

Znów pokręciła głową, schyliła się i zarzuciła sobie dziecko na ramiona.

– Mylisz się – odparła, wskazując na nieprzytomną postać przy wejściu. – Ty musisz nieść *Frau Wachman*.

– Myślałem, że ją... – zaczął.

– To źle myślałeś – weszła mu w słowo. – Prawo i Obyczaj. Zabijamy tylko po to, by uratować.

– Ale oni ukradli dziecko.

– Tak, ukradli, ale nie po to, by je zabić. Chcieli je zabrać z powrotem do Berchtesgaden i wychować jak swoje. Stracili syna i chcieli go kimś zastąpić. Nawet Alpowie potrafią przeżywać żałobę. A ci tutaj na pewno.

– A skąd wiesz, co te istoty czują? – zapytał, wywlekając martwego stwora z chaty.

– Bardzo śmieszne. Naprawdę marnujesz czas, zadając mi takie pytanie.

– Przecież on chciał zabić tego chłopaka.

– No cóż, nie miał tak silnej woli jak ona. Był starszy, a do tego łaknął wigoru, którego mały by mu dostarczył wraz ze swoim oddechem. Co mam ci powiedzieć? Obydwoje musieli być kiedyś silni. Żyli jak normalni ludzie i pewnie nie zwracali na siebie uwagi. Myślę, że hodowali drób. Najwyraźniej żywili się ostatnimi oddechami kur, ludzi w ogóle nie tykali. Aż do teraz.

– A list? Co wyczytałaś?

Wyjęła kartkę.

– To coś związanego z Londynem. Ktoś stamtąd zamawiał usługi ich kolejnego syna. Poprzedni... Zaraz... Tak, poprzedni zaginał. I wcale nie dlatego, że zabijał kury...

– I dlatego muszę znosić z góry tę grubą babę?

Dziewczyna zastygła w bezruchu, doczytując list do końca. Kiedy dotarła do podpisu, zakłęta cicho pod nosem.

– Coś nie tak? – zapytał.

Pokazała mu pismo, wskazując na sygnaturę.

– Maximilien de co? – Zmrużył oczy. – Nie mogę się doczytać.

Powiedziała mu.

– Nie – zaprotestował. – To niemożliwe, Ido. On nie żyje od bardzo dawna. Zabili go za zdeprawowanie Paladynu oraz za haniebne czyny podczas Wielkiego Terroru. A nawet gdyby tak się nie stało, to ile lat musiałyby mieć teraz?

– Stały dostęp do Alpów potrafi wystarczająco przedłużyć życie, by takie rzeczy stały się możliwe – odparła, spoglądając na *Frau Wachman*.

– Nie wątpię, że...

– Zabierzmy ją do Lichtenbergu – przerwała mu. – Pokażemy list pozostałym, a potem ją przesłuchamy. Zastanawiam się tylko, czy nie powinnam od razu udać się do Londynu i ostrzec naszych braci oraz siostry z Nadzoru, że grozi im niebezpieczeństwo.

– Ale dlaczego ty, Ido? – zapytał. – Nie powinien to być ktoś ze starszyny?

– Nie, żaden z nich nie miał matki Szkotki – wyjaśniła. – Tylko ja znam angielski.

– To prawda – zgodził się niechętnie Fleischl. – Jeśli jutro dotrzemy do swoich, to za trzy czy cztery dni powinnaś być w Londynie.

– Nie ma na to czasu – oznajmiła. – A nasze łowy na razie przestały być takie pilne. Znaleźliśmy Alpów, których szukaliśmy.

Schattenjäger skinął głową, spoglądając bezradnie na martwego mężczyznę, którego ledwie zdołał zataszczyć do progu.

– Za chatą jest głęboki wąwóz. To idealne miejsce na grób dla Herr Wachmana – powiedziała Ida, widząc jego bezradność. – A jeśli wyruszę dziś w nocy, dotrę do Londynu za dwa i pół dnia.

– Katakumby – odparł. – I wiesz co? Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej.

ROZDZIAŁ XLII

Imię wroga

Wróciwszy do katakumb, przystanęli przed wejściem i spojrzeli na ostrzeżenie wyrzeźbione w nadprożu.

– Coś nie tak? – zapytała Sara.

– *L'Empire de la Mort* – odczytał na głos Sharp. Zdawał sobie sprawę, że bezowocnie próbuje opóźnić nadchodzący moment. – Bardzo francuskie, nieprawdaż?

– Chodzi ci o to, że nazbyt melodramatyczne? – zapytała.

– Nie – odparł. – To znaczy tak, to też, ale miałem na myśli raczej przypisanie śmierci kobiecej formy.

– Cóż – westchnęła. – Wszyscy przyszliśmy na ten świat dzięki kobietom, więc pewnie i odejść powinniśmy dzięki nim. A przynajmniej w ich towarzystwie.

– A co w takim razie pozostaje nam, zabójczym mężczyznom?

– Trzymanie świeczki – odparła, podając mu grudkę wosku z płonąca resztką knota.

Odpięła jedną z rękawiczek, zdjęła ją i poruszyła kilka razy palcami. Spojrzenie, jakim obdarowała Sharpa, obezwładniło go i odebrało mu możliwość wyrażenia kolejnego protestu.

– Muszę działać bardzo szybko – powiedziała.

I zanim zdołał ją powstrzymać, wpadła do komnaty po drugiej stronie, ruszyła prosto do beczkowatego filaru z kości i naga dłońią dotknęła lśniącego, brązowego czoła najbliższej czaszki.

– Czekaj! – krzyknął mimowolnie.

Plecy Sary wygięły się w łuk, a jej głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu.

Kobieta wejrzała.

Przez kilka sekund niemo krzyczała, spadając głęboko w przeszłość. Obrazy migały jej przed oczami z taką prędkością, że aż ją mdliło, ale nie była w stanie ich powstrzymać. Mogła tylko czekać i przyglądać się, jak nadchodzi najgorsze.

Komnata.

Ta sama, w której znajdowała się przed chwilą.

Oświetlona wysokimi kościelnymi świecami, które ustawiono wokół filaru.

Jacyś mężczyźni tworzą drugie koło, na zewnątrz świec.
Ubiory z poprzedniego wieku. Z czasów rewolucji francuskiej.
Bryczesy, obcisłe płaszcze z wysokim kołnierzem, czasem
czerwone czapki frygijskie i trójkolorowe chusty sankiulotów.

Wszyscy wpatrują się w filar.

Ktoś wprowadza kolejnego mężczyznę.

Więźnia.

Pchnięty, pada na kamienną podłogę.

Na szyi, nadgarstkach i kostkach ma ciężkie kajdany.

Wije się z bólu.

Jakby żelazne pęta go paliły.

Ale jego skóra nie nosi żadnych śladów oparzeń.

Są za to tatuaże. Wijące się, ciemnoniebieskie linie.

To Sluagh.

Teraz wchodzi trzech kolejnych mężczyzn. Dwóch z nich
podnosi więźnia i przyciska go plecami do filaru. Rozkładają mu
ręce na boki, w geście będącym profanacją ukrzyżowania.

Trzeci mężczyzna jest starszy.

Jego twarz szpecą blizny po ospie. Ma bezlitosny wzrok.

W rękę trzyma czarny kamienny nóż.

Mówi coś do Sluagh, który cały czas się szamocze i próbuje
uwolnić. Z przerażeniem spogląda na otaczających go ludzi.

Jeden z dwóch oprawców trzymających więźnia kiwa głową
mężczyźnie z bliznami.

– Obywatelu? – rzuca pytająco.

Sluagh cały czas się szarpie, kajdany dzwonią.

Obywatel nieruchomieje w ekstazie – z odchyloną głową,
z zamkniętymi oczami, z uśmiechem na oszpeconej twarzy. Jakby
już teraz wyczuwał krew, która zaraz się przeleje.

– Obywatelu Robespierre?

Otwiera oczy. Rusza w stronę więźnia.

Żuchwa Sluagh pulsuje, a on sam zaciska zęby. Przygotowuje się
na ból.

Obywatel uderza mocno w odsłonięty brzuch więźnia.

Sluagh ze świstem wypuszcza powietrze.

Robi wszystko, by nie krzyknąć.

Mimo to otwiera szeroko usta.

Obywateł chwyta go za język.

Drugą ręką, uzbrojoną w nóż, wykonuje szybki ruch.

Czas przeskakuje.

Sluagh zwisa bezwładnie, wciąż podtrzymywany przez dwóch strażników.

Z ust sączy mu się czarna krew, skapuje do wiadra ustawionego tuż u jego stóp.

Obywateł miażdży w dłoni coś mięsistego, upuszcza krew między rozwarte szczęki jednej z czaszek na filarze.

Czas przeskakuje.

Obywateł bierze pełne wiadro i wylewa krew na kolumnę. Wykrzykuje coś niezrozumiałego.

Czas przeskakuje.

Filar wiruje wokół własnej osi. Różne warstwy kości rozdzielają się i krążą w przeciwne strony.

Jak kamienie młyńskie.

Ale nie produkują mąki.

Mielą ciemność.

Ze szpar pomiędzy kośćmi wypływa ciemny płyn.

Zaraz potem wylewa się także z oczodołów czaszek.

Spływa po filarze niczym smoła.

Na podłodze rośnie czarna kałuża.

Wspina się na każdą ze świec.

Przykrywa je czernią.

Dociera do ognia.

Światło staje się czerwone.

Zgromadzeni się cofają. Krzyczą.

Czerwone światło miga, zamieniając się w czarne.

Zgromadzeni upadają nieruchomo na ziemię.

Tylko trzech mężczyzn pozostaje na nogach.

Obywateł ściąga koszulę.

Kiwa głową.

Zanurza dłonie w ciemności i smaruje nią sobie szyję. Wrzeszczy z bólu, lecz nie przestaje, pozostaje przytomny samą tylko siłą woli.

Ma szeroko otwarte oczy. A w nich szaleństwo.

Czas przeskakuje.

Dwóch pomocników leży na ziemi: jeden oparty o filar, nieruchomy. Drugi w połowie drogi do drzwi, twarzą do podłogi.

Obywatel pochyla się nad tym ostatnim i wyciąga z jego pleców obsydianowy nóż.

Prostuje się. Rozgląda.

Patrzy na martwą widownię, a potem na pozbawionego języka Sluagh.

Uśmiecha się.

Od ramion po szczękę pokrywa go czerni.

Zakłada z powrotem koszulę.

Jest spokojny.

Czas przeskakuje.

Obywatel zawiązuje na szyi swój halsztuk, zakłada płaszcz.

Wychodząc, rzuca nóż przez ramię.

Ten z brzękiem upada na podłogę.

Zaczyna wirować w ciemnej kałuży.

Pryska ciemnością, skrapiając nią leżące wokół ciała.

Sara bezgłośnie krzyczy.

Nóż wiruje, unosi się, ciągnąc za sobą stożek czerni.

Jakby ją wsysał.

I nie tylko ją.

Ciemność wchłania ciała i świece.

Ale płomienie nie gasną. Migoczą w środku unoszącej się, prześwitującej zasłony.

Stożek zmienia się w sylwetkę.

Nóż kręci się teraz na czubku zawołowanej głowy.

Jest jak wirująca korona.

Po chwili widać także barki, ręce, biodra.

Na końcu spod czarnego płaszcza wyłania się zarys silnych, umięśnionych nóg.

W komnacie znajduje się tylko czarna postać i Sluagh, którego zwłoki nagle zaczynają dygotać.

Tatuaze odrywają się od ciała i chwilę wiszą w powietrzu niczym czarna koronka. Potem także zostają wessane do wnętrza

mrocznej postaci.

Sluagh, choć pozbawiony rytualnych zdobień, pozostaje na podłodze.

Sylwetka unosi ręce i próbuje pochwycić wirujący nóż.

Ostrze ucina końcówki czarnych palców.

Czarna postać upada i rozbryzguje się na podłodze.

Szybko.

W mgnieniu oka.

W komnacie nie ma już nikogo, z wyjątkiem wybielonego, martwego Sluagh.

Czarna kałuża z powrotem wnika w filar każdym możliwym otworem.

Nóż wciąż wisi w powietrzu. Nieruchomo. Złowrogo.

Wcześniej obrócił się ostrzem w kierunku Sary i teraz mierzy prosto w nią.

Jakby ją widział.

Ale to niemożliwe

żeby nóż

z przeszłości

mógł zobaczyć Sarę

z przyszłości.

Zaraz poleci w jej stronę.

Chce zrobić unik, ale nie może.

W panice powtarza sobie, że to tylko wglądanie.

Nic jej nie może tu zranić.

Ostatnia wstęga czerni znika w oczodole czaszki, która zaraz potem wybuchu. Nóż mknie ku Sarze. Kiedy dociera do szyi, coś mrocznego i pierzastego, co pojawiło się wraz z eksplozją, uderza w ostrze i odbija je na bok.

Wizja się rozwiewa.

Sara mdleje.

Sharp skoczył ku niej i złapał ją, zanim uderzyła głową o kamienną posadzkę.

– Saro – powiedział z przejęciem.

Przez chwilę błędziła niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie odnalazła i rozpoznała twarz przyjaciela.

- W porządku – wykrztusiła. – Jestem cała. To była tylko wizja...
- Wiem – powiedział. – Ale skąd wziął się ten Kruk?

Ptaka podleciał do nich, usiadł na barku Sharpa i skubnął go ucho.

Sara spojrzała na niego w osłupieniu.

- I co to za rozcięcie na twojej szyi?

ROZDZIAŁ XLIII

Przyjazdy i odjazdy

W domu przy Chandos Place zazwyczaj nie działo się wiele. Tego oczekiwali Mountfellow i jego gość. Między innymi z tego właśnie powodu służba składała się zaledwie z trzech małowymownych i zupełnie niegroźnych mężczyzn. Było to wygodne, choć miało swoje minusy.

Kiedy przybysz z północy zapukał, musiał długo czekać, nim lokaj wyszedł na korytarz, zdjął rygle i otworzył drzwi. Gościem okazał się niegdysiejszy piechur Biles, który podobnie jak jego koń cały uwalany był w błocie.

- Jest w środku? – zapytał.

Twarz miał bladą i wymizerowaną, co sugerowało, że niedosypiał już od jakiegoś czasu. Służący otaksował go od stóp do głów.

- Nie naniesiesz pan tu tego błota, panie Biles, nie będę po panu sprzątać...

Stary wojak odepchnął go na bok i ruszył przed siebie, zostawiając ciemne ślady.

- Zajmij się lepiej koniem, fircyku. Jest zmęczony. Potrzebuje dobrego masażu i owsa.

Początkowo Mountfellow nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał od posłańca. A kiedy już dotarło do niego, w czym rzecz, wypluł kedgeree, którym zajadał się w trakcie opowieści.

- Ukradziona?! – wykrzyknął, gwałtownie wstając i przewracając krzesło. – Moja flaga?!

- Nie wiem, panie, jak to zrobiono, ale jej nie ma – wyjaśniał

gorączkowo Biles. – Poza tym stłuczono większość pamiątkowych gablot.

Wicehrabia zaplótł ręce za plecami i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

– I jeszcze bydło z pół zniknęło – dodał wojak. – Ślady prowadzą do stawu za szubienicą, ale potem nagle się kończą i szukaj wiatru w polu.

– A co mnie obchodzi jakieś przeklęte bydło? Wyglądam ci na farmera?

Biles pokręcił głową.

– Dostali się do mojego sekretnego pokoju – zaczął wyliczać Mountfellow – ukradli flagę, a potem zniszczyli gabloty i żaden z was, przygłupy, niczego nie zauważył?

Posłaniec ponownie pokręcił głową.

– Nie, panie. Jak Boga kocham. To jakaś zagadka, proszę mi wierzyć.

Mountfellow się zamachnął, ale zanim zadał cios, opanował się i opuścił rękę.

– Jeśli cokolwiek ukrywasz, Biles, to cię wypatroszę, rozumiesz? Wypatroszę, a później obedrę ze skóry.

Ruszył chybotliwym krokiem ku drzwiom, zostawiając oniemiałego ze strachu wojaka za sobą.

– Natychmiast przygotuj mój powóz – rzucił przez ramię, nim minął próg. – Muszę tam jechać i zobaczyć, co jeszcze PRZEOCZYLIŚCIE.

Nigdy do tej pory nie czuł się tak bezradny. Cały jego wysiłek, aby zbudować twierdzę nie do zdobycia, właśnie poszedł na marne. Nigdzie już nie mógł się czuć bezpieczny. Nawet w swoim własnym gabinecie uzbrojonym w żelazne zabezpieczenia.

Ktoś za to zawiśnie.



Kiedy Coram Templebane zjawił się przed drzwiami domu przy Chandos Place i poprosił o spotkanie z wicehrabią, okazało się, że ten opuścił posiadłość jakiś kwadrans wcześniej. Szedł tu przez pół miasta, rozmyślając o planie, który miał zamiar mu

przedstawić. Przede wszystkim liczył, że Mountfellow zweryfikuje pozyskane informacje podczas spotkania z Templebane'em. W ten sposób udałoby się wrobić nieszcześliwego Abchurcha, czym Coram poprawiłby swoją pozycję i polepszył widoki na przyszłość. Jednocześnie coraz bardziej podniecał się myślą o totalnej destrukcji mającej wkrótce nastąpić w wyniku jego intryg. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, aby to zobaczyć – eksplozję, rzeki płynnego cukru i szalejący pożar.

Gdy usłyszał od służącego, że Mountfellow właśnie wyjechał z miasta, był tą wiadomością szczerze wzburzony. Już miał wracać do domu, gdy z korytarza dobiegł go słaby, lecz władczy głos: ktoś rozkazał słuzącemu wpuścić przybysza, o ile rzeczywiście nosi nazwisko Templebane.

Minutę później posadzono go na środku pokoju i skierowano w twarz snop oślepiającego światła, które biło z lampy z mosiężnym kloszem przypominającym tarczę. Nawet osłaniając oczy dłonią, Coram nie potrafił dostrzec, kto siedzi po drugiej stronie biurka. Usłyszał tylko – co mężczyzna powiedział z dziwnym, obcym akcentem – że należy zwracać się do niego tak, jakby mówiło się do samego wicehrabiego i że jego wola jest wolą wicehrabiego.

Coram zaczął od wyjaśnienia, że przyszedł tu, aby ostrzec Mountfellowa o zamachu planowanym przez Issachara. Gdy to zrobił, mężczyzna głośno odchrząknął.

– Więc powiadasz, że twój opiekun zamierza kompletnie zniszczyć Nadzór, tak?

– Wraz z całą siedzibą – odparł Coram. – Sądziłem, że jego lordowska mość powinien to wiedzieć.

Po drugiej stronie lampy zapadła cisza. Obywatel analizował właśnie wszystkie swoje rozmowy z Mountfellowem i prośby o pozostawienie Czerwonej Biblioteki w całości. Doszedł do wniosku, że to jednak nie wicehrabia stoi za całym tym szalonym pomysłem.

– Dziękuję ci – odparł głos. – Zgadzamy się. Kiedy dojdzie do tego niefortunnego wypadku?

– Jutro przed południem, dokładnie o jedenastej. To dlatego, żeby uniknąć niepotrzebnych ofiar.

– To bardzo mądre. I bardzo ludzkie – powiedział głos. – Dziękuję ci za tę informację. O jedenastej. Bardzo dobrze. Mamy u ciebie dług, młodzieńcze.

ROZDZIAŁ XLIV

Ahoj, Ameryko

Gdy wiadomość o pojawieniu się Panny Nantasket w Pool of London dotarła do Kryjówki, statek stał w porcie już od dwóch dni. Wszystko dlatego, że odpowiedzialny za przekazanie tej informacji nadzorca portu swoim zwyczajem pozwolił sobie na kilkudniową popijawę w pobliskiej tawernie i po prostu nie było go w pracy, gdy załoga rzucała kotwicę. W efekcie wyprawa Caitlin mająca na celu odnalezienie kapitana Tittensora i jego żony, a także odzyskanie dziecka rządcy ze Skibbereen, już na samym początku miała spore opóźnienie.

Oswoiwszy się z tą myślą, venatrix postanowiła włączyć do akcji także najmłodszych adeptów Nadzoru. Może i część planu legła w gruzach, ale przynajmniej nie zmarnują okazji do nauki. Zgodnie z ustaleniami razem z Lucy miały jak najszybciej i w miarę niezauważenie dotrzeć do Panny Nantasket, natomiast Charliemu, który nie znał celu, przykazano śledzić je w towarzystwie Hodge’a, a nawet dotrzeć na miejsce szybciej, jeśli okazałoby się to możliwe. Potem, przy późnej herbatce, wszyscy mieli spotkać się z Kucharką i opowiedzieć jej o swoich nowych doświadczeniach.

Cait pozwoliła Lucy wybrać trasę, choć jednocześnie dała jej jasno do zrozumienia, że nie chciałyby zbyt mocno zbaczać z drogi. Ich głównym celem było przecież odzyskanie dziecka, zanim Panna Nantasket ruszy z powrotem do Ameryki.

Na miejsce dotarły o wiele szybciej, niż się spodziewały. Lucy była przy tym pewna, że udało im się zgubić obydwu tropicieli. To dlatego tak się zirytowała, kiedy przy portowej bramie

dostrzegła machającego ogonem Jeda oraz Charliego i Hodge'a opartych o wysoki, kamienny mur. Hodge palił fajkę, a Charlie nonszalancko przeplatał między palcami żółtą wstążkę, jak gdyby miał się za nie wiadomo kogo.

- Gdy drugi raz przeszłyście przez Ratcliffe - zaczął na ich widok - prawie nas zgubiłyście. Ale...

- Najpierw obowiązki, a potem przechwałki, młodzieńcze - przerwała mu Cait. - Chodź, Lucy. Trzymaj się kilka kroków za mną, jakbyśmy się nie znały. I podczas spotkania słuchaj uważnie naszej rozmowy. Może dostrzeżesz coś, co mnie umknie.

To powiedziawszy, chwyciła dziewczynę za łokieć i przeprowadziła przez bramę. Tak naprawdę nie spodziewała się, że Lucy wypatrzy coś, czego ona sama by nie zauważyła, ale zrobiła to, aby oszczędzić jej przytyków ze strony Charliego.

Hodge oczami Jeda patrzył, jak obydwie znikają pośród dokerów, ładowaczy, bagażowych i marynarzy tłoczących się w dokach. Następnie ponownie zapalił fajkę i spojrzał na Charliego, który próbował nie zgubić ich w tłumie.

- Wstążka - powiedział.

Charlie zapomniał, że Hodge dzielił wzrok z Jedem i że to, co widzi pies, siedzący przy jego nodze i niewinnie merdający ogonem, widzi także teriernik. Nieśmiało wsunął rękę do kieszeni.

- To nic takiego - odparł.

- Mam nadzieję, że nie należała do Lucy Harker - nie ustępował Hodge.

- Nie, skądże znowu.

- To dobrze.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odparł Hodge. - W sumie to nie moja sprawa.

- Coś nie tak z Lucy?

- Ma w sobie sporo werwy. Kował jeszcze jej nie rozpracował...

- W sumie nie interesuje mnie opinia Kowala - rzucił stanowczo Charlie, wchodząc mu w słowo. - To moja przyjaciółka. Jest odważna. I jest w porządku.

Sam się zdziwił własną stanowczością.

– Na pewno to nie jej wstążka? – zapytał Hodge, a kąciki jego ust lekko się uniosły.

– Na pewno – odparł Charlie. – To niczyja wstążka. Podarowano mi ją.

– Nie pomyślałbym, że żółty to twój kolor. Bardziej kolor Lucy – stwierdził Hodge.

Jego uśmiech był teraz naprawdę denerwujący.

– Po prostu ktoś mi ją dał. Na jarmarku – wyjaśnił Charlie. – Nie wiem, po co wciąż trzymam to w kieszeni. Bez sensu.

W jednej chwili całe jego wcześniejsze życie – jeszcze zanim trafił do Londynu – wydało mu odległe i wręcz nierealne. Wstążkę podarowała mu przyjaciółka z dzieciństwa, Georgiana Eagle. Rozdawała ich dziesiątki – innym ludziom, chłopakom i dziewczynom, zawsze wtedy, gdy jej ojciec doznał upokorzenia, tak jakby noszenie czegoś żółtego oznaczało solidarność z rodziną Eagle’ów. Było to próżne i głupie. Nie wiedział, dlaczego wciąż ją trzyma. I tak nigdy do niczego jej nie użyje. Spojrzał na Jeda, który przyglądał mu się dziwnie z przechyloną głową.

– Miłość nie jest głupia – powiedział Hodge. – Często niewygodna i wstydliva, ale nie głupia.

Charlie poczuł się zaatakowany. Głos teriernika był o wiele łagodniejszy niż jego codzienny, szorstki baryton, ale mimo to – a może właśnie dlatego – o wiele bardziej irytował.

– Nigdy nie przeprasza za to, kogo kochasz, Charlie – ciągnął. – W życiu nie chodzi o to, kto jest twoim wybranym, ale o to, żeby być wobec tego kogoś szczerym. Jeśli nie jesteś, popełniasz wielki błąd. I to za niego trzeba przepraszać. Nie za kochanie kogoś, kto w oczach innych może nie być postrzegany jako... odpowiedni.

– Nie w tym rzecz – odparł Charlie. – To głupie, bo wiem, że ona jest nie do końca...

Wybił się z rytmu, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Zainteresowana? – podrzucił Hodge. – Dostępna?

– Miła – Charlie znalazł wreszcie odpowiednie określenie. – Jest śliczna, ale nie mam pewności, czy jest miła. Albo tak właściwie... dobra. To znaczy, nie jest zła. Ale jest gdzieś pomiędzy.

– Twoim zdaniem jest amoralna? – zapytał ze zdziwieniem Hodge.

– Nie wiem. A co to znaczy?

– Że ma jedno sumienie dla siebie, a drugie dla innych.

– Właśnie.

– Aha – westchnął Hodge, jakby wszystko to wyjaśniało. – Jest łamaczem serc.

– Tak – przyznał Charlie. – Wydaje mi się, że tak.

– I wiedząc o tym, wciąż trzymasz jej wstążkę?

Charlie skinął głową.

– Mówiłem ci, że to głupie.

– Miłość to prawdziwa udręka – odparł Hodge, klepiąc go po ramieniu. – I do tego o wiele bardziej skomplikowana niż łapanie szcurków. – Wskazał głową budkę z jedzeniem. – Zjedzmy sobie trąbika.



Zapytawszy o drogę jedynie raz, Cait sprawnie pokonała zatłoczone doki ocienione przez kadłuby i maszty potężnych statków handlowych i bez trudu dotarła do Panny Nantasket. Dla Lucy był to nie lada wyczyn. Nie licząc Londynu, miejsce to było największym skupiskiem ludzi, jakie kiedykolwiek widziała. Czowała się tak, jakby nagle znalazła się wewnątrz ogromnej, ruchliwej maszyny, w której wszyscy poza nią wiedzą, co robić. Ludzie wokół opróżniali lub napełniali ładownie, nosili wielkie skrzynie i worki, przerzucali sterty pakunków z jednego miejsca w drugie, nie poświęcając przy tym większej uwagi komukolwiek, kto nie zna swojej roli. Ryzyko, że zostanie przewrócona, przygnieciona, zmiażdżona lub przypadkowo wepchnięta do wody, wydawało się jej bardzo realne.

W końcu Cait znalazła cel ich wyprawy – okazały dwumasztowiec oblegany przez robotników, którzy na wszelkie możliwe sposoby usiłowali upchnąć na pokładzie tyle zapasów, ile tylko się da. Dziesiątki dokerów wchodziły i schodziły trapem, a dwa dźwigi nieustannie przenosiły wypełnione po brzegi sieci z portu do ładowni.

Nad wszystkim tym czuwał wysoki mężczyzna z brodą w kształcie łopaty, w kapitańskiej czapce poniszczonej od morskiej wody i w grubym płaszczu.

Cait podeszła do niego, Lucy zaś obserwowała ich z dystansu, z nadzieją, że uda się jej pozostać niezauważoną, a przy tym nie ulegnie żadnemu wypadkowi.

– Kapitan Tittensor? – zapytała venatrix.

Mężczyzna odwrócił się i otaksował ją wzrokiem. Jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a pożądlive spojrzenie zdradziło, że cieszy się na rozmowę z młodą i atrakcyjną kobietą.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, skłaniając głowę i gładząc się odruchowo po brodzie. – Choć mam nadzieję, że i po twojej, nieznajoma...

Cait zalotnie strzeliła oczami, a na jej twarzy pojawił się dobrze wyćwiczony uśmiech. Już dawno temu zauważyła, że działa na mężczyzn i że łatwo przychodzi jej manipulowanie nimi, co sprawiało jej nieskrywaną radość. Teraz jednak, mając w pamięci, że kapitan ma żonę, poczuła coś na kształt złości.

– Mam wiadomość dla pana szacownej małżonki – oświadczyła.

– No tak – powiedział, pochmurniejąc. – Będziesz musiała przekazać ją mnie. Żona jest daleko stąd, w Bostonie.

– Razem z twoją córką? – zapytała Cait.

Uniósł brwi.

– Tak – odparł.

Lucy dostrzegła, że venatrix przyjęła niewesołą nowinę bez żadnej widocznej oznaki frustracji. Wręcz przeciwnie – rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Sporo wiesz o mojej rodzinie – zaczął kapitan – a ja wciąż nie znam twojego imienia.

– No tak, wyłażą moje wiejskie maniery – powiedziała przepaszająco. – Nazywam się Caitlin Sean ná Gaolaire. Miło mi.

– I masz wiadomość dla mojej Prudence – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Jeśli to list, z przyjemnością go jej przekażę.

– Nie, niestety – odparła Cait, schylając się, by uniknąć ciosu skrzynią, która przeleciała nad jej głową. – Chodzi o pewną

kobietę, moją przyjaciółkę, od której adoptowaliście wasze dziecko...

– Emelię? – spytał z prawie niezauważalnym drżeniem w głosie.

– Tak, Emelię. Cóż za piękne imię dla pięknej dziewczynki. Przepraszam, że przynoszę złe wieści, lecz pomimo starań moja znajoma nie będzie w stanie zapewnić małej Emelii braciszka...

– Dzięki Bogu. – Kapitan odetchnął z ulgą.

Lucy dostrzegła, że teraz to Cait wyglądała na zaskoczoną i zaniepokojoną.

– Dzięki Bogu? Proszę wybaczyć moje zdziwienie, ale całkiem dobrze pan to przyjął. Byłam pewna, że czeka mnie trudna, nieprzyjemna rozmowa.

Uśmiechnął się szeroko.

– Emelia nie tylko sprawiła, że poczuliśmy się jak prawdziwi rodzice. Zdaje się, że odblokowała także studnię płodności mojej żony, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Spodziewa się dziecka?

– Tak, Prudence jest w ciąży. – Uśmiechnął się. – Osiem lat bezowocnych starań, a kiedy adoptowaliśmy...

– Słyszałam, że czasem tak się zdarza, ale to i tak niezwykle – przerwała mu Cait. – Życzę wam szczęścia, bo to doprawdy cud. Nie wiedziałam, że w Bostonie możliwe są takie rzeczy.

Jakaś nuta w jej głosie ewidentnie wzburzyła kapitana. Mężczyzna aż zmarszczył brwi.

– Cuda mogą wydarzać się wszędzie, również w naszym wspaniałym mieście, panno ná Gaolaire...

Cait wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię.

– Nie, nie, kapitanie Tittensor, źle mnie pan zrozumiał. Boston to wspaniałe miejsce. Mam tam rodzinę, do której właśnie się wybieram. Zna pan może kogoś, z kim mogłabym się zabrać?

Mężczyzna wyraźnie się rozluźnił, czując jej dotyk przez rękaw poplamionego solą bawełnianego płaszcza. Lucy widziała, jak dosłownie tonie w zielonej głębi oczu Cait.

– Cóż, nie mamy nazbyt komfortowych warunków... – zaczął.

– Wystarczyłby mi tylko jakiś skromny kąz z pryczą i szafką. W czasie podróży mogłabym też pomóc kucharzowi, a nawet

zająć się praniem bielizny. Zresztą zajęłabym się czymkolwiek podczas długich, zimnych nocy...

Cofnęła dłoń. Kapitan kichnął dwa razy i spojrzał na nią, kompletnie zdezorientowany.

– Przepraszam, panno ná Gaolaire. Ja... To znaczy...

– Chciałam się tylko dowiedzieć, kiedy odpływacie i czy może macie miejsce dla tak zaradnej i bystrej dziewczyny jak ja. Odpracowałabym przewóz, o ile to nie kłopot – powiedziała. – Albo inaczej: co musiałabym zrobić, aby się z wami zabrać?

Jego twarz pojaśniała, jak gdyby wreszcie wpadł na jakiś genialny pomysł.

– Nie, nie, nie. Jeśli naprawdę chcesz dotrzeć do Bostonu, to mam dla ciebie inną propozycję...

I tym sposobem, nie dowiedziawszy się nigdy, że został zmyślnie zmanipulowany, kapitan dobił targu. Panna Nantasket podniesie kotwicę i opuści Pool of London podczas jutrzejszego odpływu i jeśli panna ná Gaolaire wejdzie na pokład najpóźniej przed dziesiątą, zapracuje na przewóz najłagodniejszą i najmniej wymagającą pracą. Uścisnęli sobie ręce, Cait odebrała przepustkę, a chwilę później wracała razem z Lucy do bramy portu.

– Biedny kapitan i jego żona... Mają pieniądze, piękny statek i dobre życie, a jednak brak potomstwa sprawił, że dali się zwieść sztuczkom tego podłego podmieńca i znaleźli się o włos od tragedii – powiedziała venatrix. – Pamiętaj o tym i potraktuj te słowa jako moją ostatnią lekcję. Każde pragnienie jest tak naprawdę słabością: pozwala innym ogłupić cię i sprowadzić na manowce. Jeśli chcesz dotrzeć do celu, musisz się nauczyć rezygnować z niektórych rzeczy...

Z jakiegoś powodu Lucy czuła się urażona radością, z jaką powiedziała to jej towarzyszka.

– No cóż, czyli płynę do Ameryki – westchnęła Cait. – Moje zadanie wymaga nieco więcej poświęcenia, niż się tego spodziewałam, ale niech będzie. Przynajmniej wiem, że żona kapitana jest w ciąży, a to duża ulga, bo nikt nie porwie kolejnego dziecka i go nie podmieni. Tym razem będą mieli prawdziwego

niemowlaka. Poza tym kapitan to całkiem fajny gość. Nie wątpię, że Prudence jest równie miła.

– Naprawdę chcesz popłynąć do Bostonu? – zapytała z niedowierzaniem Lucy.

– Tak, jutro. Przed dziesiątą będę na pokładzie, a potem...

– Zostawisz nas? – Wiedziała, że zabrzmiało to głupio, ale i tak zapytała. Musiała, chcąc się upewnić, że zrobiła wszystko, żeby zatrzymać venatrix.

– Od zawsze miałam was zostawić – odparła Cait, spoglądając pytająco na towarzyszkę. – To żadna niespodzianka.

Zbliżały się do Charliego i Hodge’a, którzy stali obok straganu z trąbikami i czymś się zajadali. Jed siedział u ich stóp i łakomie im się przyglądał. Ktoś zawiązał żółtą wstążkę wokół jego szyi.

– Nie bądź taka ponura – ciągnęła kobieta. – W Londynie, z Nadzorem, będziesz bezpieczna. Ja popłynę daleko stąd, za wielką wodę. Może zostanie sprzedana w niewolę, a może Indianie obetną mi moje piękne włosy...

– Ameryka – powiedziała ponuro Lucy. – Nic o niej nie wiem.

– Ja też nie. – Cait uśmiechnęła się, przyśpieszając kroku. – I właśnie dlatego tak się cieszę.

ROZDZIAŁ XLV

Na torach

Kowal idzie pograżonymi w mroku ulicami Londynu, podczas gdy Emmet strzeże dziewczyny na Wyspie Psów. Kowal chodził tędy jeszcze w czasach, gdy były tu pola i lasy, i widział wiele dziwnych rzeczy. Niektóre z nich zapamiętał. Niektóre go rozbawiły. W niektórych brał udział.

Wydaje się, że nie ma na świecie niczego, co mogłoby Kowala zaskoczyć.

A jednak jest inaczej. I świadczą o tym lodowate dreszcze, które rozlewają się po jego ciele, paraliżując mięśnie i utrudniając oddychanie. Jakby przeczuwał, że wydarzy się coś niezwykłego, co zmieni wszystko, czego do tej pory doświadczył.

Widzi to w blasku księżycy, gdy dociera do linii kolejowej.

Ktoś stoi na torach, jak gdyby na niego czekał.

Jego donośny śmiech rozbrzmiewa w nocnej ciszy, wywołując nową falę dreszczy.

Ten ktoś, teatralnie machając rękami, pochyła się i Kowal przez moment myśli, że to szyderczy ukłon. Ale na ukłonie się nie kończy, bo oto postać klęka na torach.

I choć podświadomość wie to od samego początku, męczyzna dopiero teraz uzmysławia sobie, że widzi Sluagh. Więcej nawet – Sluagh, który bezkarnie klęczy na żelaznych szynach i je liże, nie wijąc się przy tym z bólu ani nie płonąć.

Sluagh wstaje i przykrywa swoje białe, skołtunione włosy jakąś czapką.

To Piróg – ten sam, który krytykował Kowala na bagnach w Hackney Marsh.

– Zawsze się zastanawiałem, jak smakuje to przeklęte żelazo. – Uśmiecha się, odsłaniając zepsute, krzywe zęby. – Wiesz, że przypomina trochę krew? – Macha nonszalancko na pożegnanie. – Nic dziwnego, że tak bardzo je lubicie – rzucił Sluagh na odchodne. – Śpij dobrze, mój przyjacielu.

Mija sporo czasu, zanim lodowate uczucie odpływa, a Kowal ponownie może normalnie oddychać. Kierując się w stronę Wyspy Psów, zaczyna iść coraz szybciej, aż w końcu biegnie jak oszalały.

Do tej pory cała ich siła opierała się na trzech filarach: niezależnie od przeciwności losu wciąż byli Ręką, wspierała ich potęga Pożogi, chroniło zaś niezachwiane Prawo Żelaza. Teraz jeden z tych filarów na jego oczach obrócił się w proch.

Z trudem przyjmuje do wiadomości, że oto świat na zawsze uległ zmianie; że z trzech fundamentalnych zasad pozostały tylko dwie. Przypomina sobie, że Wyspa Psów otoczona jest płynącą wodą. Cokolwiek się stanie, cokolwiek jeszcze przeoczył Nadzór, to jedno pozostaje niezmiennie: wyspa jest bezpieczna.

W przeciwieństwie do pogrążonego we śnie Londynu.

ROZDZIAŁ XLVI

Statki w nocy

Sharp i Sara wyszli z podziemi w cieniu jakiegoś wysokiego budynku. Na ulicy zalegał śnieg, a spieszący do domów przechodnie bardziej skupiali się na utrzymaniu równowagi na śliskiej powierzchni niż na dwóch osobach, które nieoczekiwanie wynurzyły się z kanałów. Pierwszy zaczepiony przez Sharpa człowiek potwierdził, że są w Paryżu, a dokładniej w dzielnicy Montparnasse. Co więcej, znajdowali się na placu zwanym d'Enfer.

Usta Sary były zsiniałe z zimna.

– Nie spodziewałam się, że piekło będzie takie lodowate – stwierdziła, po czym zaczęła przepytować przechodnia w miarę poprawnym francuskim, nie przestając drżeć z zimna.

Dzięki temu i kilku funtom, które trzymała zaszyte w pasie na czarnej godzinie, w ciągu dwudziestu minut znaleźli się w hotelu niedaleko stacji Montparnasse – w pokoju z ogniem trzaskającym w kominku, z wielką wanną i ciepłą wodą płynącą z kranu, z koniakiem i jedzeniem. Pół godziny później Sharp wrócił do miasta, gdzie się dowiedział, że pociąg do Rouen odjeżdża z Embarcadère des Batignolles przy ulicy St. Lazare, dokąd może ich zabrać dorożka. Od razu więc ją zarezerwował, upewnił się też, że zastaną na miejscu kareta dotrą do Dieppe, a także że w porcie będzie czekał na nich statek, który dopłynie na angielską ziemię przed piątą rano. Wrócił biegiem do hotelu przez śnieżne zasy, niosąc dobre nowiny.

– ...potem już tylko pociągiem do Londynu, gdzie powinniśmy dotrzeć przed dziesiątą trzydzieści – zakończył, strząsając śnieg z ramion.

– Jesteś wspaniałym organizatorem – oznajmiła Sara, schowana za parawanem osłaniającym miedzianą wannę ustawioną naprzeciwko kominka.

Zanurzona w gorącej wodzie czuła się cudownie. Najchętniej zostałaaby tu całą wieczność. Sięgnęła po lampkę koniaku i upiła mały łyk. Było jej lekko i błogo.

– Gdybyś kiedyś szukał nowej pracy, mógłbyś zostać przewodnikiem, wiesz?

Jej różowa stopa wystająca zza parawanu przypomniała mu, co znajduje się po drugiej stronie. Odchrząknął, zmieszany tą sytuacją.

– Nie potrzebujemy nowej pracy, tylko nowych pracowników – odparł. – Obawiam się, że powinniśmy już iść. Czeka na nas powóz.

– Ale już teraz? – zapytała. – Jesteś pewien?

– Tak, sprawdziłem połączenia. Przy kasie biletowej była specjalna książka z rozkładem jazdy.

– Książki – westchnęła z niezadowoleniem. – Powinni ich zabronić.

Dobiegł go donośny plusk i zdał sobie sprawę, że Sara właśnie wyszła z wanny. Odruchowo odwrócił się tyłem i dostrzegł Kruka siedzącego na poręczu łóżka. Ptak spoglądał na niego, śmiesznie przechylając głowę.

– Przeczytałam kiedyś jedną. Jakąś powieść – powiedziała. – Była całkiem niezła.

– Ty? – zaśmiał się mimowolnie. – Powieść?

Zerknął przez ramię. Znad parawanu wystawała głowa Sary. Patrzyła na niego, wycierając się ręcznikiem.

– A owszem, ja – odparła, potakując energicznie. – Przyznaję się, wysoki sędzie, jestem winna czytania powieści. Spędzamy tyle czasu na walce z potworami, że postanowiłam zrobić sobie krótką przerwę od tej ponurej rzeczywistości i oddać się fantazji. Książkę napisała bardzo mądra kobieta, choć chyba nie aż tak mądra, skoro za temat obrała coś równie błahego jak miłość. Historia opowiadała o długich i dziecinnych zalotach dwojga dorosłych ludzi, którzy przez swoją dumę pozbawili się szansy na wspólne życie.

Na chwilę zniknęła z pola widzenia Sharpa, który zdał sobie sprawę, że właśnie zakłada ubranie, a zatem jest naga. Myśl ta wprawiła go w zakłopotanie.

– Podobało ci się – stwierdził, coraz bardziej świadomy tego, co zobaczyłby za parawanem.

– Byłam wręcz zafascynowana. Wnikliwość autorki zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Ale koniec końców odkryłam, że urok powieści wynikał z zastosowania pewnej prostej sztuczki. Otóż z pozoru rozsądnym postaciom tak naprawdę brakowało odwagi, by zachować się przy sobie szczerze. Zauważyłam wtedy, że bawi mnie czytanie o ludziach, którzy torturują się chorobliwą powściągliwością i fałszywą skromnością. My byśmy nigdy tak nie zrobili, prawda, Jack?

Mówiąc to, wyszła zza parawanu, a jego serce prawie się zatrzymało. Była ubrana, ale guziki jej bluzki i kurtki pozostawały rozpięte.

– Kocham cię – powiedziała. – I nie pozwolę, żeby zniszczyła to głupia duma. Moja miłość jest prawdziwa i szczerą. Tak samo szczerą jak twoja przyjaźń.

– Ale Saro... – zaczął.

– Rozumiesz, o czym mówię? – spytała, nie spuszczać z niego wzroku. – Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie.

– Rozumiem. I czuję to samo. Ja...

– To dobrze – powiedziała, podchodząc do niego.

Wspięła się lekko na palce i go pocałowała.

Serce Sharpa na powrót zaczęło bić, a po chwili łomotało jak oszalałe. Zdawało mu się, że pocałunek trwał całą wieczność. Aż do momentu, gdy Sara lekko go odepchnęła.

– Nie na oczach Kruka – powiedziała z poważną miną. – I nie teraz. Wciąż prześladowa mnie to, co zobaczyłam w katakumbach. Poza tym musimy zdążyć na pociąg. Sytuacja w Londynie pogarsza się z każdą godziną. – Rozejrzała się po pokoju. – Może któregoś dnia znów trafimy do takiego miejsca: z kominkiem, wyśmienitym koniakiem i wygodnym łóżkiem. Chciałabym cieszyć się tym wszystkim, nie mając na głowie żadnych zmartwień. Mam nadzieję, że przytrafi nam się to jeszcze w tym życiu.

Sharp przytaknął, zastanawiając się, co dokładnie miała na myśli. Spojrzał jej w twarz, której wyraz pozostawał jednak nieodgadniony. Sara wyciągnęła rękę. Kruk wzbił się w powietrze i usiadł jej na ramieniu.

- Chodźmy – powiedziała. – Czas na nikogo nie czeka.
- Kruk kłapnął dziobem przy jej uchu.
- A zwłaszcza na nas – dodała.

ROZDZIAŁ XLVII

Ruddy glue

To miał być ostatni, miły posiłek.

Cait jeszcze tego samego ranka poinformowała wszystkich o swoich planach i choć ubolewano, że nazajutrz wyjeżdża, wszyscy zgadzali się co do tego, że to jedyne sensowne rozwiązanie. Chcąc godnie pożegnać gościa, Kucharka udała się na targ po jagnięcinę i resztę dnia spędziła z ciężkim, chińskim tasakiem w dłoni, oddzielając mięso od kości i krojąc je na mniejsze porcje. Zamierzała podać kotlety z gotowanymi warzywami, a na deser – pudding ze świeżych śliwek damaszek, które zamówiła już dawno temu, a które przypadkiem dostarczono z Westmoreland tego samego przedpołudnia.

Lucy siedziała w kuchni i grubą igłą do cerowania nakłuwiała purpurowoniebieską skórę owoców, które potem wrzucała do stojącego u jej stóp pięciogalonowego, opleczonego wikliną dymiona.

- Gin z damaszek – westchnęła Kucharka. - To, co teraz robisz, będzie nas ogrzewać następnej zimy. Przypuszczam, że wtedy to docenisz. Zauważyłam, że zimy stają się coraz mroźniejsze, więc takie wzmocnienie na pewno nam się przyda.

Z kolei Charlie pomagał przygotować deser.

- Mężczyźni powinni się nauczyć porządnie gotować – ciągnęła Kucharka. - Wtedy może byliby nieco bardziej niezależni. Załóż fartuch, bo cały będziesz w sago.

- Co przygotowujemy? – zapytał chłopak, a w jego głosie dało się słyszeć rezygnację.

- Ruddy glue – odparła. - Wspaniały pudding według starego przepisu. Słodki, ale z pikantnym posmakiem. Zupełnie jak ja. Weź dwie pinty tych damaszek i podgrzej je na ogniu w takiej

samej ilości wody, następnie wmieszaj pintę sago. Worek znajdziesz obok tego z owsianką, o tam.

Spojrzała na Lucy, na której twarzy malował się grymas niezadowolenia.

- Co cię tak smuci? - zapytała.

- Nic - odparła dziewczyna, nakłuwając kolejny owoc. Skrzywiła się, gdy niechący wbiła sobie igłę w kciuk.

- Widzę - powiedziała Kucharka, po czym odwróciła wzrok w kierunku drzwi, na wchodzącą właśnie Cait. - Kiedy będziesz już gotowa, żeby porozmawiać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Przysunęła sobie krzesło i przyłączyła się do nakłuwania damaszek. Charlie dalej mieszał śliwki w garnku i miał to robić tak długo, aż pestki same oddzielią się od owoców. Następnie czekało go wyjęcie ich z naczynia i rozbicie młotkiem na desce, wyłuskanie słodkich nasion i wrzucenie ich z powrotem do bulgoczącej masy w kolorze pięknej, chińskiej czerwieni.

- Pośódź - rozkazała Kucharka, nie podnosząc wzroku. - I może daj odrobinę paniencie Lucy, bo wygląda na skwaszoną.

Lucy skończyła przekłuwac trzymaną w dłoniach śliwkę, wrzuciła ją do dymiona, po czym ostrożnie odłożyła igłę na stół i wyszła bez słowa.

- To nie było potrzebne - stwierdził Charlie.

Kucharka nie odpowiedziała. Jak gdyby nigdy nic kontynuowała nakłuwanie owoców z jeszcze większą intensywnością. Pięć damaszek później podniosła na niego wzrok.

- Wiem - odparła z westchnieniem. - Tak naprawdę, paniczu Pyefinch, ja także mam swoje wady. Żałuję, że nie ugryzłam się w język. Tak byłoby lepiej dla wszystkich. Po prostu od bardzo długiego czasu mam przecucie, że zbliża się coś złego. Czasem, gdy coś mówię, ten mój niepokój przypadkiem wychodzi na wierzch. Żadna ze mnie wielka bohaterka. Pokaż mi garnek.

Zajrzała do środka.

- Wyśmienicie - oceniła. - A teraz wlej zawartość do naczynia żaroodpornego, tego głębokiego, z żółtą emalią, i włóż je do pieca. Już widzę, że pudding będzie przepyszny.

I miała rację - choć sama pożegnalna kolacja nie do końca się

udała. To, co do tej pory zdawało się łączyć całą ich szóstkę, w obliczu rozstania zatraciło sporo ze swojej siły. Nieoczekiwany wyjazd Cait bez wątpienia dla wszystkich był sporym przeżyciem.

Niestety, Kowal jeszcze bardziej pogorszył nastrój, opowiadając zebranym o spotkaniu na torach. Lucy miała nadzieję, że to tylko nocne złudzenie, a na samą myśl o Sluagh w mieście poczuła nieprzyjemne dreszcze. Inni także początkowo nie mogli w to uwierzyć. Za to Kucharka klęła jak szewc, od razu przewidując konsekwencje.

– Od początku istnienia Nadzoru żelazo zawsze nas chroniło – stwierdził Hodge. – To niemożliwe.

– To tak jakby słońce zamieniło się w księżyc – dodała Kucharka. – To zmienia wszystko.

To powiedziawszy, jeszcze raz zaklęła w języku, którego Lucy nigdy wcześniej nie słyszała.

– Musisz się mylić – oponował Hodge.

Jed zaskomlał i trącił go łapą. Mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi, a jego ślepe oczy skupione były na Kowalu.

– Nie – zaprotestowała Kucharka. – Ja też czułam, że coś się zmieniło w powietrzu. Cała śmietana ze spiżarni zepsuła się w ciągu jednej nocy.

– To dorówna Wielkiemu Pożarowi Londynu – mruknął zdruzgotany teriernik.

– Gorzej – odezwał się w końcu Kowal. – Gorzej, ponieważ zwyczajni ludzie nie zauważą, że granica się przesunęła. Nie mogliby zauważyć, bo nigdy nie wiedzieli, że w ogóle istniała. Gdy przyjdzie co do czego i zaczną się ataki, nie będą wiedzieli, kto naprawdę za tym stoi. Pomyślą, że to jakiś szalenciec. Najgorsze zaś jest to, że pożary zniszczą nie tylko budynki, ale także więzi, które spajają naszą społeczność. A tego nie da się już tak łatwo naprawić.

– Ale nawet jeśli czekają nas czasy jak za Katastrofy – zaczęła Kucharka – to przecież pamiętajmy, że wtedy przetrwaliśmy i że teraz też przetrwamy. A żeby to było w ogóle możliwe, musimy mieć siły. Dlatego nawet jeśli świat chyli się ku upadkowi,

skończmy chociaż ten przepyszny, sycący deser, który na pewno podniesie nas na duchu.

Pomimo jej brawurowej zachęty w kuchni nadal panował posępny nastrój. Członkowie Ostatniej Ręki siedzieli w milczeniu przy stole, a ich twarze oświecił płomień świeczki osadzonej w wieńcu z pięciu zaplecionych gałązek umieszczonym na środku blatu. Kucharka kazała uprzątnąć talerze z resztkami jedzenia, a potem poleciła Charliemu podać wielki półmisek z puddingiem. O dziwo, całe sago zniknęło, a cynobrowa papka pociemniała i teraz złote naczynie wypełnione było czymś na kształt szkarłatnej gumy. Połączenie to prezentowało się niezwykle szlachetnie. Obok stały dzban zimnego mleka i miska rozdrobnionego cukru.

– Ruddy glue? – zapytał Hodge z niedowierzaniem, marszcząc nos.

– Owszem – potwierdził wesoło Kowal. – Twój ulubiony deser.

Lucy zauważyła kątem oka, że Kucharka się w nią wpatruje.

– Dzisiejszego popołudnia byłam nieuprzejma, panno Harker – powiedziała kobieta, przetykając ślinę. – I mimo że były to tylko słowa, przyznaję, że mogły cię zranić do żywego. Zwłaszcza że usłyszałaś je od kogoś, komu zawsze możesz i powinnaś ufać.

Pozostali zebrani wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Kowal otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Chciałabym ci ufać – oznajmiła Lucy.

Nikt nie śmiał się wtrącić w tę niezwykłą wymianę zdań.

– Ale nie jesteś w stanie – dokończyła za nią Kucharka. – A raczej nie możesz sobie na to pozwolić.

– Ta chęć jest moją słabością – wyjaśniła dziewczyna, nie odwracając wzroku od nieruchomego spojrzenia Kowala – a słabi ludzie przegrywają. Gdybym za każdym razem w takiej sytuacji ulegała, nie przetrwałabym sama tak długo.

– Ale teraz nie jesteś sama. Jesteś częścią nas. Częścią Nadzoru.

– I to czyni mnie bezpieczniejszą?

– To czyni cię częścią czegoś większego.

– Już teraz jestem częścią czegoś większego. Jestem częścią

świata. A świat jest duży i mogę się w nim zatopić jak w oceanie. Mogę przeżyć swoje życie i się rozwijać niezauważona i lekceważona przez wrogów. Mogę żyć wolna gdzieś tam i szybko się przemieszczać w razie niebezpieczeństwa. Mogę wyznaczyć sobie własny kurs.

– Jesteś za młoda i zbyt niedoświadczona, by cokolwiek wiedzieć o kursach! – huknął nagle Kowal.

Lucy ucieszyło, że okazał emocje. Jego wybuch nieco ją przestraszył, ale i utwierdził w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję.

– A ty jesteś za stary, by zauważyć, że świat się zmienia – odparła. – I żeby wiedzieć, dokąd zmierza.

– Ty... – zaczął, podrywając się krzesła.

– Daj jej mówić – przerwała mu Kucharka.

Jej kategoriyczny ton natychmiast przywołał mężczyznę do porządku. Usiadł, nie skończywszy zdania, i spuścił głowę. Tymczasem Lucy przełknęła ślinę, zbierając się do wygłoszenia reszty przemowy. Starła się przy tym nie uciekać wzrokiem przed spojrzeniem Charliego, który wpatrywał się w nią intensywnie, najwyraźniej starając się coś przekazać. Nie miała czasu ani ochoty na próby odczytania jego sygnałów.

– Nadzór tonie – powiedziała ostrożnie. – To żadna niespodzianka dla wszystkich przy tym stole. Wrogie siły robią wszystko, aby go zniszczyć. Krok po kroku, dzień po dniu. Dołączenie do Bractwa wcale nie czyni mnie bezpieczniejszą. Wręcz przeciwnie: czyni mnie celem.

W pomieszczeniu przez długą chwilę panowała absolutna cisza, nie licząc skwierczenia ognia w piecu i bębnienia kropel o szyby. Cait spoglądała w sufit, Kucharka pociągnęła nosem i wydmuchała go.

– Uważasz, że cię skrzywdziliśmy? – zapytała. – Uważasz, że nie chcemy dla ciebie jak najlepiej? Po tym wszystkim, co dla ciebie...

– Nie – odparła Lucy. Wzięła głęboki wdech i zerkając na Charliego, który wzorem venatrix także wpatrywał się teraz w sufit, postanowiła doprowadzić sprawę do końca. – Uważam, że wszyscy jesteście przekonani, iż mnie ratujecie. Sądzicie,

używając przenośni, że skoro znaleźliście mnie na środku morza w małej łódce, koniecznie musicie zaoferować mi pomoc i zabrać mnie na pokład waszego ogromnego statku. Nie rozumiecie przy tym, że spędziliście na nim tyle czasu, że już nawet nie dostrzegacie, w jak opłakanym jest stanie. Nie wierzycie, że może utonąć, choć w rzeczywistości tak właśnie się dzieje. I to na waszych oczach...

Kucharka spoglądała na nią gniewnym wzrokiem, Charlie i Cait dalej podziwiali sufit, a Kowal beznamietnym wzrokiem patrzył gdzieś w dal, jakby Lucy była przezroczysta.

– Nie wierzysz w nas – odezwał się w końcu Charlie.

Słowa te dotknęły Lucy do żywego. Sugerowały, że jest nielojalna, co poczuwała sobie za zdradę. Być może o tym wiedział. Być może to dlatego nie odrywał wzroku od powały.

– Chciałabym wierzyć – odparła. – Ale to ta sama słabość jak pragnienie zastąpienia wami rodziny, którą straciłam.

– Pragnienie posiadania rodziny nie jest słabością – zaoponowała Cait. – To esencja macierzyństwa. Może jest na świecie coś silniejszego od matczynej miłości, lecz ja się z tym nie spotkałam.

Tym razem Lucy poczuła się zdradzona przez venatrix i zabolą ją to w dwójnasób. Lecz wtedy przypomniała sobie, że Cait już raz ją tego dnia zdradziła i że nie powinna się niczemu dziwić.

– Każde pragnienie jest słabością – powiedziała, perfidnie obracając jej własne słowa przeciw niej.

Gdy to mówiła, wręcz czuła, jak ostrze tego argumentu wbija się prosto w serce każdego z jej oponentów. Wiedziała, że wygrała dyskusję, choć dokonała tego w podły sposób, lecz cel uświęca środki. Na szlachetne gesty można sobie pozwalać, kiedy się jest całkowicie bezpiecznym. Teraz nie miała wyjścia.

Postanowiła zwrócić pierścień. Obracała go na palcu, lecz utknął na kłykciu. Im bardziej się z nim mocowała, tym mocniej palec jej puchł i wkrótce pojęła, że raczej nici z jej planu. Mimo to postanowiła się nie poddawać.

Nie zauważyła, kiedy Kowal wstał, i aż drgnęła, gdy położył

swoją wielką rękę na jej dłoni. Przez moment myślała, że chce jej pomóc, ale on jedynie powstrzymał ją przed dalszą szamotaniną.

– Zatrzymaj go – powiedział. – Niezależnie od twojego wyboru zatrzymaj pierścień. I to też...

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął cienki złoty łańcuszek, na którym zwisała mała klatka.

– Na twój kamień serca – oznajmił. – Tak jak się umówiliśmy.

Tym razem to ona poczuła ostrze w sercu. Wspaniałomyślność Kowala była dla niej nie do zniesienia.

– Nie musisz mówić nic więcej – ciągnął ze smutkiem. – Widzę, że to koniec.

– Nie chcę walczyć z cieniami – odpowiedziała. – Pragnę być silna, ale chcę... myślę, że muszę to osiągnąć inaczej. Czasem siła wynika z liczebności, ale czasem z niezależności.

Spojrzała przez stół, szukając wsparcia, lecz obydwójce przyjaciół wciąż patrzyło w sufit, unikając jej wzroku.

– Ona chce być jak Cait – oznajmiła Kucharka.

– Venatrix – sprecyzował Kowal.

– Tak, chcę być wolnym łowcą – potwierdziła Lucy.

– Samotnym łowcą – poprawiła ją Cait, w końcu na nią spoglądając. Jej wzrok był równie nieodgadniony, jak wcześniej wzrok Kowala – Prawdziwa fiaga! zawsze jest samotna... Stąd ta wolność...

Lucy powiodła spojrzeniem po twarzach zebranych.

Niech będzie. Dostanie to, czego nie do końca chce i czego nie chcą dla niej również oni: zwyczajną samotność. Widocznie tak musi być. Taka jest cena wolności. Musi się jeszcze tylko pożegnać. I wypowiedzieć słowa, które nie chcą jej przejść przez gardło.

– Zawsze będę wam dłużna – wyrzekła w końcu, mając nadzieję, że nie zacznie płakać.

– Ale nie zostaniesz – stwierdziła cicho Kucharka.

– Nikt z nas nie powinien tu zostawać – odparła Lucy i skinęła głową na Kowala. – Sam to powiedziałeś, ucząc nas historii. Mówiłeś, że gdy Ostatnia Ręka upada, co już się kiedyś ponoć zdarzało, jej członkowie rozchodzą się, by wrócić i odbudować

Nadzór, kiedy tylko napłynie wystarczająco dużo nowej krwi.

– Ty jesteś tą nową krwią, Lucy – wyszeptał Charlie.

– To za mało. Wszyscy powinniście się rozproszyć. Jeśli nie dla własnego bezpieczeństwa, to dla bezpieczeństwa Nadzoru...

– Jeśli musisz, odejdz – sapnął Kowal – ale nie mów nam, co mamy robić. Jeśli Ostatnia Ręka już nie istnieje, to następne kroki zostaną podjęte z rozważą i po naradzie, a nie w emocjach i pośród wzajemnych żalów. Po tym, jak widziałem Sluagh na torach, i tak bym zwołał takie spotkanie. Hodge się upewni, że Tower pozostanie bezpieczna, i tam pozostanie, natomiast Kucharka i ja zaplanujemy podróż po kraju, podczas której poszukamy kogoś, kto być może zechce do nas dołączyć i nas wesprzeć. Z kolei Charlie, jeśli będzie na tyle uprzejmy, może wróci do swoich rodziców i poprosi ich o przemyślenie sprawy.

– Sam nie wiem – mruknął chłopak. – Myślę, że wystarczająco ciężko przyjęli to, że ich opuściłem i dołączyłem do Nadzoru. Ale spróbuję. Oczywiście, że spróbuję.

Siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Dla Lucy ta długa cisza była jeszcze gorsza niż to, co usłyszała do tej pory.

W końcu Kucharka zanurzyła łyżkę w szkarłatnej papce.

– Wspaniały ten ruddy glue – powiedziała, smakując odrobinę puddingu. – Szkoda tylko, że niczego nie potrafił skleić.

To miał być ostatni, miły posiłek.

ROZDZIAŁ XLVIII

Bez pożegnań

Caitlin, ściskając w ręku torbę podróżną, kroczyła w stronę doków z uśmiechem na twarzy. Pogwizdywała melodię znanej szanty. Słowa „więc żegnaj mi, kochana ma” zdawały się pasować na taką okazję. W końcu nie co dzień wypływa się w rejs do Ameryki.

Gdy tak szła, mijani ludzie uśmiechali się do niej, jakby domyślali się celu jej podróży, ale ona nie zwracała na nich

uwagi. Coś jej mówiło, że od dłuższego czasu ktoś ją śledzi. Wiedziała kto – a szanta miała temu komuś pomóc.

Kiedy Cait dotarła do bramy, przestała gwizdać. Znalazłszy się na terenie portu, zatrzymała się w cieniu muru.

– Powinnaś się była pożegnać – rzuciła półgłosem w przestrzeń.

Optywał je tłum, wartki jak wody strumienia.

– Słyszałaś, co powiedziałam? – zapytała.

Podeszła do niej jakaś postać. Lucy Harker. Przez ramię przerzuconą miała torbę.

– Pożegnałam się. Ostatniej nocy. Byłaś tam – powiedziała. – Jak długo wiedziałaś, że cię śledzę?

– Od samego początku – odparła Cait. – Powinnaś się była pożegnać.

– Zrobiłam to.

– Z Charliem Pyefinchem – sprecyzowała kobieta, zdecydowanym krokiem ruszając w głąb portu. – Był dobrym przyjacielem, dziewczyno.

– Zanim się obudziłam, wyszedł z Hodge'em polować na szczury. – Lucy podbiegła kilka kroków, żeby nadążyć za Cait. – Ale zostawiłam mu list.

– Hmm... To kiepskie pożegnanie. I dość tchórzliwe. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

Przedzierały się przez tłum robotników i dokerów. Lucy nie odstępowała venatrix ani na krok.

– Posłuchaj – powiedziała nagle Cait, odwracając się do dziewczyny i spoglądając jej prosto w oczy.

– Tak?

– Nie lubię kobiet.

Lucy zarumieniła się.

– Co?

– Nie w ten sposób.

– Nie wiem, o czym...

– Jasne, że wiesz. I nie ma w tym nic złego. Na tym świecie jest tak dużo bólu i samotności, że musiałabym być skończonym głupcem, na dodatek bez serca, by powiedzieć, że jakakolwiek miłość jest zła.

Lucy wiedziała, że musi wyglądać zabawnie. Przed oczami stanął jej widok Georgiany Eagle, która spoglądała na nią z rosnącym przerażeniem. Skrzywiła się.

- Dalej nie wiem...

Cait przewróciła oczami.

- W porządku, spróbujmy w inny sposób. Może nie wiesz, a może wiesz. To w sumie nieistotne. Kiedyś, gdy byłam jeszcze młodziutką i głupiutką dziewczyną, okropnie zauroczyła mnie pewna starsza ode mnie kobieta. Dzisiaj myślę, że myliłam wtedy chęć BYCIA Z NIĄ z chęcią BYCIA NIĄ, ale wtedy to zauroczenie wydawało mi się prawdziwe i przez jakiś czas nie widziałam świata poza tą kobietą. Ostatecznie jednak okazało się, że wolę mężczyzn, acushla. Nie każdego i niezbyt często, bo znalezienie dobrego chłopca to nie lada sztuka, ale jednak. Swego czasu bardzo polubiłam tego waszego Sharpa, ale on nie lubił mnie. A poza tym, gdy tak o tym teraz myślę, to nie rozbawiał mnie tak, jak bym chciała. Wiesz, dobry, silny facet, który w dodatku potrafi mnie rozbawić, to moja słabość. Znajdź mi takiego, a zakocham się momentalnie. Teraz rozumiesz?

Lucy przytaknęła, nieco przygnębiona tym wyznaniem, na co Cait uśmiechnęła się do niej łagodnie.

- Poza tym pracuję sama. Venatrix zawsze pracują same.

Dziewczyna podniosła wzrok.

- Ale miałaś nauczyciela. Sama mówiłaś. Jak go nazwałaś, mentora.

Cait spoglądała na nią w milczeniu, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Na chwilę straciły się z pola widzenia, bo między nie bezceremonialnie wszedł doker taszczący na plecach ogromny pakunek.

- Jeśli masz rację... - zaczęła Lucy, gdy mężczyzna ich minął i oddalił się w kierunku magazynów - i to, co czuję, to chęć BYCIA TOBĄ, a nie... a nie to drugie... to pokaż mi, jak to osiągnąć.

Venatrix spojrzała w niebo. Lucy bez słowa patrzyła na jej szczupłą szyję i ostry zarys szczęki.

- Cait... - powiedziała błagalnie.

Kobietę przeszedł dreszcz.

– Idą chłody – mruknęła pod nosem.
– Cait – powtórzyła dziewczyna. – Proszę!
– Dam ci rok. Tak samo jak mnie dano przed laty. Potem radź sobie sama – powiedziała dobitnie. Opuściła głowę i ich spojrzenia znów się spotkały. – Umowa stoi?
– Stoi.
– Zdejmij więc rękawiczkę – rozkazała.
– Dlaczego?
– Lekcja numer jeden: zawsze rób, co mówię.
Lucy zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni, a kiedy zaczęła ściągać także drugą, venatrix ją powstrzymała.
– To wystarczy – oznajmiła.
Potem splunęła na swoją prawą rękę, wyciągnęła ją przed siebie i spojrzała wyczekująco na Lucy.
– No dalej – rzuciła z uśmiechem.
Dziewczyna także splunęła na swoją dłoń i ucisnęła rękę venatrix, mocno nią potrzęsając.
– Jeden rok.
– Dziękuję ci.
– Lekcja numer dwa – powiedziała Cait, wskazując na torbę leżącą na bruku. – Ty niesiesz bagaże.

ROZDZIAŁ XLIX

Król Szczurów

Niezależnie od tego, czy Ostatnia Ręka się rozpadała, czy nie, niektóre rzeczy musiały zostać wykonane, a najważniejszą z nich była według Hodge'a jego praca. Gdy mieszkańcy Londynu dopiero wstawali z ciepłych łóżek i zaczęli myśleć o śniadaniu, Charlie znajdował się głęboko pod północnym skrajem White Tower, słuchając jazgotu niebywale podekscytowanego Jeda. Co interesujące, nie było z nimi teriernika, który tego ranka doszedł do wniosku, że chłopak nauczy się o wiele więcej, polując bez jego pomocy. Zamiast przemierzać podziemia, spokojnie smażył bekon w swojej kwaterze i w pewnej chwili odkrył

z zaskoczeniem, że coraz lepiej rozpoznaje kształty i że taki odpoczynek od codziennych zajęć może mu pomóc odzyskać wzrok.

W tym samym czasie Charlie i Jed rutynowo patrolowali te same kąty i zakamarki co zawsze. Nie znaleźli niczego interesującego poza martwym gołębiem, który jakimś cudem utknął na klatce schodowej w piwnicy. Lecz dokładnie wtedy, gdy chłopak postanowił wrócić i sprawdzić, czy Hodge pamiętał o nim i zostawił mu choć odrobinę bekonu, pies dosłownie oszalał.

Zwyczajne szczekanie będące wyrazem ekscytacji szybko zamieniło się w coś, czego Charlie jeszcze nigdy nie słyszał – przenikliwy, narastający skowyt. Pochylił się i zajrzał w niewielki otwór tuż przy ziemi, w którym zniknął pies. Kiedy przybliżył doń lampę, szczekanie nieoczekiwanie ucichło.

– Jed! – krzyknął. – Jed!

W tych ciemnych podziemnych korytarzach nie było nic gorszego niż cisza. Zawsze sprawiała, że serce zaczynało mu walić jak oszalałe.

– Jed! – krzyknął ponownie.

Nic.

Nie wahał się. Lubił tego psa, co więcej, byli zespołem. Wiele nie myśląc, położył się na brzuchu i szorując rękoma po ziemi, czołgał się w głąb tunelu tak szybko, jak tylko mógł. Zwolnił tylko po to, by dobyć noża zza pasa, po czym trzymając go w zębach, parł dalej naprzód. Tunel się wznosił, zmuszając do przyjmowania coraz bardziej niewygodnych pozycji. I kiedy chłopak myślał, że już dalej się nie preciesnie, z ciemności wyskoczyła na niego kosmata, przeraźliwie piszcząca istota. Uderzyła w niego, przewracając i gasząc lampę, a potem zaczęła go drapać i gryźć. Zanim ogarnęła go ciemność, dostrzegł, że istotą tą, co gorsza, jedną z wielu, jest ogromny, przedziwny szczur. Coś było z nimi nie tak, ale nie miał czasu tego przeanalizować. Walczył z obrzydzeniem, tnąc na oślep, czując, jak kolejne ciała przeciskają się obok niego, jak szorują mu po twarzy szorstkim futrem, uderzają długimi ogonami, drapią

pazurami.

Leżał oszołomiony i przerażony, próbując wymacać latarnię. W którymś momencie jego palce natrafiły na kawałki szkła, a w nozdrza uderzył go zapach rozlanego oleju. Uświadomił sobie, że próba ponownego zapalenia lampy z pewnością skończyłaby się pożarem.

Z miejsca, z którego przyszedł, rozległo się donośne powarkiwanie, a potem przerażający pisk przerywany odgłosami uderzania metalem o kamień. Charlie znów znieruchomiał, próbując zrozumieć, co właściwie słyszy.

Wtedy coś chwyciło go za kostkę.

Kopnął to z całych sił.

– Ejże! – rozbrzmiał znajomy głos. – Wystarczy!

Hodge pomógł Charliemu wydostać się tunelu i po chwili obaj stali w piwnicy. Hodge zostawił tu swoją lampę na podłodze i to w jej świetle Charlie zobaczył trzy rzeczy.

Poplamioną krwią łopatę, prawie tak samo zakrwawionego Jeda leżącego na kamiennej płycie – był pogryziony, lecz dumnie machał ogonem – a także pokaźną stertę szczurów, wokół której rosła kałuża czarnej posoki.

Teraz, kiedy szczury były już martwe, Charlie mógł się przekonać, co było w nich takiego dziwnego. Gdy go mijały, zdawało mu się, że niektóre biegną przodem, a niektóre bokiem lub nawet tyłem. I wreszcie zrozumiał dlaczego. Ich ogony splecione były razem – powykręcane, związane, sklezione ich własną wysuszoną krwią i brudem.

To był kłęb szczurów.

– Co to jest? – zapytał Charlie.

– Pieprzony zwiastun – wycedził Hodge.

Charlie nigdy wcześniej nie słyszał, żeby teriernik przeklinał. Była to druga najbardziej szokująca rzecz, jakiej dzisiaj doświadczył. I niemal tak samo straszna jak okropna cisza w ciemności.

– Wybacz – zmytygował się Hodge – ale to jest Król Szczurów, który zapowiada nadejście poważnych kłopotów. To jak strzał, który oznacza, że zbliża się kula. Sluagh chodzące po żelaznych

szynach, Ostatnia Ręka w niebezpieczeństwie, a teraz to coś na dokładkę. Przygotuj się na najgorsze, Charlie, bo z nieba leci kowadło, a na nim wyryto nasze imiona. – Splunął na Króla Szczerów. – Chodźmy połatać Jeda, a potem opowiemy wszystkim, co tu się stało, i zobaczymy, jak zareagują.

Ponieważ znajdowali się pod ziemią, oddzieleni od zewnętrznego świata grubą warstwą skał i piachu, nie usłyszeli eksplozji. O katastrofie dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy wyszli na powierzchnię i zobaczyli unoszące się na wschodzie kłęby ciemnego dymu.

Jed dostrzegł je pierwszy i od razu ostrzegawczo zaszczekał. Chwilę potem wszyscy razem zaczęli biec.

ROZDZIAŁ L

Zamach

Gdyby nie to, że Ida Laemmel była wyszkolonym łowcą, od razu podeszłaby do drzwi Kryjówki, zapukała i przedstawiła się. Ale nie byłaby sobą, gdyby jak zwykle nie miała wszystkiego pod kontrolą.

Do Londynu przybyła niedawno, pospiesznym statkiem z Zeebrugge, zaopatrzona w węlniany pakunek i futerał na skrzypce. Gdy dotarła na Wellclose Square, zatrzymała się na środku placu, pod ścianą duńskiego kościoła, i poszukała miejsca, które najlepiej nadawałoby się do prowadzenia obserwacji. Chciała jak najszybciej zorientować się w terenie i upewnić, że nie czekają jej żadne niespodzianki. Nie mogła wykluczyć, że Obywatel już wykonał swój ruch i mieszkańcy Kryjówki byli martwi lub – jak w przypadku Paladynu – zamienieni w jego marionetki.

Paladyn istniał równie długo jak Nadzór czy Die Wachte, a ten okropny człowiek spaczył jego członków zaledwie w kilka lat. Londyńskie Wolne Bractwo było tak samo liczne, ale z tego, co słyszała, przebiegłość Obywatela już raz o mało go nie zniszczyła. Jeśli wierzyć plotkom, organizacja była zdziesiątkowana, a atak

na nią mógł nastąpić w każdej chwili.

Ida rozwiązała pakunek i owinęła się swoją grubą lodenową peleryną. Zamarła w bezruchu, spod nisko zwisającego kaptura przyglądając się ludziom na placu. Wkrótce dostrzegła młodzieńca wychodzącego z Kryjówki i kierującego się w stronę Tower of London. Na palcu nosił charakterystyczny pierścień.

Czterdzieści minut później zobaczyła urodziwą rudowłosą kobietę, która beztrosko machała trzymaną w rękach torbą podróżną i pogwizdywała jakąś skoczną melodię. Chwilę potem podążyła za nią jakaś dziewczyna. Także niosła torbę, a sposób, w jaki się poruszała, od razu zdradził, że zamierza śledzić kobietę. Ta pierwsza nie nosiła pierścienia, druga zaś oprócz niego miała na dłoniach także rękawiczki. Czyżby Wejrzeniec? Jej zachowanie było na tyle dziwne, że Ida postanowiła jeszcze się nie zdradzać ze swoją obecnością.

Po kolejnej godzinie odkryła, że poza nią w okolicy pojawili się także inni obserwatorzy. Gromadzili się głównie w pobliżu rafinerii cukru. Wyglądali jak włóczędzy, ale choć próbowali się zachowywać jak oni, nie zwracając na siebie uwagi, nerwowość aż od nich biła. Ich spojrzenia co rusz wędrowały w dół placu, ku Kryjówce. Nie nosili pierścieni, a jednemu z nich prawie brakowało podbródka.

Po niedługim czasie Ida zauważyła subtelną zmianę w ich zachowaniu. Sprawiali wrażenie, jakby im ulżyło.

Wszyscy wpatrywali się w wypełniony beczkami powóz, który właśnie podjechał pod Kryjówkę. Woźnica wysiadł, lecz zamiast podejść do drzwi, skierował się w górę wzniesienia. Kiedy mijał włóczęgę bez podbródka, ten puścił do niego oko, a mężczyzna dyskretnie pokazał mu uniesiony kciuk.

Woźnica zatrzymał się przy dorożce zaparkowanej na rogu. Drzwi do niej były uchylone, więc Ida mogła skrycie przyjrzeć się tajemniczemu pasażerowi. Był nim jakiś człowiek z ręką na temblaku i z twarzą, której bladość przywodziła na myśl brzuch żaby. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i zniecierpliwionego. Gdy drzwi się zamknęły, mężczyzna wychylił się przez okno, spoglądając na Kryjówkę, a potem krótkim gestem przywołał

falszywych włóczęgów.

Żebrak bez podbródka sięgnął do torby i wręczył mu coś, co wyglądało jak duży czarny owoc granatu.

Ida pochwaliła się w duchu za swoją cierpliwość. Zaraz miało się stać coś złego, a ona być może będzie mogła temu zaradzić. Dobyła noża, a następnie sięgnęła po futerał na skrzypce i ostrożnie odpięła zatrzaski.

Usłyszała metaliczny dźwięk i gwałtownie uniosła głowę, by spojrzeć w stronę rafinerii – dokładnie w momencie, kiedy włóczęga bez podbródka ciskał drugą bombę.

– *Scheisse!* – syknęła.

Jednym błyskawicznym ruchem zrzuciła z siebie pelerynę i dobyła kuszy z pokrowca. Wciąż miała na sobie swoje myśliwskie ubranie: ciemny zamszowy trachtenjacke i skórzane bryczesy.

Była rozdarta. Zastanawiała się, czy lepiej pozabijać udawanych włóczęgów, czy raczej ostrzec Nadzór.

Z Kryjówki wyszedł wysoki, barczysty stangret ubrany w pelerynę i w staromodnym trójrogu na głowie.

Wtedy eksplodował pierwszy granat.

Drzwi rafinerii wyleciały w powietrze, a podmuch eksplozji o mało nie przewrócił Idy. Ogromna jak kamienica cysterna pełna płynnego cukru drgnęła, a potem powoli zaczęła przechylać się do przodu, w stronę placu. Dziewczyna przestała myśleć i analizować.

Odwróciła się i krzyknęła do stangreta, wskazując na zniszczoną rafinerię i przewracający się zbiornik.

– OGIEN! PALI SIĘ!

Następnie, nie troszcząc się o to, czy mężczyzna ją usłyszał i zrozumiał ostrzeżenie, przeniosła wzrok na miotaczy bomb.

Ten bez podbródka właśnie wspinał się po schodkach dorożki, aby usiąść obok woźnicy, drugi zaś otwierał drzwi z zamiarem wejścia do środka.

Nie mierząc zbyttnio, Ida strzeliła w tego ostatniego.

Bełt trafił Corama w kolano i chłopak z okrzykiem bólu runął do rynsztoka.

Dłonie dziewczyny pracowały szybko i zwinnie i zanim wybuchł drugi granat, zdążyła przeładować i była gotowa do kolejnego strzału. Tym razem trafiła w powóz.

Rzuciła się do biegu. Wąska rzeka płonącego cukru spływała w dół ulicy, w kierunku Kryjówki i wozu pełnego beczek.

Pędząc na oślep, Ida wystrzeliła ostatni raz, a potem przyspieszyła, by przegonić ognistą rzekę.



Issachar Templebane z niedowierzaniem wpatrywał się w dwa skierowane w niego groty przebijające na wylot tylną ścianę dorożki.

– Strzelają! – krzyknął histerycznie, uderzając w dach dorożki. – NA CO CZEKASZ, DURNIU?! JEDŹ!

Powóz ruszył gwałtownie. Issacharowi mignęła sylwetka Corama. Chłopak trzymał się za kolano, wpatrywał błagalnie w swojego opiekuna i wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowo.

– Ojczy! – dotarło do Issachara dopiero po chwili.

Ale wtedy Coram był już daleko w tyle, a Issachar znów zapadł się na siedzeniu, wpatrzony w dwa groty tkwiące w ścianie powozu naprzeciwko niego.

– Kto, do diabła, używa dziś bełtów?



Ida była zadowolona z faktu, że stangret wrócił do budynku.

– Uciekać! – krzyknęła, wbiegając za nim do środka. – Wszyscy wyjść! Nadchodzi ogień!

Pomyślała, że popełniła głupotę, wchodząc do domu, który zaraz stanie w ogniu – do tego nie wiedząc, gdzie znajduje się tylne wyjście. Nagle zatrzymała się przed drzwiami do kuchni. Jakaś wielka kobieta o czerwonej twarzy oszpeconej ohydną blizną klęta jak diabeł, usiłując uwolnić się z rąk stangreta, ten zaś robił wszystko, aby zarzucić ją sobie na bark i jak się domyślała Ida, wynieść na ulicę.

– Emmet, ty durna kupo gliny, co ty wyrabiasz? Zostaw mnie, do jasnej cholery!

– On próbuje cię uratować! – rzuciła krótko Ida.

Kucharka zauważyła ją dopiero teraz.

– A ty, u licha, kim jesteś?

– Przyjacielem – odparła Ida. – Nie mamy czasu na wymianę uprzejmości. Wyszadzo rafinerię i ku Kryjówce płynie rzeka płonącego cukru!

Ognista, słodka lawa dotarła już do wozu i podpaliła beczki terpentyny. Łatwopalny ładunek eksplodował, zabijając konia i rozbijając szyby w oknach okolicznych budynków.

W kuchniach wielu mieszkań garnki, patelnie oraz inne przybory z hukiem runęły na ziemię.

– W porządku, rozumiem – powiedziała Kucharka. – Emmet, daj mi już spokój.

Ogień wdarł się do budynku i zaczął powoli pochłaniać ściany i stropy. Za Idą wyrosła ściana czerwieni.

Kucharka wydobyła spośród gruzu siekierę i kordelas, a następnie chwyciła świeczkę stojącą na środku stołu i wyłuskała ją z ozdobnego wieńca. Ostatni raz rozejrzała się po kuchni. W jej oczach pojawiły się łzy, zaraz jednak je wytarła.

– Dobrze – powiedziała w końcu, wskazując Idzie pudło pokryte chińskimi napisami. – Zabierz to, panno Portki, i chodź za mną. Czas opuścić statek. Emmet, weź stół i zablokuj drzwi. Zatrzymaj ogień najdłużej jak możesz. Musimy zabrać tę przekłętą Pożogę w bezpieczne miejsce.

Golem podniósł stół i spojrzał na Idę. Zdała sobie sprawę, że stoi mu na drodze, więc czym prędzej ruszyła za Kucharką. Jeszcze zanim wyszła z pomieszczenia, olbrzym jednym uderzeniem przełamał wielki stół, a następnie podszedł do drzwi i zastawił je blatem. Sekundę później od zewnątrz omyła je fala płonącego cukru. Emmet zapał się nogami, próbując zatrzymać nacisk, podczas gdy ogień buchający przez szpary przypalał mu palce.

Kucharka gnała na tyły domu. W połowie drogi przystanęła i opierając się o jeden z filarów, zawołała:

– Emmet, zamknij za sobą drzwi, gdy będziesz schodził.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? – zapytała Ida.

– Nie. Ale jest tu wiele niezastąpionych... – przerwała nagle. – Cholera, jest. Może. Dziewczyna...

– Ruda?

Od strony kuchni zaczął napływać gęsty, trujący dym.

– Nie, Wejrzeniec – sprostowała Kucharka. – To znaczy...

– Wiem, co to znaczy – przerwała jej Ida. – Wyszła wcześniej. My też musimy już iść.

– Tu się z tobą zgadzam – odparła gospodyni, otwierając jakieś drzwi. – Tędy, na górę. Dostaniemy się do Tower i będziemy uratowani.

– Muszę szybko wrócić na ulicę – zaprotestowała Ida. – Trafiłam jednego z nich. Mogę się dowiedzieć, kim jest. Albo podążyć jego śladem aż do kryjówki tych drani.

– Panno Portki – powiedziała Kucharka – nie wiem, kim jesteś, ale do diaska, podoba mi się twój styl.

– Jestem Ida. Ida Laemmel.

– Być może – odparła Kucharka z szelmowskim błyskiem w oku – ale dla mnie zawsze już będziesz Portki.

Zaistniały chaos zdawał się ją napełniać energią. Jakby nagle znalazła się w swoim żywiole.

– Skręcimy w najbliższy korytarz prowadzący do Sly House.

Coś grzmotnęło i z kuchni wystrzelił w ich stronę kłęb ognia.

Kucharka chwyciła dziewczynę za ramię i pociągnęła przez próg, błyskawicznie zamykając potem drzwi.

– Ale Emmet! – zaprotestowała Ida.

– To golem. Trudno go zabić.

Ida nie wiedziała, że za drzwiami ogromny, milczący stangret z determinacją parł właśnie przez rozszalałe płomienie, brodząc po kolana w rzece płynnego cukru.

Gdy dotarł do filarów, jego ubranie stanęło w ogniu. Rozwarł szeroko ramiona i naparł na filary, ale te ani drgnęły. Ognista masa wciąż wzbierała, powoli wypełniając wnętrze budynku. Emmet znowu spróbował szczęścia. Jego rozwarte usta bezgłośnie coś krzyczały. Walczył co tchu. Wreszcie udało się – filary skruszały i pękły na pół, pozwalając osunąć się sufitowi. Wyglądało to tak, jakby cała Kryjówka w jednej chwili zawaliła

mu się na głowę, zasypując koryto słodkiej lawy i grzebiąc je w gruzach.

ROZDZIAŁ LI

Ruiny

Sara i Sharp wyruszyli w podróż zgodnie z planem, według którego mieli dotrzeć do Boulogne, a stamtąd przepłynąć się przez kanał La Manche nowym szlakiem South Eastern & Continental Steam-Packet Company, wylądowawszy zaś na nadbrzeżu w Folkestone, wsiąść do pociągu i dojechać nim do Londynu.

Obydwoje wiedzieli, że będzie to długa i monotonna podróż. Gdy znajdowali się na statku parowym, wymienili zaledwie kilka zdań.

Sharp się obudził i zobaczył, że Sara mu się przygląda.

– Coś się stało? – zapytał z niepokojem.

– Jeszcze nie podziękowałam ci za to, że szukałeś mnie pośród luster – odparła.

– W sumie ja tobie też nie.

Za oknami widać było wody cieśniny, w których tafla odbijało się nocne niebo.

– Wiesz, gdy zwrócono mi rękę i dowiedziałam się, że odszedłeś, natychmiast zrozumiałam dwie rzeczy – stwierdziła suchym tonem, jakby omawiała wyniki jakiegoś eksperymentu. – Po pierwsze, że chociaż moja dłoń i kamień serca zostały mi zwrócone, to jednak wciąż nie jestem kompletna.

Spojrzała na księżyc.

– A ta druga? – zapytał Sharp.

– Och, wiesz doskonale – odparła, podnosząc kołnierz kurtki i zamykając oczy. – Nie bądź głupi. Była powodem, dla którego wszedłeś w ten przeklęty lustrzany labirynt.

Teraz to on przyglądał się jej, jak śpi. I być może tylko mu się wydawało, ale zanim jeszcze na dobre zasnęła, mógłby przysiąc, że kąci jej ust uniosły się na chwilę w niewinnym, delikatnym

uśmiechu.

Patrzył na nią w milczeniu przez resztę drogi. Po opuszczeniu parowca od razu udali się na stację kolejową. Pierwszą część podróży pociągiem przesпали. O świcie bez słowa przyglądali się migającym za oknem śnieżnym, baśniowym krajobrazom. Wreszcie o dziewiątej trzydzieści dotarli do Londynu. Gdy wyszli przed dworzec, Kruk wzbił się w powietrze i odleciał, oni zaś obudzili śpiącego na koźle woźnicę i podali mu adres Kryjówki. Dorożka grzęzła w zdecydowanie mniej baśniowej brei, lecz mimo to dotarli na miejsce w bardzo dobrym nastroju.

Rozległo się bicie dzwonów – a zatem wybiła dziesiąta. Powóz nagle zatrzymał się w połowie St. George Street, wiodącej bezpośrednio na Wellclose Square. Zaskoczony Sharp wystawił głowę przez okno.

– Przepraszam, przyjacielu – powiedział woźnica, wskazując batem obszar przed sobą – ale dalej nie pojedziemy. Jakiś pechowiec najwyraźniej zgubił koło.

Sharp wychylił się jeszcze bardziej i dostrzegł wóz załadowany beczkami, który utknął na zakręcie. Trzech roślących i mocno podenerwowanych mężczyzn próbowało podnieść pojazd.

– Możemy pójść pieszo – stwierdziła Sara.

Zapłacili woźnicy i ruszyli w stronę placu.

– Co za ulga, Sharp! Wreszcie jesteśmy w domu. – Ścisnęła go za rękę. – Chodź, nie mogę doczekać się miny Kucharki, kiedy nas zobaczy.

Przyspieszyli kroku i już po chwili biegli radośnie przez zasy, jakby brali udział w jakimś śnieżnym wyścigu. Sharp pozwolił się Sarze wyprzedzić, zamierzając jej potem pogratulować wigoru, ale dotarłszy do najwyższego punktu ulicy, Sara nieoczekiwanie znieruchomiała, a uśmiech na jej twarzy zamienił się w grymas zdziwienia.

– Saro – zawołał – o co chodzi?

I wtedy też to zobaczył.

Kryjówka zniknęła.

Jak gdyby zmiotło ją z powierzchni ziemi.

W miejscu, w którym powinien się znajdować znajomy kontur

budynku, ziała przeraźliwa dziura, a za nią rozciągał się pas spalonej ziemi i zgłiszczą rafinerii.

– Ale... – wymamrotała Sara, słaniając się na nogach. – Przecież...
Objął ją ramieniem i starał się podtrzymać.

Jedna z bocznych ścian Kryjówki wciąż pozostawała nietknięta. Przypominała poczerniały klif z widocznymi od wewnętrznej strony konturami pokoi i korytarzy. Reszta nie przypominała niczego, co znali. Obok pogorzelniska ktoś usypał potężny stos ze zwęglonych krokwi i belek, a naprzeciwko pustej teraz działki piętrzył się mur z ułożonych starannie cegieł. Poza tym z przejścia usunięto gruz.

– Ale to niemożliwe... – powiedziała. – To... to...

– Saro – szepnął. Czuł się, jakby ktoś zrzucił mu na barki ogromny ciężar. – Czas pośród luster jest nieprzewidywalny. Zakonnica i Dee mnie ostrzegali, że płynie inaczej.

– Jack, kochanie. – Spojrzała mu w oczy. – Co tu się wydarzyło?

Rozejrzał się po ulicy. Nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy, nie licząc jakiejś młodej dziewczyny i chłopaka. Miał wrażenie, że widział ich już gdzieś wcześniej, ale nie potrafił odpowiedzieć gdzie. Oboje biegli za rozszczekany psem i przez krótką, ekscytującą chwilę Sharp pomyślał, że to może Jed, szybko jednak zorientował się, że czworonóg jest stanowczo za młody.

– Dowiem się – odparł. – Pójdę do Baniałuki...

– Nie – odpowiedziała. – Ja to zrobię.

Poczuł, jak Sara sztywnieje. Wyprostowała się i ruszyła w kierunku ocalałej ściany, jednocześnie zdejmując rękawiczki.

– Nie, Saro – zaprotestował, podbiegając i chwytając ją za dłoń.

– Proszę cię. Jeżeli nie żyją, dowiemy się tak czy siak. Nie musisz tego doświadczać.

– Muszę. Naprawdę muszę. Puść mnie.

Nie puścił.

– Panie Sharp – powiedziała oficjalnym tonem, a jej wzrok stał się nagle zimny jak lód. – Rozkazuję ci, puść mnie.

Nadal trzymał. Choć jednocześnie nie wiedział, co robić dalej.

Biegnąca za psem dziewczyna zatrzymała się przed nimi.

– Pan Sharp? – zapytała zdyszana.

– Znamy się?

– Ani trochę – odparła.

W jej akcencie słycać było obcą nutę, ale mężczyzna miał w głowie zbyt wielki mętlik, aby odgadnąć, skąd pochodzi. Wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już się gdzieś spotkali.

– Nazywam się Ida Laemmel. Całe szczęście, że obydwójce jesteście cali.

– Panna Falk! – krzyknął chłopiec, wykonując ostry wślizg i zatrzymując się tuż przed nimi.

Sharp nie miał wątpliwości, że nigdy wcześniej go nie widział, ale w nim także znajdował coś znajomego.

Sara przeniosła wzrok na Sharpa, a potem na chłopca. Znów ugięły się pod nią kolana, ale zdołała się wyprostować i samodzielnie utrzymać na nogach.

– Pyefinch? – zapytała. – Charlie Pyefinch?

Odgarnął włosy z oczu i uśmiechnął się z zawstydzeniem. Sharp wreszcie zrozumiał, co jest w nich takiego znajomego. Obydwójce nosili pierścienie z heliotropu.

– Kruk znalazł nas w Tower – powiedział chłopiec. – Właśnie uczyłem Idę i Archiego polować na szczury... – Wskazał na szczeniaka z ukontentowaniem tarmoszącego jego nogawkę i uśmiechnął się promiennie do Sary. – Do diaska, ty żyjesz! – wykrzyknął. – Przepraszam, nie powinienem przeklinać, ale to pierwsza dobra wiadomość od... Pierwsza, wyłączając przybycie Idy, od czasu... – Spochmurniał, jakby szukał odpowiednich słów, aż wreszcie wskazał palcem pogorzeliśko. – Od czasu, kiedy stało się to.

– Ale co? – zapytała Sara. – Opowiesz nam?

Sharp dostrzegł, że mięśnie jej szyi napinają się, jakby zaraz miała skoczyć do ataku. Stanął bliżej niej i położył rękę na jej zeszywniałym barku.

– To długa historia – powiedział Charlie niepewnym głosem. – I nieco skomplikowana.

– W skrócie: to вина Templebane’ów – dodała dziewczyna.

– Paniczu Pyefinch – rzekł Sharp surowym tonem – znam twoich rodziców i bardzo ich lubię, ale jeśli nie powiesz nam, co

stało się Kucharce, Hodge'owi, Kowalowi i Emmetowi, będą cię musiał sprać na kwaśne jabłko.

– I Lucy Harker – dodała Sara.

Ida i Charlie wymienili spojrzenia.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli powie wam to reszta – odparł. – Ci, którzy zostali. Są u Kowala, na Wyspie Psów...

– To się wam nie spodoba – powiedziała Ida.

Sara spojrzała na ruiny pozostałe z jej jedyne go domu.

– Już mi się to nie podoba – odparła.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku. Przygarbiła się, rozluźniając napięte mięśnie, a potem oparła o Sharpa.

– Jestem tu z tobą – powiedział jej cicho do ucha. – Gotowy na wszystko.

– To dobrze – wyszeptała, spoglądając na horyzont, gdzie właśnie wschodziło zimowe słońce. Patrząc na nie, wyprostowała się ponownie. – Mamy sporo do naprawienia. I do pomszczenia...



EPILOG

Prudence Tittensor zakłęła siarczyście niczym portowy tragarz. Zasadniczo nigdy się do tego nie posuwała, starając się zachować klasę w każdej, nawet najgorszej sytuacji. W końcu była oddaną żoną powszechnie szanowanego kapitana, któremu zawsze wiernie towarzyszyła podczas jego morskich podróży handlowych. W ogóle w całym swoim życiu – nie licząc tego przypadku – tylko raz dopuściła się czynu, który można byłoby uznać za niegodny. Owoc tego grzechu jeszcze do niedawna słodko spał w drogim wózku dziecięcym marki Crandall, który teraz – pusty – stał pod ścianą nieodległego doku.

Kiedy jakiś czas temu podejmowała decyzję o adopcji, obiecała sobie, że nikt się o niczym nie dowie. Ale nie z powodu wyrzutów sumienia. Wcześniej upewniła się, że gdyby nie jej oferta, dziecko zostałoby porzucone gdzieś w rynsztoku, a może nawet i zabite. Po prostu spotykając się z rzekomą matką Emelii, czuła, że wszystko jest nie tak. Że dziewczyna wcale nie jest tym, za kogo się podaje. Że jest o wiele, wiele starsza. Że jest... podmieńcem. Zdradzał ją sam zapach. Ale Prudence postanowiła nie zwracać uwagi na sygnały ostrzegawcze. Jej pragnienie posiadania dziecka było silniejsze, tak jak pragnienie uszczęśliwienia męża,

którego kochała nad życie.

A jednak po kilku miesiącach wątpliwości powróciły. Coraz mocniej docierało do niej, co tak naprawdę uczyniła. Dlatego w końcu postanowiła działać. Wysłała męża w podróż za ocean, by samej udać się do Marblehead i oddać Emelię w opiekę pewnej bezdzietnej parze, która tam właśnie mieszkała. Oboje byli młodzi i dobrze wychowani, a do tego planowali przenieść się na zachód Stanów, by tam, z dala od zgiełku, rozpocząć nowe życie. Zresztą słowa dotrzykali, natychmiast ruszając ze swoim nowym, dwuletnim dzieckiem w podróż ku – jak to się czasem mawia – słonecznej, szczęśliwej przyszłości.

Prudence miała świadomość, że nigdy nie będzie mogła wyjawić mężowi powodów swojej decyzji. Prawda mogłaby pozbawić go resztek złudzeń na temat otaczającego ich świata. A także zdradzić, kim Prudence była naprawdę. Dlatego kobieta postanowiła, że uraczy kapitana historyjką o tym, jako to niby sam Bóg kazał jej podzielić się ich szczęściem z innymi i oddać Emelię w ręce dobrych i uczciwych ludzi, którzy – jak oni kiedyś – nie mogą mieć własnych dzieci. Poleciał przy tym, aby sami skupili się na maleństwie, które lada chwila przyjdzie na świat z Jego woli. Wiedziała, że powołując się na Boga, zapewniała sobie absolutną wiarygodność i zarazem bezkarność, o czym nieraz się już przekonała. Mogła zrobić to bez strachu przed karą z niebios, sama bowiem w Boga nie wierzyła, tak jak jej mąż nie wierzył w podmieńców, wendigo czy manitu – a nawet w zmiennoskórych, do których należała Prudence.

Stojąc pośród tragarzy, ze spokojem obserwowała, jak Panna Nantasket cumuje do portowego nabrzeża. Nie czuła niepokoju. Miała plan. Najpierw czule powita męża, potem opowie mu o Bogu i oddaniu Emelii, a na koniec szybko przejdzie do dobrych wieści na temat swojej ciąży.

A jednak na moment straciła pewność siebie. Tym, co sprawiło, że właśnie zakłęta, było pojawienie się na trapie wysokiej rudowłosej kobiety. Zmysły Prudence natychmiast dały o sobie znać i pozwoliły dostrzec ostre wibracje powietrza wokół szczupłej sylwetki. Wiedziała, że coś takiego potrafią tylko flagał.

Wiedziała także, dlaczego idąca za łowczynią dziewczyna, pomimo wysokiej temperatury, ma na dłoniach rękawiczki.

Prudence zastanawiała się, czy ta nieoczekiwana wizyta podyktowana jest chęcią spotkania się z Sukcesorami, czy też chodzi tylko o odnalezienie Emelii. W obecnej sytuacji każda z tych możliwości była równie prawdopodobna.

Bez względu na rozstrzygnięcie tego dylematu dwie rzeczy właśnie stały się dla niej jasne.

Rychła konfrontacja z kimś, kto ma takie same zdolności jak ona.

I niechybne kłopoty.

I kłopoty.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

PODZIĘKOWANIA

Na początek kilka słów o Królu Szczurów, o którym piszę na stronach niniejszej powieści. Nie pojawił się on przypadkiem, wyskakując nagle z mroków podziemi White Tower i zaskakując Charliego oraz Jeda. Wypełzył z Garnka, z miski pełnej Gumbo. Ale po kolei.

Jakiś czas temu, gdy rozważałem porzucenie mojej bezpiecznej skorupy scenarzysty i napisanie własnej powieści, spotkałem się z Terryem Pratchettem. To było w Edynburgu, gdzie wspólnie zjedliśmy niedzielny obiad. Skrycie liczyłem wtedy, że przy okazji zwyczajnych pogaduszek usłyszę parę cennych wskazówek i porad na temat pisarstwa (z mojego doświadczenia wynika, że najlepszą metodą, aby się czegoś nauczyć, jest uważne wysłuchanie ekspertów w danej dziedzinie). Usłyszałem wtedy opowieść o tym, jak to na pewnym spotkaniu z czytelnikami jeden z nich podszedł do Terry'ego i wytknął mu „inspirację” innym tytułem. Chodziło o okładkę Ostatniego bohatera, na której znajdował się Ponder Stibbons łudzaco podobny do Harry'ego Pottera. Więcej nawet, ów „odkrywca” pozwolił sobie na stwierdzenie, że Niewidzialny Uniwersytet to w istocie kopia Hogwartu. Ponoć Terry spokojnie wyjaśnił wówczas, że pierwsza powieść o Harrym Potterze została wydana rok po Ostatnim bohaterze, i na tym skończył.

To doprowadziło nas do szerszej dyskusji na temat inspiracji i zapożyczeń oraz źródła poszczególnych pomysłów. Terry z grubsza opisał wtedy swoją teorię Gumbo czy inaczej Garnka. Otóż według niej wszystko, co zostało kiedykolwiek napisane, a także wszystko, co kiedykolwiek napisane dopiero zostanie, znajduje się w ogromnym Garnku, z którego każdy może wybrać osobne elementy i mieszać je ze sobą w dowolny sposób według własnego przepisu. Jediną zbrodnią wobec Garnka jest albo udawanie, że nie istnieje, albo upieranie się, że należy do ciebie.

Była to dla mnie wyjątkowo cenna rada i od tej pory stosuję ją bez najmniejszego skrupowania, zawsze pamiętając o nim – wielkim Terryem Pratchecie.

Nie mogę znieść myśli, że już nigdy się z nim nie spotkam. Wyjątkowo kreatywny i płodny jako pisarz, a zarazem słusznie surowy w swojej krytyce wszechogarniającej obłudy i zepsucia, nawet w najpochmurniejszych momentach swojego życia potrafił znaleźć promień radości. I choć brakuje mi go – jak nam wszystkim – cieszę się, że miałem zaszczyt go poznać, a także ukraść mu mały fragment jego twórczości. Bo Król Szczurów, na znak uznania i szacunku, pochodzi właśnie z Garnka. Z powieści Terry'ego Pratchetta zatytułowanej Zdziwiewający Maurycy i jego edukowane gryzonie.

Inne wspomnienie dotyczące tamtego obiadu nie ma nic wspólnego z pisarstwem, za to wiąże się z... byciem tatą. Podczas rozmowy o grach wideo Terry wychwalał Thiefa jako znakomite i funkcjonalne narzędzie służące odwlekaniu pracy pisarskiej. I nieoczekiwanie wspomniął o swojej córce. Na chwilę opuścił gardę i porzucając oficjalny wizerunek, ujawnił głęboko skrywaną ojcowską dumę. Wtedy nie wspomniałem o tym w artykule, ale chciałbym zrobić to teraz. Być może dlatego, że nigdy nie znalazłem sposobu, by należycie podziękować mu za jego wyrozumiałość i liczne inspiracje. W swoich powieściach zawsze umieszczał silne, odważne i niezależne postacie kobiece – począwszy od młodej Tiffany Obolałej, a na Babci Weatherwax skończywszy. Ale choć robił to mistrzowsku, a jego bohaterowie zdają się ludźmi z krwi i kości, to najbardziej dumny, jak mi się wydaje, jest nie z nich, a z prawdziwej, żyjącej pośród nas osoby, której imię zaczyna się na R.

Wielkie podziękowania należą się Orbit/Little Brown, a w szczególności Jenni Hill i Willowi Hintonowi, moim znakomitym redaktorom w Orbit po obu stronach świata; Joannie Kramer za wzorową adiustację, dzięki której sprawiam wrażenie znacznie mądrzejszego i bardziej utalentowanego, niż jestem naprawdę; Lauren Panepinto za wykreowanie kolejnej pięknej okładki. Jestem też bardzo wdzięczny Karolinie Sutton,

mojej agentce w Curtis Brown, a także Michaelowi McCoyowi z Independent, których praca dodaje mi pewności siebie i pozwala w pełni poświęcać się pisaniu książek. Nie mogłem trafić lepiej.

Dziękuję Hugh i Anne Buchanan za austriacką gościnność, dzięki której moi fikcyjni przodkowie mogli wyjść z mroków i pojawić się na płaskowyżu Steinernes Meer.

Ave atque vale naszej sąsiadce i przyjaciółce, jednemu z dwóch głównych pierwowzorów Kucharki, która niestety odeszła przed ukończeniem prac nad tą powieścią. Powiedziałem to na jej pogrzebie i powiem raz jeszcze – nie można nie szanować kobiety, której kolekcja lasek z ukrytą szpadą jest większa od jej kolekcji torebek.

Na koniec pragnę podziękować mojej rodzinie za wsparcie, inspirację i wyrozumiałość: mojej mamie za niezłomną odwagę i młodzińcze spojrzenie na świat, Jackowi i Ari za to, że nieustannie rozbawiacie mnie i swoją mamę, i przewspaniałej D., pierwszej i najlepszej czytelniczce oraz istniej kobiecie maszynie wyrzucającej z siebie pomysł za pomysłem.

O AUTORZE

CHARLIE FLETCHER mieszka w Edynburgu i z zawodu jest scenarzystą. Ponadto pisze powieści dla dzieci i młodzieży. Jego trylogia Stoneheart została przetłumaczona na kilkanaście języków. Pierwszy tom tego cyklu nominowano do Nagrody Branford Boase, do tego przez długi czas znajdował się na prestiżowej liście „Fantastyka dla dzieci” czasopisma „Guardian”. Inna powieść Fletchera, Far Rockaway, także zyskała ogromne uznanie wśród krytyków i doczekała się nominacji do nagrody Carnegie Medal.

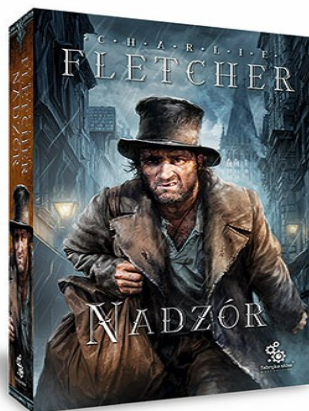
Charliego Fletchera można znaleźć na Twitterze (@CharlieFletch_r), ponadto prowadzi stronę www.charliefletcher.com.

MROczne STRONY



FANTASTYKI





Bardzo klimatyczna powieść, już od pierwszych stron przenosi w wiktoriański Londyn, w którym panuje mroczna, duszna i przymglona atmosfera, gdzie między budynkami, tuż przy ulicach, w podziemnych korytarzach, kryje się magia, zaś czary oplatają przedmioty i ludzi.

bookendorfina.pl

Największą zaletą powieści jest dla mnie niesamowita atmosfera wiktoriańskiego Londynu, pełna magii i gotyckich rekwizytów, nawiązująca klimatem do kapitalnego „Jonathana Strange’a i pana Norrella” Susanny Clarke. Polecam z mrocznym błyskiem w oku.

zapiskinamarginesie.pl

M'Gregor, zarządca domu
pracy dla sierot w Andover,

obudził się z czyjąś ręką na ustach i nożem przy gardle. Mimo to w pierwszym odruchu próbował krzyknąć i nawet raz czy dwa razy wierzgnął. Kiedy jednak poczuł na szyi ucisk zimnego, stalowego ostrza, natychmiast znieruchomiał.

Chwilę później błysnęła zapalka, a on ujrzał młodego mężczyznę o ciemnej karnacji, który wpatrywał się w niego uważnie. Upewniwszy się, że M'Gregor nie będzie się już szarpał, napastnik odwrócił głowę i wskazał podbródkiem jakiś niewidoczny cel.

Zarządca był zbyt otępiełały brandy wypitą poprzedniego wieczoru, a przy tym zbyt przerażony sposobem, w jaki został obudzony, by zrozumieć intencje nieproszonego gościa.

– On chce, żebyś spojrział na mnie – powiedział jakiś kobiecy głos, szorstki i obcy. – Chce, żebyś wiedział, co się jej stanie, jeśli wezwiesz pomocy.

M'Gregor wciąż wpatrywał się w twarz nad sobą, szukając na niej potwierdzenia. Napastnik przytaknął. Zarządca spojrział więc w bok, na miejsce, gdzie spała jego żona, zazwyczaj uporczywie chrapiąc. Leżała tam, w bezruchu, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, a jakaś oszalała kobieta przyciskała ją do puchowej poduszki.

Rozpoznał ją. Zmora z izolatki, jak nazywał tę znienawidzoną, bezużyteczną gębę, którą musiał wyżywić, a która nie potrafiła nawet na siebie zarobić, bo była zbyt słaba na pracę przy łamaniu kości czy rozdrabnianiu kamieni. Teraz siedziała okrakiem na jego żonie, trzymając ostrze noża przy jej tchawicy.

„Paradoks” – fragment

· C · H · A · R · L · I · E ·
F L E T C H E R

PARADOKS

TRYLOGIA NADZORU, TOM 2

Ciemne wody się wznoszą,
świece migoczą, ale światło nie gaśnie.
Na razie...

OSTATNIA RĘKA NADZORU wciąż patroluje granicę pomiędzy tym, co naturalne, a tym, co nadprzyrodzone, rozświetlając ciemności nikłym płomieniem świecy. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak sobie poradzi. Nowym członkom brakuje wykszolenia, a weterani są zmęczeni i bezbronni. Ta słabość przyciąga do miasta nowych wrogów, ale także zaskakujących sprzymierzeńców zza oceanu.



Najbardziej jednak szokujące są nowe rewelacje dotyczące przeszłości Nadzoru, które ujawniają prawdziwe **NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAGRAŻAJĄCE ŚWIATU**. Ich źródło kryje się w miejscu, w którym utknęli Sharp i Sara. To właśnie tam będą oni musieli rozwiązać sekret Czarnych Luster i zmierzyć się z tym, co się w nich czai, uważając, aby nie podążyło za nimi do domu.



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Polub nas na
facebooku

fabrykaslow.com.pl